ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

CENA 14,70 ZŁ (w tym VAT 5%)
NR 1 (192) STYCZEŃ 2015
NAKŁAD 12 400

www.odkrywca.pl

CZARNE interesy PRL-u

- kulisy przemytu broni

INDEKS 37010X ISSN 1505-6104

Viking
NAJWIĘKSZY WYBÓR W POLSCE!
GARRETT® METAL DETECTORS
www.garrett.com
GTI 1500
GTI 2500
ACE 150
ACE 250
EuroAce
ATX
Infinium LS
Sea Hunter Mark II
AT Pro
AT Gold
white's®
Spectra V3i
Spectra VX3
MXT Pro
MXT Tracker
Matrix M6
MX5
Coinmaster
Coinmaster Pro
Coinmaster GT
TM 808
MINELAB
CTX 3030
E-Trac
Safari
Excalibur II
X-Terra 305
X-Terra 505
X-Terra 705
Nokta ENGINEERING
FORS CoRe
NOWOŚĆ
VELOX One
SDC 2300
NOWOŚĆ
FISHER RESEARCH LABS
Detecting & Underground Locating Equipment
F70
F2
F4
F5
F19
NOWOŚĆ
Pro-Tech
NOWOŚĆ
F75
CZ 21
1280-X Aquanaut
Pro-Arc
NOWOŚĆ
XP METAL DETECTORS
Deus
GMaxx
Adventis 2
NOWOŚĆ
Gold Maxx
ADX150
NOWOŚĆ
ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl
www.viking.waw.pl
sprzedaż wysyłkowa i ratalna
podwodny • wodoszczelny do 3m

STYCZEŃ 2015

KULISY HISTORII

3 „Nie zapomniał o dobrach swojego narodu…" – Kazimierza Pawelskiego historia prawdziwa
Cieplicki skarb. Ta historia była już opisywana na różne sposoby, przez różnych autorów. Chodzi o dzieła sztuki odnalezione w sierpniu 1945 r. w dawnej bibliotece Schaffgotschów. Być może nikt nigdy nie dowiedziałby się o nich, gdyby nie jeden człowiek, pozostający w cieniu Lorentza, Kieszkowskiego i innych, odpowiedzialnych za akcję rewindykacyjną. Przez lata nikt go nie docenił, nie nagrodził, a historia o nim zapomniała. Pora nadrobić te zaległości.
Janusz Skowroński

9 Czarne interesy Schwartza (cz. 2)
Piotr Maszkowski

14 Pierwsza broń odwetowa
Leszek Adamczewski

19 Jeńcy w Borach Tucholskich
Alicja Młyńska

POSZUKIWANIA

24 Na tropie sudeckich skrytek w Siedlęcinie i Rząsinach
Kulisy rewindykacji na Dolnym Śląsku (cz. 12)
Szymon Wrzesiński

AKTUALNOŚCI/WYDARZENIA

30 Faksymile – stąd do wieczności…
Piotr Maszkowski

34 Co „Odkrywca" ma z tym wspólnego…
10. urodziny Księgarni Odkrywcy
Karolina Rendak

HISTORIA W ROCZNICACH

36 „Burzowe żniwa" III Rzeszy
Zatrważający los cywilnych uciekinierów z Prus Wschodnich, którzy zimą 1945 r. znaleźli śmierć w lodowatych wodach Bałtyku, powinien budzić współczucie wśród ludzi o niewypaczonej etyce. Chyląc głowę przed cierpieniami i śmiercią tysięcy osób nie możemy jednak zapominać, że podobny los przypadł w udziale wcale nie mniejszej liczbie ofiar nieograniczonej wojny podwodnej, prowadzonej przez III Rzeszę na różnych, nieraz bardzo odległych akwenach. Hasło Hitlera: „Bądźcie bez litości" dotyczyło bowiem także marynarzy Kriegsmarine…
Piotr Galik

WĘDRÓWKI ODKRYWCÓW

42 Giszowiec – osiedle pełne zapomnianych tajemnic
Giszowiec i Nikiszowiec. Każdy mieszkaniec Śląska słyszał te nazwy. Tylko niekoniecznie wie, co się za nimi kryje. Giszowiec jest swoistym symbolem śląskiej ziemi i samych Katowic. A wszystko, jak to zazwyczaj bywało na Górnym Śląsku, związane było z historią jednej kopalni…
Dariusz Pietrucha

POGLĄDY/OPINIE

49 Pomalować MRU na biało?
Tomasz Rzeczycki

FORTYFIKACJE

53 Punkty oporu pozycji obronnej a2 Stellung na odcinku Rawka–Bzura
Jakub Jakubowski

KOLEKCJONERSTWO

58 Sznury mundurowe Wojska Polskiego 1917-1939
Paweł Janicki

BATALIE I POTYCZKI

66 Cudzoziemscy obrońcy Gdyni
Leszek Molendowski

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

71 Styczniowe nowości w Księgarni Odkrywcy

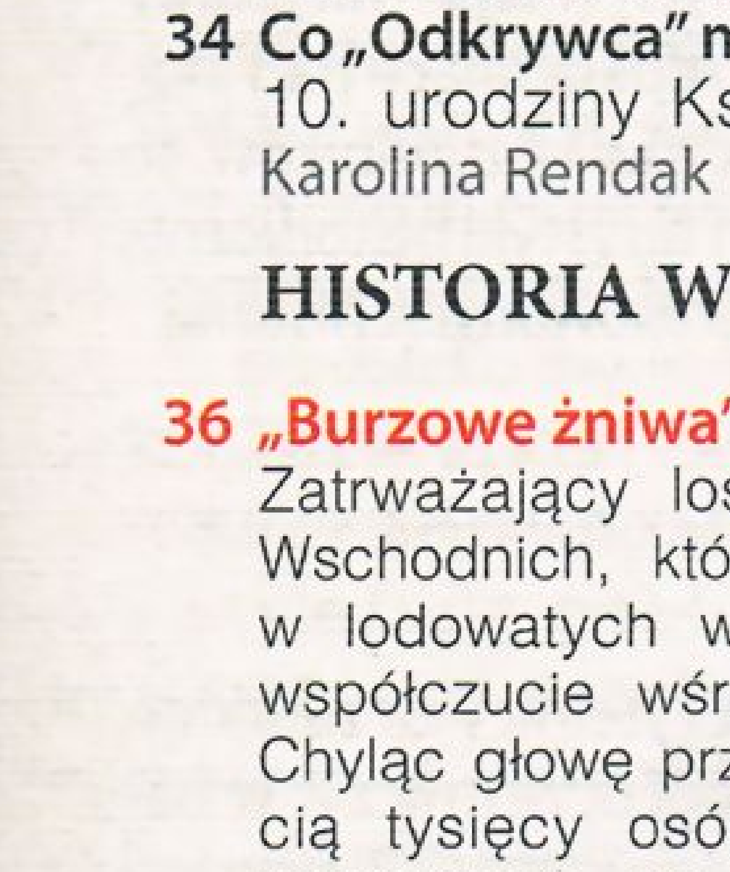

Okładka:
Zdjęcia: arch. Redakcji.
Projekt graficzny:
Cezary „Essperto" Chmielewski

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław,
tel.: 71 329 71 85, 329 71 86,
fax: 71 328 83 71

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.com
kwiecinska@odkrywca.pl

Zespół Redakcyjny
Piotr Maszkowski, Michał Cetnarowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje opracowuje i przygotowuje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy:
Leszek Adamczewski, Marek Dudziak, Piotr Galik, Proteus, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Twórca i administrator strony
www.odkrywca.pl
Kazimierz Ruszel Bocianem zwany

Dział DTP
Cezary Chmielewski

Dział Reklamy i Promocji
reklama@odkrywca.pl
tel. 71 329 71 71

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
37-100 Łańcut, ul. Podzwierzyniec 25

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia, Piotr Galik – Historia wojskowości, Maciej Kęszycki – Militaria, Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska, Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki, Marek Sokołowski – Numizmatyka.

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca"
Koordynator – Łukasz Orlicki
gemo@odkrywca.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć – wyłącznie za zgodą redakcji.

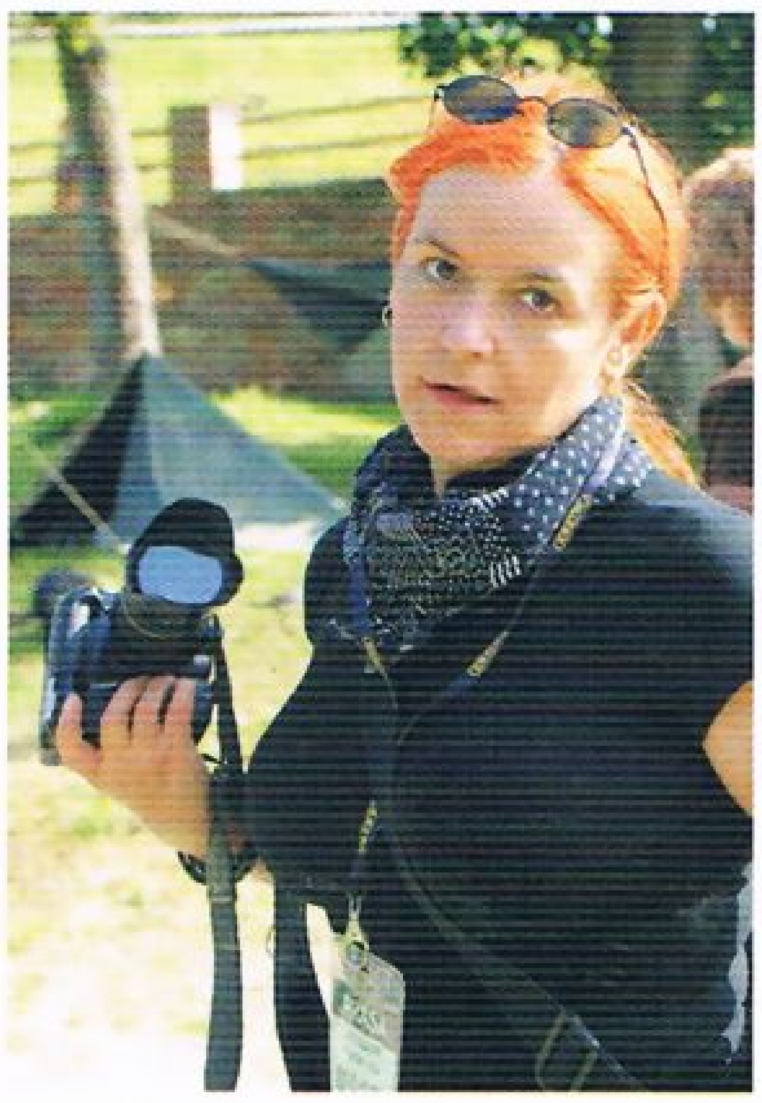

Drodzy Czytelnicy

Mam nieodparte wrażenie, że w ostatnich latach okres świąteczno-noworoczny w naszym kraju wyraźnie się wydłuża.Czy to przez układ kalendarza, czy sprytne zabiegi rodaków łączących dni wolne od pracy z urlopem, czy wreszcie przez świętowanie Święta Trzech Króli, które całkiem niedawno zyskało kalendarzową czerwień – fakt pozostaje faktem. Boże Narodzenie przybrało charakterdwutygodniowego święta. Nawet zawahałam się czy mała litera jest na miejscu, ale przecież samo Święto przypada 25 grudnia.

Święta rozciągają się w czasie, tylko terminy wydawnicze ani drgną, więc redakcja „Odkrywcy" pracuje na pełnych obrotach wierząc, że towarzysze sztuki drukarskiej również, miast mieszać kapustę i barszcz, mieszają farbę, która nada styczniowemu wydaniu naszego miesięcznika ostateczny kształt edytorski. Święta świętami, ale gazeta musi być na czas. To dziennikarska prawda, która obowiązuje w każdej redakcji, w każdym –również świąteczno-noworocznymczasie.

Ale oczywiście jest pewna specyfika przygotowywania wydań styczniowych. Kształtują ją nie tylko osobiste nadzieje związane ze Świętami i Nowym Rokiem, jakie ma przecież każdy z nas. Nie chodzi również o tzw. „magię Świąt", o której ciągle słyszymy, i której prędzej czy później ulegamy – mam na myśli szczególny rodzaj więzi i życzliwości, jaka płynie odWas Drodzy Czytelnicy. Dziękujemy za wszystkie serdeczności i życzenia jakie do nas kierujeciepocztą, elektronicznie czy też osobiście. Odwzajemniamy je z wielką radością.

Czasopismo takie jak nasze gromadzi szczególny krąg czytelniczy – „Odkrywca", o czym kiedyś w tym miejscu już pisałam,to wspólna konstrukcja jednocząca cały ruch miłośników przygody z historią. Przygody realizowanej w pierwszym rzędzie poprzez odkrywanie jej tajemnic i doświadczenie eksploracji historycznych miejsc–niejednokrotnie poparte osobistym zaangażowaniem. To czasopismo przedkładające nad akademicką narrację historyczną,detektywistyczną pasję jego Autorów i Czytelników. To pismo rekonstruktorów i kolekcjonerów, miłośników fortyfikacji i turystyki historycznej – wszyscy tworzymyspołecznościową sieć ludzi aktywnie zainteresowanych historią.

To staradziennikarska prawda – gazeta żyje jeśli są ci, którzy chcą ją czytać. Nie pomogą żadne sztuczki, żadna reklama –to Czytelnik decyduje, czy w gąszczu tytułów prasowych i internetowych witryn znajdzie swoją ofertę.

U progu Nowego Roku chcemy Wam podziękowaćDrodzy Czytelnicy za zaufanie, zainteresowanie i życzliwość. Dzięki Wam „Odkrywca" będzie mógł uczestniczyć w nowych wyprawach, wędrówkach i eksploracjach, jakie przyniesie rok 2015. Z radością towarzyszyć będziemy Wam podczas wspólnej podróży przez historyczną przestrzeń naszych wspólnych pasji.

W imieniu Wydawcy, Redakcji, Grupy Eksploracyjnej Miesięcznika „Odkrywca" i wszystkich osób zaangażowanych w nasze Wydawnictwo, życzęwszystkim Czytelnikom dużo sił, nadziei, zdrowia i dobrej energii na nadchodzący Nowy Rok.

Izabela Kwiecińska

Znajdź nas na:
http://www.facebook.com/Odkrywca

„Nie zapomniał o dobrach swojego narodu...” – Kazimierza Pawelskiego historia prawdziwa

JANUSZ SKOWROŃSKI

Cieplicki skarb. Ta historia była już opisywana. Na różne sposoby, przez różnych autorów, z mniej lub bardziej sensacyjnymi szczegółami, które cechowały się jednym – z reguły były błędnie relacjonowane. Chodzi o dzieła sztuki odnalezione tuż po wojnie, w sierpniu 1945 roku, w uzdrowisku pod Karkonoszami, w dawnej bibliotece Schaffgotschów. Dlaczego tam, a nie w ich okazałym pałacu, gdzie były zdeponowane? To wyjaśni się poniżej. Być może nikt nigdy nie dowiedziałby się o polskich dziełach sztuki wywiezionych tu podczas II wojny światowej i szczęśliwie uratowanych, gdyby nie jeden człowiek, pozostający w cieniu Lorentza, Kieszkowskiego i innych odpowiedzialnych za akcję rewindykacyjną. Przez lata nikt go nie docenił, nie nagrodził, a historia o nim zapomniała. Pora nadrobić te zaległości.

Ta historia bierze swój początek w Lututowie koło Wielunia. Jest marzec 1942 roku, kiedy pochodzący spod Warszawy Kazimierz Pawelski wraz z żoną Marią zamieszkują u rodziców Marii. Łapanki, zwane „zbiórkami”, na roboty przymusowe do Niemiec oszczędzały Kazimierza, jednak do czasu. Zdradził go pewien miejscowy Volksdeutsch. Miał 15 minut na spakowanie się. W nieznane mógł zabrać z sobą żonę, dziecka już nie. Mała Zosia, jedynaczka, pozostała u dziadków. Także miała jechać, ale jakoś wywinęła się z tego transportu, mimo że był pod eskortą. Rodzice wyruszyli spod Wielunia praktycznie w tym, co mieli na sobie. Pociąg zatrzymał się dopiero na stacji Hirschberg pod Karkonoszami. Niedaleko dworca kolejowego, na dzisiejszej ulicy Wojska Polskiego w Jeleniej Górze mieścił się miejscowy Arbeitsamt. Przed nim w niedzielę, gdy tu przybyli, odbywał się swoisty „targ niewolników”. Małżonkowie mieli szczęście, bo nie zostali rozdzieleni. Tadeusz i Maria trafili do posiadłości Schaffgotschów w Cieplicach, najpotężniejszego hrabiowskiego rodu po północnej stronie Karkonoszy. Znaleźli pracę w ich ogrodnictwie i zamieszkali w pobliżu zamku. Bo wówczas nikt na główny budynek nie mówił pałac tylko Schloss, zamek. U Schaffgotschów Pawelscy nie mieli źle, choć pracowali ciężko. Wkrótce otrzymali z leżącego w Warthegau Lututowa pełen trwogi list od córki, że Niemcy mogą ją wywieźć do obozu dla dzieci w Łodzi. Zapłakaną nad listem matkę zobaczyła hrabina Schaffgotsch. Od słowa do słowa załatwiła przepustkę, aby Pawelscy mogli przywieźć tu córkę. Zosia zjawiła się w Cieplicach już w maju 1943 roku. Była śliczną 10-letnią blondyneczką, którą rodzice ubierali w... strój krakowianki, bo w nim podobała się Schaffgotschom. Ten strój będzie miał później znaczenie.

Kazimierz Pawelski lata wojny (1942-45) spędził jako robotnik przymusowy u hr. Schaffgotscha w Cieplicach. W tym miejscu przeleżały przez lata wojny polskie dzieła sztuki.

Rok później Kazimierzowi Pawelskiemu doszło obowiązków. Zaciąg niemieckich robotników pracujących u Schaffgotschów do Volkssturmu spowodował, że Kazimierz został dodatkowo palaczem w cieplickim pałacu.

– *Była jesień 1944 roku, kiedy ściągnęli mnie, kilku Belgów i paru robotników niemieckich na dworzec kolejowy w Cieplicach* – córka Zofia udostępnia mi po latach prasową relację o czynie jej ojca. – *Była tam już hrabianka. Szły jakieś targi, kto ma przejąć ładunek. W końcu 4 wagony zostały, a dwa poszły dalej do* Zittau (Żytawy). *Na skrzyniach zobaczyłem napisy „MUSEUM JALONNA – WARSCHAU”.*

Ta relacja nie jest ścisła co do ilości wagonów, bo – jak donosiła na łamach „Odry” we wrześniu 1945 roku Aniela Daszewska, która pierwsza relacjonowała cieplickie odkrycie – na stacji kolejowej wyładowano 3 wagony, a trzy inne, z tego samego transportu, pojechały od razu dalej, do Żytawy. Pani Zofia uzupełnia po latach, że to, co wyładowano, to były zbiory nie tylko z napisem „Barycczka–Jabłonna”. Także „Krakau” i „Warschau”. Kazimierz i inni pracujący u Schaffgotschów, po rozładowaniu przewieźli skrzynie

Maria i Kazimierz Pawelscy pracowali w ogrodnictwie Schaffgotschów.

z zawartościami do cieplickiego pałacu i złożyli na I piętrze, w Salonie Błękitnym. Hrabia Schaffgotsch był niepocieszony tym, co i skąd znalazło się pod jego dachem, ale rozkaz nie podlegał dyskusji.

Jak zbiory znalazły się w Cieplicach?

Wydana staraniem Muzeum Okręgowego w Jeleniej Górze w 1980 roku niewielka broszura pt. „Ocalone dzieła sztuki", daje odpowiedź na to pytanie, zwłaszcza w odniesieniu do zbiorów warszawskich: *„Po upadku Powstania Warszawskiego prof. Lorentz wytrwale zabiega o ocalenie pozostałych zbiorów i uzyskuje zezwolenie na ich ewakuację z Warszawy pod warunkiem, że: 1. Dokonają tego pracownicy polscy pod kierunkiem specjalnie wydelegowanych specjalistów niemieckich. 2. Zbiory zostaną wywiezione do Niemiec. Od chwili załadowania do wagonów kolejowych w Warszawie przejmują je wyłącznie pracownicy niemieccy. 3. Cała akcja zostanie przeprowadzona w ciągu dwóch tygodni, gdyż ze względów wojennych na czas dłuższy nie może być wstrzymane burzenie i palenie gmachów w Warszawie. Na zebraniu w Pruszkowie uczestniczący w nim kierownicy muzeów, bibliotek i archiwów, kierownictwo nad całością akcji zabezpieczenia zbiorów muzealnych i artystycznych powierzyli Prof. Lorentzowi. W Muzeum spakowano wówczas kilkaset skrzyń, które w 1945 odnaleziono w większości w Świdnicy* ***i innych miejscowościach na Śląsku*** [pogrubienie – J.S.] *oraz na zamku Fischhorn w Austrii".*

Przywiezione skrzynie przeleżały w pałacu do końca wojny, a polski robotnik przymusowy miał je cały czas na oku. Nawet wówczas, gdy Schaffgotschowie opuścili Cieplice. Zofia Pawelska pamięta, że była sroga zima, spory śnieg, a wyjeżdżające stąd hrabiostwo w lutym 1945 roku nie wsiadło do sań. Kazano podstawić karety i ruszono w drogę. Zofia i Fryderyk, ich córki Gabriela i Mia, panny, córka Zofia zamężna z Karolem księciem von Wrede oraz niepełnosprawny syn Hussi (Hans Ulryk), bardzo zdziecinniały, bo w wieku 17 lat... bawiący się nadal lalkami. Zofia Pawelska dopiero po wojnie, gdy otrzymała imienne zaproszenie i odwiedziła Schaffgotschów w Bawarii, poznała z detalami historię tej ucieczki. Dowiedziała się wówczas, że spędzili oni około tygodnia w swej leśniczówce Ludwigsbaude na Rozdrożu Izerskim zastanawiając się, co począć. Tam dołączył do nich syn Gothard z dziećmi, mieszkający w pałacu w Proszówce.

Wzięli kurs na Bawarię, tracąc na Śląsku wszystko.

Zosia Pawelska (z prawej) paradowała w stroju krakowianki co podobało się hrabiostwu. W tym samym stroju powitała w maju 1945 przybyłego do Cieplic Wojciecha Tabakę, po wojnie pierwszego polskiego gospodarza Ziemi Jeleniogórskiej.

W podziemiach cieplickiego kościoła św. Jana Chrzciciela pozostała trumna z ciałem Fryderyka Schaffgotscha, który jako kawalerzysta zginął w bitwie nad Bzurą pod wsią Zawady 22 września 1939 roku, zaledwie 6 dni przed swoimi 21. urodzinami. Młody hrabia był podoficerem kawalerii. Fritz musiał zginąć podczas szarży kawaleryjskiej, bo kiedy w latach 60. rozbito kryptę, ktoś porobił zdjęcia Fryderykowi. Zofia Pawelska widziała je i zapamiętała taki szczegół, że jego ręce były silnie obandażowane. Od ran ciętych. Więc z politowaniem kiwa głową, kiedy słyszy od przewodników oprowadzających wycieczki, że Fryderyka... zastrzelono.

Inny istotny szczegół, który wyjaśnia po latach pani Zofia, to płaskorzeźba poświęcona pamięci poległego Fryderyka, wykonana przez samego dyrektora miejscowej Szkoły Snycerskiej Cirillo dell'Antonio. *„Pierwotnie* [znajdowała się] *w kaplicy pałacowej. Od 1945 przechowywana w mieszkaniu prywatnym w Cieplicach. Od 1975 oddana do Parafii św. Jana Chrzciciela w Cieplicach"* – czytamy w najnowszym opracowaniu o Schaffgotschach.[1]

– Rosjanie, kiedy tylko weszli do zamku, natychmiast wyrzucili rodzinną pamiątkę przez okno. Leżała na Schlossplatz, dzisiejszym Placu Piastowskim. Akurat przechodził tamtędy pewien Niemiec z Polką, panią Kazakową. Niemiec, który bał się podnieść płaskorzeźbę, poprosił, by uczyniła to Polka. Kazakowa skutecznie ukryła ją u siebie, a po latach oddała parafii, aby mogła znów znaleźć się w krypcie rodzinnej Schaffgotschów – wyjaśnia pani Zofia.

„Żona mi zawsze powtarzała: Kaziutku, uważaj, jak się wojna skończyła musimy oddać" – pisał w swoich wspomnieniach

Kazimierz Pawelski. On sam nie otwierał tych skrzyń, choć miał świadomość, że muszą posiadać ważną zawartość. I czuwał nad ich całością. Kiedy zakończyła się wojna i w Cieplicach pojawili się Rosjanie, którzy opanowali pałac po Schaffgotschach, Kazimierz Pawelski doprowadził do swoistej transakcji wymiennej. Napędził bimbru i udał się z nim do kapitana Rudniewa. Wziął do pomocy młodych chłopaków. Za młodych, zdaniem Rudniewa, aby mogli wynosić tak ciężkie skrzynie. Pawelski widział, jak Rosjanie część skrzyń zdążyli już rozbić, ale był nieustępliwy. Rudniew, w zamian za trunek, zgodził się by ojciec niezwłocznie zorganizował miejscowych Niemców w sile wieku. Mieli pomóc wynieść nietypową zawartość pałacowego Błękitnego Salonu. Pawelski miał pomysł, gdzie złożyć wyniesione w ostatniej chwili skrzynie. Miał na oku pewien sklep i... przygotowaną wcześniej kłódkę. Sklep znajdował się dokładnie naprzeciw kościoła ewangelickiego w Cieplicach, w pobliżu głównej posiadłości rodu Schaffgotschów. Właściwie nie był to sklep, tylko pomieszczenie magazynowe sklepu cukierniczego. Zostało ono pierwszego dnia po wkroczeniu Rosjan do Cieplic natychmiast rozbite, a Zofia zapamiętała, jak przebywające na robotach przymusowych Rosjanki cukierki wyniesione stamtąd rzucały... na przejeżdżające radzieckie czołgi. Kiedy zabrane z pałacu skrzynie były już bezpieczne, Pawelski zamknął drzwi magazynu na kłódkę. Po pewnym czasie Polak przewiózł wszystkie skrzynie w kolejne miejsce, do dawnej biblioteki Schaffgotschów znajdującej się kilkaset metrów dalej, przy kościele św. Jana Chrzciciela. Zrobił to przy użyciu małych, ręcznych wózków na kółkach jakich używano w ogrodnictwie. Nowe miejsce było bardziej bezpieczne, bo skrzyń pilnował niejaki Wesselny, czeski robotnik przymusowy o nieco polskim nazwisku. Wcześniej od kapitana Rudniewa Pawelski dowiedział się, że warto tu pozostać, bo te ziemie wkrótce staną się polskie. Posłuchał, choć miał już spakowany wózek na drogę powrotną do Polski. Pocztą pantoflową rozeszła się wieść, że niebawem zjawi się tu przedstawiciel polskiej władzy. Kiedy jako pierwsi pojawili się w Jeleniej Górze członkowie Grupy Operacyjnej,[2] Pawelski natychmiast zgłosił im, jakiego skarbu tu pilnuje. Ci nakazali czekać. Wówczas to w Jeleniej Górze, a niedługo potem w Cieplicach, pojawił się polski pełnomocnik Rządu Rzeczpospolitej Polskiej na Obwód nr 29, czyli Wojciech Tabaka. W Cieplicach na Schlossplatz powitali Tabakę zgromadzeni Polacy, głównie robotnicy przymusowi, jacy pozostali tu po zakończeniu wojny. *„Było wtedy w mieście z 50 Polaków. Zebraliśmy się i zaczęliśmy dekorować ulice naszymi flagami. Kobiety i dwóch piekarzy zaczęli piec ciasto, znalazła się też pełna butelczyna, ubraliśmy się w co kto miał najlepszego i czekaliśmy z chlebem i solą, jak każe obyczaj"* – wspominał Pawelski. Wszyscy udali się do pobliskiego domu. Właściwe powitanie z poczęstunkiem nastąpiło w budynku dzisiejszego Domu Zdrojowego „Stoczniowiec" na Jagiellońskiej.

Salon Błękitny Pałacu Schaffgotschów w Cieplicach, gdzie Kazimierz Pawelski pierwotnie złożył skrzynie z polskimi dziełami sztuki. Od 1975 roku obiekt jest filią Politechniki Wrocławskiej.

Tabaka nie mógł nadziwić się i zapamiętał, że na powitanie kwiaty wręczyła mu polska dziewczynka w stroju krakowianki. Była nią Zosia Pawelska. Kiedy wiele lat później pani Zofia dowiedziała się, że chory Tabaka leży w szpitalu, udała się do niego z kwiatami po raz drugi, przypominając wydarzenie z pierwszych dni wolności. Tabaka był równie zdziwiony jak za pierwszym razem. Polski pełnomocnik obsadzając stanowiska w Cieplicach zaproponował Pawelskiemu, by ten

Stanisław Lorentz (z prawej) nadzoruje w Hain załadunek skrzyń z odnalezionymi obrazami Jana Matejki – brzmi podpis zdjęcia zachowanego w zbiorach Muzeum Karkonoskiego.

został zastępcą burmistrza.[3] Kazimierz zgodził się, przekazując jednocześnie Tabace wiedzę o tym, gdzie i w jaki sposób zabezpieczył polskie dzieła sztuki. Burmistrzem został Jan Stengert, który zaproponował pierwszą polską nazwę dla tej miejscowości – Ciepłe Wody. Kazimierzowi nie bardzo przypadła do gustu, wkrótce miejscowość

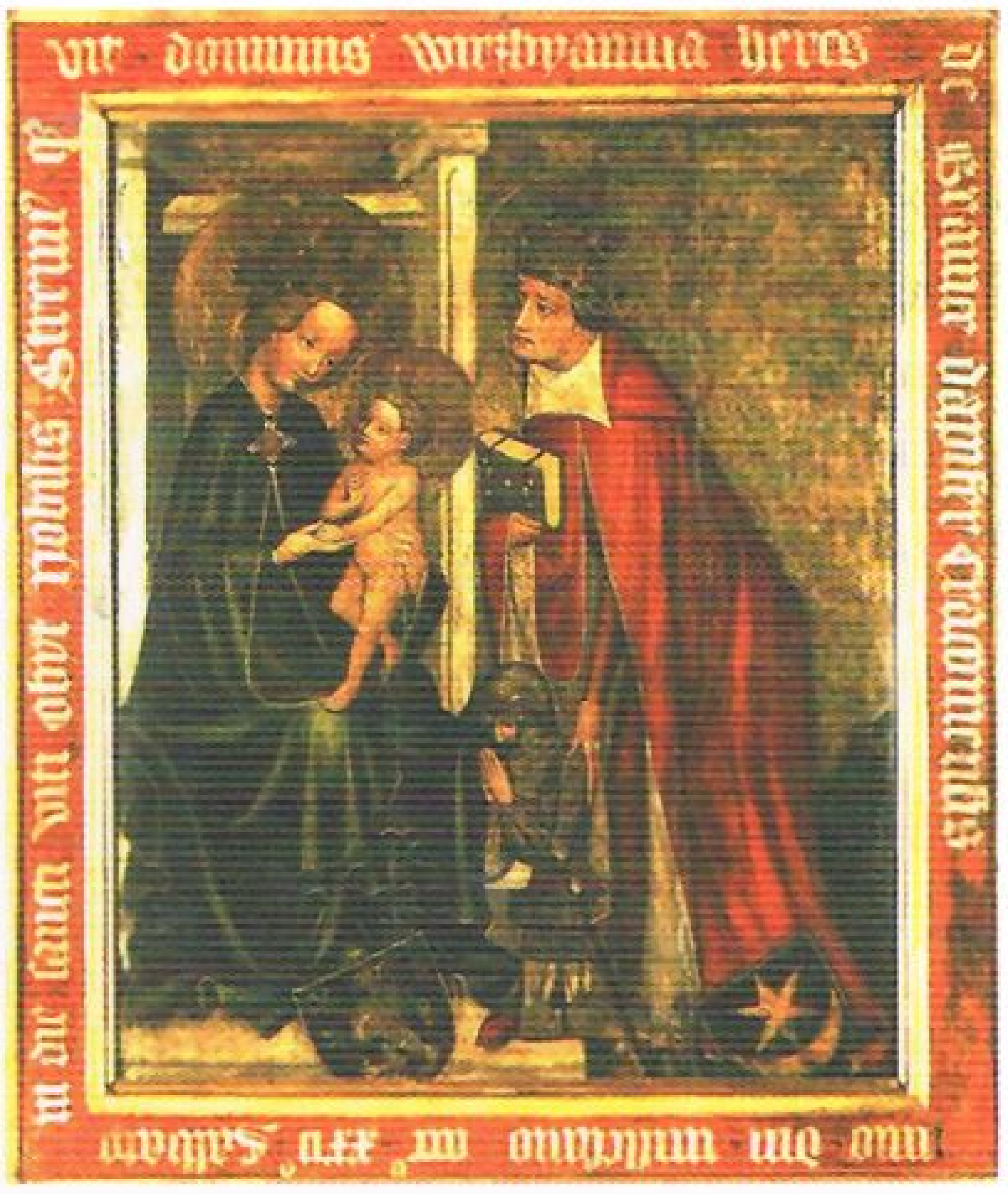

Epitafium Wierzbięty z Branic (olej na desce z 1425 r., zb. Muzeum Narodowego w Krakowie), jeden z obrazów, który zachwycił Anielę Daszewską podczas cieplickiego znaleziska w posiadłościach bibliotecznych i muzealnych Schaffgotschów. Pawelski przeniósł je tu z pałacu, a później z magazynu cukierniczego (źródło: internet)

– za sprawą wiceburmistrza – stała się Cieplicami.

Niebawem, bo w lipcu 1945 r. pojawił się tu profesor Lorentz, który zajął się trzema obrazami Matejki odnalezionymi w wiosce Hain, czyli: „Rejtanem", „Batorym pod Pskowem" i „Unią Lubelską".[4] Trudności z transportem powodowały, że odbiór dalszych dzieł sztuki spod Karkonoszy musiał poczekać. W sierpniu w Cieplicach zameldowała się kolejna grupa rewindykacyjna, tym razem pod kierunkiem Witolda Kieszkowskiego, zastępcy generalnego konserwatora i delegata Ministra Kultury i Sztuki ds. rewindykacji zbiorów muzealnych. Wspomniana już Aniela Daszewska, to była pracownica Muzeum Narodowego w Warszawie i jedna z tych osób, które po Powstaniu Warszawskim pakowały muzealne zbiory do skrzyń, ratując je przed ostatecznym zniszczeniem. Towarzyszyła Kieszkowskiemu przy cieplickich odkryciach. Nic więc dziwnego, że w swoim tekście „Listy z polskiego Zachodu. Dzieła sztuki wracają z Dolnego Śląska" z dużym znawstwem opisywała odnalezione zbiory, chwaląc przy tym Kazimierza Pawelskiego, który *„w zawierusze wojennej nie zapomniał o dobrach kulturalnych swojego narodu, ukrytych w tajemniczych skrzyniach, niby trumnach z czerwoną cyferką Warschauer Museum"*. Kiedy Kieszkowski zajrzał do kamiennej, starej sieni Biblioteki i Muzeum Schaffgotschów, znalazł tu 19 ukrytych skrzyń. Był 19 sierpnia 1945 roku. W sześciu małych skrzyniach znajdowały się numizmaty z Muzeum Warszawskiego, a w stojących obok dwóch większych skrzyniach, nieco rozbitych, ukryto teki zbiorów graficznych Stanisława Augusta. *„Przybyła na drugi dzień dr Sawicka, wieloletnia pracowniczka Bibl. Uniw. Warsz. powitała je jako swe dobre znajome, upominając się o resztę pakowanych przez siebie – 15 skrzyń brakujących"* – relacjonowała z Dolnego Śląska Daszewska. Nawet czytany po latach jej tekst, wiernie oddaje klimat tamtych chwil, kiedy wskazane przez Pawelskiego skrzynie przestają być anonimowe (pisownia oryginalna):

„Inne skrzynie z obrazami, z fragmentami rzeźb, z kielichami mszalnymi, z jakimś skradzionym w Warszawie srebrem zabytkowym, obok paki z kliszami cynkograficznymi z krakowskiej drukarni Chmiela, następna znów skrzynia zawiera dwa wspaniałe gotyckie krzyże, złote czy złocone z drogimi kamieniami – najprawdopodobniej ze skarbca wawelskiego. Dr. Kieszkowski otwiera skrzynie protokolarnie. Zaglądamy do każdej. W następnej

Zofia Zator (z d. Pawelska) mieszka w Cieplicach od 1943 roku. W tej broszurze o jej ojcu napisano zaledwie jedno zdanie, w dodatku z kilkoma błędami.

znajdujemy dwie indyjskie miniatury (prawdopodobnie z Muzeum Czartoryskich) oraz 2 depozyty cechu kuśnierzy krakowskich: Obraz Koronacji Matki Boskiej i Zwiastowania (Muz. Czart.), a pod nim znajdujemy rękopisy i stare druki. Oto wspaniały, bogato iluminowany bezcennej wartości Kodeks Emmeramski z 11-wieku własność Kapituły Krakowskiej. Pontyfikał Erazma Ciołka, Mszał Tomickiego, jakiś brewiarz z 15-wieku z Biblioteki Czartoryskich, rękopis Nativitate Christi i kilka innych – tudzież kilka starych, szeleszczących pergaminami, porywających oczy żywością malowideł i złoconych liter – modlitewników, wśród których jeden inkunabuł (druk z 15-go w.)".

Reklama zachęcająca do odwiedzenia zbiorów Schaffgotschów w Cieplicach w 1938 r. Źródło: Rheumabad Warmbrunn im Riesengebirge.

Dalsza relacja Daszewskiej to opis tego, co widzi w kolejnych salach dóbr Schaffgotschów. Zabytki zrabowane Polsce mieszają się ze zgromadzoną przez wieki, przez potężny ród śląski, kolekcją:

„Pod ścianą stoją trzy wielkie 17-wieczne obrazy ze scenami religijnymi któregoś z kościołów krakowskich. Przełożone są pięknymi skradzionymi gdzieś w Krakowie, perskimi dywanami. Idziemy do Biblioteki. Mają tam być jeszcze jakieś nasze obrazy. Mijam sale Muzeum Schaffgotschów ze zbrojami i bronią. W oszklonej szafie spostrzegam wspaniały rząd nabijany turkusami z wyprawy wiedeńskiej Schaffgotscha (1683 r.). Po przeciwnej stronie wisi za szklaną szybą wielki miecz katowski, którym został ścięty inny przedstawiciel tego rodu, wmieszany w sprawę zdrady Wallensteina.[5] Obok srogie wyroki sądowe cesarza, obwieszone pieczęciami, ważkimi symbolami władzy. Na ścianach widnieją dwa wielkie drzewa genealogiczne panów zamku z setkami tabliczek z nazwiskami i liczbami, gęsto upstrzone orłami piastowskimi w naszym zdobnictwie ludowym".

Analizując genealogię Daszewska doszukuje się związków Schaffgotschów z najstarszymi polskimi Piastami: *„Pierwsza tablica u dołu głosi: »Piastus Cerusviciensis – filius Polonicae Ethnarcha – obiit A.D. 861«. A potem »Ziemovitus i Lescus IV–921« i znów »Ziemovitus«. Aż dopiero »Mieceslaus I Polonorum Ethnarcha–Primus Christianus baptizatus« i następnie »Bolesław I Chrobry–Rex creatur ab Ottone«. I całe mnóstwo czerwieni i orłów wznosi się ku górze, gdzie dopiero wysoko wypierają je inne obce znaki. Już w górze nie widać dobrze tablicy, gdzie Barbara Agnieszka Śląska (lignicka) poślubia Hansa Ulricha Schaffgotsch v. Kynast (1635). W Sali tej nie znajdujemy jednak naszych zabytków sztuki, zrabowanych nam w ostatniej wojnie… Przechodzimy Bibliotekę (80 tys. tomów). Z radością a równocześnie z odcieniem żalu i urazy błyszczą nam oczy, wędrujące po grzbietach ksiąg, gdzie stare pożółkłe pergaminowe oprawy mienią się niekiedy barwą kości słoniowej – w źrenicach naszych nie wygasły jeszcze zwiewne, srebrne popioły Biblioteki Krasińskich, Załuskich i innych bibliotek warszawskich.*

W ostatniej sali za półkami książek dr Kieszkowski znajduje nasze obrazy. Liczymy: jest ich 39. Kolejno rozpoznajemy: oto słynny obraz 5-go w. tzw. popularnie Wierzbięta z Muz. Nar. w Krakowie z Matką Boską i Wierzbiętą – ofiarodawcą. Znajdujemy dwóch krakowskich Constable'ów (pejzaże), wspaniałego błyszczącego barwą Jordaensa (Adoracja Dzieciątka – Muz. Nar. War.), Św. Jana Chrzciciela (Tarnowskich z Dukli), Rosa de Tivoli – Pasterza, Lampiego – portret kobiecy Ruisdaela – Krajobraz z młynem (Warsz.), wilanowskiego Dietricha, różową, pełną życia i barwy Judytę – Cranacha w średniowiecznym czepcu z głową św. Jana w dłoniach i inne. Obok cechowe malarstwo krakowskie: 6 wielkich średniowiecznych temper na drzewie.

Po przejrzeniu obrazów znajdujemy również wetknięty w kącie między półkami książek przepiękny dywan polski z 17-go w., gęsto przetykany złotem ze zbiorów Gabinetu Hist. Szt. Uniw. Jag. I stary dywan kaukaski. Dr Kieszkowski, protokółując odnalezione dzieła sztuki, oświadcza, że w akcji rewindykacji jest to – jak dotychczas – pierwsze tak bogate znalezisko".[6]

Aniela Daszewska, znawczyni historii sztuki, pojawiała się w Cieplicach wielokrotnie i wiedziała o czym pisze. Któregoś razu przywiozła gazetę i podarowała ją Kazimierzowi Pawelskiemu. Wiedziała co uczynił, ratując polskie zbiory. Ogrom i wartość cieplickiego znaleziska nie zdołały się jednak przebić do opinii publicznej tak, jak trzy odnalezione w pobliskiej wiosce Hain obrazy samego Matejki, które weszły do historii jako symbol sukcesu rewindykacyjnego. Zapamiętano „Matejkę" z Przesieki i szum propagandowy, jaki zrobiono wokół tego znaleziska. Ale to nie były jedyne dzieła mistrza Jana.

Kiedy w 1980 roku ukazała się wspomniana już kilkudziesięciostronicowa broszura „Ocalone dzieła sztuki" do-

REKLAMA

kumentująca cieplickie znalezisko, o samym Kazimierzu Pawelskim skromnie wspomniano (zresztą z kilkoma błędami!) w jednym, ostatnim zdaniu: *„W połowie lipca [1945] Prof. Lorentz wyjechał do Warszawy, a kierownictwo akcji rewindykacyjnej na Śląsku objął dr Witold Kieszkowski – zastępca Naczelnego Dyrektora i Ochrony Zabytków, który przy pomocy S. Pawelskiego (Warszawiaka przywiezionego do Cieplic w 1940 r.) wydobył z pałacu Schaffgotschów w Cieplicach 19 skrzyń z cennymi zbiorami wywiezionymi z Polski"*. W podsumowaniu broszury znalazły się nazwy odzyskanych dzieł sztuki. Wśród 19 obrazów doliczono się m.in. 5 obrazów Jana Matejki i 5 Jacka Malczewskiego, po jednym Aleksandra Gierymskiego czy Alberta Chmielowskiego. Zaś na 55 rysunków i akwareli mistrza Matejko zestawiono aż w 27 pozycjach!

Błędów w swoich wspomnieniach nie ustrzegł się sam Witold Kieszkowski. Jego tak często cytowane opracowanie „Składnica Muzealna Paulinum"[7] na temat Cieplic zawiera takie oto stwierdzenie: *„wyraźne ślady prowadziły ku Jeleniej Górze, jako miejscu większego skupienia muzealiów polskich. Znajdowały się one tam w znacznym jednak rozproszeniu. Najwięcej odnalazło się w pałacu i bibliotece Schaffgotschów w Cieplicach, w jednym z pomieszczeń sklepowych tamże (…)"* i dalej: *„znaczne rozproszenie zbiorów polskich oraz pomieszanie ze śląskimi zdaje się świadczyć, że spowodował to transport, który utknął w Cieplicach i nie doszedł do właściwego miejsca przeznaczenia. Wyładowano go więc i naprędce porozmieszczano skrzynie i obrazy"*. Już wiemy, że dzięki jednemu człowiekowi polskie zbiory szczęśliwie (choć nie w całości, bo kilka skrzyń żołnierze radzieccy jednak rozbili) opuściły i pałac, i owo *„pomieszczenie sklepowe"*, bezpiecznie docierając kilkaset metrów dalej. Zaś *„pomieszanie ze zbiorami śląskimi"* wynikało ze złożenia ich przez Pawelskiego w pomieszczeniach biblioteki i muzeum Schaffgotschów przy kościele św. Jana, gdzie były równie znamienite kolekcje. Powojenne losy zbiorów śląskich rodu Schaffgotschów zawłaszczane przy okazji akcji rewindykacyjnych, to już zupełnie inna historia.

Kazimierz Pawelski znalazł po wojnie swoje miejsce w Cieplicach i mieszkanie w domu, nad drzwiami którego wymalował duży napis „Zagłoba". Ten pierwszy polski napis w Cieplicach powstał z miłości do twórczości Sienkiewicza. Córka Zofia mieszka w nim do dziś, z tą różnicą, że ulica nosi już imię Wojciecha Tabaki. Jeleniogórski starosta wielokrotnie przebywał w tym domu, odwiedzając Pawelskich.

Córka Zofia ma trochę żalu, że profesor Lorentz nigdy nie zaprosił jej ojca do Warszawy. – *Wszystkie zasługi w uratowaniu dzieł sztuki zgromadzonych w Cieplicach Lorentz przypisał wyłącznie sobie* – podsumowuje rozgoryczona. – *Szkoda tylko, że w tej sprawie zrobiła się cisza na całe lata*. Kazimierz Pawelski zmarł w 1984 roku, spoczywa na cmentarzu w Cieplicach. Niedaleko od stacji kolejowej, od której wszystko się zaczęło. Kiedy pewnego dnia 1942 roku ujrzał trzy wagony ze skrzyniami, które musiał rozładować…

ZDJĘCIA: J. SKOWROŃSKI, SZ. WRZESIŃSKI; DOKUMENTY I ZDJĘCIA ARCHIWALNE ZE ZBIORÓW ZOFII ZATOR (Z D. PAWELSKIEJ) I AUTORA.

Stanisławowi Firsztowi, dyrektorowi Muzeum Przyrodniczego w Jeleniej Górze–Cieplicach, dziękuję za poświęcony mi czas i udzieloną pomoc.

Przypisy:

1 A. Kuzio-Podrucki, „Schaffgotschowie. Panowie na Chojniku i Cieplicach", Jelenia Góra–Cieplice 2013

2 Pełnomocnikiem Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów i Ministerstwa Przemysłu na Dolny Śląsk został Jan Iwański. On „upełnomocnił" Grupę Operacyjną, która 9 V 1945 r. zjawiła się właśnie w Jeleniej Górze. Zgłosiła się w komendanturze rejonowej Armii Radzieckiej, obejmującej teren dawnego powiatu Hirschberg, którą dowodził mjr Smirnow i przystąpiła do pracy. Jej zadaniem było: zabezpieczenie i uchronienie przedsiębiorstw przemysłowych, organizowanie administracji gospodarczej w terenie, wydawanie zarządzeń o uruchomieniu działalności gospodarczej, czy nawet przenoszeniu urządzeń pomiędzy zakładami. Grupą jeleniogórską, liczącą „aż" 6 osób, kierował Zygmunt Ostrowski, którego kilka dni później zastąpił Andrzej Rosienkiewicz. Każdy członek Grupy Operacyjnej został wyposażony w pistolet, legitymację w językach polskim i rosyjskim oraz... 25 l spirytusu. Ten ostatni stanowił najlepszy „pieniądz" w rozmowach, zwłaszcza z Rosjanami demontującymi zastane mienie poniemieckie. Spirytus służył też do nabywania środków transportu od ludności niemieckiej. Rower „wyceniało się" na 2 litry, motocykl nawet na 10. Przez mniej więcej dwa majowe tygodnie Grupa Operacyjna była w Jeleniej Górze i powiecie jedynym przedstawicielem polskiej władzy. Por. J. Skowroński: „Zapomniane tajemnice Karkonoszy", Warszawa 2013, s. 99

3 Polacy objęli urzędowanie w Bad Warmbrunn 28 maja 1945 roku.

4 Ciekawa jest relacja „na gorąco", bo we wrześniu 1945 pióra Anieli Daszewskiej. Pisze ona, że dwa pierwsze obrazy w wiosce Hain [dziś Przesieka] nie znajdowały się w skrzyniach, a *„zdobiły tam salę jadalną"*. [Chodzi o gospodę „Waldschlösschen" – przyp. J.S.]. Dalej o Lorentzu Daszewska dodaje: *„on też zgromadził około 500 skrzyń w Świdnicy n-Bystrzycą ze zbiorami Muzeum Narodowego obecnie przewiezionych już do Krakowa"*.

5 Chodziło o gen. Hansa Ulryka Schaffgotscha, ściętego mieczem w Ratyzbonie 23 VII 1635 r. z rozkazu cesarskiego. Hans Ulryk odrzucił propozycję wykonania wyroku w celi więziennej, wykonano go poza murami miasta na otwartym terenie. Majątki generała skonfiskowano. Po wielu latach cesarz Józef II zrehabilitował generała, uznając, że skazano go w wyniku pomyłki sądowej.

6 Aniela Daszewska: „Listy z polskiego Zachodu. Dzieła sztuki wracają z Dolnego Śląska", [w:] „Odra" nr 6, Rok I, 5.10.1945, s. 8. Zachowano pisownię oryginalną.

7 [w:] Pamiętnik Związku Historyków Sztuki i Kultury, Warszawa 1948.

Janusz Skowroński

Wieloletni współpracownik Odkrywcy, autor książek o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku i polsko-niemieckich relacjach w następstwie wojny.

Kontakt: loginfo@go2.pl

zdarzyło się…

18 I 1919 r.

96 lat temu powstała najstarsza krajowa organizacja humanitarna. Polskie Towarzystwo Czerwonego Krzyża zostało utworzone pod patronatem małżonki ówczesnego premiera II RP Heleny Paderewskiej i zrzeszało wszystkie dotychczas działające stowarzyszenia, które kierowały się ideałami czerwonokrzyskimi. Znany nam wszystkim do dziś skrót PCK pojawił się jednak dopiero w 1927 r., kiedy wraz z nadaniem Towarzystwu uprawnień stowarzyszenia wyższej użyteczności, zmieniła się również jego nazwa. Polski Czerwony Krzyż udowodnił wielokrotnie swoją skuteczność, do dziś pozostając symbolem nadziei, ochrony i pomocy.

Czarne interesy SCHWARTZA (cz. 2)

PIOTR MASZKOWSKI

Sprawa ta od samego początku ma charakter swoistej łamigłówki. Wkraczamy bowiem w świat międzynarodowych handlarzy bronią, tajnych operacji prowadzonych przez służby specjalne i ich wspólnych – brudnych interesów. Ujawniona w 1984 roku afera, związana z przemytem broni do Polski, okazała się być niezwykle wielowątkowa, złożona i pełna tajemnic. Ich rozwiązanie zaś jest, nawet jak na obecne standardy… zaskakujące.

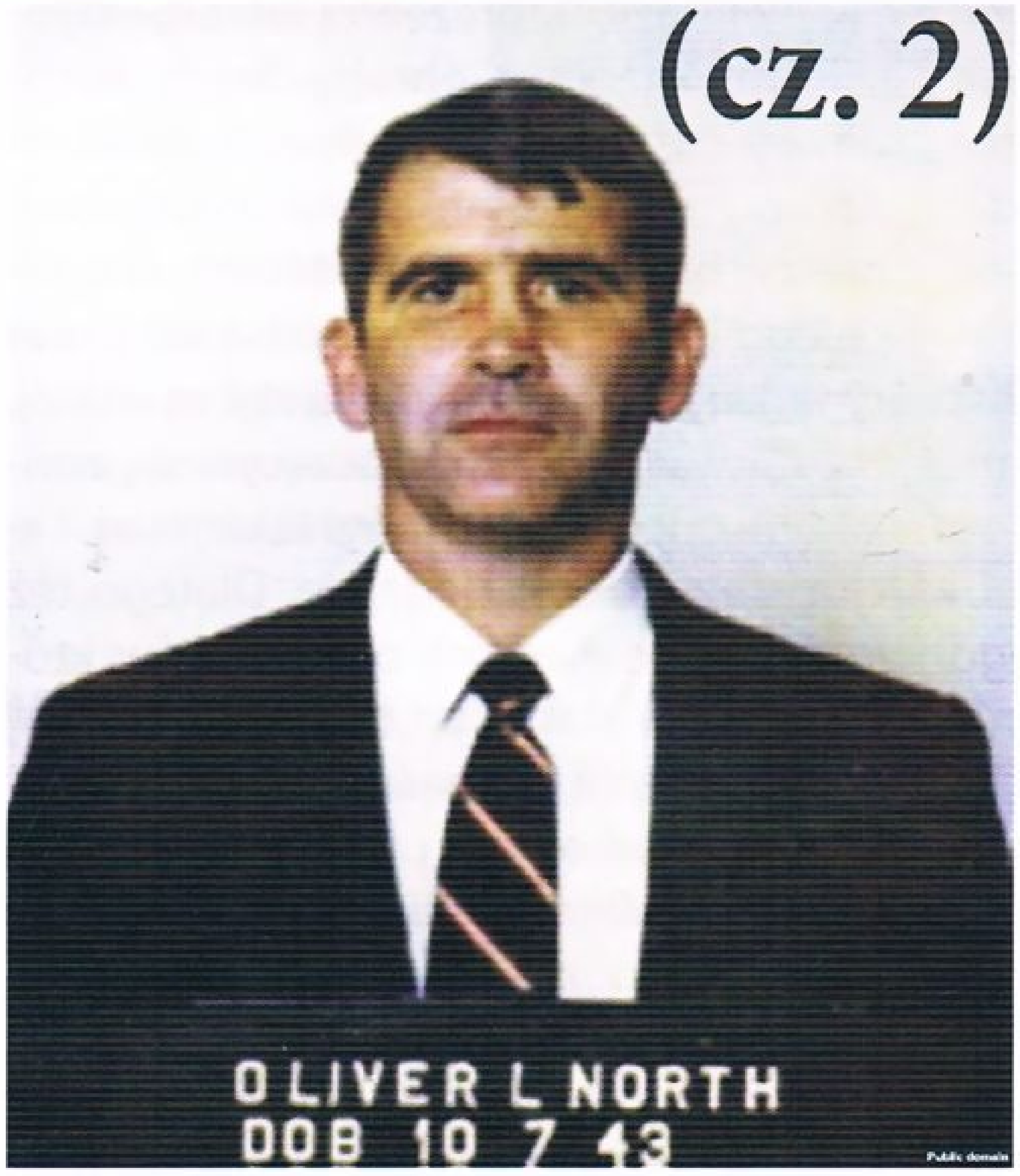

Płk. Oliver North – twarz afery Iran-Contras. W jego tajnych operacjach uczestniczył również Solomon Schwartz.

Solomon Schwartz, urodzony w 1935 roku międzynarodowy handlarz bronią z Nowego Jorku. Z pewnością nie największy, lecz w swoim czasie liczący się w tym specyficznym biznesie. Prowadził swoje nielegalne interesy w oparciu o sieć całkiem legalnie funkcjonujących spółek zarówno własnych, jak i swoich bliskich partnerów biznesowych – Leonarda Berga, Grimma DePanicis oraz Leona Lisbona'y. Należące do nich, bądź współzarządzane firmy takie jak: Global Research&Development, Texas Armament Advisors Inc. oraz HLB Security Electronics Ltd., nie wyróżniały się z pozoru niczym szczególnym na tle tysięcy podobnych zajmujących się sprzedażą wyposażenia i akcesoriów dla służb porządkowych i ochroniarskich. Jednak poza oficjalną działalnością stanowiły doskonałą przykrywkę do realizacji zleceń każdego niemal typu, obejmujących pośrednictwo w obrocie pełnym asortymentem wyposażenia wojskowego i policyjnego, łącznie z najbardziej zaawansowanymi systemami uzbrojenia.

Losy Solomona Schwartza nie staną się zapewne kanwą powieści sensacyjnej czy hollywoodzkiej superprodukcji, lecz rzeczywiście przypominają filmowy scenariusz. Na podstawie licznych doniesień prasowych i agencyjnych, relacjonujących toczący się w latach 1984-1988 proces tego handlarza bronią, wyłania się m.in. obraz jego szerokich kontaktów z CIA, DIA, NSA, FBI i kilkoma innymi amerykańskimi agendami rządowymi, dla których, przy okazji swoich interesów, wyświadczał drobne przysługi. Brał z pewnością udział w co najmniej kilku tajnych i nielegalnych przedsięwzięciach kierowanych przez płk. Oliviera Northa – członka Rady Bezpieczeństwa Narodowego (NSC) i głównego bohatera afery Iran-Contras, która została ujawniona w tym samym czasie.[1] Znane są również przykłady działalności Schwartza, które świadczą o powiązaniach z izraelskim wywiadem, jak choćby udział w organizowanej przez Mossad i CIA nieudanej próbie odsunięcia od władzy prezydenta Ghany Jerry'ego Rawlingsa w 1986 roku. Z kolei bliskie kontakty z sowieckim szpiegiem Szabtaiem Kalmanowiczem i ich wspólne interesy w Afryce nie wykluczają związków naszego bohatera z KGB. Wśród kontrahentów Schwartza znajdowali się również najgroźniejsi terroryści tamtych czasów, z owianym złą sławą Abu-Nidalem na czele. Wisienką zaś na tym torcie licznych koneksji była nowojorska mafia, z którą także miał być powiązany. Znał również polskich generałów…

Nigdy zapewne nie poznamy wszystkich szczegółów jego życiorysu, niemniej jednak już te, o których wiemy, są wystarczająco intrygujące, by kontynuować rozpoczętą w poprzednim odcinku historię („Odkrywca" nr 11/2014). Opisana wówczas próba prze-

Argentyńscy jeńcy wojenni w wyzwolonym przez Brytyjczyków Port Stanley. Część z nich wyposażona była w noktowizory firmy Litton, dostarczone nielegalnie przez Solomona Schwartza.

mytu broni ze Stanów Zjednoczonych do Polski, to zaledwie czubek góry lodowej w tej sprawie, podobnie jak zaprezentowany obszernie epizod zakupu od peerelowskich generałów sowieckich czołgów na zlecenie amerykańskiego wywiadu. Okazuje się, że są to wątki zaledwie poboczne. Zasadniczym bowiem jest… O tym jednak poniżej, gdyż zanim dojdziemy do sedna, musimy ponownie cofnąć się do początków tej niezwykłej sprawy.

Nowy Jork. Kwiecień 1982 roku

Po zajęciu przez Argentynę Falklandów, Wielka Brytania szykowała się do odbicia skrawka swego zagubionego gdzieś na krańcach południowego Atlantyku terytorium. Równocześnie trwała misja mediacyjna amerykańskiego sekretarza stanu Alexandra Haiga, starającego się w imieniu Stanów Zjednoczonych zapobiec eskalacji bezprecedensowego konfliktu pomiędzy dwoma strategicznymi sojusznikami USA. W tym samym czasie do nowojorskiego biura należącej do Leonarda Berga firmy HLB Security Electronics, z siedzibą na Manhattanie, wszedł elegancko ubrany mężczyzna. Był nim Mauricio Waicman, biznesmen z Buenos Aires, który, jak twierdził, reprezentował argentyńskie ministerstwo obrony. Jego mocodawcy rozpaczliwie szukali możliwości zakupu noktowizorów dla swych żołnierzy, oczekujących na Malwinach rychłego ataku armady królewskiej marynarki, lotnictwa i piechoty morskiej. Niestety, w związku z toczącym się konfliktem oficjalnie nie mógł takiej transakcji przeprowadzić legalnie. Dlatego też szukał odpowiednich pośredników, którzy będą w stanie tę „drobną przeszkodę" skutecznie ominąć…

Trafił doskonale.

Ani dla Berga, ani dla blisko współpracującego z nim Schwartza, wszelkie embarga i obostrzenia w handlu tego typu specyficznym asortymentem nie stanowiły najmniejszego problemu. Tym bardziej, że w tym konkretnym przypadku latynos oferował interes wartości 7 milionów dolarów. Kwota, za którą można kupić wszystko, pod każdą szerokością geograficzną.

Dwaj dżentelmeni przystąpili więc do realizacji zlecenia obejmującego zakup 1300 kompletów urządzeń potrzebnych argentyńskim chłopcom.

Schwartz i Berg nawiązali więc kontakt z reprezentantem renomowanego producenta noktowizorów Litton Industries, u którego, po owocnych negocjacjach, złożyli stosowne zamówienie. Pojawił się jednak pewien problem. Kontrahent postawił warunek – zakupiony sprzęt nie może opuścić Stanów Zjednoczonych oraz trafić do jakiegokolwiek państwa objętego obostrzeniami w handlu. A Argentyna była nimi objęta, nie tylko w związku z kryzysem falklandzkim, ale również ze względu na łamanie praw człowieka przez tamtejszą juntę. No cóż, dla przedstawicieli firmy HLB nie stanowiło to przeszkody, podpisali odpowiednią klauzulę, w której zobowiązali się… do przestrzegania wszelkich obowiązujących procedur eksportowych związanych z obrotem wyposażeniem o charakterze wojskowym. Nie rozwiało to jednak wątpliwości działu prawnego firmy Litton, którego pracownicy, pomimo intratności kontraktu, zażądali ujawnienia docelowego odbiorcy swojego produktu i wszelkich danych na jego temat.[2] Co więcej, domagali się również oficjalnego zobowiązania, że sprzęt pozostanie w USA do momentu, gdy odpowiedni wydział w Departamencie Stanu wyda stosowną licencję na jego wywóz. Schwartz i Berg oczywiście nie mogli spełnić tego warunku. Zastosowali więc fortel. Jako swego klienta i odbiorcę noktowizorów wskazali amerykańską spółkę o szumnej nazwie „Texas Armaments Advisors Inc." – spółkę powołaną i prowadzoną od jakiegoś czasu przez… Solomona Schwartza. Jako dowód dostarczyli bankowe potwierdzenie zaliczki w wysokości 1 miliona dolarów, wpłaconej przez nią na rachunek HLB, a konto przyszłej transakcji. Kwota była więc niebagatelna i wystarczająco przekonująca, że zarejestrowana w stanie Teksas firma jest finalnym odbiorcą noktowizorów, a sprzęt ten nie jest przeznaczony na eksport ze Stanów Zjednoczonych.

Dalsza, ewentualna jego redystrybucja nie interesowała już producenta.

Po sfinalizowaniu umowy partia zamówionego towaru wkrótce została dostarczona Schwartzowi. Ten zaś szybko zorganizował jej przemyt do Argentyny. Pojedynczo, bądź większymi partiami, głównie transportem lotniczym przez specjalnie wynajętych do tego celu kurierów. Na miejsce dotarły z pewnością. Kilka z tych urządzeń o identycznych numerach seryjnych, jakie Litton wysłał w partii towaru dla Schwartza i Berga (jak zeznał kilka lat później przedstawiciel brytyjskiego ministerstwa obrony), zostało zdobytych na Falklandach.

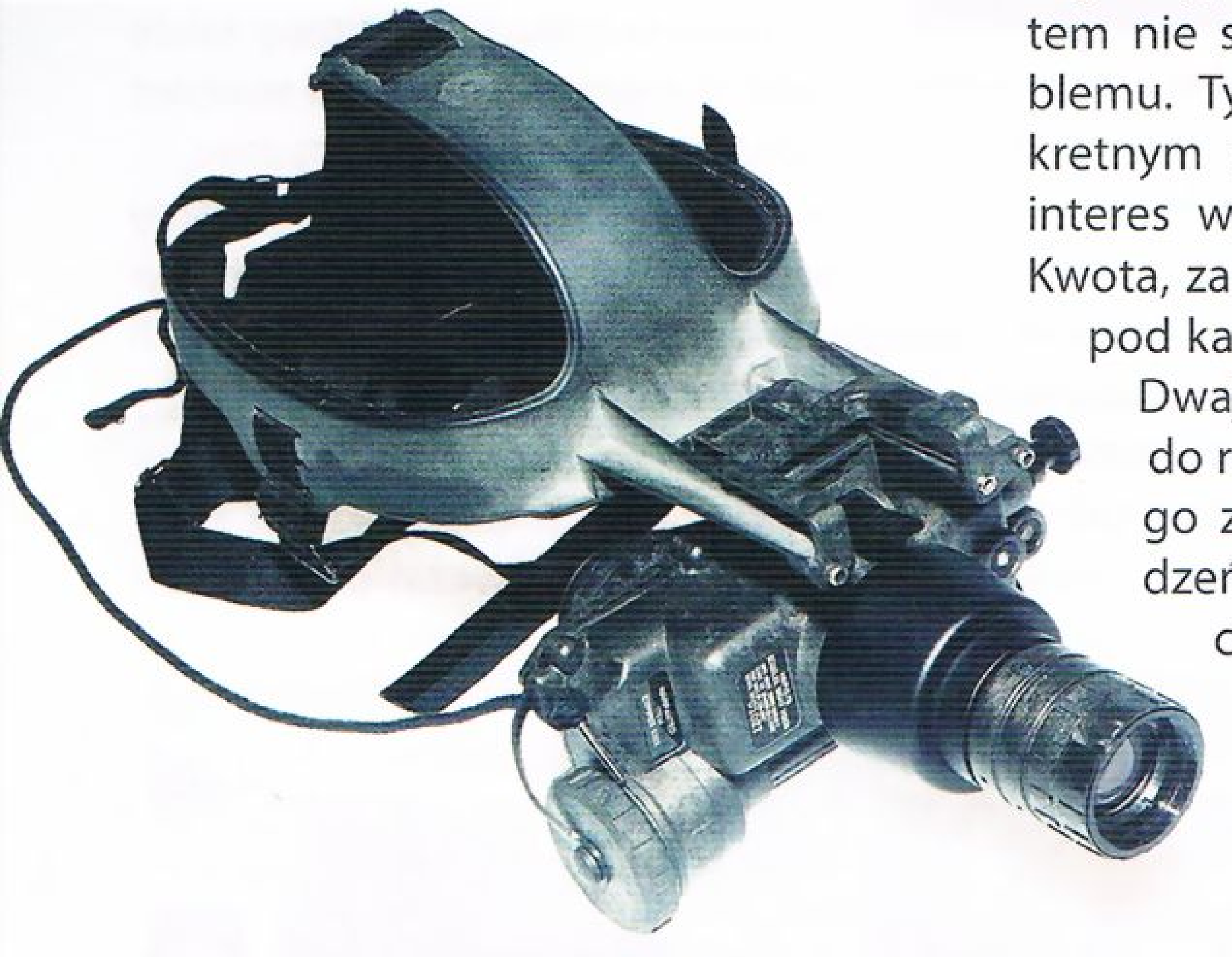

Handlarz bronią nie widział przeszkód w sprzedaży Sowietom 400 amerykańskich noktowizorów z pominięciem obowiązujących w USA przepisów.

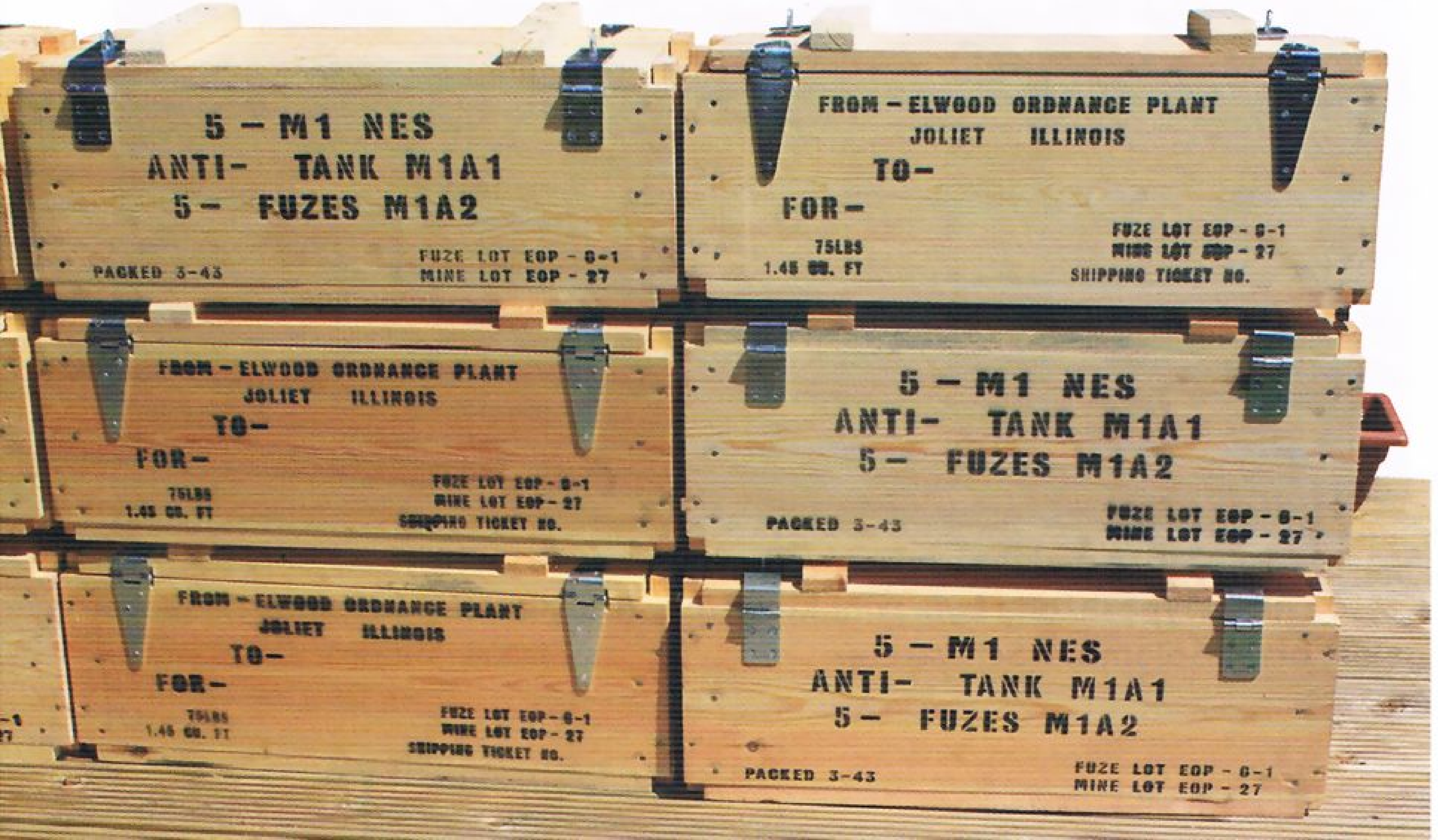

Nowy Jork. Dwa miesiące później...

Latem 1982 roku Berg i Schwartz pozyskali kolejnego klienta. Toczące się wówczas konflikty generowały nieustanny popyt na ich usługi. Jednym z nich była trwająca od dwóch lat wojna iracko-irańska. W tym czasie Waszyngton zdjął państwo rządzone przez Saddama Husseina z listy krajów wspierających terroryzm, jednak szeroki strumień pomocy finansowej, technologii i uzbrojenia miał popłynąć do Bagdadu dopiero za kilka miesięcy. Dlatego też, gdy do firmy HLB zgłosił się Irakijczyk, niejaki Abu Marwan, wyrażając zainteresowanie zakupem broni i amunicji dla irackiej policji, Solomon Schwartz i Leonard Berg ponownie musieli znaleźć sposób na obejście wciąż obowiązującego embarga. Tym razem również posłużyli się podstępem, a właściwie dokonali dość prostego oszustwa. Realizując zlecenie, nie mogli oczywiście w dokumentach przewozowych wpisać prawdziwego odbiorcy. Wykorzystując więc posiadaną przez siebie legalną koncesję na międzynarodowy obrót bronią, wskazali we wniosku eksportowym, jako finalnego klienta, niderlandzką firmę Holland Arms. Pod kątem formalnym, na tym etapie, całość transakcji przebiegać więc miała w pełni legalnie, a amerykańska służba celna nie miała podstaw, by podejrzewać jakiekolwiek nieprawidłowości. Ładunek kilkuset karabinów i pistoletów wraz z amunicją został zapakowany w 110 skrzyń i wyekspediowany frachtem lotniczym do Amsterdamu. Stamtąd, w oparciu o miejscowe, znacznie bardziej liberalne przepisy, planowany był reeksport ładunku do objętego wojną Iraku.

W tym momencie pojawiły się jednak komplikacje. Holendrzy nieoczekiwanie zatrzymali transport na lotnisku, zaś procedury wydania stosownej licencji na wysłanie go w dalszą podróż, zaczęły się przedłużać. W rezultacie cenny towar utknął na wiele miesięcy. Po pewnym czasie Schwartzowi i Bergowi udało się go odzyskać i przerzucić do sąsiedniej Belgii, licząc, że stamtąd uda im się go skierować do miejsca przeznaczenia. Tamtejsi celnicy jednak również zakwestionowali trefny ładunek, i co gorsze, wkrótce odesłali go z powrotem do Stanów Zjednoczonych. Była to pierwsza zapowiedź przyszłej katastrofy i początek poważnych problemów...

Abu Nidal, palestyński terrorysta. W latach 80. był chroniony przez władze PRL, mieszkał w Warszawie i handlował polskim uzbrojeniem. Przemycany z Nowego Jorku transport broni został opłacony przez jego zarejestrowaną w Panamie firmę.

Minął kolejny rok...

Niepowodzenie ze sprzedażą broni do Iraku zmusiło „naszych" handlarzy bronią do wzmożenia czujności. Istniało bowiem spore prawdopodobieństwo, że ich działalność zwróciła już uwagę stróżów prawa. Jak się okażę, nie mylili się...

Ben Jamil prowadził podobne interesy, co Schwartz i Berg. Jako właściciel nowojorskiej firmy CCS Comunications Control Inc., był jednym z ich najpoważniejszych konkurentów, wyróżniając się przede wszystkim jako dystrybutor wysokiej klasy wyposażenia szpiegowskiego, które dostarczał w ramach intratnych kontraktów do Gwinei, Syrii, Szwajcarii i Grecji. Podobnie jak koledzy z branży działał nie zawsze legalnie, a właściwie, zapewne jak oni, przeważnie z pominięciem obowiązujących ograniczeń. W czerwcu 1983 roku wiedząc o dobrych kontaktach, jakie Berg i Schwartz mieli po udanej transakcji z Argentyńczykami w konsorcjum Littona, zwrócił się do nich z propozycją pośredniczenia w sprzedaży 400 zestawów noktowizyjnych dla jego klienta w Niemczech Zachodnich. „Interes" wydawał się więc stosunkowo prosty. Taki jednak nie był, gdyż wkrótce okazało się, że końcowym odbiorcą tego technologicznie zaawansowanego sprzętu, o czym nieco prowokacyjnie zakomunikował Jamil, miały być... Związek Radziecki i NRD. Nie zraziło to specjalnie Schwartza i Berga, lecz zaczynali wyczuwać, że coś może być nie tak. Prowokacja? Pomimo obaw górę wzięła chęć zysku. Przekonywali handlarza, że nawet przy tego typu transakcjach są sposoby na zachowanie pozorów ich legalności i właściwie nie trzeba nikogo informować, że objęty embargiem sprzęt ma trafić za żelazną kurtynę. Wystarczy bowiem odpowiednio przygotować dokumentację przewozową, by kontrolujący ją celnicy nie mieli żadnych wątpliwości, co do finalnego odbiorcy sprzętu, który nie planuje jego dalszej odsprzedaży. W dowód dobrej woli i jednocześnie spełniając prośbę Jamila o przekazanie do testów próbnego egzemplarza, wysłali jeden zestaw na podany przez niego adres w RFN. Do sfinalizowania tej transakcji jednak nie doszło...

Jamil, jak się okazało kilka miesięcy później, od 1981 roku był tajnym informatorem amerykańskiej służby celnej, a proponowana transakcja sprzedaży noktowizorów dla Sowietów – prowokacją Departamentu Sprawiedliwości. Choć większość rozmów prowadzonych w jej trakcie była nagrywana, Schwartz, Berg oraz ich partnerzy, DePanicis i Lisbona, nie powiedzieli niczego, co pozwoliłoby wówczas na ich aresztowanie i postawienie przed sądem. Akcja ta była efektem dyskretnego dochodzenia jakie toczyło się przeciwko nim od jakiegoś czasu. Prowadził je nowojorski agent celny Edward Romeo, który choć zebrał liczne dowody na ich niezgodną z prawem działalność, wciąż nie miał jednoznacznych podstaw do postawienia im zarzutów. Wkrótce miało się to zmienić.

Nowy Jork, 21 II 1984, port lotniczy im. Johna F. Kennedy'ego

Na płycie lotniska przy hangarze 7 stał czterosilnikowy samolot odrzutowy typu Convair 880. Wyczarterowana maszyna transportowa należąca do meksykańskiego przewoźnika Aero Leon została wcześniej załadowana, a jej pilot przygotowywał się do rozpoczęcia procedury startowej. Joseph Haas, mimo że w kabinie był sam, do końca starał się grać swoją rolę. Wiedział, że nigdzie nie wyleci, a za chwilę na pokład wejdą agenci Służby Celnej. Solomon Schwartz wynajął go kilka miesięcy wcześniej. Nie spodziewał się, że zatrudnia „kreta", tajnego rządowego informatora, który od grudnia 1983 r. donosił swoim moco-

dawcom z US. Custom o szczegółach planowanych przez handlarza bronią przedsięwzięć. Dzięki niemu dyskretne dochodzenie agenta Romeo nabrało tempa. Na początku lutego 1984 roku dostarczył informacji, która wprawiła zespół śledczych w osłupienie.

Scenariusz nowego przedsięwzięcia opierał się na tym samym mechanizmie co wcześniejsze. Oficjalnie, wg dokumentów przewozowych, aktualnych koncesji i licencji, transport uzbrojenia miał trafić zupełnie legalnie do klienta w Meksyku. Papierowo więc sprawa była czysta, bowiem w handlu z tym krajem nie obowiązywały amerykańskie obostrzenia w kwestii eksportu wyposażenia wojskowego. Haas nie miał jednak lecieć do Mexico City, lecz... do Warszawy, z międzylądowaniami w Londynie i Brukseli. Taki też zgłosił plan lotu w międzynarodowym systemie kontroli ruchu powietrznego. Oznaczało to więc, że całość deklarowanego w papierach transportu przeznaczona była dla objętego wszelkimi możliwymi restrykcjami państwa bloku sowieckiego. Docelowo do Polski miało trafić 500 karabinów Rugera z zapasem 100 tys. sztuk amunicji, 1000 karabinów szturmowych firmy Heckler und Koch oraz cała masa policyjnych akcesoriów o łącznej wartości ok 1 mln dolarów.

Gdy celnicy wchodzili na pokład, Haas był spokojny. Na polecenie agentów federalnych poinformował telefonicznie Leonarda Berga o wpadce. Tydzień później afera została ujawniona mediom i opinii publicznej. Nawet jak na Stany Zjednoczone była to wyjątkowa sytuacja, która nigdy wcześniej nie miała miejsca.

Wkrótce Berg, a niedługo później Schwartz, zostali zatrzymani i przesłuchani. Twierdzili uparcie, że transport przeznaczony był, zgodnie z dokumentacją przewozową, dla Meksyku. Gdy jednak prowadzący dochodzenie agenci zaproponowali skonfrontowanie ich z meksykańskim generałem widniejącym w papierach jako odbiorca ładunku, zaczęli się powoli z tej wersji wycofywać. Przyciśnięty do muru Schwartz zmienił zeznania. Tym razem twierdził, że w rzeczywistości przejęli transport, będący częścią ściśle tajnej operacji zatwierdzonej przez Agencję Wywiadu Ministerstwa Obrony Stanów Zjednoczonych. Jej szczegółów, co oczywiste, nie mógł zdradzić. Jednak wkrótce o sekretnej, zleconej przez DIA, a kontynuowanej przez CIA, akcji zakupu od polskich generałów dwóch sowieckich czołgów T-72 wiedział cały świat. Również o tym, że przejęty w Nowym Jorku transport broni był częścią zapłaty dla nich.

Dochodzenie przeciwko Solomonowi Schwartzowi (głównemu inicjatorowi wszystkich matactw) i jego partnerom toczyło się przez 4 kolejne lata. W jego wyniku zostali oni postawieni w stan oskarżenia i ostatecznie w 1988 roku skazani na 10 lat więzienia. Podstawą wyroku był zarzut świadomego pominięcia obowiązujących procedur podczas transakcji sprzedaży zestawów noktowizyjnych do Argentyny, próby nielegalnej sprzedaży i przemytu uzbrojenia do Iraku i Polski, oraz zamiar sprzedaży embargowanego sprzętu wojskowego do ZSRR. Tyle zdołano im udowodnić.

A w PRL-u cisza...

W Polsce na ten temat opadła kurtyna milczenia. Tuba peerelowskich władz, jaką był ówczesny rzecznik rządu Jerzy Urban, wprost wyśmiał całą sprawę, uznając ją za kolejną, w dodatku wyjątkowo niewybredną prowokację amerykańską, będącą częścią kampanii propagandowej mającej na celu zdyskredytowanie Polski Ludowej w oczach międzynarodowej opinii publicznej. Wydaje się jednak, że tak naprawdę o szczegółach tajemniczej transakcji mógł Urban zwyczajnie nie wiedzieć. Popłoch jaki nastąpił po wybuchu tej afery w Ministerstwach Spraw Wewnętrznych i Spraw Zagranicznych, sugerował, iż nawet wszechwładne cywilne służby specjalne dowiadywały się o niej wyłącznie z zachodnich mediów. Świadczą o tym nielicznie zachowane depesze krążące pomiędzy rezydentami polskiego wywiadu, a centralą MSW – zaprezentowane w poprzedniej części. Resort najwyraźniej przegapił również pobyt w Warszawie Solomona Schwartza, o czym dowiedział się po fakcie – z wydruku komputerowego ewidencji gości hotelu Victoria, choć miało to miejsce tuż przed ujawnieniem skandalu. Wydaje się więc, że sprawa ta mogła być powiązana wyłącznie z ciemnymi interesami wojskowych specsłużb. Przede wszystkim dlatego, iż we wszelkich doniesieniach na ten temat, co charakterystyczne, pojawiają się, zgodnie z zeznaniami Schwartza, tajemniczy polscy generałowie, z którymi miał prowadzić interesy. To oni mieli pośredniczyć w zdobyciu sowieckiego czołgu, zaś ujawniona broń była częścią zapłaty za ich usługi. Charakter tej sprawy był więc ewidentnie militarny, a jej rodzime tropy musiały prowadzić do Zarządu II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Jego przedstawiciele bowiem kontrolowali w całości obrót produktami krajowego przemysłu zbrojeniowego, pośrednicząc w ich sprzedaży zarówno na szczeblu oficjalnym, jak i... nieoficjalnym.

Innymi słowy, handlowali z kim popadnie – od terrorystów wszelkiej maści, poprzez watażków bananowych republik, po... międzynarodowych handlarzy bronią. Tego jednak długotrwałe śledztwo i proces toczący się w Stanach Zjednoczonych nie wykazały. Gdzie zatem jest owe rozwiązanie tajemnicy sprawy, która, z perspektywy władz PRL-u, była absurdem? Przypomnijmy. Polska była wówczas jednym z największych eksporterów broni na świecie, również strzeleckiej, w obliczu której karabinki Rugera czy H&K za milion dolarów – to drogie zabawki dla bogatych

zdarzyło się...

10 I 49 r. p.n.e.

2064 lata temu Juliusz Cezar wypowiedział słynne zdanie: „Kości zostały rzucone" (łac. Alea Lacta est), dając tym samym swoim legionistom hasło do przekroczenia Rubikonu, płytkiej rzeki oddzielającej Italię od rzymskiej prowincji Galia. Zdanie o przekroczeniu Rubikonu oznacza, że nie ma już odwrotu od podjętej decyzji. Bowiem Cezar, przechodząc przez rzekę, złamał prawo i czyniąc to, wybrał wojnę z Senatem. Ponieważ chciał ubiegać się o stanowisko konsula, jako były namiestnik Galii, nie wolno mu było przekraczać granicy Italii na czele wojska. A jednak to zrobił. Wojna domowa zakończyła się zwycięstwem Cezara w 45 r. p.n.e.

chłopców. Do kogo więc naprawdę miał trafić transport Schwartza?

Odpowiedź

Kilka lat później, w 1991 roku, w atmosferze gigantycznego skandalu upadła, po 20 latach działalności, jedna z 7. największych funkcjonujących ówcześnie instytucji finansowych na świecie. Bank of Credit and Commerce International (Międzynarodowy Bank Kredytowo-Handlowy) znany w skrócie jako BCCI.[3] Dzięki swojej specyficznej strukturze i organizacji umożliwiał globalny przepływ kapitału, bez możliwości jego kontroli przez jakąkolwiek agendę zewnętrzną – co było zresztą źródłem niebywałego wręcz sukcesu jej pakistańskiego założyciela Agha Hasana Abediego. Innymi słowy, przez dwie dekady służył głównie do prania brudnych pieniędzy i finansowania nielegalnych interesów – mafii, terrorystów, handlarzy bronią, wszelkiej maści służb specjalnych, skorumpowanych polityków, zdeprawowanych dyktatorów i wreszcie agencji rządowych prowadzących tajne operacje. Idealne rozwiązanie odpowiadające potrzebom na miarę czasów – lat 70. i 80. XX wieku.

Przy okazji międzynarodowego dochodzenia w sprawie działalności banku BCCI zostało ujawnionych wiele kont. Wśród nich 40 należało do Abu Nidala, przywódcy palestyńskiej organizacji Fatah-Rada Rewolucyjna i jednego z najgroźniejszych terrorystów tamtych czasów. Jedno z owych kont zostało założone do obsługi zarejestrowanej w Panamie spółki o nazwie SAS Trading and Investments. Spółki należącej do Abu Nidala, która miała również swoje biura w Warszawie, zaś jej właściciel w latach 80. był mieszkańcem naszej stolicy. Tej samej spółki, która widniała jako tajemniczy zleceniodawca kupna 500 karabinów Rugera wraz z amunicją, 1000 sztuk karabinków szturmowych firmy Heckler und Koch i innych akcesoriów wartości 942 tys. dolarów. Oficjalnie przeznaczonych dla Ministerstwa Obrony Meksyku, które Solomon Schwartz próbował przemycić w lutym 1984 roku do Polski…

Tak proszę Państwa, broń ta w rzeczywistości została zakupiona przez międzynarodowego terrorystę, który w pierwszej połowie dekady lat 80. znalazł w naszym kraju bezpieczną przystań. Związki z nim władz PRL-u i wojskowych służb specjalnych to jednak temat na oddzielną historię, zasługujący na odrębny artykuł, który przedstawimy w jednym z kolejnych numerów.

ZDJĘCIA: WIKIMEDIA COMMONS

Przypisy:

[1] Jedna z największych afer prezydentury Ronalda Reagana, polegająca na nieautoryzowanej przez Kongres sprzedaży broni do Iranu. Za uzyskane w ten sposób fundusze finansowana była równie nielegalnie działalność nikaraguańskich Contras.

[2] Chodzi o End User Certificate – dokument stosowany m.in. w międzynarodowym handlu bronią, w którym kupujący zaświadcza, że jest końcowym odbiorcą i nie planuje jej późniejszej odsprzedaży. Procedura ta ma na celu zapobieżenie eksportowi uzbrojenia do krajów objętych embargiem lub innymi obostrzeniami na jego dostawy.

[3] Skrót ten po ujawnieniu kulisów działalności rozwijano w kręgach finansowych, jako Bank of Crooks and Corruption International, co tłumaczyć można, jako Międzynarodowy Bank Oszustów i Korupcji.

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS *Argo*

Argo i Optima z sondami 29 cm w specjalnej cenie

- Automatyczne strojenie do gruntu
- Regulacja częstotliwości od 6329 Hz do 6944 Hz
- Możliwość regulacji reakcji na kamienie magnetyczne
- Identyfikacja cyfrowa w zakresie -90 + 90
- Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza (20 pozycji)
- Czułość regulowana (48 poziomów)
- Pinpoint z podawaniem głębokości dla monet - pomiar niezależny od czułości
- Możliwość ułożenia własnego programu dźwięków
- Regulacja szybkości reakcji
- Praca dynamiczna, statyczna i jednoczesna

RUTUS DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

Pierwsza broń odwetowa

LESZEK ADAMCZEWSKI

Niemiecka broń odwetowa nie wygrała II wojny światowej, chociaż napędziła strachu londyńczykom. Bomby latające i rakiety balistyczne pojawiły się bowiem zbyt późno, aby decydować o przebiegu wojny. Setki milionów marek Rzeszy i wiele istnień ludzkich pochłonął program, którym propaganda hitlerowska próbowała przykryć własne klęski i tchnąć w Niemców nadzieję, że to jeszcze nie koniec.

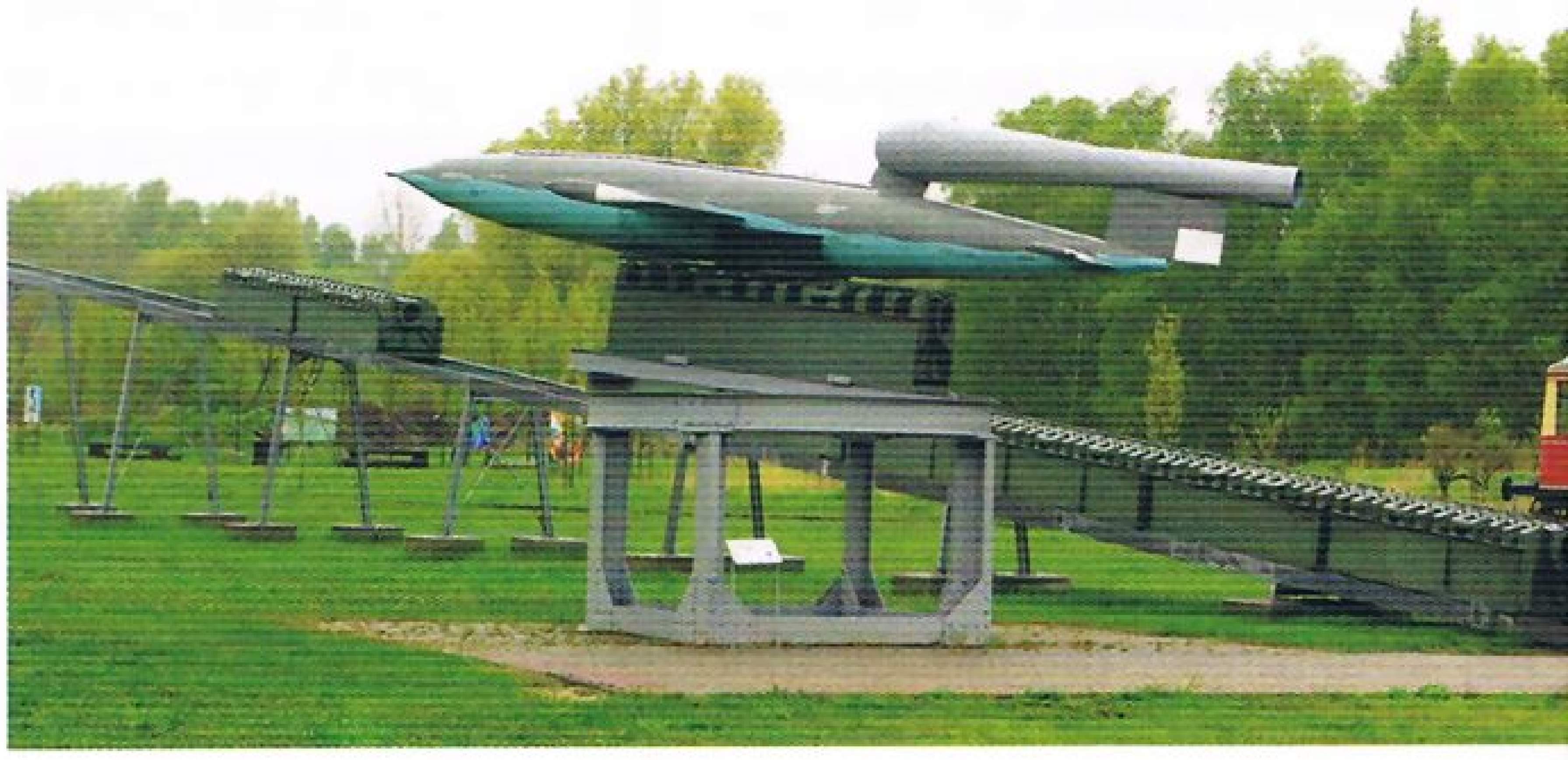

Wreszcie nadszedł ten dzień. Po wielu miesiącach prób pierwsza bomba latająca Fi-103, znana jako V-1, miała zostać odpalona w kierunku Londynu. Taki rozkaz dowódca pułku latających bomb, płk Max Wachtel, otrzymał 11 czerwca 1944 roku, chociaż decyzja o tym zapadła na najwyższym szczeblu. 6 czerwca wydało ją Naczelne Dowództwo Wehrmachtu.

Bomba latająca V-1 narodziła się wśród lasów i wydm północnej części nadbałtyckiej wyspy Usedom (Uznam), gdzie w rejonie wioski Peenemünde, w latach 30. XX wieku, rozpoczęto budowę gigantycznego ośrodka badawczo-rozwojowego nowoczesnych rodzajów broni wraz z zapleczem produkcyjnym. Ta cudowna broń (Wunderwaffe) miała zmienić na korzyść Niemiec przebieg II wojny światowej. W części administrowanej przez Wojska Lądowe pracowano nad pierwszą rakietą balistyczną, którą – jak w marzeniach planowali młodzi naukowcy z Wernherem von Braunem na czele – kiedyś będzie można wysłać ludzi na Księżyc. Kosmicznych ambicji nie mieli sąsiedzi z ośrodka Wojsk Lotniczych w Peenemünde-West, gdzie pracowano nad bombą latającą Fiesler 103. Nie była to rakieta, jak wielu sądzi, ale malutki samolot odrzutowy, wystrzeliwany albo ze specjalnej katapulty, albo odpalany z lecącego bombowca, sterowany autopilotem i nafaszerowany materiałem wybuchowym. Była to nowoczesna, jak na tamte czasy, i groźna broń. W odróżnieniu od skomplikowanej technicznie rakiety A4, znanej jako V-2, bomba latająca była bronią stosunkowo prostą i przede wszystkim tanią.

Scena z filmu „Operacja Kusza". Gruppenführer Linz (Helmut Dantine) żegna Hannę Reitsch (Barbara Rütting) na chwilę przed startem V-1.

Rodziła się ona w bólach. Długo na przykład nie można było wykryć usterki, która sprawiała, że wkrótce po starcie, bomby latające skręcały z kursu i spadały na ziemię. Jeden z egzemplarzy Fi-103 wyposażono więc w miniaturową kabinę, gdzie zamontowano wielce prymitywne urządzenia nawigacyjne i sterownicze. I w niej zasiadła 31-letnia kapitan Hanna Reitsch, znana w Rzeszy pilotka, specjalizująca się w oblatywaniu nowych maszyn. Ten nietypowy lot zrekonstruowano w hollywoodzkiej superprodukcji Michaela Andersona „Operation Crossbow" (Operacja Kusza) z 1965 roku. Po wystrzeleniu z katapulty, samolocik zaczął zbaczać z kursu i kpt. Reitsch (w filmie Andersona zagrała ją niemiecka aktorka Barbara Rütting) miała spore trudności, by za pomocą ręcznych sterów wyrównać lot i wylądować na plaży niedaleko Peenemünde. W końcu jej to się udało. *„Wada tkwi w trymerze"* – orzekła, po wyjściu z mikroskopijnej kabiny.

Bomby lecą na Londyn

12 czerwca 1944 roku w okolicach miejscowości Saleux na północy okupowanej Francji zjawiła się grupa inżynierów, którzy w Peenemünde zaprojektowali i zbudowali V-1. Przyjechali też przełożeni Wachtela. Wieczorem wszyscy zeszli do podziemnego schronu, z którego mieli obserwować start pierwszych bomb bojowych. Pierwszą salwę z kilku specjalnych katapult-wyrzutni oddano w nocy z 12 na 13 czerwca ok. godz. 23:30, drugą – 70 minut później. Pułkownik Wachtel nie był zadowolony. W sumie udało się wystrzelić zaledwie 10 latających bomb, z których 4, natychmiast po starcie, runęły na ziemię. Trzy eksplodowały, a czwarta okazała się niewypałem. Wprawdzie 6 pozostałych bomb V-1 poleciało w mrok tej jednej z najkrótszych w roku nocy, to jednak obserwatorzy startu już wtedy uznali, że ów pierwszy atak zakończył się fiaskiem. Z próbnych startów wiedzieli, że nie wszystkie z tych sześciu bomb dolecą do celu. I nie mylili się.

Dzisiaj wiemy, że tylko jedna latająca bomba przypadkiem zniszczyła most kolejowy w londyńskim Bethal Green, zabijając 6 osób. Pozostałe nie wyrządziły żadnych szkód. Trzy w ogóle nie trafiły w cel, a dwie poleciały w nieznanym kierunku, po wyczerpaniu paliwa, zapewne spadając do morza. Nie można

Resztki dawnej zabudowy hitlerowskiego ośrodka doświadczalno-produkcyjnego w Peenemünde. Dawna elektrownia ośrodka badawczego.

jednak wykluczyć, chociaż w przypadku pierwszych wystrzelonych na Londyn bomb V-1 to bardzo mało prawdopodobne, że strąciła je brytyjska artyleria przeciwlotnicza. Lecące zbyt nisko i zbyt wolno bomby V-1 były wprawdzie dość łatwym celem dla obsługi dział artylerii przeciwlotniczej, ale musiały minąć cenne dni, by takowe ustawić i nauczyć się strzelać do ziejących ogniem blaszanych potworów.

Mimo że pierwszy atak bombami V-1 zakończył się fiaskiem, oficerom Wachtela pozwolił zgromadzić niezbędne w takich sytuacjach doświadczenia. Skorygowano ustawienia katapult, i wieczorem 15 czerwca wznowiono ostrzał. Do południa następnego dnia odpalono w sumie 244 latające bomby. Wprawdzie do stolicy Wielkiej Brytanii doleciały zaledwie 73, to jednak dowództwo Luftwaffe po tym, gdy piloci wysłanych nad Londyn samolotów zwiadowczych zameldowali o licznych pożarach, uznało drugi atak za sukces. Odpowiedni meldunek natychmiast trafił do Kwatery Głównej Führera, a Adolf Hitler osobiście zatelefonował z gratulacjami do feldmarszałka Erharda Milcha, sekretarza stanu w Ministerstwie Lotnictwa Rzeszy, odpowiedzialnego za produkcję lotniczą. Jednocześnie minister uzbrojenia i amunicji Rzeszy Albert Speer otrzymał z FHQ-u polecenie przyhamowania prac nad rakietami V-2. Zwolnione w ten sposób siły i środki należało skierować na produkcję broni V-1 i samolotów odrzutowych.

Ofensywa bronią V-1 całkowicie zaskoczyła Brytyjczyków i przebywających w Londynie Amerykanów. Ci pierwsi, z meldunków wywiadu, w tym również od polskiej Armii Krajowej, od ponad roku wiedzieli o tajnej produkcji ukrytych na Usedom zakładów w Peenemünde. Wiedzieli również, że ich zbombardowanie w nocy z 17 na 18 sierpnia 1943 roku tylko opóźniło prace Niemców nad nowoczesną bronią, z którą i tak przyjdzie się zmierzyć. I w końcu nadszedł ten czas.

Generał Dwight Eisenhower – jak pisał David Irving w „Wojnie Hitlera" – wpadł w panikę. Ten wybitny wojskowy amerykański w lot zrozumiał, że gdyby Niemcy pierwsze bomby V-1 wysłali na Wielką Brytanię dwa, trzy tygodnie wcześniej, utrudniłoby, a być może nawet uniemożliwiło, inwazję aliantów na kontynent. Aliantom pomógł jednak sam Hitler, który V-1, a kilka miesięcy później także V-2, traktował jako broń odwetową. Bomby latające i rakiety miały uderzać nie w obiekty wojskowe i miejsca koncentracji wojsk, ale właśnie na Londyn, w odwecie za zniszczone podczas alianckich bombardowań miasta niemieckie – na czele z Berlinem.

Odwetu za odwet domagał się premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill. Postanowił, że samoloty RAF zrzucą na niemieckie miasta bomby chemiczne, w rezultacie czego, światowy konflikt wojenny wkroczyłby w nową, jeszcze bardziej niszczycielską fazę. Fazę z udziałem broni masowego rażenia, którą – po wyperswadowaniu Churchillowi jego barbarzyńskiego pomysłu – w końcowej fazie wojny zastosowali tylko Amerykanie, zrzucając bomby atomowe na Hiroszimę i Nagasaki.

Przerwany romans

Żar lał się z nieba, gdy w upalne południe 7 lipca 1944 roku minister oświecenia publicznego i propagandy Rzeszy, Joseph Goebbels, przyjechał na berliński Schlesischer Bahnhof. Do pociągu pospiesznego jadącego na Śląsk, doczepiona już była salonka, którą Goebbels miał udać się do Breslau (Wrocławia). Powód wizyty był prywatny, ale minister połączył go ze służbowym. Przy okazji odwiedzin przebywającej w klinice żony Magdy, która przeszła operację szczęki, spotka się z władzami prowincji dolnośląskiej, a następnie we wrocławskiej Jahrhunderthalle (Hali Stulecia) wygłosi przemówienie do pracowników miejscowych zakładów pracy, żołnierzy i członków formacji SS, SA oraz innych afiliowanych przy NSDAP organizacji społecznych. Przemówienie to transmitować będą wszystkie niemieckie rozgłośnie radiowe. Na miejscu była już też ekipa kroniki filmowej „Die Deutsche Wochenschau".

Gdy pociąg wyjechał z ciemnej hali Dworca Śląskiego, Goebbelsa zaskoczył i przeraził widok zniszczonego – jak napisał w „Dziennikach" – *„w ostatnich trzech, czterech tygodniach"*

Wrocławska Hala Stulecia na kolorowej widokówce z lat wojny.

Joseph Goebbels na mównicy we wrocławskiej Hali Stulecia...

...i tysiące mieszkańców Breslau zasłuchanych w treść przemówienia „maga" od propagandy hitlerowskiej. Kadry z „Die Deutsche Wochenschau".

Berlina. I dalej zanotował: *„Jazda do Breslau to fizyczna męka. W żaden sposób nie można zabrać się do pracy. W Breslau zostaję powitany przez Hankego oraz czołówkę administracji i Wehrmachtu. Hanke jest dla mnie uprzedzająco miły. Cieszę się, że wraz z tą wizytą dawny z nim konflikt odchodzi w zapomnienie"*.

Wspomniany przez Goebbelsa Karl Hanke przed wojną był jednym z najbliższych współpracowników ministra, zajmując m.in. stanowisko sekretarza stanu w Ministerstwie Oświecenia Publicznego i Propagandy Rzeszy. Gdy na przełomie lat 1938/1939 Goebbels zainteresował się czeską aktorką filmową Lidą Baarovą, jego żona poskarżyła się Hitlerowi, że mąż zdradza ją z Czeszką. W tym kryzysie małżeńskim po jej stronie stanął Hanke, w którego ramionach Magda spędzała wówczas wolny czas i w razie rozwodu była gotowa wyjść za niego za mąż. Natomiast Goebbels dla Baarovej chciał zrzec się państwowych i partyjnych (był bowiem również gauleiterem NSDAP Berlina) stanowisk i wyjechać z Rzeszy. Hitler nie mógł na to pozwolić. Wręcz zmusił Goebbelsa do pogodzenia się z żoną. I tylko Hanke został bez kochanki i bez pracy. Ochotniczo wstąpił do Wehrmachtu, walczył w Polsce i Francji, dosłużył się stopnia porucznika. Hitler przypomniał sobie o nim pod koniec 1940 roku, gdy przystępowano do podziału prowincji śląskiej na górno- i dolnośląską. Na początku 1941 roku Karl Hanke został naczelnym prezesem tej drugiej, jednocześnie obejmując stanowisko wrocławskiego gauleitera NSDAP. I to on, w brunatnym mundurze partyjnym, witał w Breslau wysiadającego z pociągu męża swej byłej kochanki.

Przejazd głównymi ulicami stolicy Dolnego Śląska uzmysłowił Goebbelsowi jeden fakt. To miasto nie było w ogóle zniszczone. Wszystkie domu stały całe, a okna mijanych tramwajów nie były – jak wielu berlińskich wagonów – zabite dyktą z małym oszklonym otworem. W połowie 1944 roku Breslau wyglądał jak przed wojną.

Nazistowskie nabożeństwo

Gdy Goebbels przebywał w klinice, tysiące mieszkańców Breslau piechotą lub tramwajami udawało się w kierunku Hali Stulecia, której zakamarki sprawdzili już eksperci policyjni. Ta monumentalna budowla żelbetowa była gotowa na przyjęcie jednego z najbliższych współpracowników Führera. Ci, dla których zabrakło zaproszeń, gromadzili się przy radioodbiornikach w świetlicach i halach fabrycznych. Wielu przybyło do otaczającego halę parku, gdzie od kilku lat stały głośniki.

Zapalono reflektory. Przy dźwiękach fanfar kilkudziesięciu spoconych – z powodu upału – chorążych wniosło hitlerowskie sztandary i półkolem stanęło na scenie. Rozpoczynało się nazistowskie nabożeństwo ku czci Führera.

Gdy w drzwiach Hali Stulecia pojawił się Goebbels w towarzystwie Hankego i miejscowych działaczy partyjnych, wysokich rangą oficerów Wehrmachtu, SS i SA, 12 tysięcy ludzi zerwało się z miejsc, wyciągając ręce. Operator kroniki sfilmował m.in. młode kobiety w śląskich strojach ludowych, gromko oklaskujące głównego gościa.

Analizując trwającą kilka minut filmową relację z manifestacji w Hali Stulecia, która znalazła się w 723. wydaniu „Die Deutsche Wochenschau", dojdziemy do wniosku, że Goebbels przemawiał zrelaksowany. Być może był to rezultat wizyty w szpitalu u żony, u której pooperacyjna rekonwalescencja przebiegała szybko i bez komplikacji. Niemniej minister nie ukrywał powagi sytuacji. *„Naród niemiecki jest w niebezpieczeństwie"* – oświadczył. Część swego przemó-

Aż do jesieni 1944 roku na Breslau nie spadła ani jedna bomba.

wienia poświęcił skutkom alianckich bombardowań, które *„obracają niemieckie miasta w proch i pył”*. I nie wymieniając z nazwy żadnego rodzaju nowej broni, powiedział: *„Po ciężkich rajdach na stolicę Rzeszy, Berlin, oświadczyłem, że nadejdzie godzina, kiedy weźmiemy odwet na Anglikach. Wtedy angielska prasa gwałtownie mnie zaatakowała, zadając pogardliwe pytanie, czy broń, o której mówię, została wynaleziona w Ministerstwie Propagandy, czy w Ministerstwie Uzbrojenia. Nie uważałem za stosowne wyprowadzać ją z błędu. Przeciwnie. Byłem przekonany, że im dłużej sądzą, iż nie istnieje taka broń, tym lepiej, ponieważ zaskoczenie również jest rodzajem broni”*. Ten fragment przemówienia ministra znalazł się w kronice filmowej. Od trzech tygodni Brytyjczycy na własnej skórze doświadczali skutków ataków nowej broni. Goebbels triumfował, co widać z utrwalonego na celuloidowej taśmie wyrazu jego twarzy na mównicy w Hali Stulecia. *„Najlepszą gwarancją zwycięstwa jest sam Führer. Patrzymy na niego z religijną wiarą. On przeprowadzi nasz naród pewną ręką przez wszystkie niebezpieczeństwa i próby. Ślubował to samo co my: walka, która naród prowadzi z pełnym fanatyzmem, nie może zakończyć się inaczej niż zwycięstwem”* – zakończył swe przemówienie, a zebrani znowu wstali i z wyciągniętymi rękoma odśpiewali hymn państwowy.

Podziemne życie

Powielona przez dziesiątki kopii kroniki filmowej „Die Deutsche Wochenschau” postać Goebbelsa przemawiającego we wrocławskiej Hali Stulecia, gościła na ekranach niemieckich kin, gdy w czwartkowe południe, 20 lipca 1944 roku, potężna eksplozja wstrząsnęła mazurską Kwaterą Główną Führera. Adolf Hitler przeżył zamach, odnosząc zaledwie drobne obrażenia. I swym wewnętrznym wrogom zaprzysiągł krwawą zemstę.

Jednocześnie przez całe Niemcy i ziemie okupowane przetoczyła się fala manifestacji i spotkań, na których zebrani cieszyli się z „cudownego” uratowania Führera i de-

Untergrundleben in London

London und Südengland weiter unter dem Feuer von „V 1”

Stockholm, 21. Juli. Mit Einbrechen der Dunkelheit und während der ganzen Nacht zum Freitag richteten die Deutschen — wie Reuter nun schon täglich aus London meldet — ihre Angriffe mit fliegenden Bomben auf die südenglischen Grafschaften und den Londoner Raum. Es entstanden Schäden und Verluste.

Der Londoner Korrespondent von „South Africa” spricht von der „V 1” und erklärt, jeder versuche Churchills Rat zu befolgen und in Unterständen oder Bunkern ein paar Stunden Schlaf zu erhaschen. Aber Körper und Geist kämen kaum zur Ruhe. Alle seien in das Untergrundleben wieder hineingewachsen, das sie 1941 beendet glaubten. Oft würden die Menschen dort unten von den orgelnden Tönen der „V 1” wach. Sie hielten dann vor Angst den Atem an. Hörten sie nicht gleich die Explosion, dann wüßten sie, daß diese noch einmal über sie hinweggeglitten sei. Für die angespannten Nerven sei das aber wenig beruhigend. Der Korrespondent berichtet, an einem Tage seien die Erschütterungen an seiner Straße zweimal so groß gewesen, als werde ihr Fundament plötzlich mit unheimlicher Gewalt weggerissen; er habe auch die riesigen schwarzen Wolken über dem Explosionsort gesehen.

Es sei wohl kaum notwendig zu betonen, daß alle öffentlichen Luftschutzkeller überfüllt seien; es sei noch schlimmer als während der Blitzperiode. Viele Nervöse benutzten die Keller bereits als Dauerwohnung, und die U-Bahnstationen füllten sich bereits zwei Stunden vor der Verdunkelung mit Schutzsuchenden. Aber man müsse trotz allem noch seinem Schöpfer danken, daß jetzt Sommer sei. Wenn all das im Winter geschähe, dann wäre es wahrscheinlich noch viel schlimmer. Einige nähmen an, daß es im Winter keine fliegenden Bomben mehr geben werde. Andere glaubten, daß die Deutschen noch viel Schlimmeres für die Engländer auf Lager hätten.

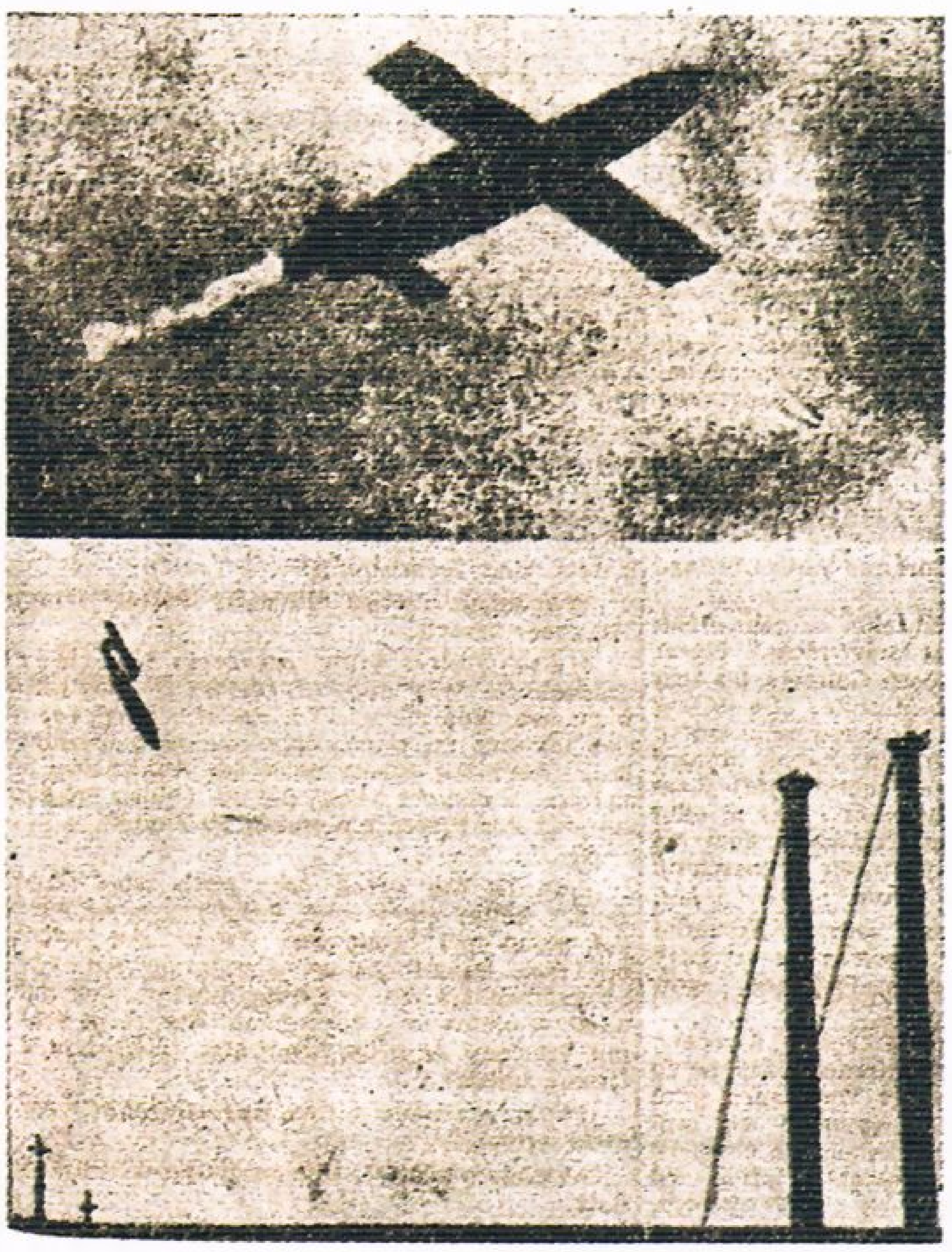

„V 1” erstmalig im Bild

„V 1” stürzt auf London. Die ersten Bildveröffentlichungen der britischen Presse. Das obere Bild zeigt „V 1” im horizontalen Fluge: Aus seinem Heck strömen deutlich sichtbar die flammenden Auspuffgase seines Raketenantriebes. Das untere Bild zeigt ein Projektil im Sturz auf sein Ziel, nachdem der Raketenmotor ausgesetzt hat. Das Ziel ist augenscheinlich eine Fabrikanlage. Daß den Briten erst jetzt brauchbare Photos von „V 1” gelungen sind, erklärt sich unschwer aus der enormen Geschwindigkeit des neuen Kampfmittels, seinem für den Feind unberechenbaren Weg und den Gefahren, die für die Bildreporter mit diesen Aufnahmen verbunden sind. Die gleichen Umstände sind es auch, die die Bekämpfung der „V 1” für den Feind bisher zu einer unlösbaren Aufgabe gemacht haben. Daß mit dem verschwenderischsten und dichtesten Flakfeuer gegen diese verhältnismäßig kleinen Kampfmittel wenig auszurichten ist, liegt auf der Hand. Aufn.: PBZ.

Artykuł „Życie w podziemiach Londynu” zamieszczony w „Ostdeutscher Beobachter” 22 lipca 1944 roku.

klarowali mu wierność. Nie inaczej było w przyłączonym do Rzeszy Poznaniu. Oto egzemplarz wydawanego w Posen dziennika „Ostdeutscher Beobachter” z sobotnią datą 22 lipca 1944 roku. Przez całą szerokość pierwszej strony widnieje tytuł „Unser Leben – Adolf Hitler” (Nasze życie – Adolfowi Hitlerowi), a jedynym właściwie tematem stron politycznych są reperkusje zamachu w „Wilczym Szańcu”. Dziennik cytuje telegram, który do Führera wysłał namiestnik Rzeszy w Kraju Warty, gauleiter NSDAP Arthur Greiser oraz obszernie informuje o wiecu w auli Reichsuniversität Posen z udziałem tegoż Greisera, przytaczając spore fragmenty jego wiernopoddańczego przemówienia. Całość uzupełniają reakcje Niemców oraz polityków i prasy z europejskich państw satelickich na wiadomość o zamachu na Hitlera.

Na tle tego bloku publikacji rzuca się w oczy jedna, pozornie ni w pięć, ni w dziewięć wciśnięta między słowa Greisera, a opinię wstrząśniętego zamachem premiera Węgier. Ten artykuł ozdobiony jest dwoma sklejonymi zdjęciami i tytułem „Untergrundleben in London” (Życie w podziemiach Londynu). W podtytule poznański dziennik precyzuje: *„Londyn i południowa Anglia nadal pod obstrzałem V-1”*. W tej przesła-

zdarzyło się...

20 I 1942 r.

73 lata temu w pałacyku przy ul. Grosser Wannsee 56/58 w Berlinie zebrała się grupa wyższych rangą urzędników reprezentujących rozmaite resorty III Rzeszy. Spotkaniu przewodniczył Reinhard Heydrich, szef RSHA, Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Heydrich przedstawił plan Ostatecznego Rozwiązania Kwestii Żydowskiej, jak eufemistycznie została nazwana Zagłada. Spotkanie protokołował Adolf Eichmann, główny logistyk Holocaustu. Wówczas zapadła decyzja o wywozie 11 mln europejskich Żydów na Wschód, rzekomo do pracy. Jednak naprawdę wyjazd oznaczał śmierć. Pod koniec stycznia 1942 r. Adolf Eichmann poinstruował wszystkie zaangażowane placówki, by kontynuowały rozpoczętą już w październiku 1941 r. deportację Żydów. Machina śmierci pracowała aż do samego końca III Rzeszy.

nej z neutralnego Sztokholmu depeszy agencji Reutersa czytamy: *„Z nadejściem zmroku i przez całą piątkową noc Niemcy organizowali ataki bombami latającymi na hrabstwa południowej Anglii i miasto Londyn. Wyrządziły one wiele szkód i strat"*. Następnie „Ostdeutscher Beobachter" cytuje publikację londyńskiego korespondenta „South Africa", który swym czytelnikom przedstawił sytuację w Wielkiej Brytanii pod ostrzałem V-1: *„Każdy* [Anglik] *próbuje iść za radą Churchilla i w schronach lub bunkrach próbuje znaleźć parę godzin snu. Ale ani ciało, ani duch nie znajdują spokoju. Wszyscy ponownie przyzwyczaili się do podziemnego życia, o którym myśleli, że skończyło się w 1941 roku. Bardzo często świszczący huk V-1 wyrywa ludzi ze snu. Ze strachu wstrzymują wtedy oddech. Gdy w bezpośrednim sąsiedztwie nie usłyszą eksplozji, to już wiedzą, że tym razem bomba V-1 poleciała dalej, gdzie indziej wyrządzając szkody"*.

W czasach, gdy miliony Niemców w wielu miastach Rzeszy od miesięcy noce spędzało w schronach i piwnicach, marnym pocieszeniem było, że od kilku tygodni identycznie jest w Londynie.

Pierwsze zdjęcia

Propagandowy cel publikacji „Ostdeutscher Beobachter" (podobne pojawiły się w trzeciej dekadzie lipca 1944 roku w innych gazetach niemieckich) jest szczególnie widoczny w obszernym podpisie do przedrukowanych z brytyjskiej prasy dwóch zdjęć. Tym samym wielu Niemców, szukających wszelkich informacji o broni odwetowej, w której pokładali ostatnią nadzieję, mogli zobaczyć V-1 w locie poziomym i latającą bombę spadającą – jak czytamy w podpisie – *„prawdopodobnie na jakąś fabrykę"*. Jednocześnie Niemcy skłamali pisząc, że *„kolejnym problemem dla wroga jest brak sposobu skutecznego zwalczania V-1. To, że nawet gęstym ogniem zaporowym dział przeciwlotniczych ten mały obiekt nie da się strącić, jest jasne jak słońce"*.

Tymczasem Brytyjczycy szybko opanowali kilka metod strącania bomb latających. Dla wielu z nich zabójczym był ogień zaporowy artylerii, inne nadziewały się na balony zaporowe, jeszcze inne padały ofiarą ognia karabinów maszynowych myśliwców RAF. Wielu pilotów tychże myśliwców (w tym również Polaków) do perfekcji opanowało ryzykowną sztukę dolatywania do V-1 daleko przed Londynem i podważania własnym skrzydłem jej skrzydła w celu zakłócenia działania żyroskopów. W tej sytuacji bomba natychmiast spadała na ziemię. Miliony Brytyjczyków nie wiedziały jednak, że już od września 1944 roku Londyn razić będzie inna broń odwetowa. Rakiet V-2 strącić się nie da...

ZDJĘCIA: LESZEK ADAMCZEWSKI, ARCH. AUTORA, ARCH. REDAKCJI, WIELKOPOLSKA BIBLIOTEKA CYFROWA.

Leszek Adamczewski
Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor prawie 20 cieszących się sporym zainteresowaniem czytelników książek o tajemniczych zdarzeniach z czasów II wojny światowej. Najnowszą książką tego Autora jest, wydana nakładem Repliki, pozycja pt. „Poligon. Sensacje z Kraju Warty".

REKLAMA

Jeńcy w Borach Tucholskich

ALICJA MŁYŃSKA

Zawierucha I wojny światowej ominęła tereny obecnego Pomorza oraz Kujaw. Mimo to, na tych terenach Wielka Wojna zostawiła swoje tragiczne ślady. Jednymi z nich są cmentarze poobozowe znajdujące się w Czersku i Tucholi, gdzie, jak głosi napis w Czersku: *„spoczęli polegli w pokojowym boju bez broni"*. Pierwsi z nich zmarli w grudniu 1914 roku.

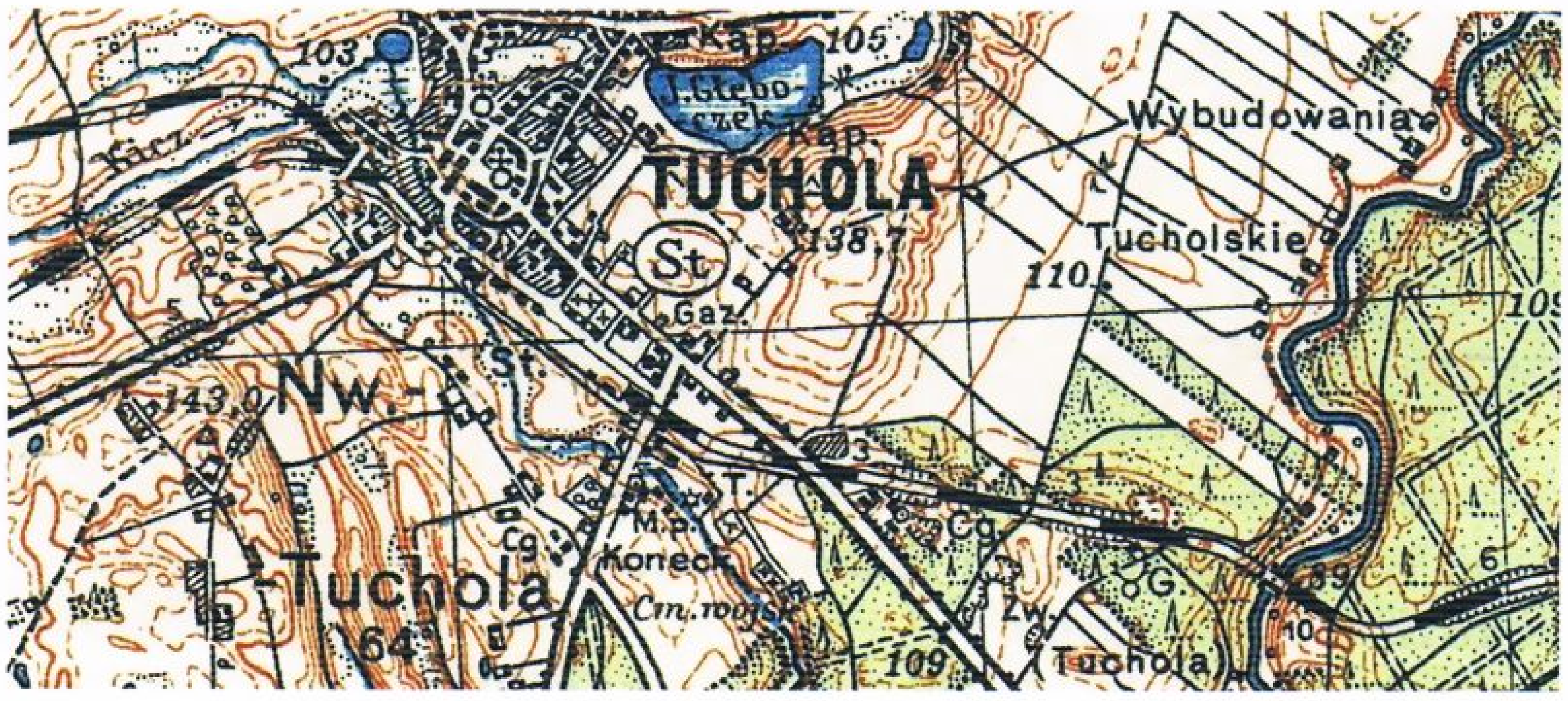

Fragment mapy Wojskowego Instytutu Geograficznego (1931 r.) z zaznaczonym cmentarzem wojennym w Tucholi.

Widok na jeden z baraków w tzw. obozie I (1915 r.). Pocztówka ze zb. Zenona Wędzickiego.

Widok na baraki w obozie w Czersku. Pocztówka ze zbiorów A. Młyńskiej.

Obozy w Tucholi i Czersku... początki

Czersk i Tuchola w czasie I wojny światowej znajdowały się pod pruską administracją. Rozpoczęcie działań wojennych mocno przyhamowało rozwój tego regionu, szczególnie rolnictwa. Jedną z przyczyn był fakt powołania do wojska ok. 2,5 tys. mężczyzn z powiatu tucholskiego. Po zwycięstwach wojsk niemieckich na froncie wschodnim do niewoli dostało się wielu Rosjan.

Dla tak znacznej ilości jeńców Niemcy utworzyli na terenie Prus dwa obozy – w Czersku i Tucholi. Postanowiono przy tym wykorzystać jeńców rosyjskich jako tanią siłę roboczą przede wszystkim do prac leśnych i w rolnictwie – stanowiących dominujące dziedziny gospodarki Borów Tucholskich. Jak pisał Jerzy Szwankowski: *„Na podjęcie takiej decyzji przez najwyższe władze wojskowe wpłynęły prawdopodobnie usilne starania, jakie czyniły władze miejskie na krótko przed wybuchem wojny, a które zmierzały do utworzenia w Tucholi garnizonu wojskowego lub szkoły podoficerskiej albo chociaż poligonu"*. Niestety, zachowało się mało źródeł dotyczących obu obozów, a zwłaszcza w Czersku. W 1914 roku utworzono obozy dla jeńców: w Gdańsku, Bytowie, Pile oraz w Lidzbarku Warmińskim (w Markajmach). W 1915 roku: w Szczypiornie koło Kalisza i Strzałkowie koło Słupczy, a dwa lata później, w 1917 roku, w Brodnicy – obóz dla jeńców francuskich, belgijskich oraz portugalskich. Według prof. Zbigniewa Karpusa, historyka z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, wiceprzewodniczącego polsko-rosyjskiej komisji badającej losy jeńców wojennych po wojnie 1920 r.: *„Polska nie zbudowała żadnych nowych obozów, tylko przejęła obiekty stworzone przez Niemców lub Austriaków podczas I wojny światowej. W większości były to obozy ziemiankowe, zbudowane przez samych jeńców rosyjskich od jesieni 1914 r. To były całe miasteczka. Obiekt w Strzałkowie był największy, w trakcie I wojny mógł przyjąć do drewnianych baraków 35 tys. więźniów. Niemcy zbudowali go, by odizolować rosyjskich jeńców*

Jeńcy rosyjscy zatrudniani byli w obozie oraz w prywatnych gospodarstwach. Pocztówka ze zb. Z. Wędzickiego.

Jeńcy rumuńscy, kwiecień 1918 rok. Pocztówka ze zb. Z. Wędzickiego.

Wyładunek rosyjskich jeńców z pociągu. Pocztówka ze zb. Z. Wędzickiego.

i powracających ze Wschodu własnych żołnierzy. Bali się, że mogą przenieść stamtąd choroby zakaźne".

Niemiecki obóz jeniecki został założony w Tucholi w 1914 r. – na przełomie listopada i grudnia. Przebywali w nim głównie jeńcy rosyjscy i rumuńscy, ale także francuscy, angielscy i włoscy. Pierwszy transport Rosjan przybył koleją już na początku grudnia 1914 roku. Obóz znajdował się w większości na terenie Rudzkiego Mostu, obecnie będącego osiedlem należącym do Tucholi, wówczas znajdującym się w odległości ok. 3 km od miasta. Istniał od 1914 do 1923 roku, z czego w latach 1918-1920 nastąpiła przerwa w jego funkcjonowaniu oraz zmiana w administracji obozowej. Potem był używany przez Polaków jako obóz dla Ukraińców i Rosjan wojny polsko-radzieckiej. Został zlikwidowany w 1922 r., rok później jego pozostałości rozebrano.

Jeńcy przybyli praktycznie na pustą przestrzeń, sami więc musieli rozpocząć budowę obozu. Budowano ziemianki dla żołnierzy (w późniejszym czasie pojawiły się baraki z falistej blachy), baraki dla oficerów oraz budynki gospodarcze. Od podstaw tworzono infrastrukturę. *„Każda ziemianka miała ok. 80 m długości, dwupiętrowe prycze po jednej i drugiej stronie oraz metrowe przejście. Mieściło się w niej od 180 do ponad 200 jeńców. Można sobie wyobrazić, jaki tam panował zaduch, szczególnie jesienią, kiedy była wilgoć. Obóz w Tucholi ze względu na dostęp do wody powstał w pobliżu Brdy, co dodatkowo powodowało, że w ziemiankach stała niejednokrotnie woda"*. (Z. Karpus, „Jeńcy i internowani rosyjscy i ukraińscy na terenie Polski w latach 1918-1924", Wyd. Adam Marszałek, 1997). W styczniu 1915 r. istniały już dwa podobozy, otoczone wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego, które mogły pomieścić 50 tys. jeńców. Do czasu zbudowania budynków dla administracji obozowej, większość urzędników, wojskowych oraz wartowników, zakwaterowana była w prywatnych mieszkaniach na terenie Tucholi. Na ten cel (oraz inne związane z funkcjonowaniem obozu) miasto musiało zaciągnąć pożyczkę wojenną w kwocie 166 tysięcy marek. Na początku 1917 r. obóz zatrudniał m.in. 59 piekarzy, 11 kucharzy, 7 szewców, 3 krawców oraz 5 pisarzy. Wielu jeńców, w zależności od stanu zdrowia, kierowano głównie do prac polowych. Otrzymywali oni za wykonywaną pracę drobne wynagrodzenie.

Od 1916 roku do obozu w Tucholi zaczęto przywozić jeńców rumuńskich, a w marcu 1918 roku trafiło tam także blisko 5 tys. Polaków, którzy po dość krótkim pobycie w obozie, wrócili do Królestwa. Wśród jeńców rumuńskich panowała duża śmiertelność, przez ok. rok przebywania w obozie w Tucholi (1916-1917, kiedy zostali przewiezieni do obozu w Czersku) zmarło prawie 2500 Rumunów.

Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę w 1918 r., władzom nie udało się przejąć wszystkich terenów na Zachodzie. Po klęsce Niemiec jeńcy rosyjscy wracali do domów, a obozy pustoszały. Tę sytuację niejednokrotnie wykorzystywali okoliczni mieszkańcy. Jak pisze prof. Karpus: *„Zaczął się szaber. Tucholę Polacy przejęli dopiero w lutym 1920 r. Obóz był strasznie zniszczony i splądrowany – nie było drzwi, okien, a ziemianki były zalane. Raporty mówią, że po sprawdzeniu, w jakim stanie były obozy w Tucholi i Czersku, szybko zrezygnowano z tego ostatniego, bo tam było jeszcze gorzej. W Tucholi wojsko zaczęło naprawiać baraki, remontować ziemianki. Ale było ich ponad 250 i do likwidacji obozu w styczniu 1923 r. wszystkich nie udało się odnowić"*.

Po Bitwie Warszawskiej (1920 r.) do niewoli polskiej trafiła wyjątkowo duża grupa 60 tys. jeńców rosyjskich. Trwające nadal walki na wschodzie powodowały dalszy wzrost ich liczby. Ocenia się, że jesienią 1920 r. w Polsce znajdowało się 80-85 tys. jeńców rosyjskich, ulokowanych w wielu obozach, w tym w Tucholi i Czersku.

Po 2 latach przerwy tucholski obóz znowu stał się potrzebny… Na jego terenie zastano wówczas 13 baraków z blachy – w każdym mogło się zmieścić po 130 osób, 114 ziemianek na 80 osób każda – z czego 90 wymagało remontu – łaźnię z aparatami dezynfekującymi, pralnię, 5 studni oraz oddzielone od obozu budynki dowództwa (8 drewnianych baraków, 2 blaszane, barak kuchenny, magazyn, kancelarię, stajnię oraz pomieszczenia sanitarne). Na terenie obozu znajdowały się także warsztaty: stolarski, kołodziejski, malarski, ślusarski i kuźnia. Obóz w Tucholi zajmował ok. 73 ha, z czego większość należała do właścicieli prywatnych, a ok. 30 ha do administracji leśnej. Prócz tego ok. 5,5 ha przeznaczono na baraki oficerskie, a w Tucholi, niedaleko gazowni miejskiej, na ponad 3 ha placu urządzono obozową kuchnię.

W grudniu 1920 r. obóz w Tucholi wizytowała komisja Ministerstwa Spraw Wojskowych. Ich raporty były wstrząsające: *„W jednej ziemiance około 260 jeńców leżało na ziemi, bez pieców, drzwi i okien z odmrożonymi nogami, bez bielizny i obuwia, którzy czekali na dezynfekcję, aby ich można było umieścić w szpitalu lub obozie, ponieważ są kompletnie zawszeni"* – pisze prof. Karpus. Jego zdaniem błąd władz wojskowych po-

legał na tym, *„że zimą zaczęto przewozić jeńców z Wadowic i innych lepszych obozów, by zwolnić tam miejsce dla naszych internowanych sojuszników z Ukraińskiej Republiki Ludowej i białych Rosjan, którzy po rozbiciu armii Denikina w marcu 1920 r. przeszli przez granicę do Polski. W krótkim czasie więc w Tucholi z 4 tys. jeńców zrobiło się 7 tysięcy. Obóz w Tucholi nie był przygotowany na przyjęcie nowych więźniów. Nie było miejsc w szpitalu na kwarantannę, więc zdrowi z chorymi zostali wymieszani w wolnych, często niewyremontowanych ziemiankach, bo z obawy przed epidemią, nie chciano ich wpuścić do obozu. Brakowało wszystkiego: żywności, leków, odzieży, pieców i opału, nawet okien".*

Kogo winić za tę sytuację?

„Myślę, że częściowo jest temu winne dowództwo obozu, ale skąd miało wziąć te materiały? W mieście nie było, Tuchola liczyła zaledwie 3,5 tys. mieszkańców. Żywność mogło dostarczyć wojsko, tyle że Dowództwo Okręgu Generalnego w Grudziądzu, mimo że wiedziało o sytuacji w obozie, ociągało się. Tłumaczyli, że mają na głowie jednostki wojskowe, które zostały zwolnione z frontu i dostały lokalizacje na terenie DOG. Dopiero gdy zaawansowane były rokowania z Sowietami i wiadomo było, że coraz więcej pisze się o fatalnych warunkach w obozach, władze wojskowe zaczęły myśleć, że to może być bardzo źle przyjęte. Wobec tego od początku 1921 r. polepszono wyżywienie, zaczęto remontować baraki, wstawiono piece, dowództwo przysłało szpital polowy ze zdemobilizowanych jednostek. Podobnie było gdzie indziej".

Obóz w Czersku powstał kilka tygodni później niż tucholski i był w znacznie gorszym stanie. Znajdowały się tam jedynie ziemianki. Jeńcy przywiezieni do Czerska zimą, w większości musieli spać pod gołym niebem. We wspomnieniach jednego z żołnierzy rosyjskich (Polaka w armii carskiej – Stanisława Stabno) obóz w Czersku przedstawiał się dramatycznie: *„Nazajutrz po wyładowaniu z bydlęcych wagonów zostaliśmy zaraz zapędzeni do karczowania sporej połaci lasu. Wycieńczeni już głodem, którym morzono nas od pierwszego dnia niewoli, musieliśmy podjąć pracę ponad siły. Jeśli chcecie mieć w zimie dach nad głową – wykrzykiwali wachmani – musicie ostro brać się do roboty. Po wykarczowaniu tego odcinka lasu tutaj, zbudujecie dla siebie ziemianki. Spaliśmy pod gołym niebem okryci własnymi szynelami. Ludzie padali jak muchy. Trupy grzebaliśmy w ziemi, w miejscu, w którym miał powstać cmentarz".* Po podpisaniu pokoju w Brześciu (3 III 1918 r.) rozpoczęły się powroty jeńców rosyjskich, miały one jednak powolne tempo, ze względu na chęć zatrzymania Rosjan przez niemieckich gospodarzy jako pracowników rolnych. Masowe powroty żołnierzy rozpoczęły się praktycznie dopiero po zakończeniu wojny, w obozowych szpitalach pozostali jedynie chorzy.

Brama cmentarza obozowego w Czersku. U góry pocztówka z lat istnienia obozu, na dole fotografia przedstawiająca stan współczesny. Fot. Alicja Młyńska.

Choroby i śmiertelność wśród jeńców

Dramatyczne warunki bytowe doprowadziły do dużej śmiertelności wśród Rosjan. Według informacji podawanych przez prof. Zbigniewa Karpusa pierwszy zgon w Tucholi odnotowano 26 grudnia 1914 r., a do końca roku zmarło kolejnych 17 jeńców. *„Dziesiątkowani byli przez choroby zakaźne: cholerę, tyfus, czerwonkę. Wszystko przez trudne warunki sanitarne, brak żywności, ubrań, podstawowych sprzętów. Do transportu brano chorych i zdrowych bez względu na stan zdrowia. Z frontu do obozu jechali niekiedy po kilka dni w pociągach towarowych. W wagonach powinny być piecyki, ale w większości ich nie było. Obozowe szpitale i lazarety były źle wyposażone, brakowało leków i personelu. W barakach i ziemiankach też często nie było pieców i opału, a zima 1920-21 r. była wyjątkowo surowa".*

W Tucholi znajdowało się 6 baraków szpitalnych, mogących pomieścić 360 chorych, jednak ilość ta była niewystarczająca. Zdrowych Rosjan kierowano do prac w rolnictwie, w znacznie cięższych warunkach musieli przebywać słabsi czy chorzy jeńcy, którzy pozostawali w obozie. W podobnych warunkach przebywali jeńcy w obozie w Czersku. W obozie w Tucholi w latach 1914-1919 zmarło: 1289 jeńców rosyjskich, 2471 rumuńskich oraz 1 angielski. W sumie – 3761 żołnierzy. Zostali oni pochowani na obozowym cmentarzu.

W Czersku bardzo źle traktowano jeńców, bez względu na narodowość: *„wyżywienie jeńców było bardzo złe, że ci masowo z wycieńczenia marli. Z powodu niedostatków wyżywanie umierało dziennie 20-30 jeńców. Były wypadki, że jeńcy czując bliską śmierć głodową, chodzili do kuchni lub do podoficerów prosząc*

	Rosjanie	Rumuni	Francuzi	Włosi	Anglicy	Suma
Czersk	3252	5005	49	135	64	8505
Tuchola	1289	2471	-	-	1	3761
Suma	4841	7476	49	135	65	12266

Liczba jeńców zmarłych w obozach w Czersku i Tucholi (1914-1919), pochowanych na obozowych cmentarzach. Źródło: Z. Karpus, W. Rezmer, „Tuchola. Obóz jeńców i internowanych 1914-1923", cz. I, Toruń 1997.

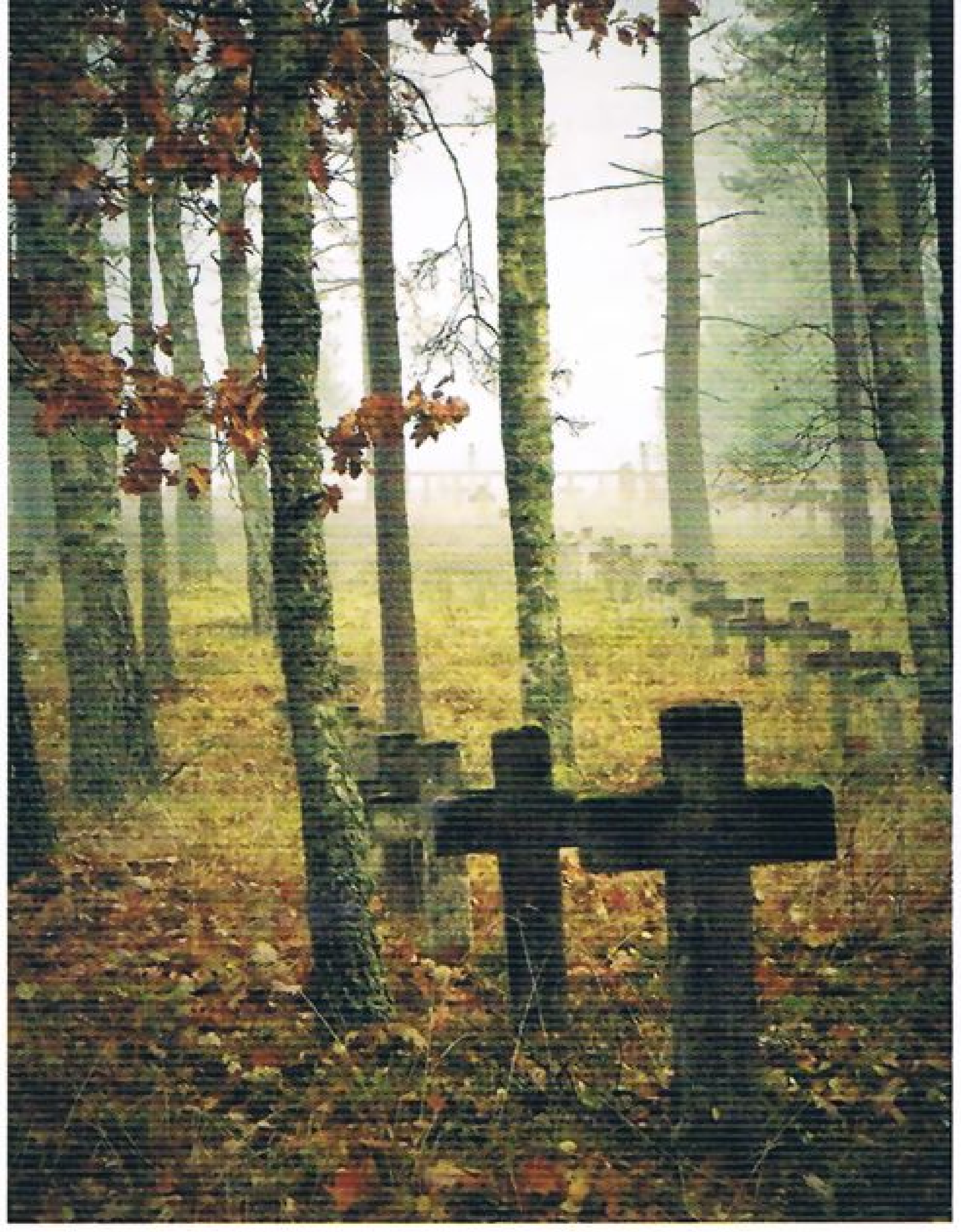

Widok na cmentarz jeniecki w Czersku/2014. Fot. Alicja Młyńska.

o jedzenie, za co ich bito i wyrzucano". W Czersku znajdowali się także jeńcy francuscy, włoscy i angielscy (wg informacji zamieszczonej na bramie cmentarza w obozie przebywać mieli także Belgowie), jak podaje Z. Karpus nie jest jasne, dlaczego zostali umieszczeni w tym akurat obozie, sugeruje on, że być może zostali tu osadzeni w ramach kary za ucieczki z innych ośrodków. Wśród zmarłych jeńców rosyjskich odnotowano 60 żołnierzy wyznania mojżeszowego, których, za zgodą dowództwa obozu, pochowano na cmentarzu żydowskim w Czersku.

Obozowe nekropolie

Wiktor Knercer przedstawił niegdyś podział cmentarzy z czasów I wojny światowej na trzy podstawowe kategorie: cmentarze polowe, pobitewne (Gefechtsfriedhof) – tworzone tuż po walkach, często były to małe, leśne, lub polne mogiły zbiorowe; cmentarze zakładane przy lazaretach (Lazarettfriedhof); oraz cmentarze jenieckie (Gefangenenfriedhof). Nekropolie, które istniały przy obozach jenieckich stale chowały zmarłych. Warto dodać, że obóz w Czersku, w literaturze lub wspomnieniach, często określany jest mianem obozu w Łukowie, natomiast obóz w Tucholi pojawia się czasami jako Rudzki Most (nieraz także Rudzkimost).

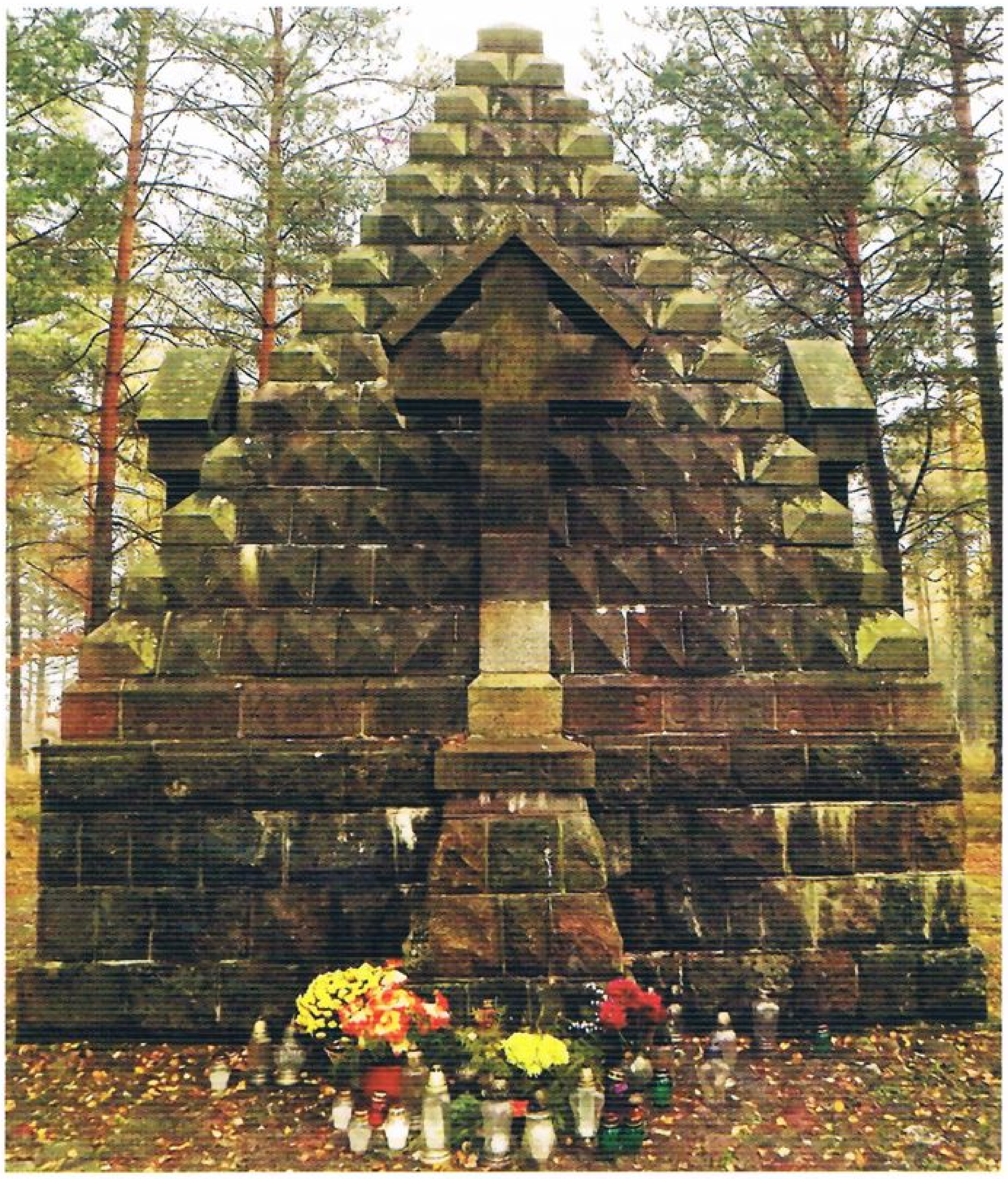

Kamienna piramida znajdująca się w centralnym miejscu cmentarza w Czersku/2014. Fot. Alicja Młyńska.

Tuchola – cmentarz wojenny z I wojny światowej

Cmentarz znajduje się niedaleko ul. Świeckiej. Wyjeżdżając z Tucholi należy skręcić w prawo, w pierwszą drogę tuż za przejazdem kolejowym. Kierunek wskaże nam tablica informacyjna o miejscu pamięci. Po wjeździe do lasu należy kierować się w prawo, nieopodal małego zakładu przemysłowego położone są oba jenieckie cmentarze (z lat 1914-1918 oraz 1910-1921). Pomnik upamiętniający jeńców znajduje się zaledwie kilka metrów od płotu zakładu produkcyjnego. Otaczają go współczesne kamienne nagrobki, tzw. „poduszki". Tuż za pomnikiem rozciągają się miejsca pochówków. Zmarli chowani byli w masowych mogiłach zwieńczonych podłużnymi kopcami ziemnymi, których kształty są dziś wyraźnie widoczne. Pierwotnie mogiły znaczone były drewnianymi krzyżami, obecnie nie ma po nich śladu.

W krajowym rejestrze zabytków „cmentarz wojenny z I wojny światowej" w Tucholi został wpisany pod nr A/445/1/95, cmentarz obozowy w Czersku niestety nie został wciągnięty do ewidencji zabytków. W opisie tucholskiej nekropolii znajdują się dane, iż na terenie o pow. 1,01 ha rozmieszczono 383 mogiły zbiorowe i 15 grobów pojedynczych, w których pochowano 3844 żołnierzy zmarłych w obozie (liczby różnią się od siebie w zależności od źródła danych). W 1917 r. na tucholskim cmentarzu postawiono obelisk upamiętniający zmarłych żołnierzy. Jak podaje W. Kozłowski, była to inicjatywa samych jeńców. Na pomniku zawarto inskrypcje w językach: rosyjskim, rumuńskim, niemieckim i polskim. W 1923 r., gdy zlikwidowano już obóz, rozpoczęto na cmentarzu pierwsze prace renowacyjne. Naprawiono wówczas zniszczone nagrobki i podsypano piaskiem zapadnięte mogiły, odmalowano nieczytelne tabliczki, a w miejsce starych, przegniłych krzyży postawiono nowe. Ponadto obsadzono cmentarze sadzonkami brzóz. Nad bezpieczeństwem nekropolii, oraz ich stanem, czuwał dozorca, zatrudniony przez Urząd Opieki nad Grobami Wojennymi.

Pomnik na cmentarzu jenieckim w Tucholi/2014. Fot. Alicja Młyńska.

Sytuacja obu jenieckich cmentarzy diametralnie zmieniła się po II wojnie światowej, gdy, podobnie jak w wielu miejscach w całym kraju, mogiły pierwszowojenne popadły w za-

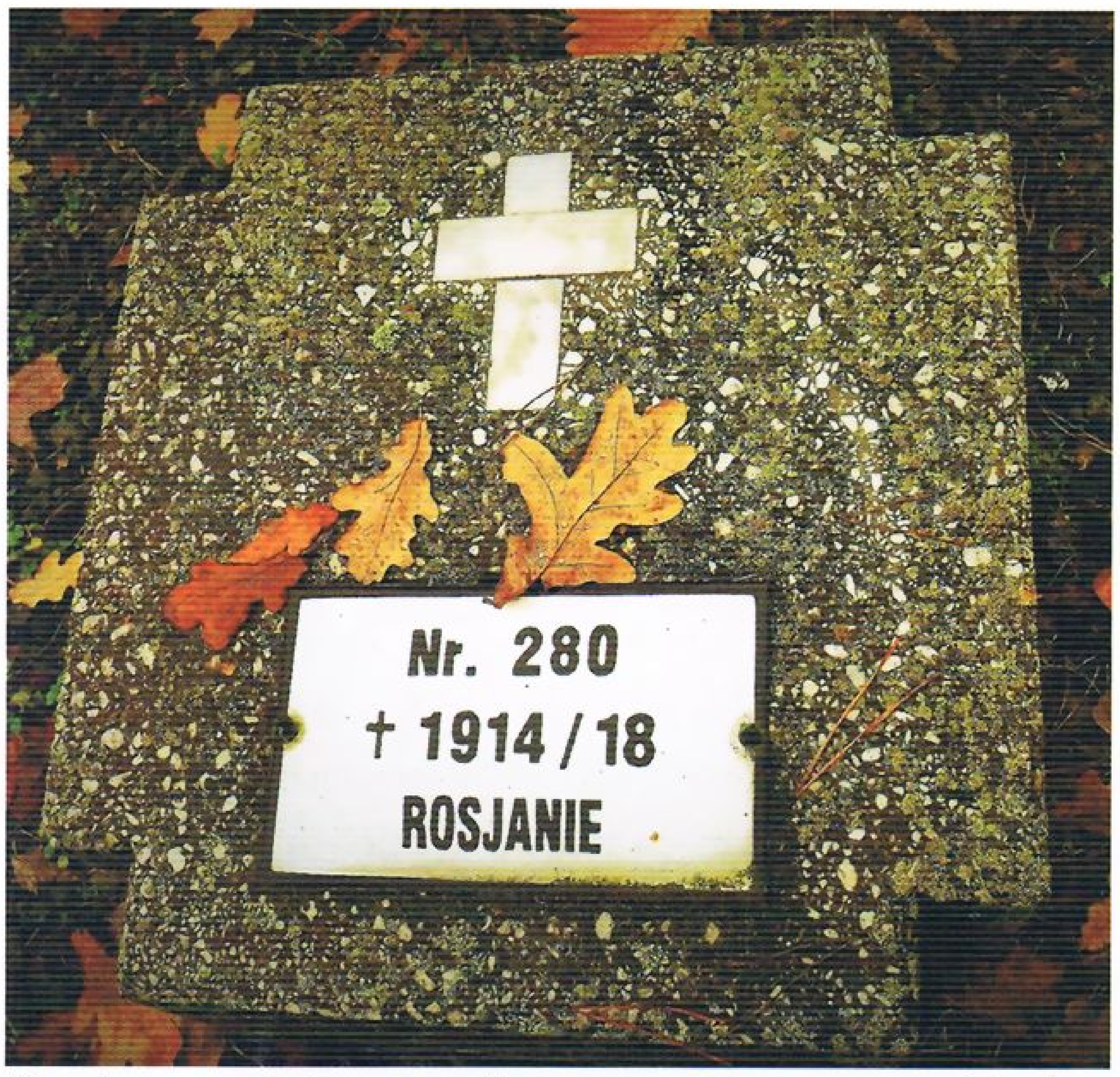

Kamienne płyty nagrobne na cmentarzu w Tucholi/2014. Fot. Alicja Młyńska.

pomnienie, a niejednokrotnie miały miejsce akty wandalizmu. W 1967 r. władze powiatu przeprowadziły inwentaryzację na cmentarzach, tworząc dokumentację przedstawiającą układ mogił. Dopiero w połowie lat 70. XX w. przeprowadzono pierwsze prace porządkowe (co ciekawe, nie zrobiono tego w czasie inwentaryzacji) dzięki staraniom uczniów Technikum Leśnego z Tucholi. Ponad 2 dekady później, w 1990 r. umieszczono na cmentarzu pierwsze tablice informacyjne, które w 2000 r. zastąpiono nowszymi, z uzupełnieniem danych. Wymieniono także 4 tablice z inskrypcjami, zwieńczono pomnik krzyżem maltańskim oraz wykonano 84 lastrykowe nagrobki okalające pomnik.

Czersk – cmentarz obozowy

Cmentarz jeniecki w Czersku znajduje się na obrzeżach lasu, tuż za granicami miasta. Aby do niego trafić, należy jechać ul. Łukowską w kierunku lasu (ostatni km ulicy to ubity dukt). Cmentarz znajduje się po lewej stronie drogi, otoczony jest drewnianym, współczesnym płotem ze stylizowaną bramą zwieńczoną 3. prawosławnymi krzyżami. Znajduje się tam tablica z informacją: *„Cmentarz wojenny z lat 1914-1917. Na tym cmentarzu o obszarze 1,5 ha pochowanych jest 4.500 rosyjskich jeńców wojennych. Większość to jeńcy ze zgrupowania w obozie mieszczącym się w ziemiankach na przyległym terenie. CZEŚĆ ICH PAMIĘCI!"*.

W centralnym miejscu cmentarza znajduje się monumentalny pomnik w formie piramidy, zaprojektowany przez arch. Grzegorza Trzcińskiego. Pomnik powstały w latach międzywojennych ma niespotykany kształt (forma piramidy nie jest oczywiście nowością w architekturze wojennych cmentarzy, ale wrażenie robi zwieńczenie boków pomnika kamiennymi krzyżami). Na pomniku wykuto napis: *„Rosyjskim jeńcom od towarzyszy. Ojcze Nasz, niech będzie wola Twoja"*. W 1939 r. ks. Franciszek Smagliński z Czerska napisał pełen melancholii artykuł, opublikowany w „Przewodniku Katolickim". Pisał w nim: *„Jak często i gęsto ponura śmierć niewolników kosiła, świadczy obszerny teren cmentarza, posiadający około 30 tysięcy metrów kwadratowych powierzchni. Pod każdym prawie krzyżem cmentarnym spoczywa wspólnie trzech i więcej towarzyszy niedoli i niewoli. W sypkim piasku legli tu młodzieńczy 17-letni i ojcowie rodzin, często już po pięćdziesiątce".* Istnieje także „legenda", związana z czerskim cmentarzem, którą przytaczał ks. Smagliński. *„Przy blasku księżyca w jak najszybszym pędzie przejeżdżała obok cmentarza furmanka. Nagle konie stanęły jak wryte, zatrzęsły się jak osiki, a piana pokryła ich sierści. Zląkł się woźnica. Daremnie nawoływał i konie katował. Zjeżyły mu się włosy. Czy ujrzał już upiory? Zeskoczył z wozu. Stanął przed końmi, które niecierpliwie wciąż patrzyły w siną dal cmentarza. Zwyczajem borowiackim przeżegnał je krzyżem świętym. A gdy i to nie pomogło, przytulił ich łby do swoich skroni i sam do siebie szeptał: »Tu trzeba stąpać ostrożnie, bo ta ziemia usłana jest ciałami ludów słowiańskich i przesiąknięta łzami«".*

Zmarłych chowano po 6 w jednym grobie, mogiły zwieńczone były kopcami, których ślady są do dziś widoczne. Na każdej mogile stawiano kamienny krzyż, na którym mocowano blaszane tabliczki z nazwiskami pochowanych oraz kolejnymi numerami. Niestety, zachowało się niewiele z nich, niektóre są już nieczytelne. Cmentarz jest bardzo zadbany, groby pokrywa gruba warstwa miękkiego mchu, na niektórych rosną wrzosy. Warto się tu wybrać – miejsce wywołuje niesamowite wrażenie, epatuje spokojem i ciszą.

Oba cmentarze przetrwały zawieruchę II wojny światowej, stanowiąc dziś jedyny ślad pamięci po jenieckich obozach sprzed wieku. Warto dbać o nie, aby przetrwały kolejne lata, aby zachować pamięć o tych ludziach. *„Prawosławni, katolicy, grekokatolicy, buddyści i muzułmanie razem spoczęli w tej ziemi"*. Wobec śmierci wszyscy są równi.

Wybrana literatura:
1. Z. Karpus, W. Rezmer, „Tuchola: obóz jeńców i internowanych 1914-1923", cz. 1, Toruń 1997
2. Z. Karpus, W. Rezmer, „Tuchola: obóz jeńców i internowanych 1914-1923", cz. 2: „Choroby zakaźne i walka z nimi (1920-1922)", Toruń 1998
3. Z. Karpus „Tuchola: obóz jeńców i internowanych 1914-1923", cz. 3: „Warunki życia jeńców i internowanych", Toruń 2007
4. Z. Wędzicki, „Tuchola i okolice na starych pocztówkach", cz. 2, Tuchola 2010
5. W. Jastrzębski, J. Szwankowski, „Tuchola. Od pradziejów do współczesności", Bydgoszcz, Tuchola 2010
6. Z. Karpus, „Obóz jeńców w Tucholi" [w:] „Studia i Materiały do Historii Wojskowości", t. XXXVI, 1994, s. 137-148.
7. Z. Karpus, „Obozy jeńców wojennych z państw Ententy na ziemiach polskich pod panowaniem pruskim", [w:] „Społeczeństwo polskie na ziemiach pod panowaniem pruskim w okresie I wojny światowej", s. 149-163
8. O. Romanowska-Grabowska „Zabytkowe cmentarze i mogiły w Polsce: województwo bydgoskie", Warszawa 1996
9. F. Smagliński, „Utuliła ich pomorska ziemia", [w:] „Przewodnik Katolicki", nr 30/1939, s. 485.
10. W. Knercer, „Cmentarze wojenne z okresu I wojny światowej w województwie olsztyńskim", Warszawa 1995

Alicja Młyńska

Historyk, absolwentka studiów kulturoznawczych I stopnia na Uniwersytecie Gdańskim. W kręgu zainteresowań Autorki znajdują się zagadnienia związane z cmentarnictwem wojennym i historią Pomorza, w tym szczególnie gdańskiego Chełmu.

Kulisy rewindykacji na Dolnym Śląsku (cz. 12)

Na tropie sudeckich skrytek w Siedlęcinie i Rząsinach

SZYMON WRZESIŃSKI, PIOTR KUCZNIR

Co mają ze sobą wspólnego: klasycystyczny pałacyk pod Gryfowem Śląskim i średniowieczny dwór pod Jelenia Górą? Okazuje się, że w obu rezydencjach, choć oddalonych od siebie o 35 km i pozornie nie mających ze sobą nic wspólnego, pod koniec wojny przygotowano bardzo ważne składnice. Ktoś powie: „Takich niemieckich skrytek było znacznie więcej na Dolnym Śląsku". Sęk w tym, że tylko o Rząsinach i Siedlęcinie wspominano w niemieckich dokumentach wysyłanych na przełomie 1945 i 1946 roku do Dowództwa Amerykańskich Sił Zbrojnych! Dlaczego? To już nieco dłuższa historia…

Woluminy, obrazy i zielniki

Gotycka wieża mieszkalna w Siedlęcinie nad Bobrem, jest jedną z największych tego typu budowli w tej części Europy. Ta najlepiej zachowana spośród średniowiecznych wież śląskich przez ostatnich kilkadziesiąt lat była rozpoznawalna przede wszystkim z dwóch powodów: posiadała monumentalne rozmiary i serię malowideł ściennych, zdobiących jej kilkusetletnie wnętrza. Niektórzy czytelnicy może kojarzą z kilku regionalnych publikacji lakoniczne wzmianki o funkcjonującej w niej składnicy. Źródłem tych informacji była książka Józefa Gębczaka, historyka sztuki i archiwisty pt. „Losy ruchomego mienia kulturalnego i artystycznego na Dolnym Śląsku w czasie drugiej wojny światowej". W rzeczywistości nie wnosiły one nic nowego w temacie ukrywania depozytów. Tym, którzy jednak nie dotarli do owych publikacji, przypomnijmy słowa jednego z uczestników kilku polskich akcji rewindykacyjnych: *„Siedlęcin [Boberröhrsdorf] Składnica* [ulokowana] *w średniowiecznej wieży mieszkalnej, pozostawała w dyspozycji konserwatorów: berlińskiego i wrocławskiego. Korzystał z tej składnicy również właściciel, który zdeponował w niej rękopisy i cenne druki Biblioteki Schaffgotschów. Uniwersytet Wrocławski pomieścił tam ogromne zielniki Instytutu Botanicznego. Natomiast niemiecki historyk sztuki i konserwator* [Günther] *Grundmann – obrazy. Składnica w lecie 1945 została przez uniwersytet w całości wyeksploatowana".*

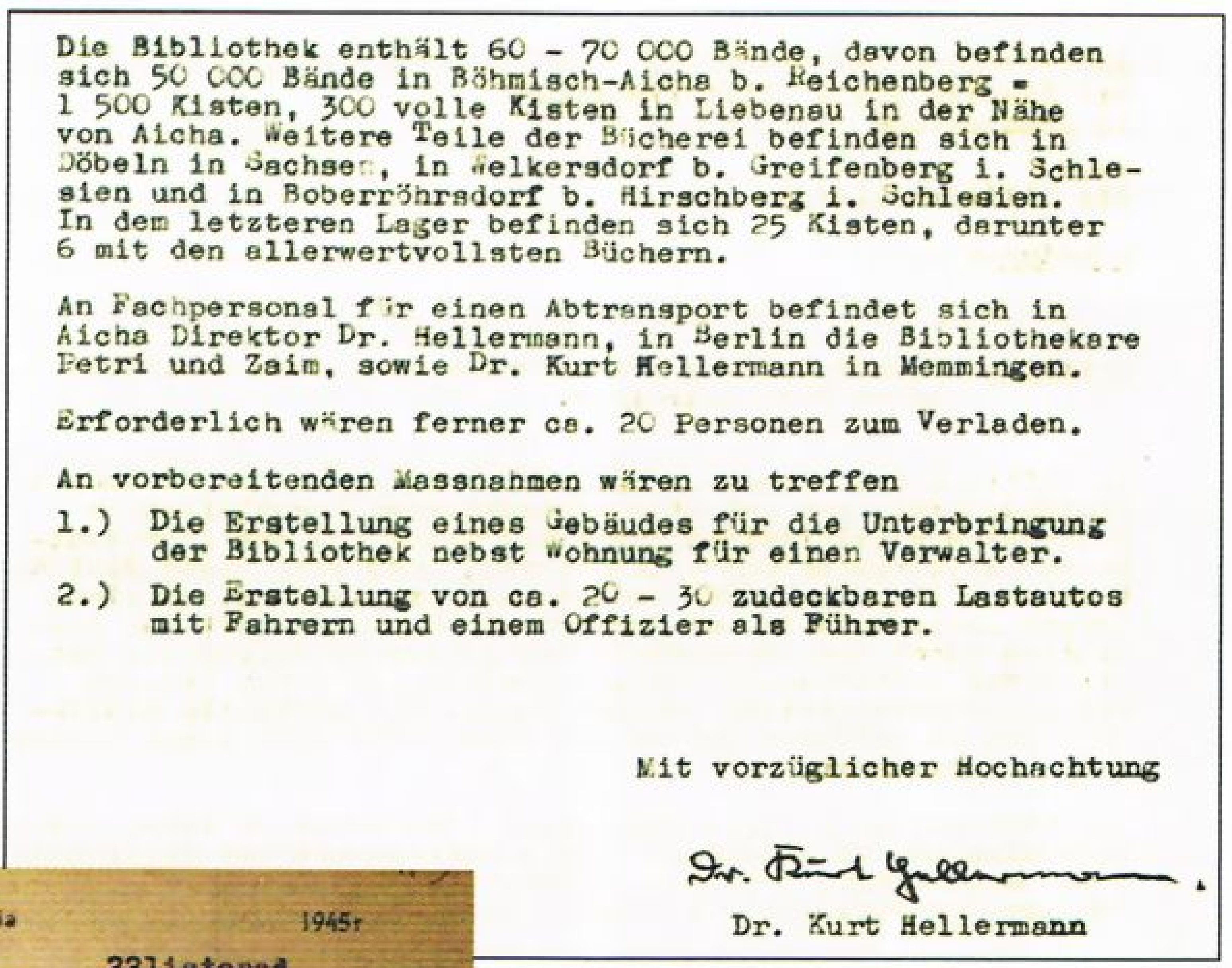
Die Bibliothek enthält 60 - 70 000 Bände, davon befinden sich 50 000 Bände in Böhmisch-Aicha b. Reichenberg = 1 500 Kisten, 300 volle Kisten in Liebenau in der Nähe von Aicha. Weitere Teile der Bücherei befinden sich in Döbeln in Sachsen, in Welkersdorf b. Greifenberg i. Schlesien und in Boberröhrsdorf b. Hirschberg i. Schlesien. In dem letzteren Lager befinden sich 25 Kisten, darunter 6 mit den allerwertvollsten Büchern.

An Fachpersonal für einen Abtransport befindet sich in Aicha Direktor Dr. Hellermann, in Berlin die Bibliothekare Petri und Zaim, sowie Dr. Kurt Hellermann in Memmingen.

Erforderlich wären ferner ca. 20 Personen zum Verladen.

An vorbereitenden Massnahmen wären zu treffen

1.) Die Erstellung eines Gebäudes für die Unterbringung der Bibliothek nebst Wohnung für einen Verwalter.

2.) Die Erstellung von ca. 20 - 30 zudeckbaren Lastautos mit Fahrern und einem Offizier als Führer.

Mit vorzüglicher Hochachtung

Dr. Kurt Hellermann

Fragment pisma z 7 listopada 1945 r. dotyczącego ukrycia m.in. w Rząsinach i Siedlęcinie cennych woluminów medycznych. Źródło: NARA

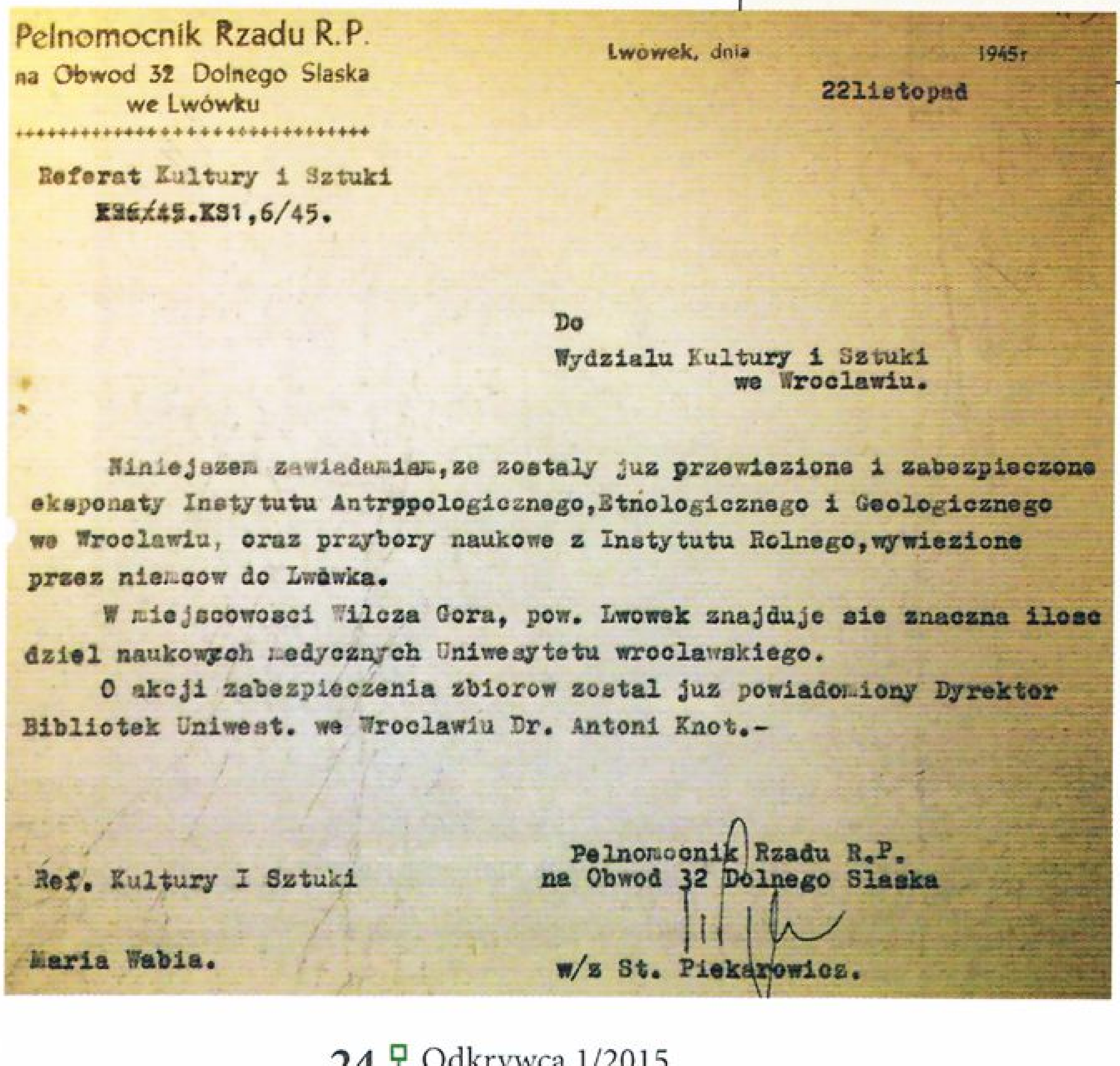
Pelnomocnik Rzadu R.P.
na Obwod 32 Dolnego Slaska
we Lwówku

Lwowek, dnia 22listopad 1945r

Referat Kultury i Sztuki
K26/45.KS1,6/45.

Do
Wydzialu Kultury i Sztuki
we Wroclawiu.

Niniejszem zawiadamiam,ze zostaly juz przewiezione i zabezpieczone eksponaty Instytutu Antropologicznego,Etnologicznego i Geologicznego we Wroclawiu, oraz przybory naukowe z Instytutu Rolnego,wywiezione przez niemcow do Lwâwka.

W miejscowosci Wilcza Gora, pow. Lwowek znajduje sie znaczna ilosc dziel naukowych medycznych Uniwesytetu wroclawskiego.

O akcji zabezpieczenia zbiorow zostal juz powiadomiony Dyrektor Bibliotek Uniwest. we Wroclawiu Dr. Antoni Knot.-

Ref. Kultury I Sztuki
Maria Wabia.

Pelnomocnik Rzadu R.P.
na Obwod 32 Dolnego Slaska
w/z St. Piekarowicz.

Dokument mówiący o znalezieniu m.in. w Rząsinach – wówczas Wilczej Górze, znacznej ilości dzieł naukowych i medycznych.

Lapidarny zapis J. Gębczaka można rozmaicie interpretować. Czy wspomniane obrazy nie stanowiły aby części polskich zbiorów? Nie można przecież wykluczyć, że poza zbiorami prywatnymi hrabiego Schaffgotscha z Cieplic, pozostałe eksponaty sprowadzono jedynie z Wrocławia. Szczegółów znaleziska nie znajdziemy również we wspomnieniach z 1948 roku autorstwa Stefana Styczyńskiego (por. „Pamiętnik Związku Historyków Sztuki i Kultury"). Na szczęście ten naoczny świadek i zarazem delegat Ministerstwa Kultury i Sztuki do zabezpieczania zabytków ruchowych na Ziemiach Odzyskanych, pozostawił nam kilka istotnych śladów:

„Wracając myślą do pracy, którą przed trzema laty podjąłem na Śląsku i do ludzi, z którymi los mnie zetknął, nie mogę nie wspomnieć przynajmniej o kilku z nich. Zawdzięczam im bardzo wiele i dzielić oni powinni ze mną wszystkie sukcesy i osiągnięcia. (…) Z Panem Starostą Tabaką, pierwszym i wieloletnim włodarzem pięknego powiatu jeleniogórskiego, który tyle zawdzięcza jego gospodarnej zapobiegliwości, znamy się od pierwszych dni mego pobytu na Śląsku. Spotykając się często przy załatwianiu rozmaitych formalności wywozowych, doznałem od niego wiele dowodów życzliwości, pomocy i ułatwień podpartych przyjacielskich stosunkiem. (…) Fakt, iż na Śląsku zgrupowana została przez Niemców wielka liczba dzieł sztuki pochodzących z Polski, fakt odnalezienia tu polskich zbiorów artystycznych »zabezpieczonych« przez Niemców w pierwszej kolejności (…), a także rozproszone po

Rząsiny (niem. Welkersdorf) – kościół katolicki oraz pałac z budynkami gospodarczymi, pierwsza połowa XX wieku.

całym Śląsku bogate zbiory wrocławskie i liczniejsze niż na innych terenach Ziem Odzyskanych – zbiory prywatne po pałacach i zamkach magnackich – zmuszają Ministerstwo Kultury i Sztuki do zwracania ciągle jeszcze bacznej uwagi na teren Śląska Dolnego. (…)

W końcu lipca 1945 roku na polecenie Naczelnego Dyrektora [Muzeów i Ochrony Zabytków przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, Stanisława Lorentza, będącego zarazem szefem Muzeum Narodowego w Warszawie], *przejąłem wraz z doktorem* [Józefem] *Dudkiewiczem kierownictwo nad pracami rewindykacyjnymi na Śląsku, którymi bez przerwy od połowy maja kierował Dyrektor Lorentz. (…) Moja rola ograniczała się w pierwszym okresie do wstępnych prac organizacyjnych (…), zapoznawania się z terenem i szybkich wywiadów. Dzięki pracom profesora Kazimierza Majewskiego i magistra Józefa Gębczaka, członków grupy uniwersyteckiej (…), odnaleziono części archiwum konserwatora wrocławskiego. Zawierało ono wykazy składnic muzealnych na terenie Śląska i spisy dzieł sztuki, które zostały w nich zabezpieczone. (…) Z archiwum Grundmannowskiego wynikało, że wszystkie cenniejsze zbiory wrocławskie – muzealne, biblioteczne i archiwalne – oraz cenniejsze dzieła sztuki z kościołów wrocławskich i budynków publicznych wysłane zostały poza miasto w ciągu 1942 i 1943 roku w obawie przed bombardowaniem. Przechowywane były w kilku składnicach, potworzonych w tym celu* [m.in.] *w zamkach (…) śląskich. Z mniejszych składnic wymienić należy (…) wieżę zamkową w Bobrowicach (Boberröhrsdorf, pow. Jelenia Góra) ze zbiorami Uniwersytetu Wrocławskiego, między innymi zielnikiem, rękopisami i cymeliami Biblioteki Schaffgotschów z Cieplic oraz obrazami".*

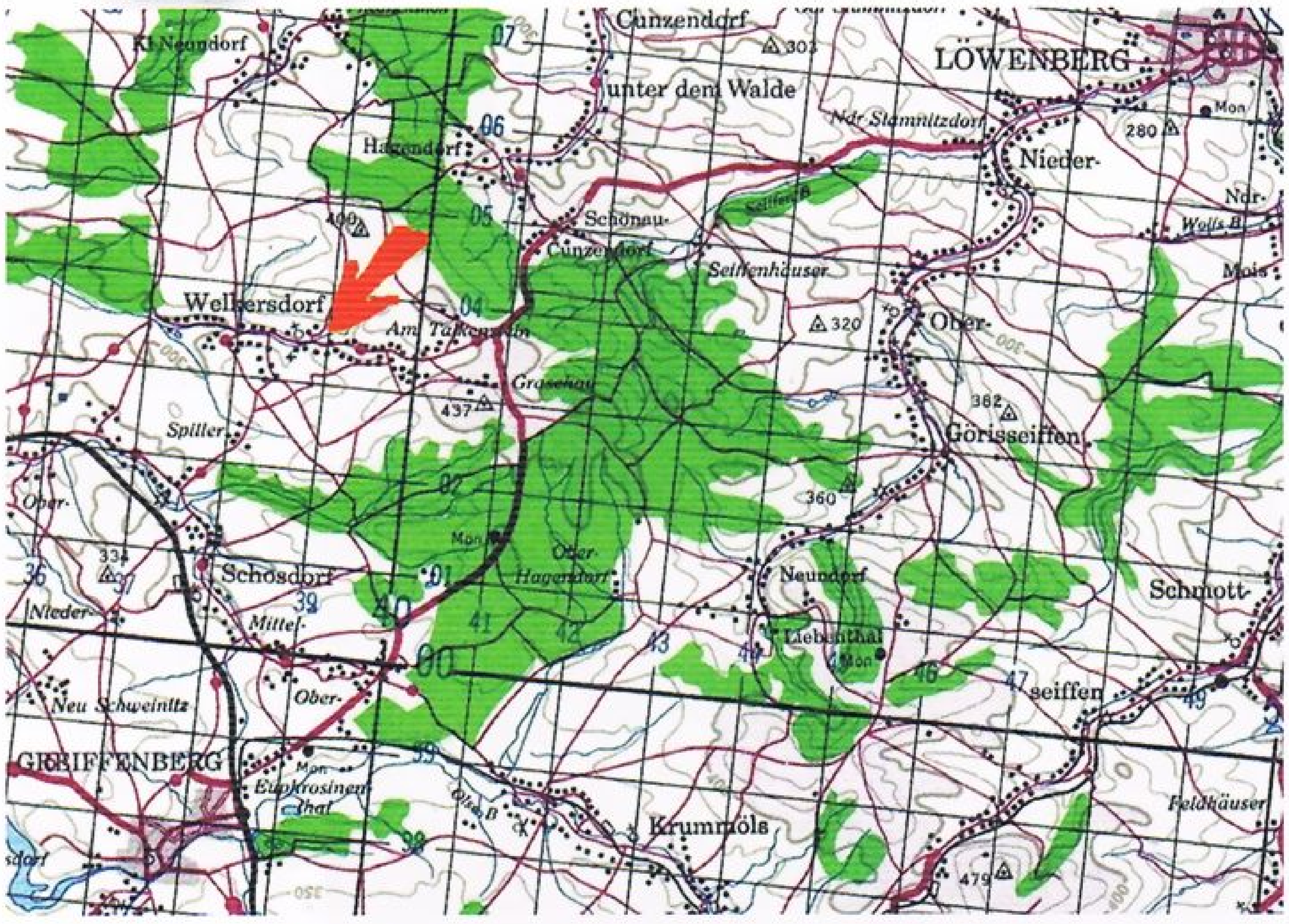

Mapa z 1944 r. ukazująca miejsca ukrycia depozytów w Rząsinach.

Dzięki opisowi Styczyńskiego można przyjąć, że warszawski delegat dotarł do Siedlęcina (niem. Boberröhrsdorf) latem 1945 roku. Z kolei Gębczak w ostatnim zdaniu poświęconemu opisowi owej składnicy dodał, że w tym samym okresie *„została ona przez uniwersytet w całości wyeksploatowana"*. Czy aby na pewno?

Poszukiwanie zaginionych skrzyń

Nigdy dotąd w polsko- i niemieckojęzycznej literaturze nie pisano o jeszcze jednym, jakże ciekawym, wątku związanym zarówno z Siedlęcinem, jak i Rząsinami. A szkoda, bo dokładniejsza kwerenda w zasobach amerykańskich archiwów pozwoliła nam dotrzeć do kilku dokumentów, które stawiają przed nami nowe pytania.

7 listopada 1945 roku dr Kurt Hellermann wysłał z Memmingen pismo do przedstawicieli władz Stanów Zjednoczonych, mających siedzibę we Frankfurcie nad Menem: *„W imieniu dyrektora niemieckiej Biblioteki Medycznej, doktora Waltera Hellermanna, z największej specjalistycznej Biblioteki Medycznej w Niemczech, a może i na świecie, informuję Dowództwo Amerykańskich Sił Zbrojnych w Niemczech, że ponad 50.000 tomów tej Biblioteki jest wciąż w jej miejscu ewakuacji, w Böhmisch Aicha* [dzisiaj Český Dub] *w Czechosłowacji (…), gdzie była chroniona przed rozproszeniem poprzez obecność doktora Hellermanna. Cenna Biblioteka jest w największym niebezpieczeństwie i nie jest możliwe utrzymanie jej dłużej w całości. Z tego powodu prosimy Dowództwo Amerykańskich Sił Zbrojnych o ochronę i podjęcie kroków w celu przetransportowania Biblioteki do Niemiec, jeżeli możliwe, do południowych Niemiec, ponieważ budynek Biblioteki w Berlinie został zniszczony. Już w Berlinie najwyższe kompetentne osoby z Niemiec zostały poproszone o podjęcie kroków w celu powrotnego transportu Biblioteki, także administracja okupacyjna, ale na próżno. (…) Pewne próby spowodowania zainteresowania administracji okupacyjnej tą sprawą spowodowały tylko zainteresowanie Rosjan zabraniem Biblioteki do Moskwy. Także władze Czechosłowa-*

Berlin-Tiergarten w 1938 r. Ówczesna Wojskowa Akademia Medyczna (Militärärztliche Akademie), obecnie Ministerstwo Gospodarki. Źródło: www.panoramio.com

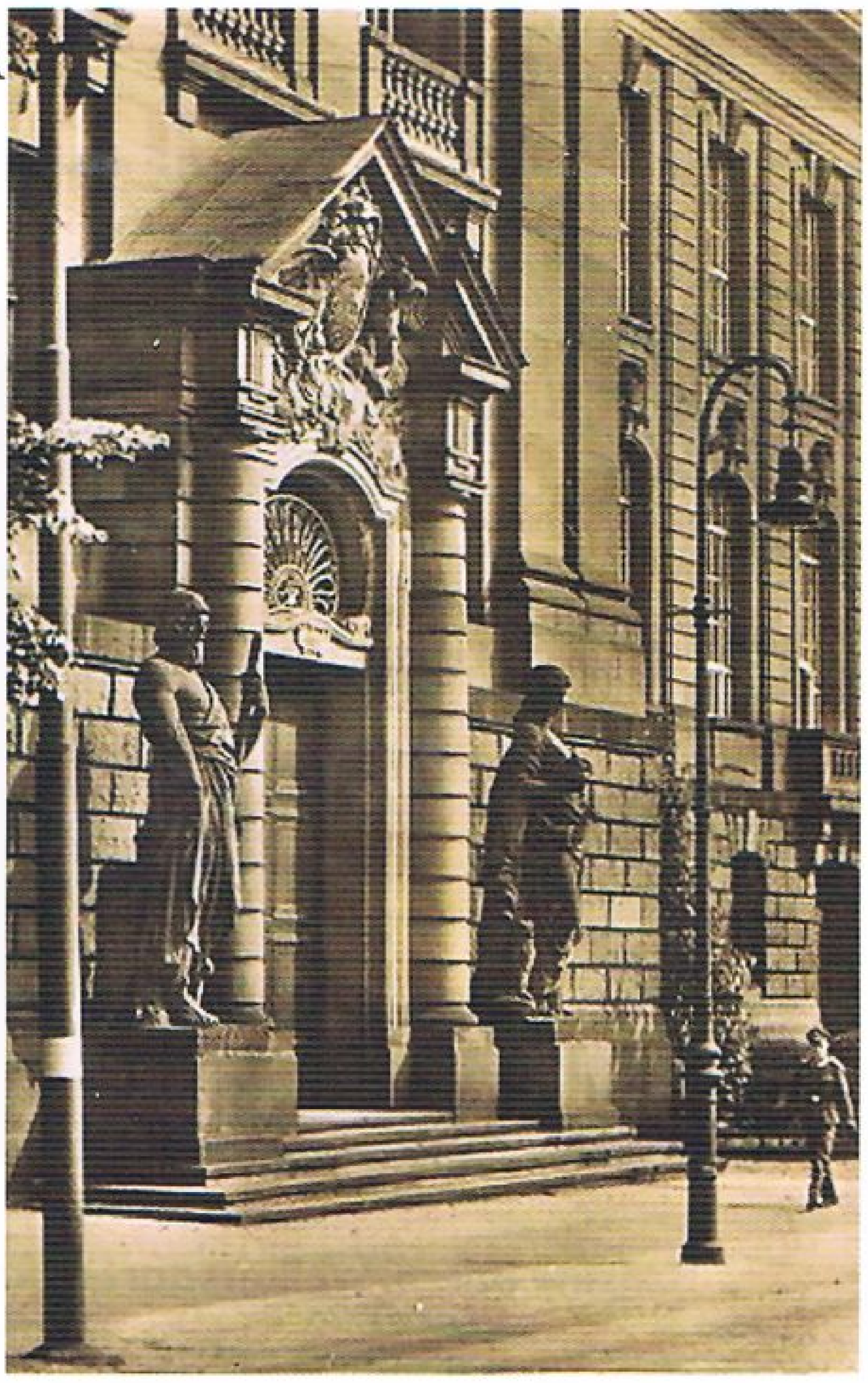

Wejście do Wojskowej Akademii Medycznej. Źródło: www.panoramio.com

Panorama Rząsin z połowy lat 30. XX wieku.

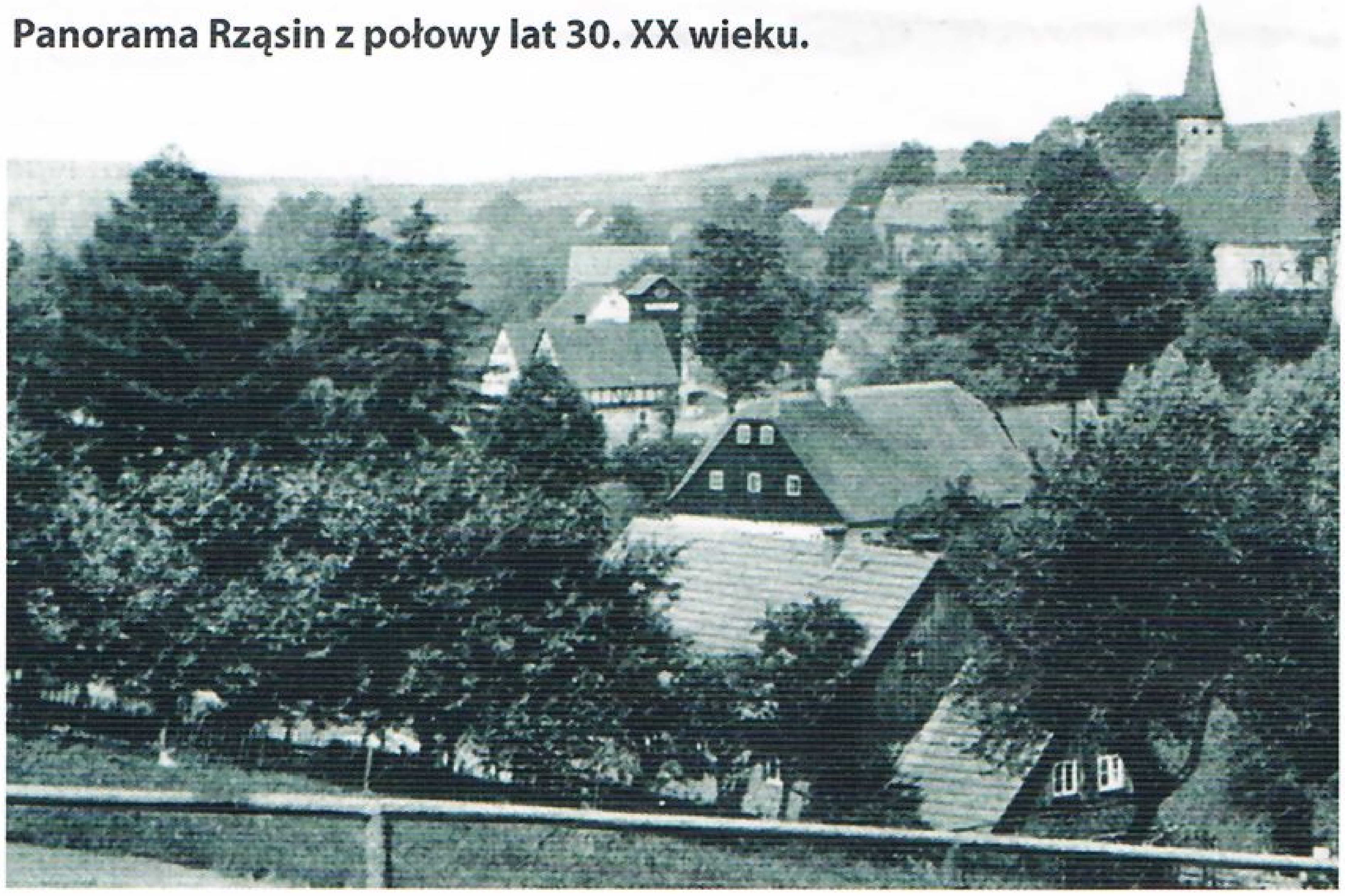

cji forsują przejęcie cennej Biblioteki i zabranie jej do Pragi. (...) Z tego powodu jest niezmiernie ważne przeniesienie Biblioteki z powrotem do Niemiec najszybciej jak możliwe. Biblioteka zawiera około 60-70.000 tomów. 50.000 z nich jest w Böhmisch Aicha, 1500 pudeł – niedaleko Reichenbergu, [natomiast] *300 pełnych pak jest w Liebenau niedaleko* [Böhmisch] *Aicha. Inne części biblioteki są w Döbeln w Saksonii, w Welkersdorf niedaleko Greiffenberg na Śląsku* [ob. Rząsiny pod Gryfowem Śl.] *i w Boberröhrsdorf koło Hirschberg na Śląsku* [ob. Jelenia Góra]. *W tej ostatniej składnicy jest około 25 pudeł, wśród nich 6 z najcenniejszymi książkami".*

Dlaczego powojenne ekipy rewindykacyjne pominęły informację o odnalezieniu dziesiątek skrzyń z cennymi woluminami, obejmującymi głównie zagadnienia z nauk medycznych? Możliwości jest kilka... Po pierwsze, polska grupa zabrała w pośpiechu do Wrocławia wszystko, co znaleziono, nie analizując specjalnie, które skrzynie należały do tej, czy innej instytucji. Druga możliwość podpowiada nam, że celowo przemilczano fakt znalezienia depozytu, co uczyniono po wojnie wielokrotnie, zwłaszcza w przypadku zbiorów z Biblioteki Berlińskiej (por. Sz. Wrzesiński, „Co ukryto, a co odnaleziono w zamku Książ?", „Odkrywca", nr 12/2014). Trzecia opcja przemawia za tym, że Polacy latem 1945 roku nie znaleźli owych 25 skrzyń w Siedlęcinie i jeszcze większej ilości pak w Rząsinach! Dokument sporządzono przecież w listopadzie, a ponadto nigdzie w nim nie podano, że „medyczne woluminy" ukryto w rezydencjach, bądź w położonych obok nich dużych budynkach gospodarczych.

Przeglądając inne dokumenty przechowywane w Archiwum Narodowym Stanów Zjednoczonych udało się ustalić, że przez pierwsze miesiące po wojnie zbiory zgromadzone w Czechach pomagało chronić... Stowarzyszenie Czerwonego Krzyża! Ponieważ szef zbiorów medycznych dr Hellermann wkrótce został zatrzymany, zaś jego rodzina oraz niemieccy pracownicy zmuszeni do opuszczenia Czechosłowacji (ob. Czech), dlatego szansę ocalenia zbiorów upatrywano w Amerykanach, bądź w nielegalnej akcji wywiezienia zbiorów. Widząc bezskuteczność aliantów, pewnego wieczora postanowiono załadować najcenniejsze dzieła na siedem ciężarówek i ruszyć w kierunku Saksonii. Niestety, dwie z nich przechwycili Czesi, zaś pozostałe pięć ciężarówek utknęło gdzieś w okolicach Drezna, bądź miało zostać zniszczonych podczas przejazdu. To, co przetrwało z niemieckiej Biblioteki Medycznej, dzięki inicjatywie żarliwego komunisty doktora Pat'ava, zostało zabrane do Hradca Králové, gdzie – wespół z czeskimi publikacjami – miało stanowić podstawę Centrum Rozwojowego Medycyny. Ośrodek ten szybko jednak został przekształcony, a jego zbiory ulokowano w Bibliotece Medycznej, która od kwietnia 1946 roku funkcjonowała jako integralna część zamiejscowego Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Karola w Pradze. Pracownicy tejże Biblioteki wcale nie ukrywają, że historyczne podstawy zasobów biblioteki stanowią niemieckie badania, których wyniki opublikowano niegdyś w prasie naukowej i książkach, zaś w okresie II wojny światowej zostały one ewakuowane do Český'ego Duba i stamtąd w 1945 roku trafiły do Hradca Králové.

Co ciekawe, zajmująca się tą tematyką od lat Eva Cecková, stwierdziła na łamach jednego z portali internetowych: *„Pierwotne pochodzenie tej*

biblioteki nie jest jeszcze jasne. Prawdopodobnie część zbiorów stanowią znane kolekcje niemieckich lekarzy, których zbiory zostały przekazane do Biblioteki w Berlinie. Inne woluminy, pochodzące z innych miejsc, oznaczone są odpowiednią pieczęcią".[1] To nader istotne stwierdzenie, bowiem wyjaśnia nam, dlaczego polskie ekipy rewindykacyjne nie były w stanie określić rzeczywistego miejsca pochodzenia łącznie kilkudziesięciu, a może nawet kilkuset, skrzyń z Siedlęcina i Rząsin.[2] Na szczęście dzięki mozolnym kwerendom, udało się nam odnaleźć wywiad A. J. Horne'a z doktorem Walterem Hellermannem. Ten ostatni 1 października 1946 roku stwierdził, iż część zbiorów specjalistycznej Biblioteki stanowiły w głównej mierze zbiory Wojskowej Akademii Medycznej. Przypomnijmy czytelnikom, że jej początki sięgają roku 1795,

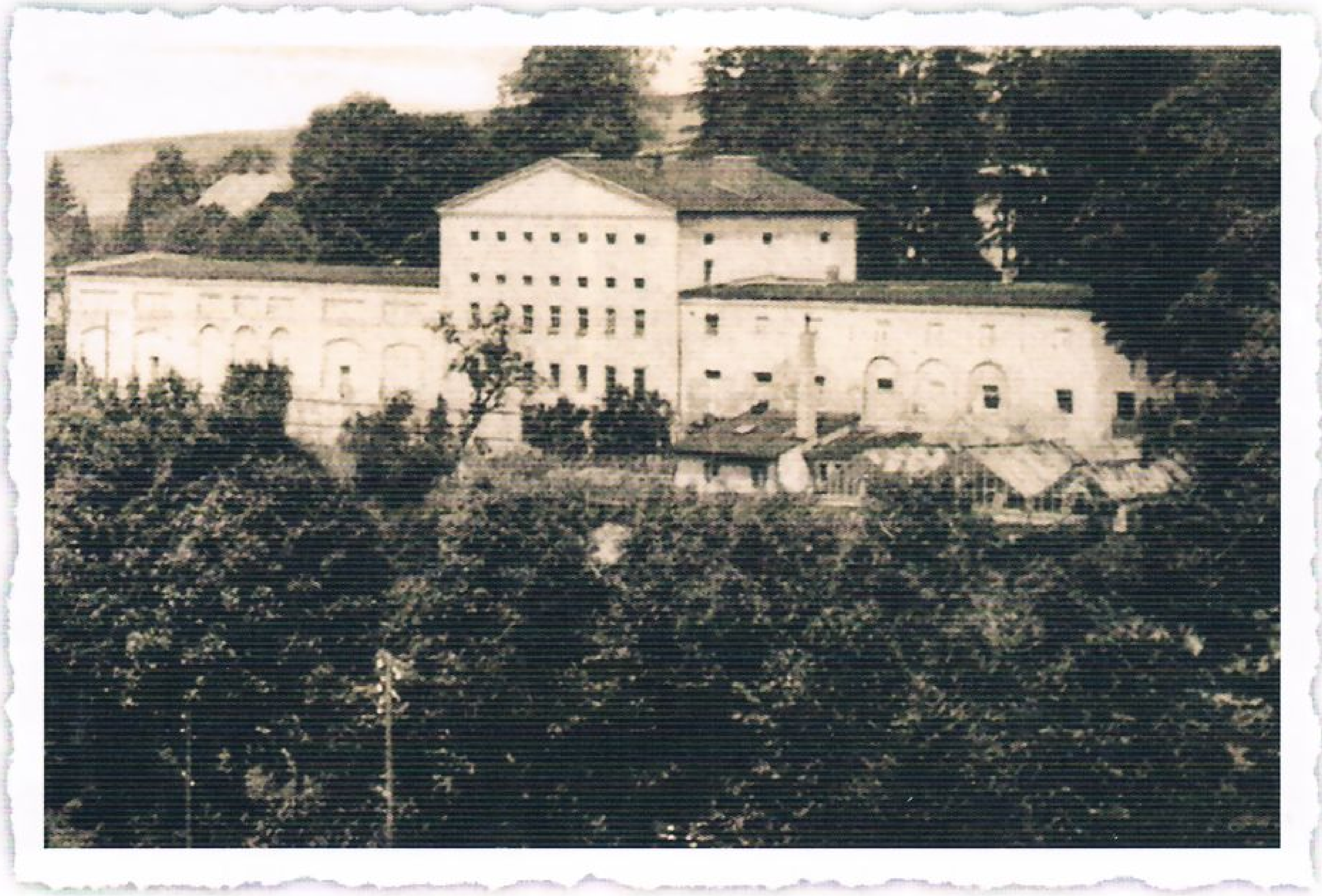

Zabudowania folwarczne obok pałacu w Rząsinach, gdzie mogła znajdować się część depozytów z Berlina i Wrocławia.

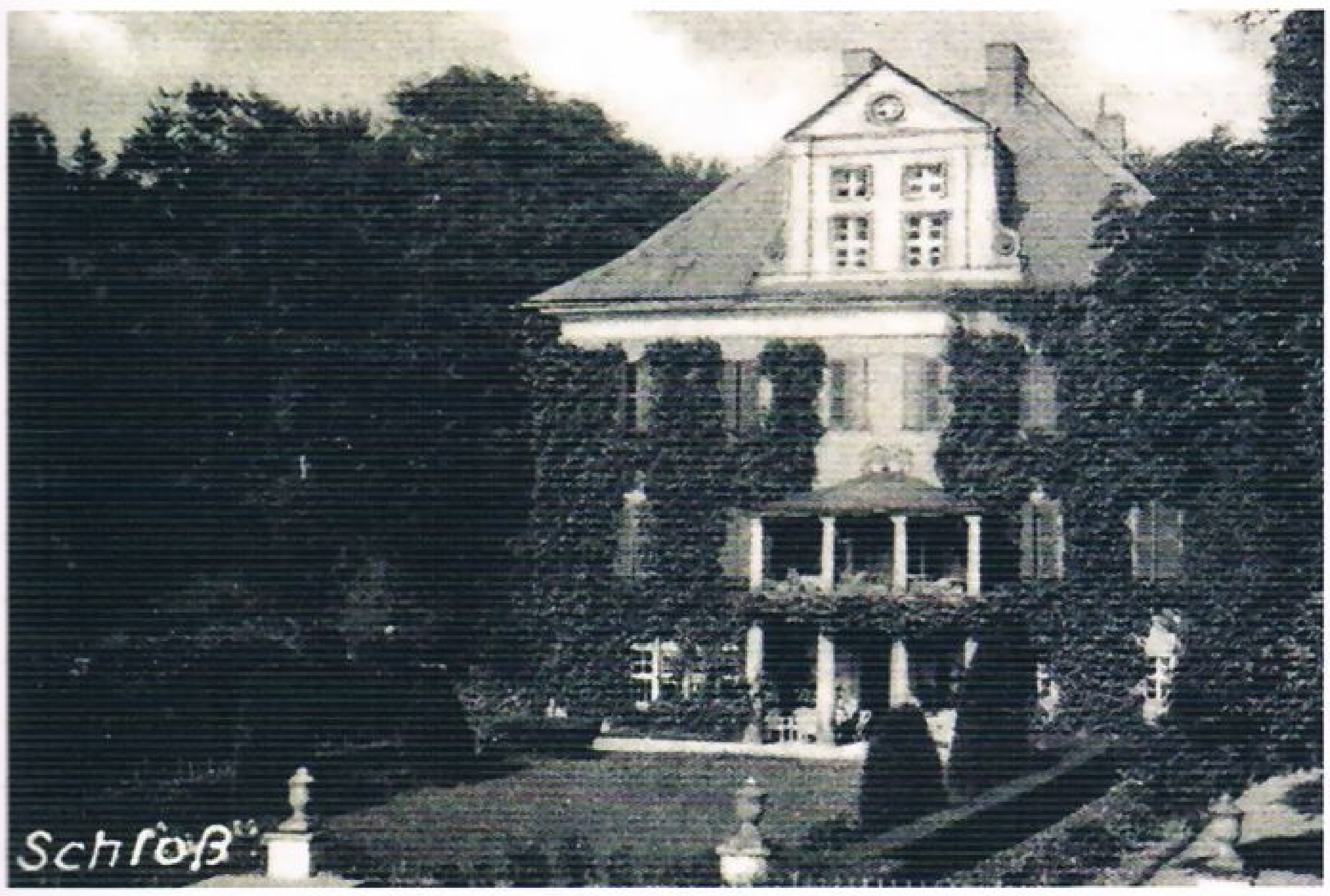

Pałac w Rząsinach w 1944 r., kiedy sprowadzono tutaj Instytut Doświadczalny Luftwaffe oraz cenne woluminy naukowo-medyczne.

Pałac w Rząsinach podczas remontu jesienią 2010 roku.

kiedy utworzono tzw. Pépinière – instytucję kształcącą i szkolącą lekarzy wojskowych w Królestwie Pruskim. Celem podniesienia poziomu edukacji, w 1809 roku przyjęto uchwałę o nabyciu książek i założeniu własnej biblioteki. Dwa lata później w Pépinière powołano do istnienia Wojskową Akademię Medyczno-Chirurgiczną. Od 1818 roku stanowiła ona już część Wojskowej Akademii Cesarza Wilhelma (Medizinisch-Chirurgischen Akademie für das Militär zur Kaiser-Wilhelms-Akademie). W 1895 roku miało miejsce kolejne przemianowanie placówki, tym razem na Militärärztliche Akademie. Po zakończeniu I wojny światowej i tymczasowym (czytaj: przymusowym) zamknięciu militarnej placówki, w dniu 1 października 1934 roku Wojskowa Akademia Medyczna została ponownie otwarta – w budynku Akademii Cesarza Wilhelma w Berlinie. Kolejne zmiany miały miejsce kilka lat po wybuchu nowej wojny światowej. Z obawy przed destrukcyjnymi skutkami alianckich nalotów, część zbiorów jesienią 1943 roku ukryto w Siedlęcinie i Rząsinach. Następnie przystąpiono do pakowania sprzętu, celem przeniesienia Akademii do Wrocławia, co miało miejsce kilka miesięcy później (1944 r.).

Rząsiny kryją wiele zagadek

Według niepotwierdzonych informacji pierwszy transport z Biblioteki Wojskowej Akademii Medycznej oraz tajemniczy depozyt niemieckiego Ministerstwa Lotnictwa, miały dotrzeć do Rząsin 8 marca 1944 roku. Dostarczono tutaj również woluminy o tematyce naukowej i medycznej z Uniwersytetu Wrocławskiego. Skąd w skromnym pałacu pod Gryfowem Śląskim znalazło się tyle naukowych publikacji, które nie zostały ujęte nawet na słynnej liście Grundmanna? Nie da się ukryć, że wszystkie zbiory zostały zapewne starannie dobrane dla potrzeb przeniesionego tutaj dwa miesiące wcześniej berlińskiego Instytutu Badawczego Medycyny Lotniczej, podległego Ministerstwu Lotnictwa. Zatrudniona tutaj grupa naukowców, podległych płk. profesorowi Hubertusowi Strugholdowi, musiała przecież korzystać z szeregu fachowych publikacji zawierających dorobek niemiec-

Gotycka wieża rycerska w Siedlęcinie ok. 1925 roku. Źródło: fotopolska.eu

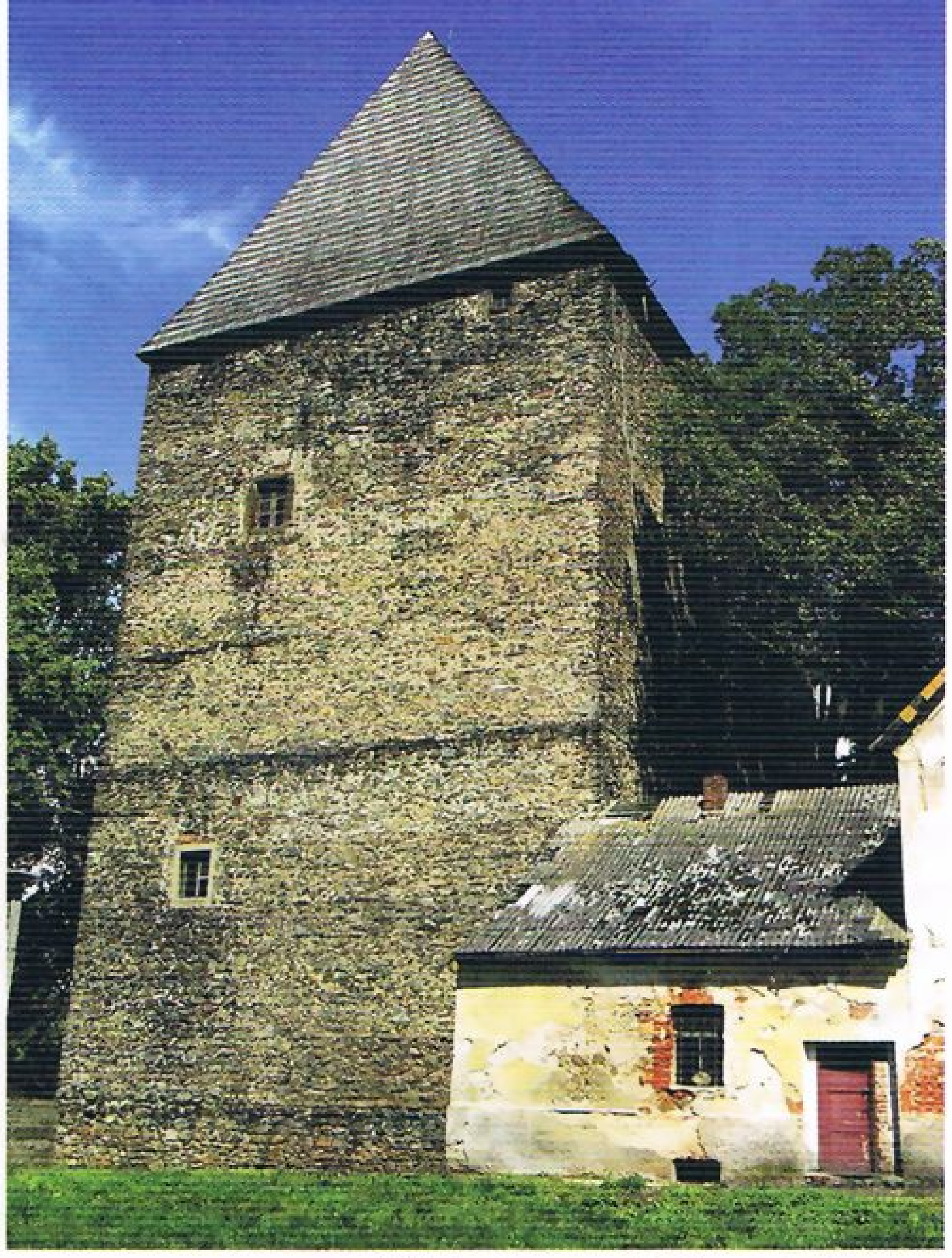

Widok na wieżę od strony południowej (2005 r.).

kich uczonych z rozmaitych dziedzin medycyny oraz nauk pokrewnych. Badania w Rząsinach, których celem było testowanie reakcji i wytrzymałości ludzi w rozmaitych sytuacjach na rozliczne bodźce (np. zamrożenie i próżnię) oraz czynniki zewnętrzne, wymagały bowiem zarówno własnej wiedzy, jak i posiłkowania się osiągnięciami innych autorytetów (por. Sz. Wrzesiński, „Na tropie badań Strugholda", „Odkrywca" nr 11, 12/ 2011).

Po zakończeniu działań militarnych, wiosną 1945 roku do Rząsin zaczęli docierać falami dawni mieszkańcy, którzy szybko dostrzegli istotną zmianę: *„Do górnej wioski wprowadzili się Rosjanie. Zbudowali obóz dla 3 tys. osób i postawili działa. Natomiast w pałacu urządziło się rosyjskie komando. W czerwcu rosyjscy żołnierze odeszli, jednak rosyjskie komando w dalszym ciągu zajmowało pałac"* – czytamy w cytowanej już kronice wsi. Nieznany jest oficjalny powód tak długiego pobytu Sowietów. Niewykluczone, że prof. Strughold i pozostali naukowcy w styczniu, w pośpiechu opuścili Rząsiny zabierając ze sobą jedynie dokumentację i najważniejszy sprzęt. Czy właśnie dlatego przez długie, wiosenne tygodnie, w nieistotnym strategicznie i zarazem niewielkim pałacu kwaterowali Rosjanie? Czy ich dłuższy pobyt nie wynikał z analizy przydatności poszczególnych urządzeń i pozostawionych publikacji, które można by wykorzystać do badań w głębi Związku Radzieckiego? W takim wypadku mamy odpowiedź, dlaczego z Rząsin nie zabrano wszystkich woluminów. Po prostu część z nich uznano za zbyt ogólnikowe i nie mające znaczenia dla rozwoju sowieckiej medycyny lotniczej.

Nie wiadomo co działo się z pałacem po opuszczeniu wojsk przez czerwonoarmistów oraz kiedy to dokładnie nastąpiło. Zapewne dawna rezydencja przez pewien czas stała opustoszała, odwiedzana sporadycznie przez polskich szabrowników. W końcu ktoś, być może jeden z polskich osiedleńców, wybrał się zobaczyć pałac. Niewykluczone, iż podczas takiej „wycieczki" mógł natknąć się w kilku komnatach, bądź budynkach folwarcznych, na stosy niemieckich książek. Po powiadomieniu władz lokalnych

Wielkość wieży w porównaniu do przylegającej doń oficyny dworskiej – stan w 2005 roku.

Wieża mieszkalna, pozostałość średniowiecznego dworu w Siedlęcinie.

i sprawdzeniu pieczątek na wybranych pozycjach, informacja o zbiorach została przekazana do kolejnych instytucji. Stąd też 22 listopada 1945 roku Pełnomocnik Rządu RP na obwód 32 Dolnego Śląska – Stanisław Piekarowicz – oraz przedstawiciel wrocławskiego Referatu Kultury i Sztuki – Maria Wabia, wysłali pismo do wydziału Kultury i Sztuki we Wrocławiu:

„Niniejszym zawiadamiam, że w miejscowości Rząsiny, powiat lwówecki, znajduje się znaczna ilość dzieł naukowych i medycznych Uniwersytetu Wrocławskiego. O akcji zabezpieczania zbiorów został już powiadomiony Dyrektor Biblioteki Uniwersytetu we Wrocławiu dr Antoni Knot".[3] Tam zatem można do dzisiaj szukać egzemplarzy ukrytych w okresie II wojny światowej przez Niemców. Niewykluczone, że na wrocławskich półkach odnajdziemy również egzemplarze stanowiące niegdyś część zbiorów słynnej w III Rzeszy Wojskowej Akademii Medycznej…

ZDJĘCIA I DOKUMENTY: ZBIORY SZYMONA WRZESIŃSKIEGO.

Przypisy:

[1] Eva Cecková, Lékarská Faculta UK, Fakultní Knihovna, Hradec Králové, Czech Republic; Internet: fabian.sub.uni-goettingen.de. Całkowity zbiór Biblioteki Medycznej obejmuje ponad 300 tys. woluminów. Z dawnej niemieckiej biblioteki pochodzi 6670 monografii i 64 czasopisma z przełomu XIX i XX wieku.

[2] W niemieckich i amerykańskich dokumentach nie podano liczby skrzyń, ani też ilości woluminów zgromadzonych w Rząsinach.

[3] W dokumencie użyto powojennej nazwy wsi Rząsiny – „Wilcza Góra, powiat Lwówek".

Z publikowanego w „Odkrywcy" cyklu „Kulisy rewindykacji na Dolnym Śląsku" ukazały się:

» cz. 1 „Składnica Paulinum", nr 1/2014,
» cz. 2 „Zaginione dzieła z Biedrzychowic", nr 2/2014,
» cz. 3 „Opróżnianie pałaców w Kunowie i Stadniskach", nr 3/2014,
» cz. 4 „Spalona składnica w Nowym Kościele", nr 4/2014,
» cz. 5 „Grabież pałaców pod Zgorzelcem", nr 5/2014,
» cz. 6 „Powstanie i upadek lubańskiego muzeum", nr 6/2014,
» cz. 7 „Zapomniane skrzynie ze skarbami…", nr 7/2014,
» cz. 8 „Na tropach rękopisu Marcina Lutra", nr 9/2014,
» cz. 9 „Między nami zakonnicami… składnica w Lubomierzu", nr 10/2014,
» cz. 10 „Karpniki – ostatnia misja Grundmanna", nr 11/2014,
» cz. 11 „Co ukryto, a co znaleziono na zamku Książ?", nr 12/2014.

Szymon Wrzesiński
Historyk i publicysta. Napisał m.in.: „Podziemne tajemnice III Rzeszy na Dolnym Śląsku"; „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki"; „Skarby III Rzeszy ukryte na Dolnym Śląsku. Relacje, dokumenty, wspomnienia"; „Na tropach skarbów i depozytów Trzeciej Rzeszy. Kulisy rewindykacji i poszukiwań terenowych na Dolnym Śląsku". W lutym 2015 r. ukaże się najnowsza jego książka, poświęcona zakładom zbrojeniowym, sztolniom i obozom pracy pod Leśną i Lubaniem.

Piotr Kucznir
Wiceprezes stowarzyszenia „Zamek Czocha", dziennikarz-regionalista, współtwórca regionalnej imprezy „Tajemnicze historie na Zamku Grodziec", organizator wielu wystaw, prelekcji, dioram i rekonstrukcji historycznych, współautor książki „Zamek Książ. Legenda III Rzeszy".

REKLAMA

Ręczne złocenie miniatury 24-karatowym złotem płatkowym.

Ręczne przygotowanie inicjału – ozdobnych liter rozpoczynających rozdział, charakterystycznych dla XII-wiecznego piśmiennictwa.

FAKSYMILE – stąd do wieczności…

PIOTR MASZKOWSKI

Szanse na odnalezienie oryginału tej księgi są równe zeru. Nie wiadomo bowiem kiedy zaginęła, poza tym, że bardzo dawno temu. Nikt też nigdy nie natrafił na istotny jej trop, a od wieków panuje przekonanie, graniczące wręcz z pewnością, że nie istnieje. W tej sytuacji anonimowość jej autora nie ma większego znaczenia, mimo iż na temat prób jego identyfikacji powstało mnóstwo opracowań naukowych. Na szczęście, dzięki kilku średniowiecznym odpisom, dysponujemy niezwykle istotną dla historii Polski treścią tego wiekopomnego dzieła. Ostatnio zaś nastąpiła próba odtworzenia jego pierwowzoru…

Na tropie nieistniejącego skarbu

Pod koniec października minionego roku w serwisie naukowym Polskiej Agencji Prasowej pojawił się intrygujący zwiastun informacji: „Czy oryginał kroniki Galla Anonima został właśnie odnaleziony?". Tytuł brzmiał wręcz sensacyjnie, gdyż jak wiadomo, XII-wieczny rękopis tego bezcennego dzieła nie zachował się, a najstarszy jego odpis został sporządzony dopiero dwa stulecia później. Co więcej, liczni badacze od dawna wszechstronnie analizujący to najważniejsze źródło dotyczące początków państwa polskiego, do dzisiaj nie są w stanie postawić jakiejkolwiek rozsądnej hipotezy dotyczącej późniejszych losów pierwowzoru. Spoczął on zapewne w krakowskiej kancelarii książąt polskich i być może przetrwał tam co najmniej do początków kolejnego stulecia. Korzystał z niego wówczas drugi z naszych wielkich kronikarzy wczesnego średniowiecza, mistrz Wincenty zwany Kadłubkiem, którego nowsze, rozszerzone i o wiele bardziej popularne opracowanie dotyczące dziejów dynastii Piastów, zastąpiło niemal całkowicie dzieło poprzednika, skazując je na zapomnienie przez potomnych. Wiemy natomiast, że już w XV wieku kolejny słynny nasz dziejopis, Jan Długosz, dysponował jedynie odpisem – notabene najstarszym z ocalałych do obecnych nam czasów (tzw. kodeks Zamoyskich), który przechowywany jest do dziś w warszawskiej Bibliotece Narodowej. Ani więc skromne źródła, ani też wyobraźnia nie pozwalają nawet domyślić się, co się stało z XII-wiecznym oryginałem, który bezpowrotnie zniknął w mrokach odległej przeszłości. Zresztą najwyraźniej nikogo to specjalnie nie zajmowało, gdyż treść Gallowej kroniki wydawała się o wiele istotniejsza od losów jej manuskryptu, których ustalenie współcześnie graniczy z cudem.

Czy zatem ów cud właśnie nastąpił?

Jak możemy się domyśleć – oczywiście nie. Takowe odkrycie byłoby bowiem wystarczająco spektakularne, by zapełnić co najmniej na kilka tygodni przestrzeń medialną sensacyjnymi doniesieniami. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Jak się okazuje, wspomniana na wstępie informacja dotyczyła jednak niezwykle ciekawego przedsięwzięcia, realizacji którego podjęło się wydawnictwo Orbis Pictus. Wydawnictwo na polskim rynku szczególne, gdyż obecnie jedyne w kraju, które specjalizuje się w tworzeniu ksiąg faksymilowych – idealnie odtworzonych w formie oraz treści kopii bardzo cennych, unikatowych i przede wszystkim oryginalnych rękopisów, bądź dzieł drukowanych – przeważnie o wyjątkowych walorach estetycznych i intelektualnych. Trzeba podkreślić, że jest to niszowa i ekskluzywna gałąź poligrafii, wymagająca każdorazowo specjalistycznych zabiegów, polegających na drobiazgowej i jak najwierniejszej reprodukcji każdego elementu odtwarzanego manuskryptu czy starodruku. Tym zresztą różni się od znacznie popularniejszego i prostszego w procesie wydawniczym reprintu.

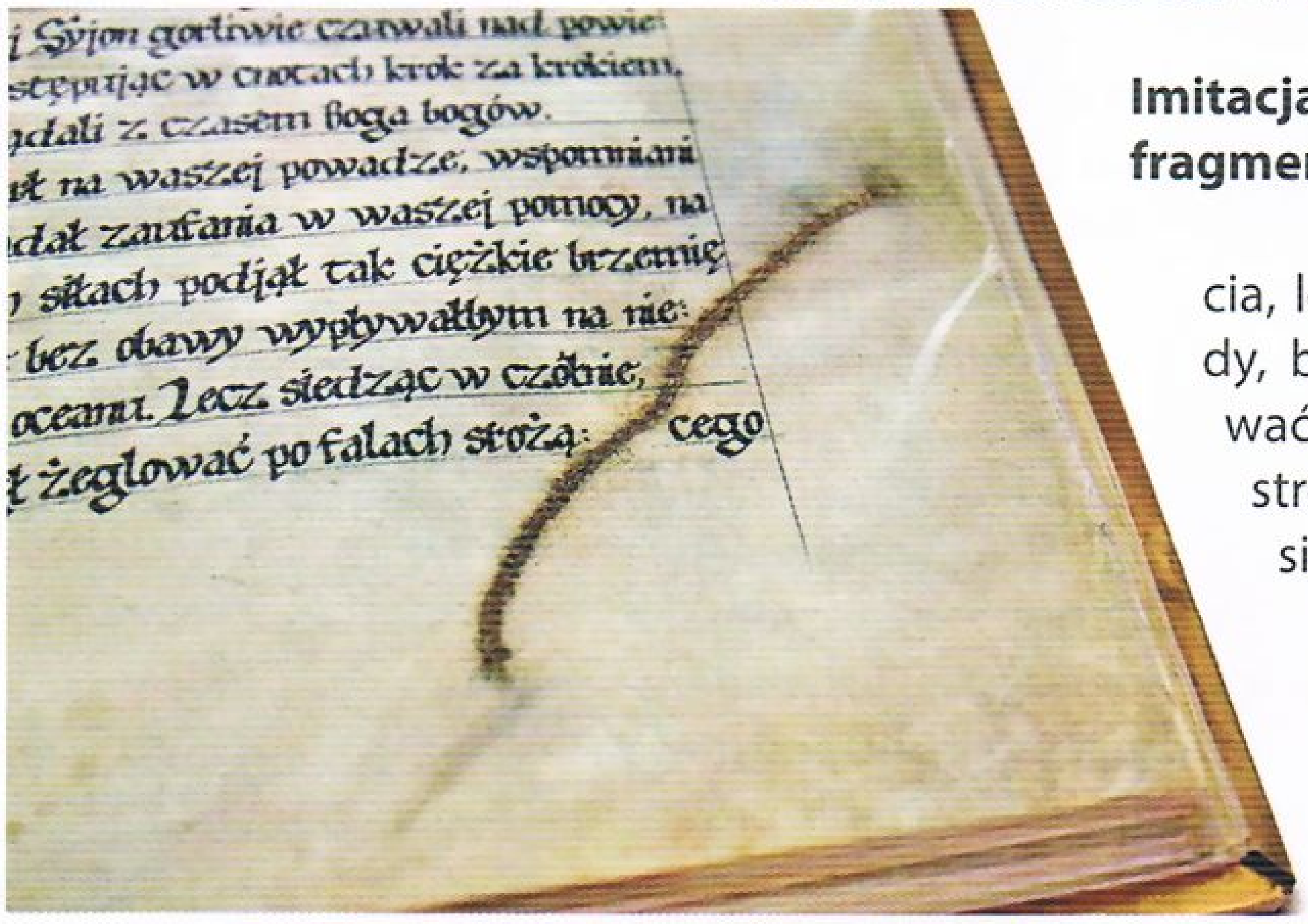

Imitacja śladu zaszycia uszkodzonego fragmentu pergaminu.

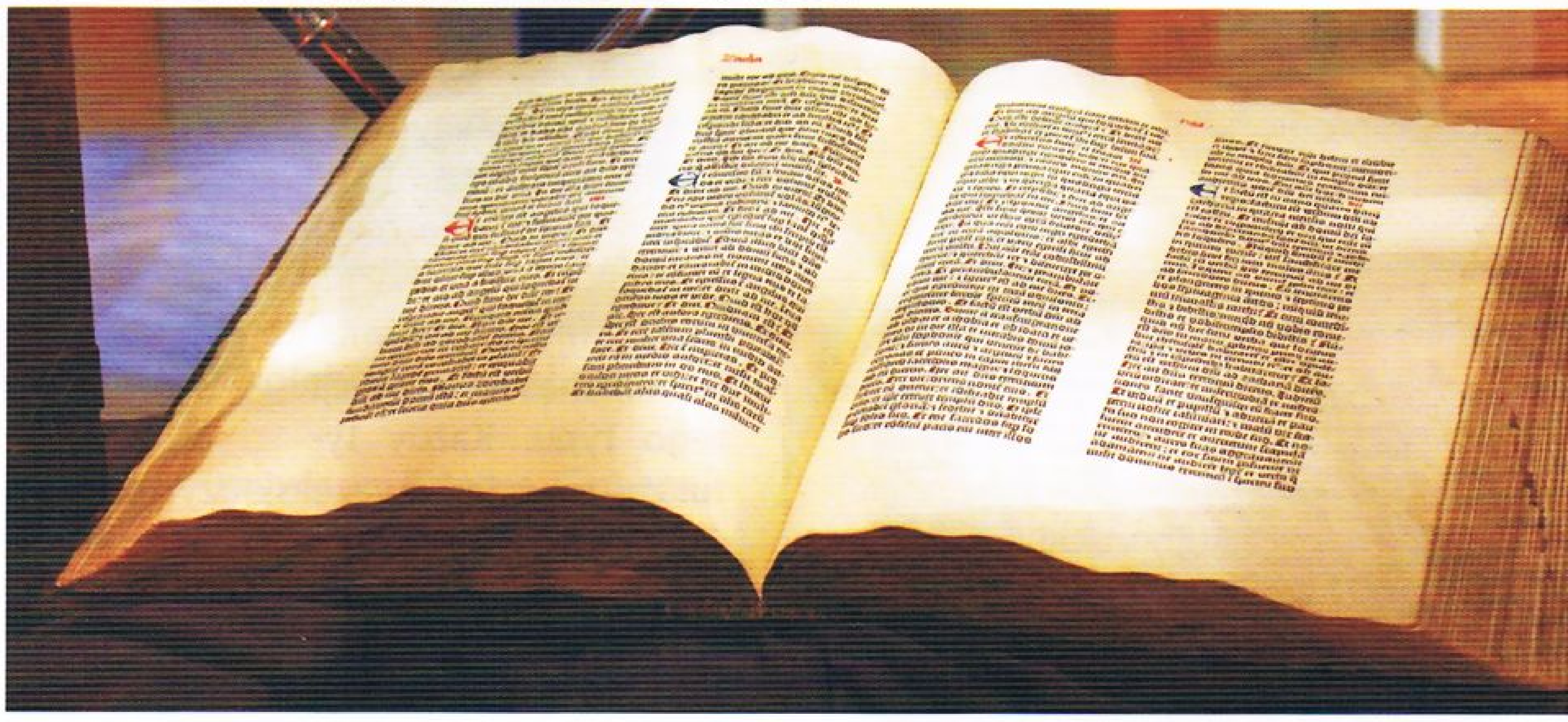

Biblia Gutenberga przechowywana w Muzeum Diecezjalnym w Pelplinie. Źródło: wikipedia. Zdjęcie: Ludwig Schneider.

Biblia Gutenberga

Przykładem najlepiej ilustrującym tego typu działalność, jest zrealizowany w latach 2001-2003 projekt wykonania faksymile jedynego zachowanego w Polsce egzemplarza Biblii Gutenberga. Unikatowej, dwutomowej edycji Pisma Świętego, będącej historycznie pierwszym drukowanym wydawnictwem w Europie, która znajduje się w zbiorach Muzeum Diecezjalnego w Pelplinie. Powstało ich w latach 1453-1455 w moguckim warsztacie Johannesa Gutenberga (wynalazcy rewolucyjnej czcionki ruchomej) zaledwie 180 egzemplarzy, z których do dzisiaj przetrwało jedynie 48. Choć pelplińska biblia ze względu na brak ostatniej, 317 karty II tomu nie jest uznawana za kompletną, eksperci oceniają ją jako wyjątkową. Zawiera bowiem pewną niewielką skazę – małą plamkę powstałą zapewne w wyniku wypadnięcia podczas druku z rąk zecera elementu czcionki, której kształt odbił się na 46 stronicy I tomu. Ten z pozoru nieistotny detal umożliwił późniejszą jej rekonstrukcję oraz przesądził ostatecznie o uznaniu mistrza Johannesa za wynalazcę druku, co do dziś jest podważane przez badaczy, którzy przypisują ten tytuł współczesnemu mu holenderskiemu drukarzowi Laurensowi Costerowi.

Idea wykonania wiernej faksymilowej kopii pelplińskiej Biblii pojawiła się już pod koniec lat 70. minionego stulecia, lecz musiały minąć kolejne 3 dekady, by w pełni profesjonalnie zrealizować to ambitne, niezwykle trudne od strony technicznej i kosztowne przedsięwzięcie.

W związku z obchodami 600-lecia urodzin Jana Gutenberga i 550. rocznicy wydrukowania przez niego pierwszej księgi, na całym świecie zainicjowany został międzynarodowy projekt, mający na celu utrwalenie i zabezpieczenie bezcennych biblii m.in. poprzez ich digitalizację. W Polsce zadania tego podjęło się pelplińskie wydawnictwo „Bernardinum", przy współpracy kilku krajowych firm branży poligraficznej, licznej rzeszy specjalistów wielu dziedzin, oraz wsparciu japońskiego Uniwersytetu Keio. Uczelnia ta wspomogła przedsięwzięcie od strony technicznej i merytorycznej, w oparciu o wcześniejsze doświadczenia z egzemplarzem gutenbergowskiej biblii przechowywanym w kraju kwitnącej wiśni.

Całość dwutomowego dzieła została dokładnie obfotografowana, każda zaś strona starodruku profesjonalnie zeskanowana i następnie poddana cyfrowej obróbce. Zadbano również o to, by papier, na którym wydrukowane zostanie faksymile, jak najwierniej przypominał czerpany oryginał pod względem faktury, koloru i grubości. Oddzielnie zaś, w jednej z łódzkich pracowni introligatorskich, zlecone zostało ręczne odtworzenie oryginalnej XV-wiecznej oprawy z dębowych

Podczas tworzenia faksymile wykorzystuje się, obok współczesnych technik drukarskich, również tradycyjne metody sprzed wieków. Często zapomniane, lecz wciąż kultywowane w nielicznych miejscach. Jednym z nich jest pomorski Pelplin i znajdujący się w nim od XIII wieku klasztor cystersów. Nadal uprawiana jest tam przez zakonników średniowieczna sztuka kaligrafii i wciąż funkcjonuje skryptorium, gdzie podtrzymywane są tradycje piśmiennicze szarych mnichów-skrybów, mozolnie kopiujących na pergaminie stare rodawne księgi… Wizyta tam pozwala na doznania przypominające sceny żywcem wyjęte choćby z opisów powieści „Imię Róży" Umberto Eco, czy też jej filmowej adaptacji z Seanem Connery'm i Christanem Slaterem w rolach głównych.

desek, powleczonych roślinnie garbowaną kozią skórą. Wszelkie zdobienia, iluminacje i wytłoczenia, zostały zrekonstruowane z wykorzystaniem zgodnych z oryginałem materiałów, łącznie z 22-karatowym złotem płatkowym pokrywającym fragmenty ręcznie malowanych ornamentów. Efekt finalny przeszedł najśmielsze oczekiwania. Powstała w ten sposób limitowana edycja 198 egzemplarzy dwutomowego dzieła Gutenberga. Warto wspomnieć, że jeden z kompletów jest obecnie wystawiany w ramach ekspozycji w Muzeum Diecezjalnym w Pelplinie, zamiennie ze ściśle chronionym oryginałem.

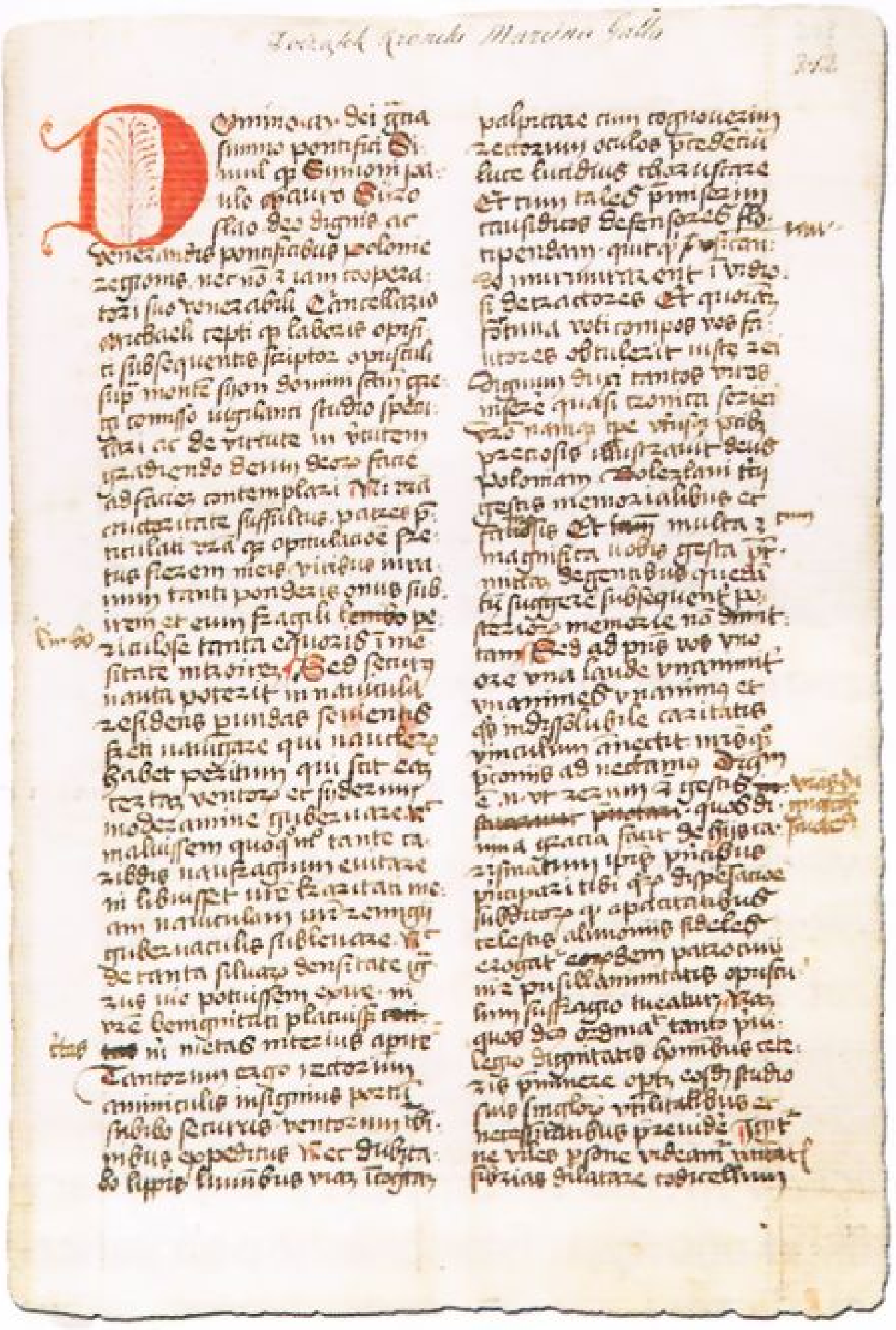

Fragment XV-wiecznego odpisu kroniki Galla Anonima – tzw. Rękopisu Sędziwoja przechowywanego obecnie w Bibliotece Czartoryskich w Krakowie.

Na tropie rękopisu kroniki Galla Anonima

Nie bez przyczyny zagłębiliśmy się w tę historię, gdyż dla założycieli wspomnianego już wydawnictwa Orbis Pictus, zebrane wówczas doświadczenia stały się podstawą do rozszerzenia prowadzonej przez nich działalności poligraficznej, o realizację własnych projektów faksymilowych. A z czasem, ścisłego wyspecjalizowania się w nich. Obecna oferta firmy obejmuje kilkanaście pozycji tego typu. Każdy tytuł zaś to wyjątkowa, ekskluzywna i ściśle limitowana księga o charakterze kolekcjonerskim i bibliofilskim. Taki też charakter ma wydana niedawno kronika Galla Anonima, która choć nie jest do końca faksymile, została odtworzona zgodnie z zasadami jego tworzenia.

Dzieło to zostało spisane na zamówienie księcia Bolesława Krzywoustego pomiędzy 1113 a 1116 rokiem, więc od tego czasu mija właśnie 900 lat.

– Mniej więcej dwa lata temu, w związku z okrągłą rocznicą, postanowiliśmy zrealizować dość oryginalną koncepcję wskrzeszenia tego unikatowego źródła – mówi Bartosz Cymanek pracownik Wydawnictwa. – *Wykorzystując całe nasze doświadczenie i potencjał, postanowiliśmy jak najwierniej oddać zbliżoną do oryginału formę kroniki. Korzystając z pomocy i konsultacji naszych współpracowników, skupionych przy różnych dotychczasowych projektach wydawnictwa, skompletowaliśmy zespół wysokiej klasy specjalistów, którzy dzięki swojej wiedzy, pasji i umiejętnościom, byli w stanie profesjonalnie zrealizować tę odważną wizję. Wśród nich znaleźli się historycy i historycy sztuki, pracownicy pelplińskiego wydawnictwa »Bernardinum«, kustosze bibliotek posiadający rozległą wiedzę na temat średniowiecznych ksiąg oraz wybitni artyści plastycy.*

Wkrótce zespół przystąpił do wielotorowych, prowadzonych równolegle, działań na kilku płaszczyznach. O ile treść kroniki Galla Anonima znana jest z późniejszych jej odpisów, o tyle forma oryginalnego manuskryptu pozostaje całkowicie nieznana. Księgę trzeba było więc zaprojektować od podstaw, w oparciu o inne współczesne jej rękopisy spisane w tym samym okresie, które zachowały się do obecnych nam czasów.

Zasadniczym elementem dość mocno rzucającym się w oczy, który z pewnością odróżnia bieżące wydanie kroniki od oryginału, jest wykorzystanie polskiego przekładu zamiast tekstu łacińskiego. Jednocześnie zastosowany został dość ciekawy zabieg graficzny, bowiem przy współpracy z pelplińskim skryptorium stworzona została autorska czcionka, wzorowana na tzw. karolinie – rodzaju pisma powszechnie stosowanego w XII-wiecznych manuskryptach. – *Aby ją opracować, zeskanowaliśmy kilka zachowanych rękopisów z tego okresu, dokonując wyboru pojedynczych liter. Następnie zmodyfikowaliśmy je tak, by były czytelne dla współczesnego czytelnika, jednocześnie dodając polskie znaki dia-*

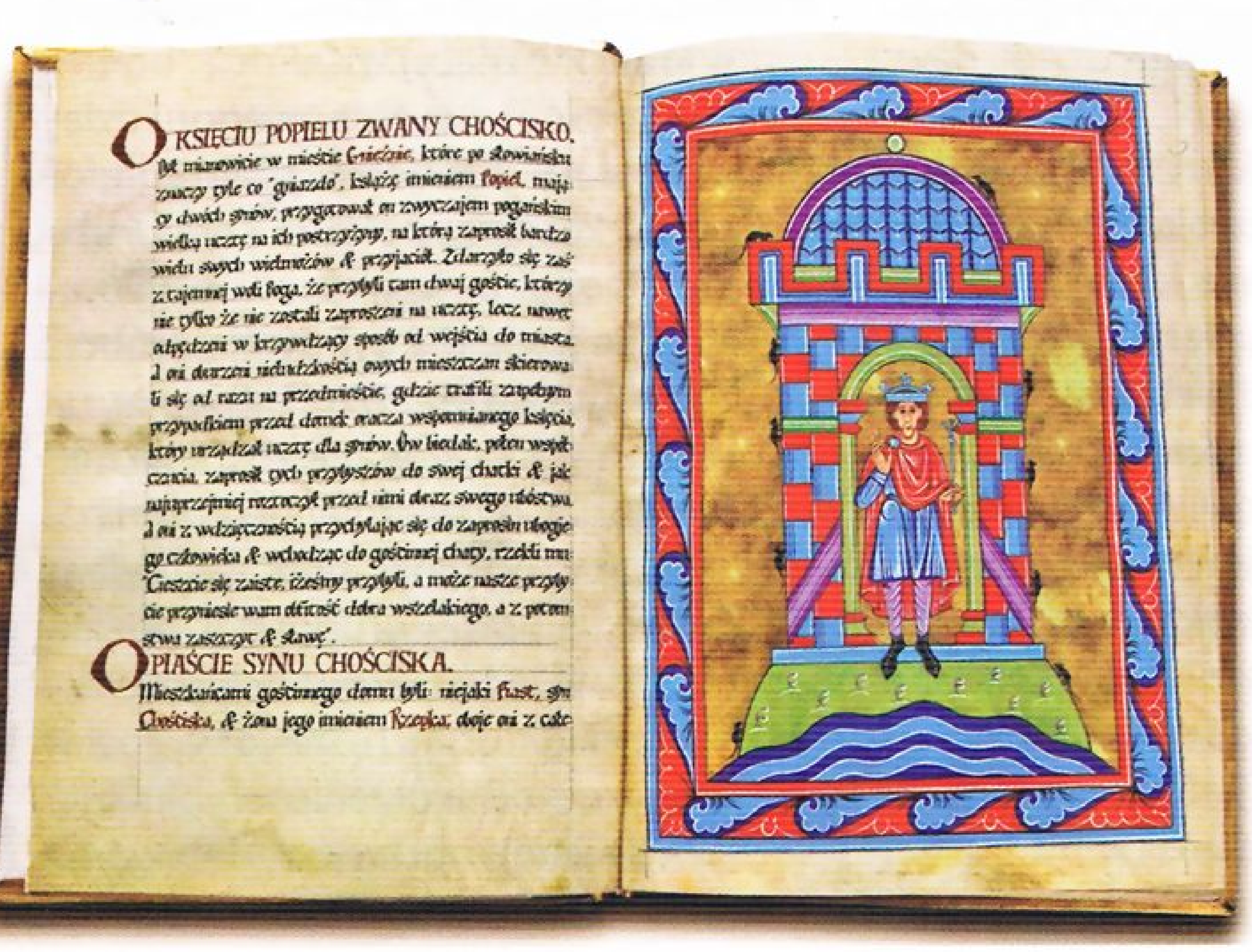

Przykład miniatury ilustrującej edycję kroniki.

zdarzyło się…

13 I 1129 r.

886 lat temu podczas Synodu w Troyes została ustalona i zatwierdzona reguła Templariuszy, a informacja o nich po raz pierwszy pojawiła się w źródłach. Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona, bo tak brzmi jego pełna nazwa, powstał 10 lat wcześniej w Jerozolimie, jednak ukonstytuował się w świetle prawa dopiero dekadę później w stolicy Szampanii. Od tego momentu rozpoczął się jeden z ważniejszych dla średniowiecza, trwający niemal dwa wieki, okres rozwoju słynnego zgromadzenia rycerzy-mnichów, których wpływy i bogactwo wkrótce przyczyniły się do powstania licznych legend dotyczących ich potęgi. Owa potęga stała się też przyczyną upadku zakonu i tragicznego końca wielu z braci, którzy spłonęli na stosach wraz ze swym ostatnim mistrzem Jakubem de Molay.

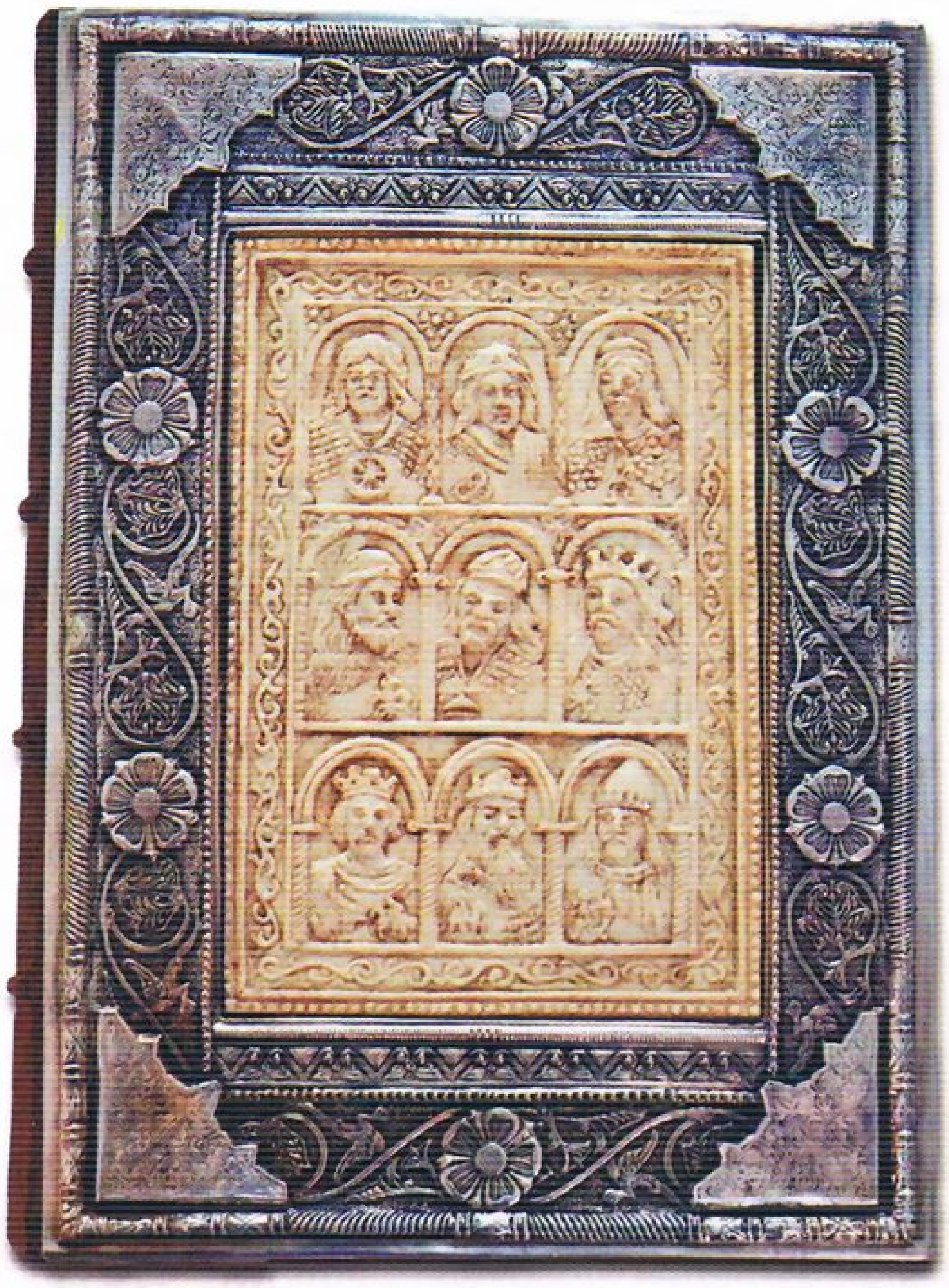

Oprawa w wersji kolekcjonerskiej…

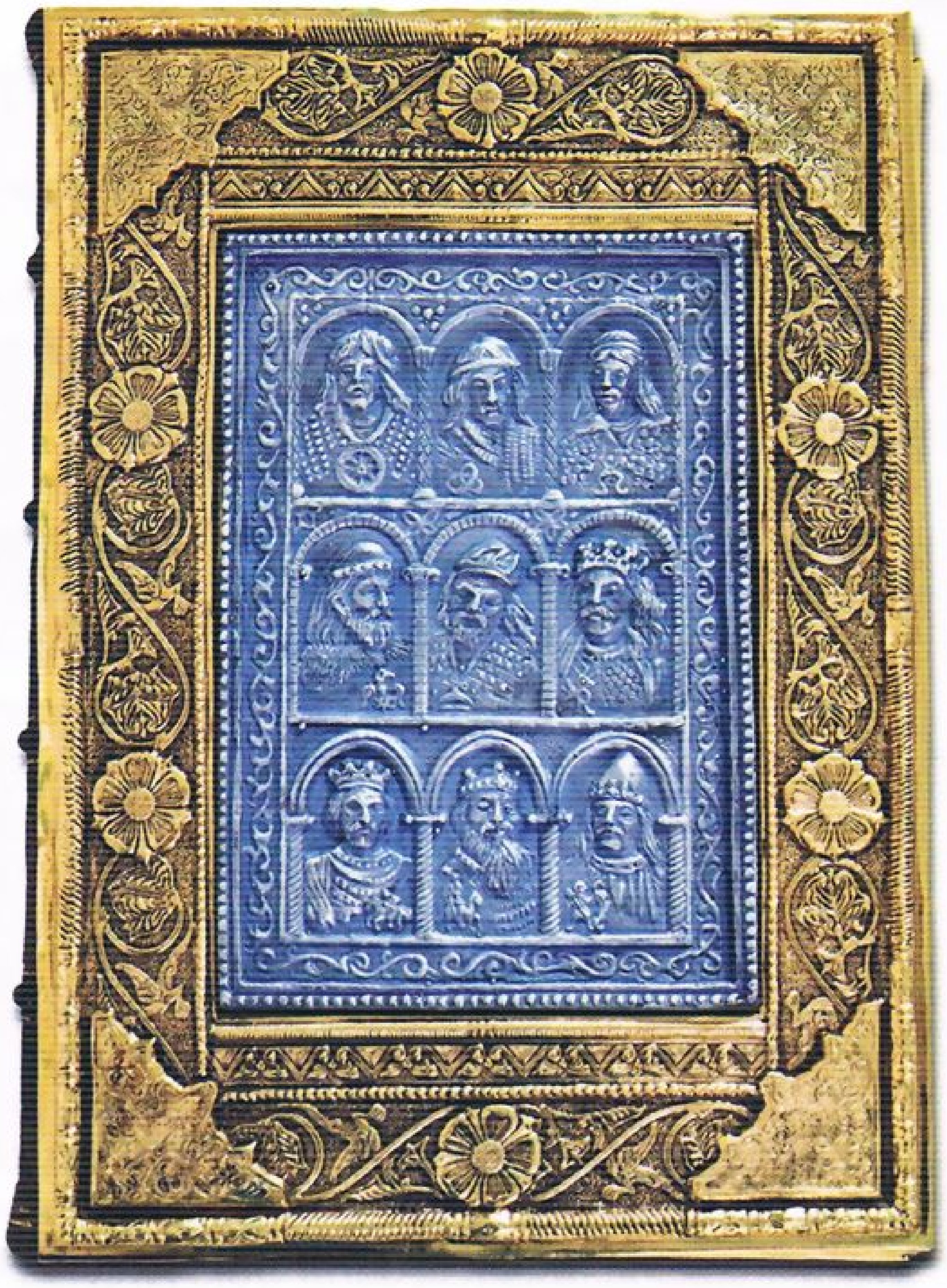

… i w wersji luksusowej.

krytyczne – mówi Cymanek. Trzeba przyznać, że dzięki temu zabiegowi tekst wygląda nie tylko efektownie, lecz jest również bardzo czytelny.

Choć żaden z najstarszych, zachowanych odpisów kroniki Galla z XIV i XV w. nie posiada szczególnych zdobień, inicjały i miniatury były nieodłącznym elementem iluminowanych w ten sposób XII-wiecznych manuskryptów. Zarówno tych o charakterze świeckim, jak i kościelnym. Dlatego też w omawianym wydawnictwie zdecydowano się zastosować ornamentykę tego typu – gdyż oryginał musiał ją posiadać. Opracowane od podstaw miniatury zostały specjalnie dostosowane do treści i wykonane w stylistyce wzorowanej na przykładach zaczerpniętych z zachowanych rękopisów, choćby Ewangeliarza Kruszwickiego, Kodeksu Pułtuskiego, czy też Sakramentarza Tynieckiego, pochodzących z XI i XII wieku. – *Do złocenia zdobień wykorzystaliśmy dwie różne techniki. W przypadku wersji kolekcjonerskiej nałożone zostało ręcznie 24-karatowe złoto płatkowe, z kolei w edycji bibliofilskiej, zastosowaliśmy złotą farbę nałożoną w technice druku sitowego.*

Ze sporym prawdopodobieństwem można było także stwierdzić, że Gall Anonim spisując swoją kronikę, miał do dyspozycji najpopularniejszy w owym czasie „papier", jakim był pergamin. Wykorzystanie go jednak, nawet w tak wyjątkowej bibliofilskiej edycji, wiązałoby się z potężnymi kosztami. – *Obecnie czysta kartka pergaminu kosztuje kilkaset złotych. Gdybyśmy się zdecydowali na jego użycie, nasza kronika musiałaby kosztować… ok. 100 tysięcy. Takiej kwoty zapewne nikt by nie wyłożył. Dlatego też wybraliśmy inne rozwiązanie. Zdecydowaliśmy się w wersji kolekcjonerskiej na zastosowanie perganematy – syntetycznego materiału do złudzenia przypominającego swą fakturą i właściwościami prawdziwy pergamin, na którą nanieśliśmy dodatkowo imitacje charakterystycznych uszkodzeń, powstałych w procesie wyprawiania skór. W wersji standardowej użyliśmy z kolei szlachetnego włoskiego papieru* – opowiada Bartosz Cymanek. Całość dopełnia oprawa zaprojektowana w oparciu o wzory najbardziej wykwintnych ksiąg średniowiecza, jak np. Sakramentarza cesarza Henryka II, czy Ewangeliarza z Fuldy. Oczywiście zgodnie z metodami stosowanymi przed dziewięcioma wiekami, większość jej elementów wykonana i obszyta jest ręcznie, pokryta skórą, wykończona srebrem i blachą.

Po dwóch latach intensywnych prac projekt został ukończony. Powstanie zaledwie 298 egzemplarzy kroniki, a każdy z nich będzie sygnowany certyfikatem. Niestety jej koszt sprawi, że niewiele osób będzie sobie mogło pozwolić na zakup tego wydawnictwa. Jego charakter jest wyjątkowo ekskluzywny, lecz jeżeli kogoś stać, z pewnością nie będą to źle wydane pieniądze.

Czy zatem odnaleziony został oryginał kroniki Galla Anonima?

Niestety, musi ponownie paść odpowiedź przecząca. Niemniej trzeba przyznać, że, jak do tej pory, nie pojawiło się wydawnictwo, które byłoby choć w drobnej części zbliżone do pierwowzoru zaginionego manuskryptu. Prezentowana publikacja jest w gruncie rzeczy swoistą impresją, jak mogłaby wyglądać oryginalna kronika Galla Anonima z XII wieku. Jak bardzo jej twórcy zbliżyli się do oryginału? Zapewne w niewielkim stopniu. Powstało za to w pełni użyteczne wydawnictwo, którego już nie tylko treść ma charakter edukacyjny, lecz również jego forma. Z niej, jak się przekonaliśmy, można się wiele nauczyć…

ZDJĘCIA: WYDAWNICTWO ORBIS PICTUS

REKLAMA

www.pawlo.sklep.pl

OFERUJEMY WYKRYWACZE:
- GARRETT,
- TEKNETICS,
- RUTUS,
- ARMAND,
A TAKŻE INNYCH PRODUCENTÓW.

W NASZEJ STAŁEJ OFERCIE POSIADAMY RÓWNIEŻ MYJKI ULTRADŹWIĘKOWE.

FHU „PAWLO" Paweł Piec
65-124 Zielona Góra, ul. Wołodyjowskiego 8
tel.: +48 603 469 561, fax: +48 68 41 43 222, e-mail: pawel@pawlo.sklep.pl

10. urodziny Księgarni Odkrywcy

Co „Odkrywca" ma z tym wspólnego…

KAROLINA RENDAK

– *Wie pani może, gdzie jest ukryta Bursztynowa Komnata?* – usłyszałam na dzień dobry. Była druga połowa lutego 2004 roku. W hotelowej kawiarni właśnie rozpoczynał się mój casting na rolę księgarza. – *Nie wiem, ale też czytałam Pana Samochodzika.*

Chwilę później poruszyliśmy temat innych książek, historii i… kawy. Mówiliśmy o wrzuceniu wszystkiego do jednego kotła w odpowiedniej oprawie, czyli o pomyśle przekształcenia małej księgarni internetowej w poważny i liczący się byt na rynku, o „dobudowaniu" do całości realnie istniejącego miejsca – stacjonarnej Księgarni Odkrywcy w mieście Łodzi. Z rozpędu zaczęliśmy tworzyć makiety sal sprzedaży, wykorzystując do tego saszetki z cukrem. Ogólnie rzecz biorąc, trochę się zagadaliśmy…

W grudniu 2000 roku, numerem 24., powrócił na rynek miesięcznik „Odkrywca".

W tej samej chwili narodził się pomysł stworzenia dla jego czytelników księgarni wysyłkowej, pozwalającej pogłębić wiedzę na poruszane tematy. Wkrótce właścicielce, Magdzie Zając, przestał wystarczać wirtualny kontakt z klientami i postanowiła stworzyć miejsce spotkań dla ludzi, podobnie jak ona, zafascynowanych tajemnicami II wojny światowej, połączonych pasją odkrywania tajemnic tego okresu. We wspomnianym 2004 roku znalazła odpowiednie miejsce i wybrała pierwszych pracowników.

Łódź, Sienkiewicza 11 – pierwsza siedziba Księgarni Odkrywcy, czyli radosne początki

Parterowy budynek przyklejony do kamienicy, ceglasta fasada i szyld z charakterystycznym sterowcem. W środku miło i przytulnie, stylowe meble, wygodne fotele i kanapa, rekwizyty z dawnych lat, zapach kawy. I oczywiście książki. Wszędzie książki! Wówczas wydawało nam się, że bardzo dużo książek! 2 tysiace tytułów!

W remontowaniu i urządzaniu zatraciliśmy się tak bardzo, że przez kilka miesięcy zapomnieliśmy o podstawowej rzeczy: hucznym otwarciu. Prawdę mówiąc, zapomnieliśmy o jakimkolwiek otwarciu. Kiedy dotarło to do nas, w ciepły lipcowy dzień (inna wersja mówi o początkach sierpnia), Magda po prostu przekręciła klucz w drzwiach. Tego dnia weszły pierwsze trzy osoby.

Wspominamy ten okres z rozrzewnieniem. Budowaliśmy coś nowego, tworzyliśmy markę i w ogóle nie zdawaliśmy sobie sprawy z konsekwencji czekającego nas… sukcesu. Mieliśmy czas przejrzeć każdą książkę, napisać do niej autorską recenzję na naszą stronę internetową. Znaliśmy przy tym lokalizację dowolnej publikacji. Ulotki z naszym adresem roznosił Napoleon, rozwozili je też cykliści – brakło jedynie odwetowców z Bonn…

To wtedy nawiązywały się przyjaźnie owocujące długoletnią współpracą. Przede wszystkim, zgodnie z pragnieniem Magdy, poznawaliśmy naszych klientów. Praca była zabawą. Nie przeszkadzał nam wtedy ani cieknący sufit przy każdym deszczu, ani niespodziewane wizyty saperów zaalarmowanych telefonem od pana, który znalazł na naszej półce pordzewiały granat. Niestety, nic co dobre, nie trwa wiecznie. Po trzech latach, z przyczyn niezależnych od nas, musieliśmy się wyprowadzić.

Łódź, Próchnika 16 – druga siedziba Księgarni Odkrywcy, czyli chwilowy kryzys

W ciągu następnych dwóch lat ważyły się losy Księgarni Odkrywcy. Nagła przeprowadzka na Próchnika, gorsza lokalizacja bez miejsc parkingowych, wątpliwe sąsiedztwo, systematycznie powiększający się księgozbiór upchnięty w o połowę mniejszej przestrzeni – to wszystko z dnia na dzień pogarszało na-

Przeprowadzka na Próchnika 16…

Cykliści wtedy…

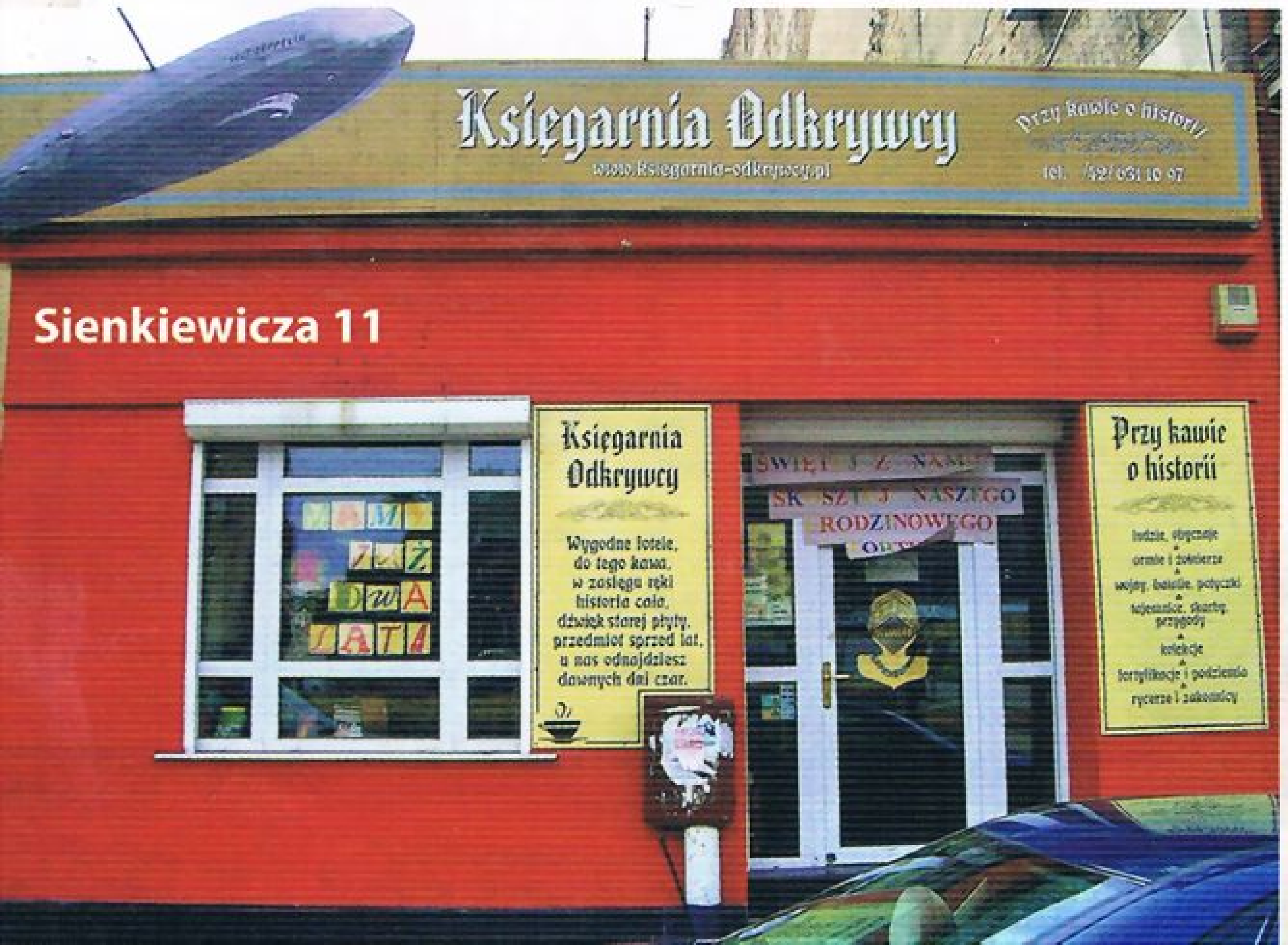

Sienkiewicza 11

sze humory. Radość pracy ustąpiła miejsca rutynowym działaniom bez zapału. Zespół zaczął rozjeżdżać się po świecie…

Postanowiliśmy zawalczyć. Zmienić jeszcze raz siedzibę, bo przecież do trzech razy sztuka. Kto mógł ze starej ekipy, ten wrócił, resztę zastąpiono nową gwardią. Wtedy dołączyli do nas Agata i Artur, dziś integralna część Księgarni Odkrywcy.

O obchodach piątych urodzin księgarni nawet nie pomyśleliśmy…

Sesja urodzinowa. Od lewej: w meloniku Agnieszka Matańska, szefowa Księgarni – Magda Zając, w ramie: Artur Kuprianis i Karolina Rendak, poniżej z wąsem Ola Wesołowska.

Łódź, Narutowicza 46 – trzecia siedziba Księgarni Odkrywcy, czyli prawosławny cud

– Co o tym myślisz? – zapytała Magda, gdy zawiozła mnie tam po raz pierwszy. Rozejrzałam się. Mieliśmy do zaadaptowania połowę parteru zabytkowej kamienicy. Nad nami słychać było kroki prawosławnego arcybiskupa, chodzącego po mieszkaniu. Z cerkwi na podwórku dobiegały odgłosy próby chóru. – *W takim miejscu raczej musi się udać!*

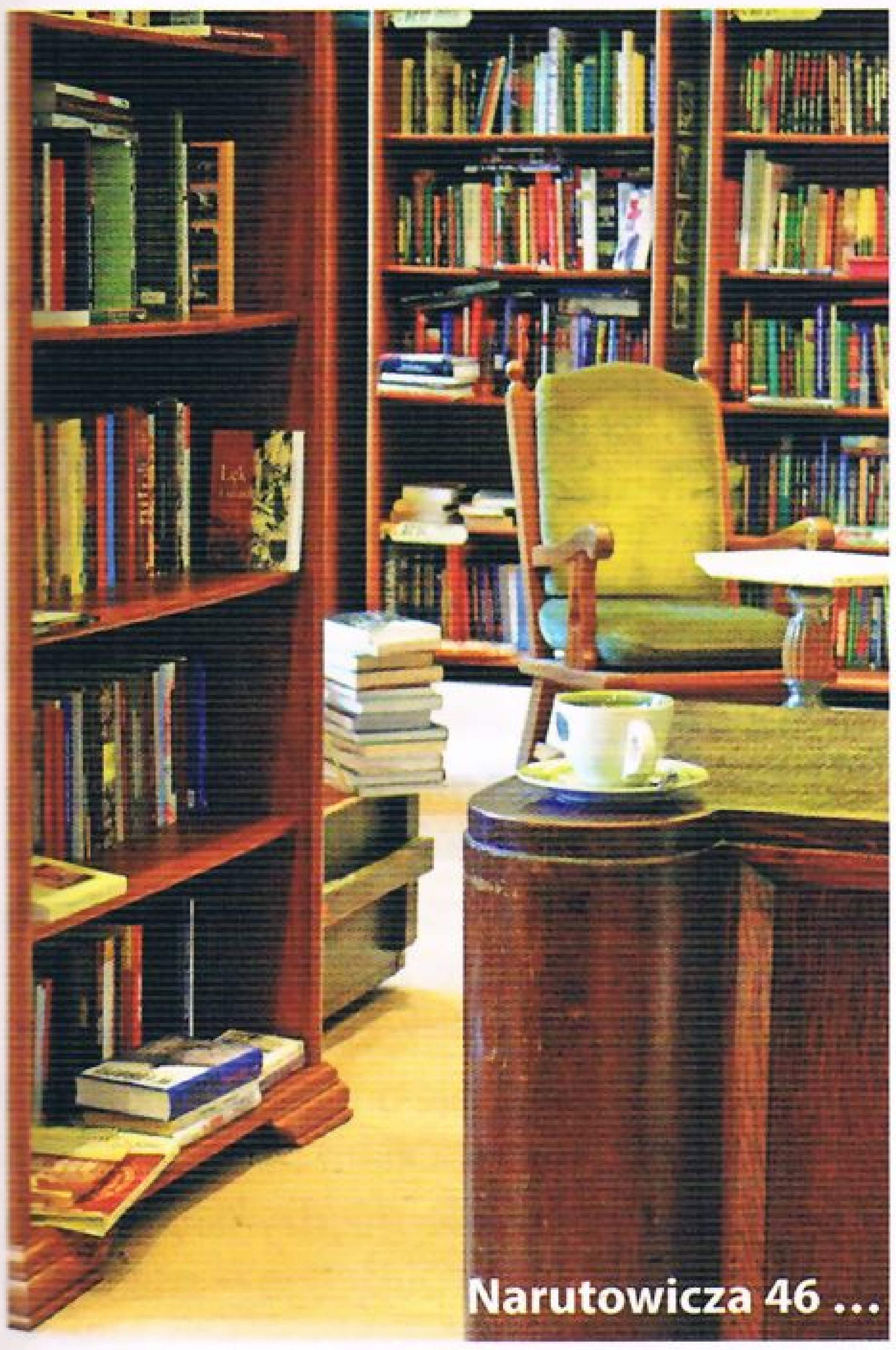

Narutowicza 46 …

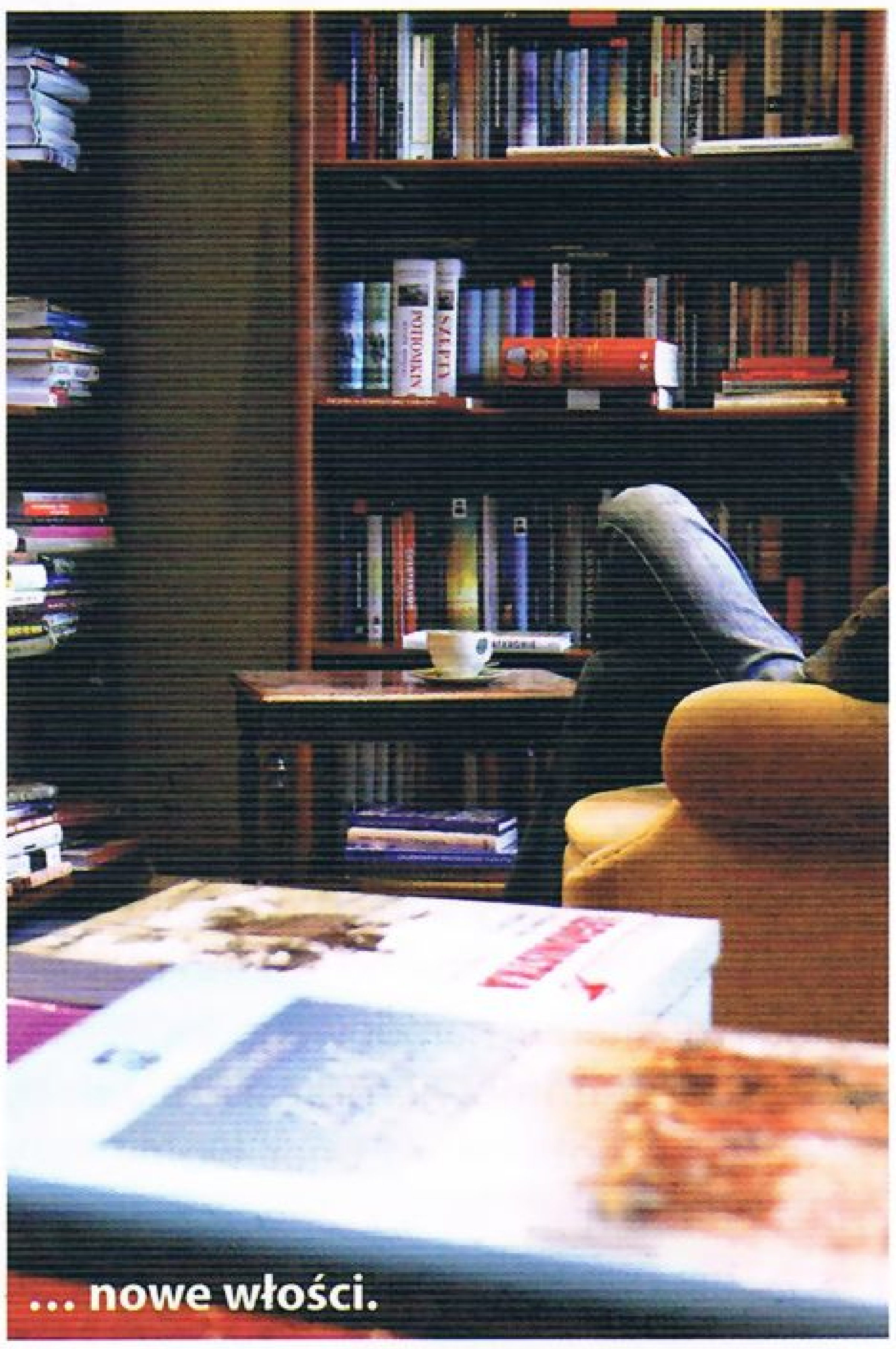

… nowe włości.

Zaczęliśmy od dwóch sal sprzedaży, ogromnego magazynu i dużej przestrzeni socjalnej. W ciągu następnych lat zwiększyliśmy księgozbiór trzykrotnie, tym samym zostaliśmy zmuszeni pod koniec ubiegłego roku do remontu: magazyn przenieśliśmy głębiej, a w jego miejscu urządziliśmy trzecią salę. W naszym zespole na stałe pojawił się Kuba, a ostatnio również Agnieszka i Ola. Nie mamy już czasu na przeglądanie każdej książki, często nawet nie wiemy, która gdzie stoi, gdyż rotacja tytułów jest przerażająca. Rozwijamy się z rozpędu i chwilami wbrew własnej woli. Nawet gdybyśmy chcieli zwolnić, nie możemy. Księgarnia Odkrywcy stała się instytucją, która ma swoje kaprysy i wymagania.

10 urodziny, czyli wielka zabawa

Pokonaliśmy przeszkody, utrzymaliśmy się na rynku przez dekadę, osiągnęliśmy silną pozycję. Uznaliśmy, że mamy co świętować. Dlatego też po raz pierwszy w naszej historii urządziliśmy urodziny. Jubileuszowe!

Bawiliśmy się przez tydzień, między 17 a 22 listopada 2014 r., codziennie zapraszając innych gości, oferując za każdym razem odmienną atrakcję. A było ich co niemiara. I tak: Tomek Grzywaczewski i Maciek Cypryk opowiedzieli o wyprawie DEAD ROAD 2013; Dziecięcy Uniwersytet Ciekawej Historii, czyli DUCH, przeniósł wszystkich do średniowiecznej Łodzi; koledzy cykliści, wsparci silną ekipą, roztoczyli przed nami czar czasów retro; dzięki uprzejmości parafii prawosławnej mieliśmy okazję zwiedzić cerkiew św. Olgi; Pani Joanny Sikorzanka, dziennikarka i felietonistka Radia Łódź, podzieliła się z zainteresowanymi fascynacjami i odkryciami zebranymi w ciągu trzydziestu pięciu lat kariery zawodowej. Na koniec zjedliśmy ogromny tort m.in. w towarzystwie redakcji „Odkrywcy" i jej Grupy Eksploracyjnej GEMO. Takich dni się nie zapomina!

… rozmowa rozpoczęta w lutym 2004 roku, jak na razie wciąż trwa.

Trwa też rozpoczęta wówczas przygoda. Dziękujemy, że biorą Państwo w niej udział wraz z nami.

Karolina Rendak

Niekoniecznie dobry duch Księgarni Odkrywcy od początku działalności tejże. Ponosi sporą odpowiedzialność za wygląd księgarni oraz jej funkcjonowanie. W wolnych chwilach udaje, że umie pisać i robić zdjęcia.

Ostatni rejs „Wilhelma Gustloffa" – 30 stycznia 1945 r. – 70 lat temu…

„Burzowe żniwa" III Rzeszy

PIOTR GALIK

„Kto sieje wiatr – zbiera burzę". Trudno o bardziej trafne i zwięzłe podsumowanie kwestii tragedii, jakie dotknęły mieszkańców Niemiec u schyłku II wojny światowej. Na naszych oczach dokonuje się wielka wolta historycznej narracji o czasach hitleryzmu. Oto okazuje się, że winnymi straszliwych zbrodni, ludobójstwa na masową skalę, łamania praw boskich i ludzkich, byli jacyś bez-etniczni „naziści", a wśród najbardziej poszkodowanych ofiar znalazł się… naród niemiecki.

Wieluń po nalocie z 1 września 1939 roku – tak zaczęła się powietrzna wojna totalna, która po kilku latach zapukała także do bram niemieckich miast…

Narrację tę zaczęto podejmować w kręgach głów państw Unii Europejskiej. Prezydent V Republiki Francuskiej, Francois Hollande, przemawiając podczas obchodów 70-lecia lądowania Aliantów w Normandii wygłosił słowa, w myśl których *„Niemcy byli ofiarami nazizmu, wplątanymi w wojnę"*. Taka deklaracja może co najmniej zastanawiać, jeśli pamięta się, że w czasie powszechnej kolaboracji z III Rzeszą (1940-1944) to właśnie Francuzi gorliwie wyłapywali Żydów i transportowali ich na stracenie do hitlerowskich obozów zagłady, zbyt często określanych w wysokonakładowych czasopismach zachodnich jako „polskie"…

Nowa, niemiecka martyrologia narodowa to już nie tylko tradycyjne kultywowanie pamięci o antyhitlerowskiej opozycji. To także wykorzystywanie wielkich tragedii, jakie dotknęły Niemców u schyłku wojny do swego rodzaju moralnego kontrataku, zawstydzenia narodów, które po 1939 roku znalazły się wśród sprzymierzeńców Wielkiej Koalicji Antyhitlerowskiej i przez dziesięciolecia spoglądały na pokonane Niemcy z moralną wyższością, wypływającą z odrazy do ludobójczej ideologii totalitarnej narodowego socjalizmu.

Trudno odmówić prawa do żałoby i goryczy potomkom ofiar wojny, lecz przecież to nie Polska, Francja czy Wielka Brytania napadły w roku 1939 na Niemcy. Stało się odwrotnie. Krzywdy i cierpienia, które doznali Niemcy w wyniku wojennej klęski były więc naturalną konsekwencją masowego poparcia społecznego dla ideologii hitlerowskiej, owej toksycznej mieszanki tradycyjnego pruskiego szowinizmu, plebejskiego populizmu i bezrefleksyjnego rasizmu. Słowa wodza NSDAP, wygłoszone u progu wojny: *„Bądźcie bez litości! Bądźcie brutalni! Osiemdziesiąt milionów ludzi musi otrzymać to, co im się należy, a należy im się zapewnienie egzystencji. Prawo jest po stronie najsilniejszego"* uderzyły rykoszetem w społeczeństwo, które wybrało niekłamaną większością głosów tego właśnie przywódcę i jego program, bez osłonek zapowiadający podbój i eksterminację innych narodów.

Wieluń, Frampol i Drezno

Wielu historyków przyjmuje, że działania zbrojne II wojny światowej rozpoczęły się od niemieckiego nalotu na polskie miasto Wieluń. 1 września 1939 roku, o godzinie 4:40 niemieckie samoloty z Luftflotte 4. (4. Armii Powietrznej) zaatakowały pozbawiony istotnych obiektów o znaczeniu militarnym Wieluń. Podczas kilkakrotnych ataków bombowce nurkujące Ju-87 zburzyły blisko 3/4 ówczesnej zabudowy miejskiej, nie omijając szpitala ani kościoła i synagogi. Ofiarą terrorystycznego nalotu, w świetle międzynarodowych konwencji wyczerpującego znamiona zbrodni wojennej (Art. 25, 26 i 27 IV Konwencji Haskiej), padło kilkaset osób cywilnych – bezbronnych mieszkańców miasta.

Podobny charakter miał atak powietrzny na Frampol, dokonany 13 września 1939 roku. Cel nalotu nie był przypadkowy, gdyż regularna zabudo-

Drezno po wielkich nalotach alianckich w lutym 1945 roku. Czy w dniu bombardowania Wielunia ktokolwiek w Niemczech przypuszczał, że los tego polskiego miasta stanie się udziałem większości metropolii III Rzeszy?

wa miejska pozwalała na dokładne oszacowanie niszczycielskiego efektu bombardowania. Zbrodniczy „eksperyment" spowodował zniszczenie lub uszkodzenie ponad 80 procent budynków, a uciekający spod bomb mieszkańcy, stali się celem ostrzału z broni maszynowej, co było również makabrycznym „ćwiczeniem" celności ognia niemieckich lotniciu bomb zapalających, wywołały niszczycielską burzę ogniową. Gigantyczny, nieopanowany pożar pochłonął niemal 40 kilometrów kwadratowych obszaru miejskiego, a śmierć poniosło nie mniej, niż 25 tysięcy osób, w większości kobiet i dzieci (w literaturze przedmiotu spotykane są szacunki, wskazujące nawet na dziesięciokrotnie większą liczbę ofiar nieograniczonej wojny podwodnej, prowadzonej przez III Rzeszę na różnych, nieraz bardzo odległych akwenach. Hasło Hitlera: „Bądźcie bez litości" dotyczyło bowiem także marynarzy Kriegsmarine. Odnosiło się to zwłaszcza do broni podwodnej, której młode kadry oficerskie ukształtowane były w duchu narodowego socjalizmu.

Parowy transatlantyk „Athenia", pierwsza ofiara totalnej wojny morskiej, zatopiony został przez niemiecki okręt podwodny, którego kapitan złamał międzynarodowe prawo wojenne, za co ze strony przełożonych spotkała go... dekoracja za waleczność...

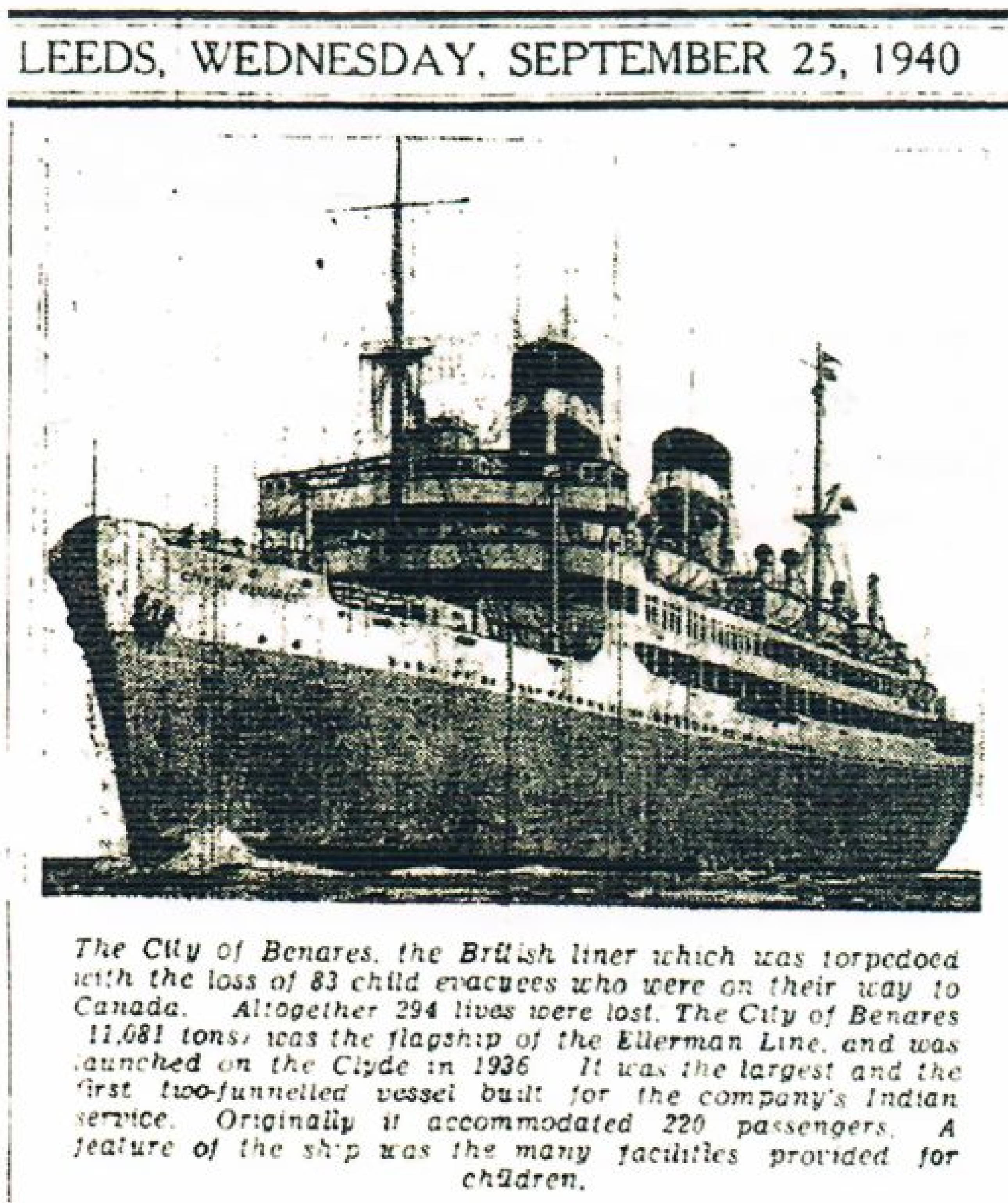

LEEDS, WEDNESDAY, SEPTEMBER 25, 1940

The City of Benares, the British liner which was torpedoed with the loss of 83 child evacuees who were on their way to Canada. Altogether 294 lives were lost. The City of Benares (11,081 tons) was the flagship of the Ellerman Line, and was launched on the Clyde in 1936. It was the largest and the first two-funnelled vessel built for the company's Indian service. Originally it accommodated 220 passengers. A feature of the ship was the many facilities provided for children.

Informacja o zatopieniu SS „City of Benares" opublikowana w gazecie „Yorkshire Post" z 25 IX 1940 roku. Pasażerski parowiec „City of Benares", zatopiony przez niemiecki okręt podwodny podczas rejsu ewakuacyjnego – wśród pasażerów statku były dzieci z brytyjskich miast, bombardowanych przez Luftwaffe, przewożone do odległej, bezpiecznej Kanady...

ków... Złamano wówczas pewne psychologiczne bariery, ustanowiono nowe, zbrodnicze standardy wojny totalnej.

Takie kroki zwykle zwracają się przeciwko ich inicjatorom. Posiew śmierci nad Polską już wkrótce przyniósł Niemcom śmiertelne żniwo.

Brytyjska ofensywa bombowa rozpoczęta w 1942 roku i kontynuowana przy pomocy lotnictwa amerykańskiego w latach następnych, spowodowała ogromne straty materialne i wielkie ofiary w ludziach. Wielokrotnie powtarzane nocne naloty dotyczyły nie tylko obszarów przemysłowych. Cykliczne ataki na Kolonię (bombardowaną 262 razy) czy Berlin (363 naloty) oznaczały przede wszystkim zniszczenie budynków mieszkalnych i śmierć tysięcy ich lokatorów. W ostatnich miesiącach wojny z większych miast niemieckich jedynie Drezno pozostawało stosunkowo nieznacznie uszkodzone.

Los stolicy Saksonii dopełnił się w połowie lutego 1945 roku.

Zapełnione uchodźcami ze strefy przyfrontowej i zagranicznymi robotnikami przymusowymi miasto, pozostające ważnym węzłem komunikacyjnym, pozbawione było czynnej obrony przeciwlotniczej. Bombardowania alianckie z 13 i 14 lutego, prowadzone przy użylotu). W bombardowaniu Drezna wziął udział także lotnicy polscy, załogi Lancasterów z Dywizjonu 300.

Czy jako Polacy powinniśmy czuć się współwinnymi zbrodni wojennej?

Bez nalotu na Wieluń nie byłoby polskich bombowców nad Dreznem. Dlatego gorzki uśmiech budzą hasła niemieckich demonstrantów, którzy podczas obchodów rocznicowych nalotów na Drezno noszą transparenty z wezwaniem: „Nie mehr Bombenterror!" (Nigdy więcej terroru bombowego) – czy młodzi Niemcy znają prawdę o Wieluniu i Frampolu, o tym, kto wprowadził do wojennej praktyki terror bombowy? Czy koncentrują się raczej na własnej martyrologii, żywiąc urazy wobec zwycięzców w wojnie przez ich kraj wywołanej i prowadzonej w bezlitosny, totalny sposób?

„Athenia", „City of Benares" i...

Zatrważający los cywilnych uciekinierów z Prus Wschodnich, którzy zimą 1945 roku znaleźli śmierć w lodowatych wodach Bałtyku, może (i powinien) budzić współczucie wśród ludzi o niewypaczonej etyce. Chyląc głowę przed cierpieniami i śmiercią tysięcy osób, w tym setek dzieci, nie możemy jednak zapominać, że podobny los przypadł w udziale wcale nie mniejszej liczbie ofiar nieograni-

Ideały hitleryzmu bliskie były także dowódcy okrętu podwodnego U-30. Kapitan Julius Lemp postanowił zaatakować napotkany 3 września 1939 roku nieuzbrojony statek pasażerski, płynący pod banderą brytyjską. Wbrew umowom międzynarodowym (Konwencja Haska, Traktat Londyński) oraz wewnętrznym przepisom Kriegsmarine (Prisenordnung) U-30 odpalił bez ostrzeżenia torpedę, która śmiertelnie ugodziła transatlantyk SS „Athenia". Na pokładzie statku, który rozpoczął swój rejs do Kanady jeszcze przed wypowiedzeniem wojny III Rzeszy przez Wielką Brytanię, znajdowało się 1103 pasażerów, w tym kilkuset żydowskich uchodźców z Niemiec, 469 Kanadyjczyków, 311 Amerykanów i 72 Brytyjczyków. Załoga liczyła 315 osób.

W wyniku ataku (a także w wypadkach podczas akcji ratunkowej) śmierć poniosło 98 pasażerów i 19 marynarzy załogi. Niemiecki okręt podwodny oddalił się z miejsca ataku i nie udzielił pomocy rozbitkom, do czego był formalnie zobowiązany prawem wojennym.

Bezprawne zatopienie „Athenii" wywołało szalenie niekorzystny dla Niemiec efekt propagandowy. Oburzenie opinii publicznej w neutralnych Stanach Zjednoczonych było ogromne. Pogrzeb zmarłej w wyniku odniesionych obrażeń 10-letniej dziewczynki stał się masową demonstracją antyniemieckich nastrojów.

Reakcja władz III Rzeszy była typowa dla reżimów totalitarnych. Kapitana Lempa wezwano do dowództwa floty, gdzie udzielił wyjaśnień, podkreślając, że uznał statek za nieprzyjacielski okręt – krążownik pomocniczy. Wyjaśnienia przyjęto, a kapitan Lemp został wkrótce nagrodzony Krzyżem Żelaznym i kontynuował służbę, dowodząc nadal okrętem podwodnym. Decyzją Hitlera prawda o „incydencie »Athenii«" miała pozostać w tajemnicy, rozpoczęto natomiast kampanię prasową, sugerującą brytyjską prowokację, mającą na celu wciągnięcie USA do działań zbrojnych.

Podobną taktykę przyjęto rok później, gdy inny okręt podwodny (U-48) zatopił bez wymaganego prawem ostrzeżenia brytyjski statek pasażerski „City of Benares", wiozący na pokładzie dzieci ewakuowane z bombardowanych miast brytyjskich. Śmierć poniosło wówczas około 80 z nich. Zatopienie „City of Benares" uznane zostało przez Brytyjczyków za zbrodnię wojenną, a jego dowódca, Korvettenkapitän Heinrich Bleichrodt, jeden z niewielu niemieckich asów wojny podwodnej, który doczekał końca wojny, stanął przed sądem. Sprawca zatopienia „Athenii" poległ w roku 1941, lecz jego czyn trafił do akt słynnego procesu w Norymberdze. Dochodzenie wykazało, że dziennik pokładowy U-30 został celowo spreparowany: usunięto zapisy dotyczące ataku na brytyjski statek w dniu 3 września 1939 roku.

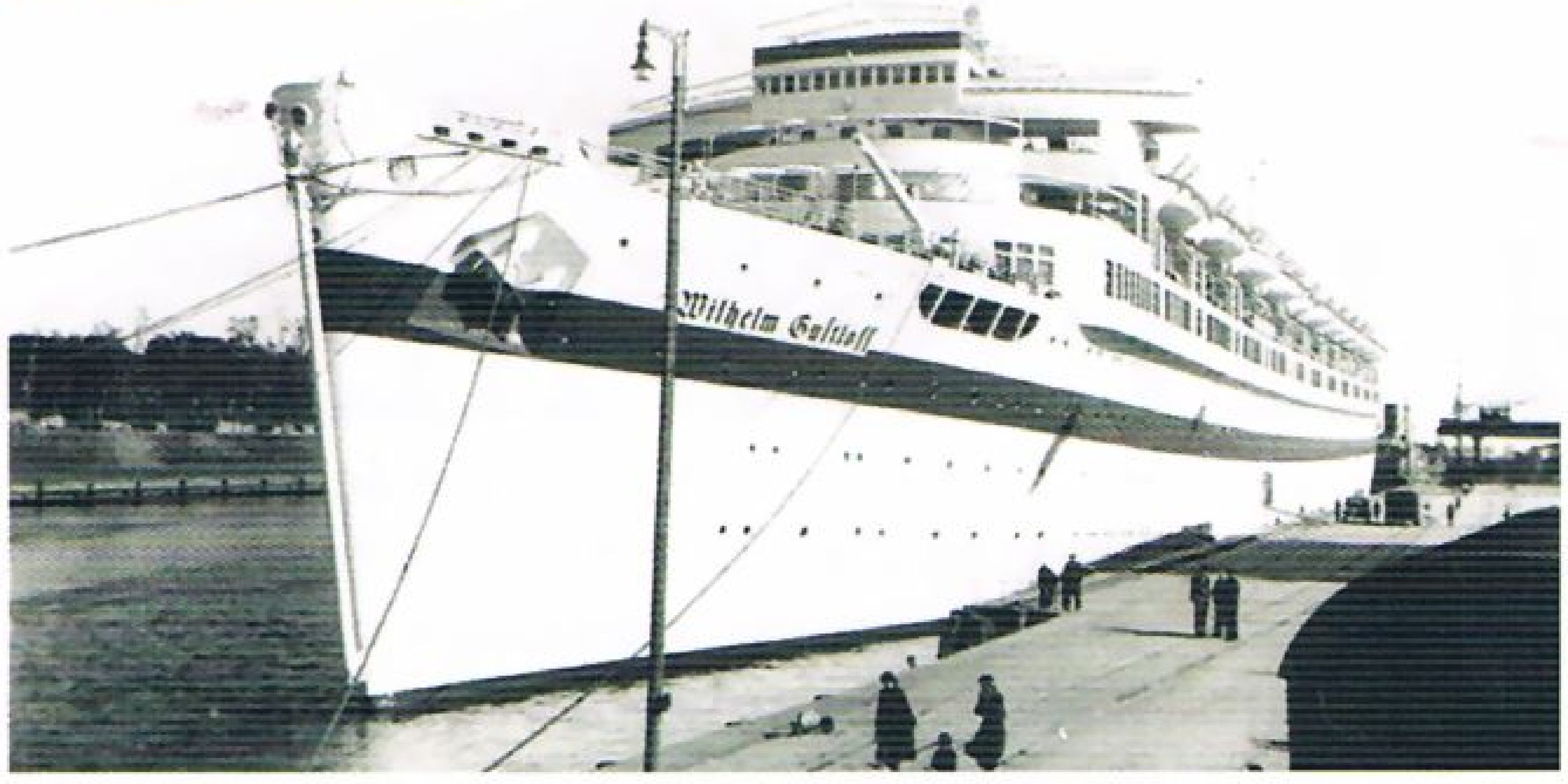

„Wilhelm Gustloff" został zbudowany jako starek wycieczkowy. Przed wojną odbył 50 rejsów, których pasażerami byli pracownicy zrzeszeni w hitlerowskich związkach zawodowych. Zgodnie i ideami narodowego socjalizmu, statek zaprojektowano jako „jednoklasowy", zrywając z tradycyjnym podziałem przestrzeni kabinowej na luksusowe apartamenty dla elity i mroczne, zatłoczone ładownie dla ubogich emigrantów do Ameryki.

... „Wilhelm Gustloff", „Steuben", „Goya"

Pirackie ataki niemieckich okrętów podwodnych na żeglugę aliancką stały się wkrótce powszechnie praktykowanym sposobem prowadzenia wojny morskiej. Zbrodnicze „standardy" ustanowione przez Kriegsmarine przyczyniły się do brutalizacji działań zbrojnych, wpisując się doskonale w doktrynę wojny totalnej, głoszonej przez Hitlera.

Bezlitosne metody walki przyjął także drugi z ówcześnie panujących totalitarnych reżimów – stalinowski komunizm. Czerwona Flota Bałtycka, która po wywołanym niemieckim Blitzkriegiem okresie paraliżu powróciła w roku 1944 do czynnego udziału w wojnie, miała w swoim składzie także okręty podwodne. Jednym z nich był S-13, należący do typu Staliniec (wyporność 853/1050 ton, maksymalne zanurzenie: 100 m, maksymalna szybkość: 19,5 węzła, załoga 50 osób, uzbrojenie: 6 wyrzutni torpedowych (12 torped) oraz działa kalibru 100 mm i 45 mm). Projekt tej klasy okrętów miał niemieckie korzenie – w okresie obowiązywania Traktatu Wersalskiego Niemcy nie mogły posiadać floty podwodnej, zatem swoje bogate doświadczenie konstrukcyjne wykorzystywały za granicą, oferując projekty nowoczesnych okrętów podwodnych innym państwom. Wśród nabywców dokumentacji znalazł się także Związek Sowiecki. Początkowo klasa S nosiła zresztą oznaczenie N (niemieckij). Stalińce produkowane były w stoczniach nie tylko morskich, ale także śródlądowych. S-13 zbudowany został w mieście Gorki (właśc. Niżnyj Nowgorod) nad Wołgą. Okręt przeznaczono do służby na Bałtyku, a jego macierzystą bazą został Kronsztad. „Pechowy" numer bałtyckiego Stalińca przyniósł jednostce sporą dozę wojennego szczęścia...

W roku 1942 S-13 zatopił dwa niewielkie statki fińskie i jeden niemiecki, a ponadto uniknął zatopienia przez okręty eskorty. Największe sukcesy miały przyjść dopiero w ostatnim roku wojny. Pod komendą nowego kapitana, Aleksandra Iwanowicza Marinesko (właśc. Marinescu), okręt patrolował u południowych wybrzeży Bałtyku, polując na nieprzyjacielską żeglugę kabotażową, a szczególnie na jednostki prowadzące akcję ewakuacyjną z Kurlandii i Prus Wschodnich.

Sowiecki okręt podwodny S-13, „stalowy rekin" największego asa stalinowskich podwodników, kapitana Aleksandra Iwanowicza Marinesko. Pogromca „Gustloffa" i „Steubena" miał opinię oficera niezdyscyplinowanego, nieobyczajnego i nadużywającego alkoholu, dlatego też nie doczekał nominacji na Bohatera Związku Sowieckiego. Tytuł ten przyznano mu dopiero 27 lat po śmierci (1990).

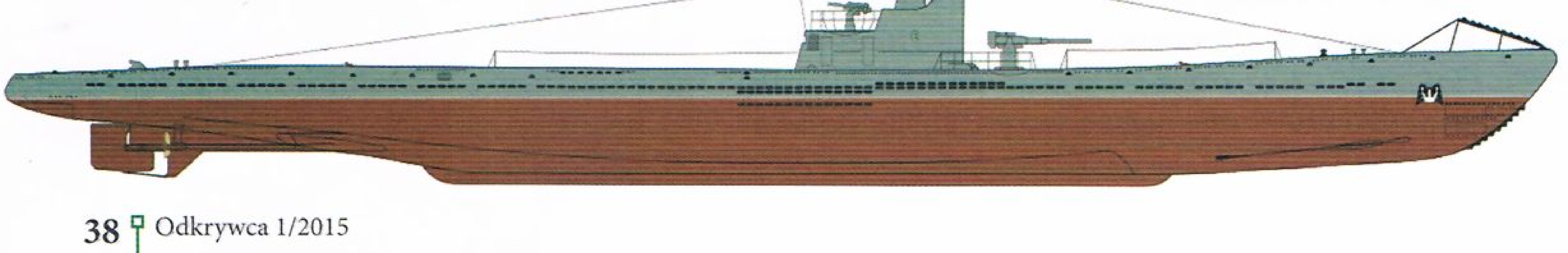

„Steuben" (fot. po lewej) i „Goya" – jednostki, których zatopienie spowodowało największe morskie tragedie w historii żeglugi.

W styczniu 1945 roku na kruchy niemiecki front wschodni spadła potężna ofensywa sowiecka. W jej wyniku w ręce Armii Czerwonej wpadły znaczne obszary, a linia frontu odrzucona została o kilkaset kilometrów – znad Wisły nad Odrę. Morskim pokłosiem tych wydarzeń stała się „Operacja Hannibal". Kryptonim ten oznaczał ewakuację drogą wodną oddziałów wojskowych, władz partyjnych, ale także wielkiej liczby cywilnych uchodźców, pragnących uniknąć morderstw, gwałtów i rabunków, towarzyszących zajmowaniu ziem III Rzeszy przez Sowietów. W czasie 15 tygodni ponad 1000 niemieckich jednostek pływających przewiozło z odciętych i zagrożonych zajęciem obszarów około 3 miliony osób. Straty od bomb, torped i pocisków sowieckiego lotnictwa i Floty Bałtyckiej wyniosły około 33 tysiące osób (ok. 1,3 proc. ewakuowanych) oraz 245 statków i okrętów (ok. 25 proc. jednostek). W kategoriach strategicznych była to zatem jedna z największych i najbardziej pomyślnych morskich operacji ewakuacyjnych w dziejach ludzkości.

Ponury cień na ten ostatni sukces Kriegsmarine kładzie jednak seria największych morskich tragedii XX wieku: zatopienie jednostek „Wilhelm Gustloff" (30 stycznia 1945 r.), „General von Steuben" (10 lutego 1945 r.) oraz „Goya" (17 kwietnia 1945 r.).

„Wilhelm Gustloff" zwodowany został jako statek wycieczkowy dla hitlerowskiej organizacji Kraft durch Freude („Siła przez radość"), organizującej urlopowy wypoczynek dla pracowników zrzeszonych w hitlerowskim związku zawodowym – Niemieckim Froncie Pracy. Nazwa statku miała upamiętniać „męczennika idei nazizmu" – działacza NSDAP zabitego w Szwajcarii przez żydowskiego emigranta. Patron nie przyniósł jednostce szczęścia. Po stosunkowo krótkim okresie służby cywilnej, „Gustloff" został zmobilizowany i we wrześniu 1939 roku stał się statkiem szpitalnym. Jesienią 1940 roku został przebudowany na „pływające koszary" – bazę szkoły załóg okrętów podwodnych, zacumowaną w doku portu gdyńskiego. Zamontowano wówczas na pokładzie jednostki uzbrojenie (działka przeciwlotnicze, wyrzutnie bomb głębinowych). Po czterech latach bezczynności okręt koszarowy „Gustloff" włączony został do „morskiego pospolitego ruszenia" Kriegsmarine. Z racji swojej znacznej wyporności i posiadania licznych kabin, „Gustloff" wyśmienicie nadawał się do zadań ewakuacyjnych. Jednak jego pierwszy od lat rejs miał stać się rejsem ostatnim…

Wypływając z Gdyni „Wilhelm Gustloff" zabrał – według oficjalnej listy pokładowej – 173 marynarzy załogi, 918 instruktorów i kursantów II. Dywizjonu Szkolnego U-Bootwaffe, 373 członkinie kobiecej służby pomocniczej, 162 rannych żołnierzy sił lądowych oraz 4424 osoby ewakuowane, w tym policjantów, funkcjonariuszy NSDAP i urzędników z rodzinami oraz liczne osoby cywilne, wśród nich setki (może nawet tysiące) dzieci. Zapewne na pokład okrętu weszło więcej, niż odnotowane 6050 osób, niektórzy autorzy szacują, że było ich ponad 10 tysięcy. W atmosferze apokalipsy III Rzeszy chęć ocalenia brała górę nad niemieckim zdyscyplinowaniem…

„Wilhelm Gustloff" odbił od gdyńskiego nabrzeża wczesnym popołudniem 30 stycznia 1945 roku. Towarzyszący mu statek pasażerski „Hansa" doznał awarii i musiał zawrócić, zabierając ze sobą jednostkę eskortową. W dalszej drodze „Gustloffowi" towarzyszył jedyny okręt osłony, niewielki torpedowiec „Löwe". Kolektywne dowództwo (czterech „współkapitanów"!) spierało się co do optymalnej trasy dalszej żeglugi. Wybór płytkich wód przybrzeżnych, wolnych od sowieckich łodzi podwodnych, oznaczał ryzyko wejścia na minę. Ostatecznie wybrano trasę głębokowodną, wytrałowaną „do czysta" przez poławiacze min Kriegsmarine. Wybór okazał się fatalny.

Trasa „Gustloffa" przebiegała bowiem w zasięgu wzroku wynurzonego w nocnych ciemnościach sowieckiego okrętu podwodnego S-13. Chwilowe włączenie świateł pozycyjnych „Gustloffa", nakaza-

REKLAMA

www.wykrywacze24.pl

POLECAMY SZEROKI WYBÓR DETEKTORÓW DLA KAŻDEGO POSZUKIWACZA

JESTEŚMY DYSTRYBUTORAMI MAREK

DORADZAMY...SPRZEDAJEMY...SERWISUJEMY...
tel. 660 797 830, e-mail: El-car@tlen.pl
72-200 Nowogard, ul. 3 Maja 44

Tablica pamiątkowa poświęcona pamięci ofiar „Gustloffa", „Steubena" i „Goi" odsłonięta w 2010 r. w 65. Rocznicę tragicznych katastrof. Wmurowana w kościele Matki Bożej Nieustającej Pomocy i Świętego Piotra Rybaka w Gdyni.

ne dla uniknięcia kolizji z przepływającą w tym rejonie eskadrą niemieckich trałowców, przesądziło o losie okrętu i tysięcy jego pasażerów.

Kapitan Marinesko dostrzegł potencjalny cel i po dwugodzinnym pościgu nakazał atak torpedowy. Około godziny 21:00 odpalona została dziobowa salwa z wszystkich czterech wyrzutni. Trzy pociski trafiły kadłub „Gustloffa". Takie trafienie zatopiłoby nawet pancernik (np. HMS „Barham", 1941), duży, lecz delikatny „pasażer" był bez szans na ocalenie. Zatonął po trzech kwadransach, a trwało to tak długo jedynie dzięki temu, że natychmiast po trafieniu nakazano zamknąć grodzie wodoszczelne w kadłubie – skazując tym samym na śmierć osoby odcięte w zablokowanych pomieszczeniach. Akcja ratunkowa – wobec przepełnienia jednostki i przymarznięcia szalup do żurawików (tylko jedną łódź opuszczono bez problemu) – nie mogła zapewnić ocalenia pasażerom. Trzeba dodać, że znaczny mróz, silny wiatr i temperatura wody, wynosząca ok. 4 stopnie Celsjusza nie dawały szans przetrwania tym, którzy znaleźli się poza szalupami. Kilka minut przebywania w takich warunkach oznaczało śmierć przez wychłodzenie organizmu. Jedynie poświęceniu załóg eskortowca „Löwe" oraz przybyłej na miejsce tragedii eskadry trałowców ocalenie zawdzięczało 1252 osoby (w tym wszyscy czterej „współkapitanowie" „Gustloffa").

Niezależnie od faktycznej liczby ofiar, będącej tematem dyskusji i sporów, zagłada „Gustloffa" to bez wątpienia wielka tragedia. Tragedia, lecz nie zbrodnia wojenna. Trudno bowiem zaprzeczyć, że w swoim ostatnim rejsie dawny statek wycieczkowy był uzbrojonym okrętem, płynącym w zaciemnieniu i pod eskortą, a zatem zaskakujący atak torpedowy sowieckiego okrętu mieścił się w ramach prawa wojennego. Podkreślić także należy, że cywilni uciekinierzy z Gdyni stali się niejako „żywymi tarczami" dla kursantów szkoły broni podwodnej Kriegsmarine. Stawianie zatem ich – rzeczywistego i niezaprzeczalnego – dramatu w roli argumentu na rzecz tezy o Niemcach jako ofiarach wojny wydaje się nieco dyskusyjne. Przed straszną śmiercią tysięcy kobiet i dzieci na „Gustloffie", „Steubenie" i „Goi" miały miejsce pirackie ataki na „Athenię", „City of Benares" i wiele innych statków, także przewożących cywilów, w tym dzieci.

Czy zatem uznamy, że są ofiary „lepsze" i „gorsze"? „Bardziej" i „mniej" zasługujące na pamięć? Współczując potomkom niemieckich ofiar sowieckiej floty czy alianckich bombowców nie zapominajmy, że tę najstraszniejszą z wojen rozpętał reżim wybrany demokratyczną większością głosów i cieszący się autentycznym, masowym poparciem swojego społeczeństwa – dopóki to inne kraje i narody padały ofiarami agresji, okupacji, grabieży, wysiedleń i ludobójstwa. Otrzeźwienie nadeszło dopiero, gdy but sowieckiego żołnierza stanął na bruku pruskiego Królewca, a naloty aliantów obróciły w gruzy większość niemieckich miast. Powojenna „denazifikacja" okazała się dość powierzchowna i zdecydowanie łagodna. Silne Niemcy potrzebne były obydwu stronom zimnej wojny, nie było więc atmosfery sprzyjającej starannej selekcji i przykładnego ukarania zwolenników hitleryzmu.

Każdy naród, każdy kraj ma prawo do własnej wizji historii. Nie pozwólmy zatem, by naszą historię pisano pod dyktando tych, którym do pełni szczęścia brakuje jedynie zrzucenia moralnego brzemienia sprawstwa II wojny światowej i odpowiedzialności za popełnione w jej czasie zbrodnie. A roniąc łzę nad ofiarami nalotów na Drezno czy zatopienia „Gustloffa", pamiętajmy także o naszych – znacznie liczniejszych – rodakach, zamordowanych w imię obłędnej ideologii Herrenvolku, przez „ich matki, ich ojców" w obozach zagłady, jak na szyderstwo nazywanych obecnie „polskimi"...

ZDJĘCIA: BUNDESARCHIV, CNA CANADA, WIKIPEDIA.ORG

Literatura:
1. H. Schoen, „Tragedia Gustloffa", Zakrzewo 2006
2. M. Jamkowski, „Duchy z głębin Bałtyku. Steuben, Gustloff, Goya", Warszawa 2010
3. J. Pertek, „Korsarze wyruszają na morza i oceany", Poznań 1973
4. N. Davies, „Europa walczy 1939-1945. Nie takie proste zwycięstwo", Kraków 2008

Piotr Galik
Historyk, pisarz, erudyta. Długoletni współpracownik i przyjaciel „Odkrywcy" i konsultant z dziedziny wojskowości, chociaż jego ogromna wiedza obejmuje wiele innych dziedzin z zakresu historii. Kolekcjoner-falerysta.

zdarzyło się...

4 I 1943 r.

72 lata temu na mocy potrójnego wyroku śmierci Niemcy rozstrzelali w Atenach słynnego „Agenta nr 1" – Jerzego Iwanowa-Szajnowicza. Urodzony pod carskim zaborem w Warszawie, wychowany w odrodzonej Polsce, wykształcony w Belgii, wczesną młodość spędził w Grecji, która stała się jego drugą ojczyzną. Tam też w czasie II wojny światowej działał przeciwko Niemcom i Włochom, jako jeden z najskuteczniejszych asów polskiego oraz brytyjskiego wywiadu na Bałkanach. Prowadząc akcje szpiegowskie, sabotażowe i dywersyjne stał się symbolem greckiego ruchu oporu i jednocześnie bohaterem narodowym, którego pomnik do dziś stoi w Salonikach. Również w Polsce doceniono jego zasługi nadaniem mu pośmiertnie orderu Virtuti Militari, zaś losy spopularyzowane zostały w poczytnej powieści „Agent nr 1" i jej filmowej adaptacji z Karolem Strasburgerem w roli głównej.

ARCHIWUM „ODKRYWCY” – TAK TANIO JESZCZE NIE BYŁO!

Dla naszych Czytelników przygotowaliśmy specjalną ofertę zakupu egzemplarzy archiwalnych. Przez okres od **1 STYCZNIA** do **28 LUTEGO 2015 roku** (liczy się termin złożenia zamówienia) proponujemy Wam zakup archiwalnych numerów „Odkrywcy” **PO REWELACYJNIE NISKIEJ CENIE 5 ZŁ ZA EGZEMPLARZ.**

Oferta dotyczy wszystkich dostępnych numerów, a szczególnie numerów z lat 2006-2013 (od 1/84 do 12/179), których regularna cena wynosi od 7 do 10 zł, oraz numerów z pierwszego półrocza 2014 roku (od nr 1/180 do 6/185) których regularna cena to 12, 60zł.

Dodatkowe warunki promocji dotyczące numerów od 1/84 do 6/185 opłaconych przed odbiorem:

» przy zamówieniu 12 dowolnych numerów lub całego rocznika, Zamawiający nie ponosi żadnych dodatkowych kosztów,
» przy zamówieniu od 9 do 11 numerów – ze względu na wagę jest to już paczka – Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 13 zł,
» przy zamówieniu od 5 do 8 numerów, Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 6,30 zł*,
» przy zamówieniu od 2 do 4 numerów, Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 3,70 zł,
» przy zamówieniu 1 numeru Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 1,75 zł.

Wpłaty należy kierować na nasze konto: numer 98 2490 0005 0000 4520 6153 2533
dla IBHiK sp. z o.o., ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin.
Uwaga: dokonując wpłaty odpowiedniej kwoty na nasze konto, akceptujecie Państwo podane warunki promocji wraz z dodatkowymi opłatami.

Prosimy pamiętać o podaniu swoich danych (**imię, nazwisko i adres**) niezbędnych do realizacji zamówienia. W tytule przelewu prosimy o wpisanie jakich numerów dotyczy zamówienie.

Przykłady:
1. Zamawiam rocznik (12 numerów) z 2012 roku – cena stara 108 zł – **cena nowa 60 zł**
2. Zamawiam 8 numerów z lat 2010-2012 – cena stara od 72 zł – **cena nowa 40 zł ***
3. Zamawiam 5 pierwszych numerów z roku 2014 – cena stara 63 zł – **cena nowa 25 zł**

Przy zamówieniach opłaconych przy odbiorze, czyli „za pobraniem”, do wartości zamówienia, poza ewentualnym kosztem przesyłki, doliczamy dodatkowo 3 zł za usługę pobrania. **Uwaga:** takie zamówienie należy złożyć drogą mailową na adres: prenumerata@odkrywca.pl lub przesłać faksem pod numer 71 329 83 71. W zamówieniu należy podać dokładnie, jakie numery Państwo zamawiacie, podać wartość zamówienia wraz z opłatami dodatkowymi – przesyłka i pobranie. Zamówienia „za pobraniem” złożone telefoniczne nie będą realizowane. Informujemy, że mają Państwo prawo do odstąpienia od umowy zakupu w terminie do 14 dni od dnia otrzymania zamówienia.

Podstawa prawna: Ustawa o prawach konsumenta, Kodeks cywilny.

Dodatkowe informacje możecie Państwo uzyskać pod numerem telefonu 71 329 71 71, e-mailem prenumerata@odkrywca.pl a także na stronie www.odkrywca.pl i na facebooku.

Zapraszamy do uzupełnienia swojego archiwum po wyjątkowo preferencyjnych cenach!

Przypominamy, że numery z lat 2001-2005 są do nabycia zawsze w cenie 5zł/egz. natomiast numery z II półrocza 2014 roku (od 7/186) do aktualnego, są do nabycia w obniżonej cenie wydawniczej 12, 60 zł/egz. razem z wysyłką listem zwykłym krajowym.

Najprościej dokonując wpłaty

Dane adresowe naszego Wydawnictwa

Numer konta bankowego naszego Wydawnictwa

*) przykład graficzny

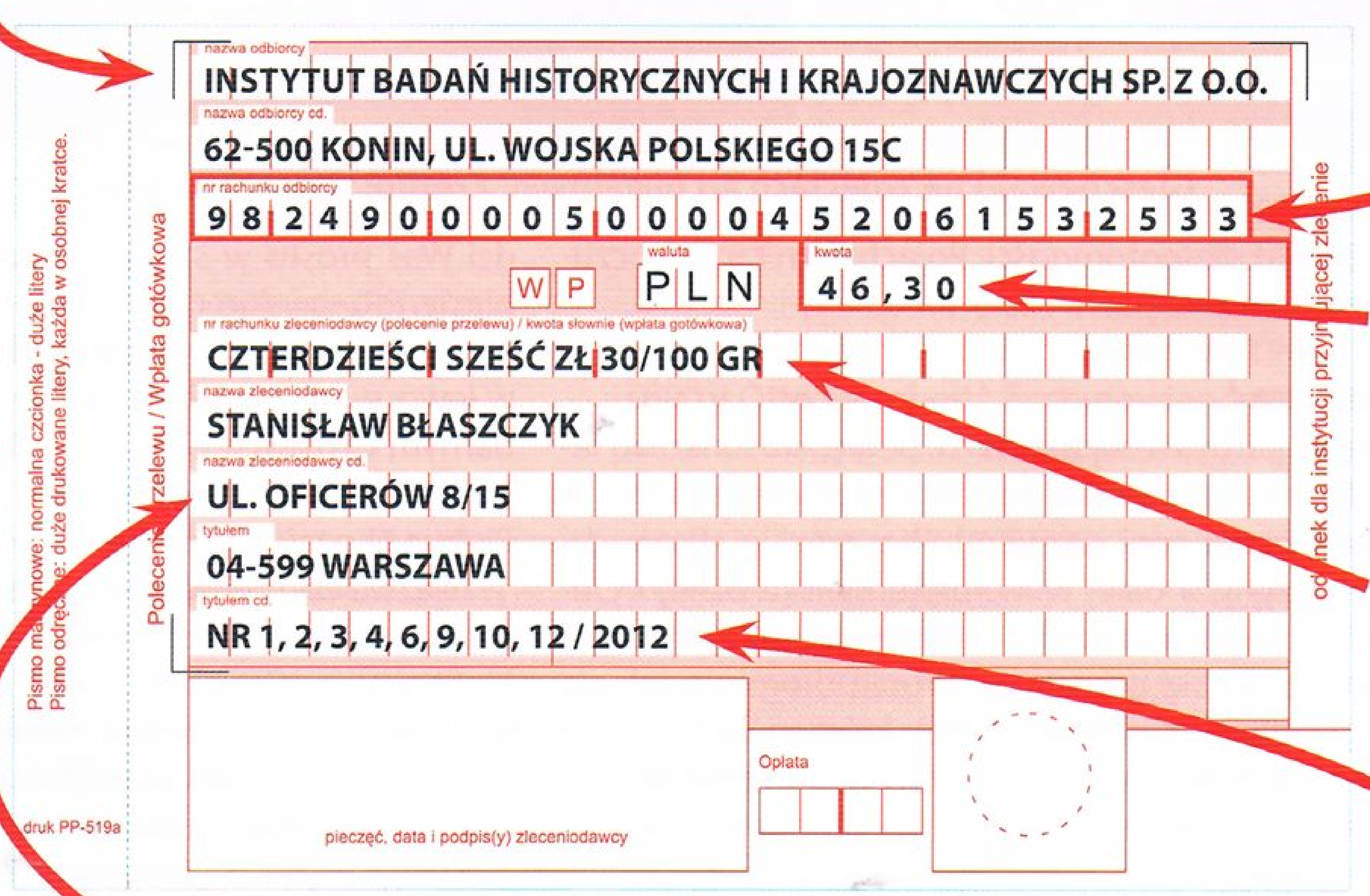

Kwota zgodna z warunkami promocji podanymi wyżej

Numer konta wpłacającego lub kwota słownie

Pełny adres pocztowy wraz z imieniem, nazwiskiem i/lub ewentualnie nazwą firmy bądź instytucji.

Szczegóły zamówienia

GISZOWIEC – osiedle pełne zapomnianych tajemnic

DARIUSZ PIETRUCHA

Giszowiec i Nikiszowiec. Każdy mieszkaniec Śląska słyszał te nazwy. Tylko niekoniecznie wie, co się za nimi kryje. Giszowiec, uwieczniony we wspaniałym filmie Kazimierza Kutza „Paciorki jednego różańca", jest swoistym symbolem śląskiej ziemi i samych Katowic. A wszystko, jak to zazwyczaj bywało na Górnym Śląsku, związane było z historią jednej kopalni. Dzisiaj to kopalnia „Wieczorek". Ale dawniej, w zamierzchłych czasach, była to kopalnia „Giesche". Jedna z największych w regionie.

Jak to wszystko się zaczęło? Ano od „Paciorków jednego różańca", czyli historii Karola Habryki, emerytowanego górnika, broniącego swojego starego świata przed zalewem nijakiej nowoczesności, która poruszyła moje serce. Plenerem dla filmu było osiedle Giszowiec w obecnych granicach Katowic. Co gorsza, burzone osiedle. Tak więc film nabrał dla mnie innego wymiaru, bo pokazywał prawdziwą historię. Dopiero później dowiedziałem się, że tak naprawdę na Giszowcu nie było przypadku filmowego buntu Habryki. Osiedle burzono, a więc trzeba się było spieszyć, chcąc zobaczyć owo miejsce, poczuć atmosferę prawdziwego Śląska, zanim zniknie w krajobrazie asfaltowych ulic, osiedlowych parkingów i skwerów z wielkimi śmietnikami. Na szczęście podczas budowy Osiedla im. Stanisława Staszica, fragment zabudowań Giszowca wpisano do rejestru zabytków (decyzją konserwatora zabytków z lat 1978 i 1987). To uratowało przynajmniej część tego starego, przepięknego osiedla górniczego. Ocaliło dla potomności. Pojechałem tam i poczułem. No i tak się właśnie zaczęło.

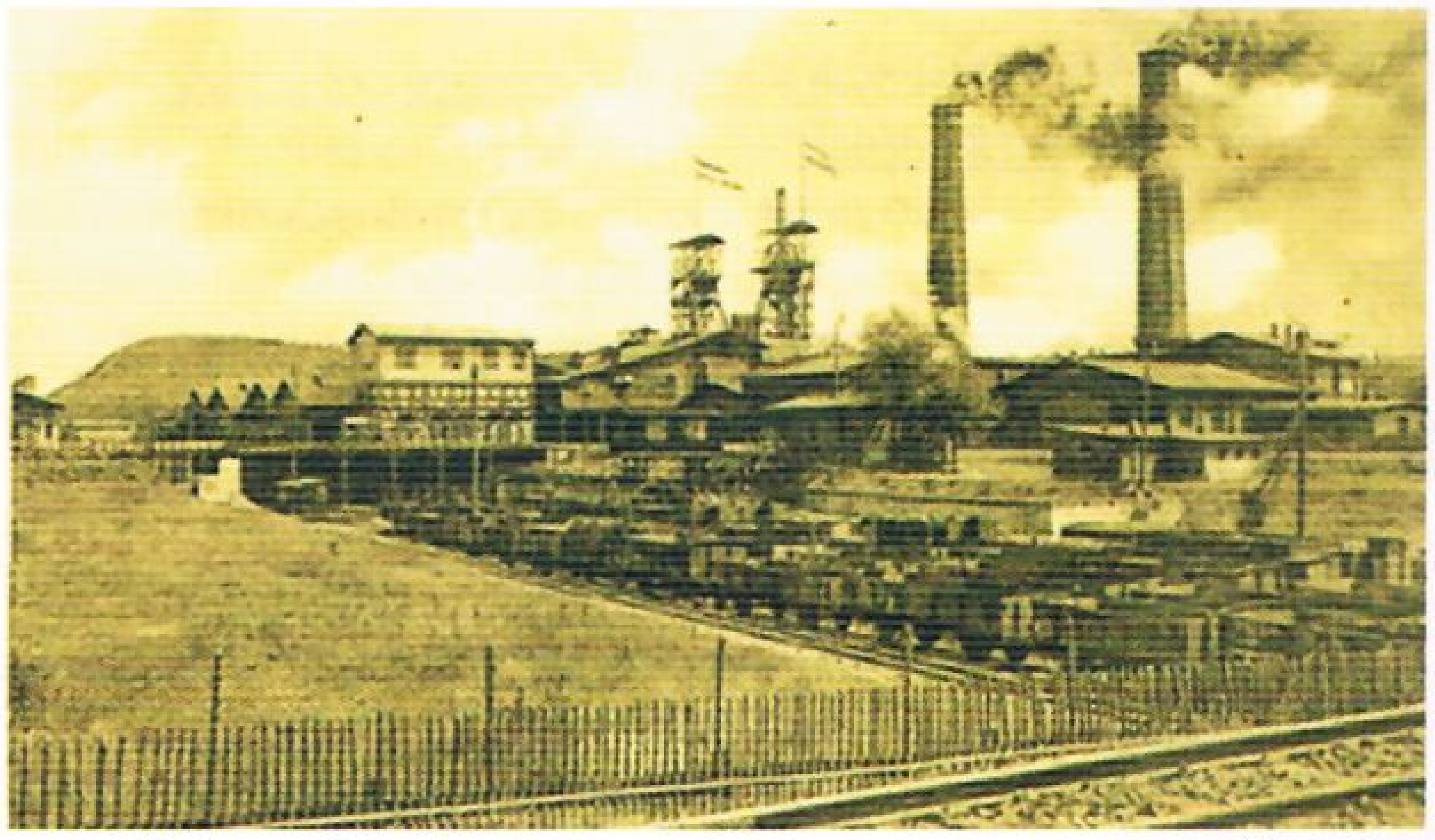

Kopalnia „Giesche" na zdjęciu archiwalnym. Źródło: www.incubator.wikimedia.org

Gieschewald na zdjęciach archiwalnych. Źródło: www.giszowiec.info

Podróż czas zacząć...

Pomimo tego, że Katowice są bardzo rozległe, stosunkowo łatwo tam trafić. Wystarczy trzymać się drogi szybkiego ruchu nr 86, która na tym odcinku nosi nazwę ul. Pszczyńskiej. Prowadzi w stronę Tych i Pszczyny, a dalej w kierunku Bielsko-Białej i Cieszyna. Opuszczając centrum Katowic i jadąc w stronę Tych, dojedziecie do znajdującego się po prawej stronie drogi okazałego, współczesnego gmachu Getin Banku, obok którego stoi pięknie odrestaurowana stara willa – o niej opowiem Wam innym razem, bo zasługuje na osobną opowieść. Za budynkami należy skręcić z ul. Pszczyńskiej w lewo, w ul. Górniczego Stanu, która poprowadzi Was prosto w stronę Giszowca. Po lewej stronie miniecie PRL-owskie osiedle im. Staszica, w którym nie ma nic ciekawego. Trzymajcie się Górniczego Stanu i skręćcie w lewo, w ul. Przyjazną. Za chwilę już będziecie na legendarnym Giszowcu. Skręcając ciągle w lewo, w ulice Radosną i Gościnną, dojedziecie do samego Placu pod Lipami. Piękne te nazwy, prawda?

Nazwa Giszowiec (niem. Gieschewald) pochodzi od nazwy kopalni „Giesche". Nazwa kopalni wzięła nazwę od spółki „Georg von Giesches Erben"[1] (Spadkobiercy Gieschego), która była jej właścicielem. Jako datę powstania kopalni podaje się 1826 r., kiedy to uzyskano prawo do wydobycia węgla kamiennego z pola górniczego o wdzięcznej nazwie „Jutrzenka" (niem. „Morgenroth"), położonego na terenie

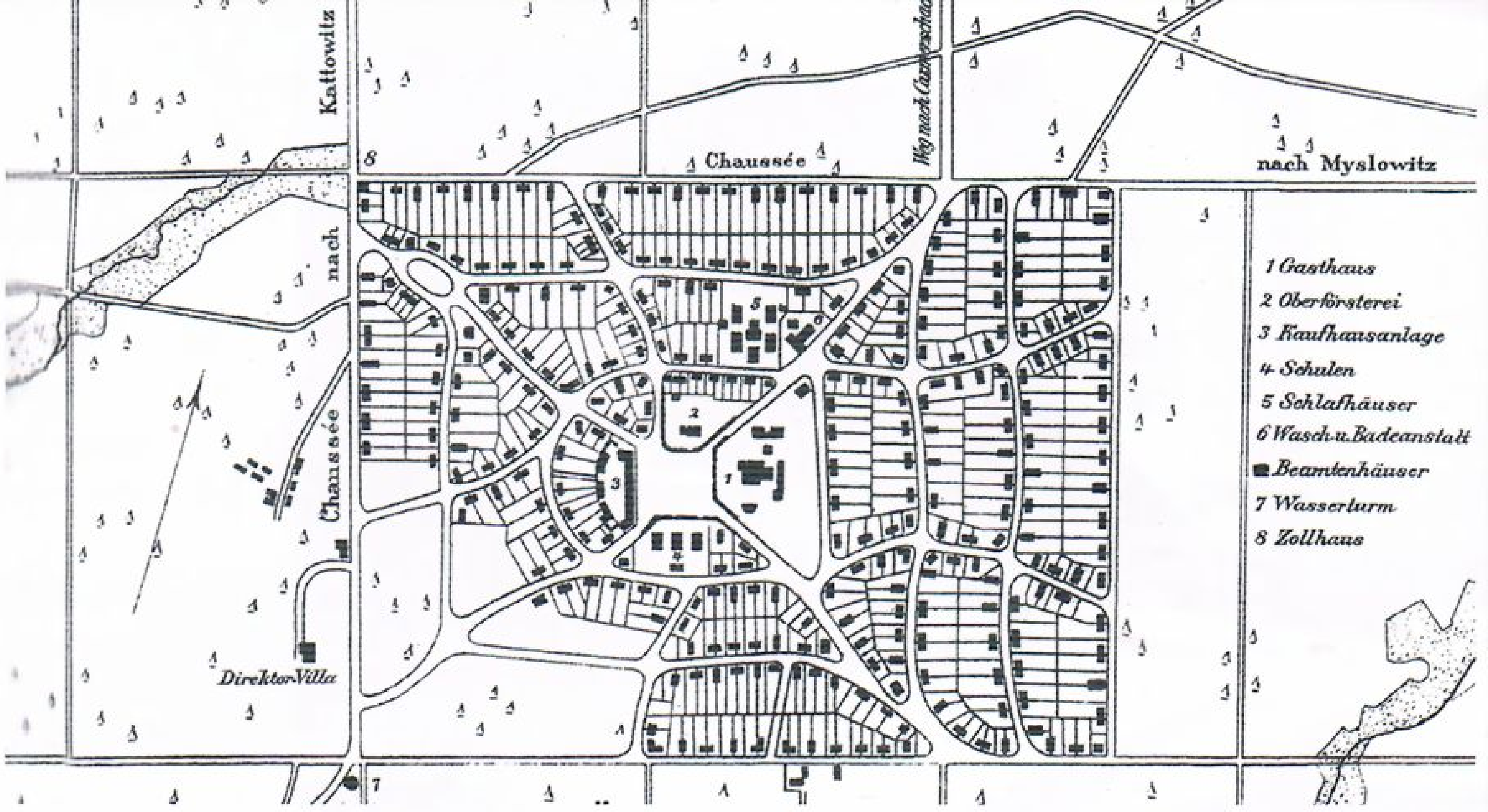

Plan osiedla na Giszowcu…

Janowa (obecnie część Katowic). Tak powstała kopalnia „Morgenroth" zatrudniająca 20 robotników. W 1883 r. spółka „Giesches Erben" połączyła kilka swoich mniejszych kopalni w jedną (kopalnie: „Morgenroth", „Abendroth", „Agnes Amanda", „Edwin", „Elfriede", „Guter Albert", „Auguste", „Teichmannshoffnung", „Vitus", „Wildsteinssegen" i „Giesche"). Od tego momentu kopalnia węgla kamiennego „Giesche" stała się jedną z największych w okolicy.

Po plebiscycie i podziale Górnego Śląska w 1921 r. nadeszły zmiany. Spółka „Giesches Erben" przekształciła się w spółkę „Giesche SA" z siedzibą w Katowicach. W 1922 r. uzyskała od władz polskich zgodę na ponowne przejęcie kopalni „Giesche", czyli właściwie na odzyskanie swojej własności (jej nowa nazwa brzmiała „Consolidierte Gieschegrube"). Jednakże niemieccy właściciele spółki najwyraźniej obawiali się nowej konstelacji politycznej, dlatego też znaleźli dość rozsądne wyjście. W 1927 r. odsprzedali większość akcji swojej spółki amerykańsko-niemieckiemu holdingowi „Silesian American Corporation" (SACO). Ale o Amerykanach, i o tym, co po sobie pozostawili, opowiem Wam kiedy indziej. Przyszłość rysowała się bardzo optymistycznie, gdyby nie II wojna światowa. Po jej rozpoczęciu Niemcy przejęli kontrolę nad spółką „Giesche SA" (przejęcia dokonał niemiecki komisarz wojskowy Albrecht Jung), a SACO przestało zarabiać na swoich nieruchomościach. To doprowadziło amerykańską firmę do upadku, pomimo zabiegów Eduarda Schulte – o nim również kiedyś opowiem. Dużo tych zapowiedzi, ale to bardzo obszerna i ciekawa historia.

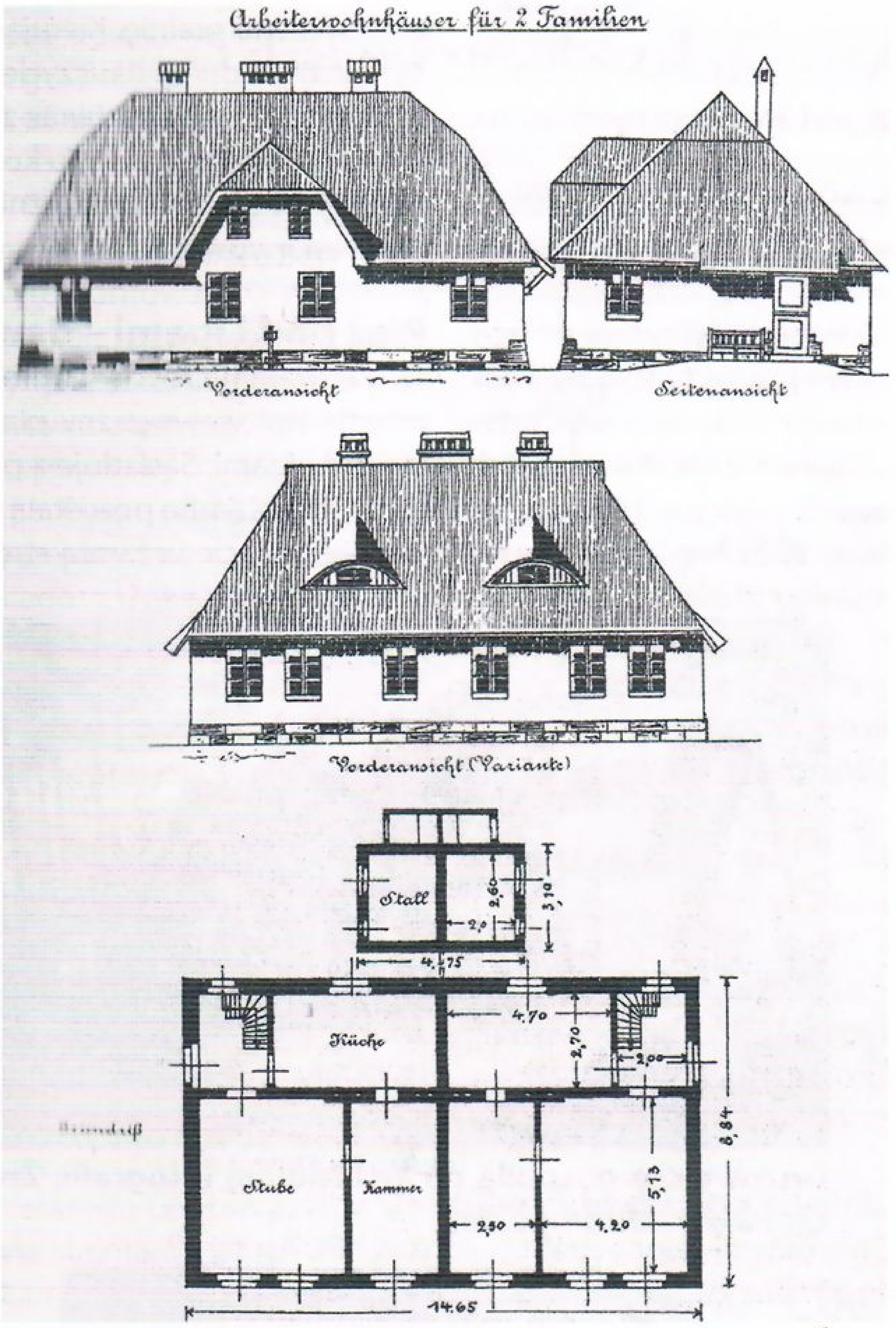

… i jednego z osiedlowych domków robotniczych. Źródło: www.giszowiec.info

Osiedle-wielki ogród

Powstanie osiedla na Giszowcu było nierozerwalnie związane z istnieniem kopalni. Miało stanąć daleko od zgiełku centrum Katowic, na leśnym obszarze (pole górnicze „Reserve"). Na potrzeby budowy wykarczowano spory obszar lasu ciągnącego się za Janowem, gdzie kiedyś, od czasu do czasu, można było spotkać niewielkie kopalnie nazywane kliczami. Samo osiedle zaprojektowano jako gigantyczny ogród, pełen zieleni, z dwurodzinnymi domkami dla robotników. Las, w którym je wybudowano, był również własnością Georga von Giesche, stąd jego pierwotna nazwa – „Las Gieschego" (niem. „Gieschewald"). Dopiero od 1920 r. zaczęto sporadycznie używać spolszczonej nazwy – Giszowiec. Gdy w 1905 r. spółka „Giesches Erben" zaczęła eksploatować nowe pole górnicze „Reserve"[2], a w latach 1904-1907 wydrążono szyb „Carmer", właściciele spółki doszli do wniosku, iż dobrym rozwiązaniem będzie wybudowanie osiedla dla górników pracujących na kopalni „Giesche". Po pierwsze starano się im zapewnić jak najlepsze warunki mieszkaniowe, a po drugie, ulokować stosunkowo blisko miejsca pracy.[3] Był jeszcze jeden powód. Od poł. XIX w. do 1910 r. ze Śląska do Westfalii i Nadrenii wyemigrowało blisko 60 tys. ludzi. Ubywało rąk do pracy… Nie można było dopuścić, aby ten proces nadal trwał.

Spółka „Giesches Erben" budując osiedle wzięła na siebie koszty utrzymania szkół, dróg publicznych, kanalizacji, wodociągów, elektrowni św. Jerzego[4] i policji na Giszowcu. Na budowę osiedla wybrano obszar dworski Giszowiec, którym od 1908 r. zarządzał nadleśniczy Otto Lehnhoff.[5] Postanowiono więc, że na osiedlu powstanie budynek, który będzie siedzibą urzędu nadleśniczego. Tak na marginesie, po wybudowaniu Giszowca okazało się, że planowana tam liczba robotniczych mieszkań jest dalece niewystarczająca, więc w pobliżu przystąpiono do budowy kolejnego osiedla – Nikiszowca. Ale to już inna historia…

Budowa Giszowca rozpoczęła się w 1907 i trwała do 1910 roku. Jego projektantami byli pochodzący z Międzyrzecza kuzyni Georg i Emil Zillmannowie, którzy pracowali na zlecenie ówczesnego dyrektora spółki „Giesches Erben", Antona Uthemanna. Zillmannowie zaprojektowali również katowicki

Wyburzanie Giszowca w latach 70. Źródło: www.giszowiec.sewera.pl

Nikiszowiec, a także wiele innych obiektów na Górnym Śląsku. O Uthemannie opowiem Wam przyszłym razem, teraz jedynie zaznaczę, że to właśnie on chciał, aby budowane osiedle było całkowicie inne do pozostałych. Miało mieć formę miasta-ogrodu, wzorowanego na dawnych śląskich zagrodach wiejskich. Podobno polecił nawet Georgowi Zillmannowi, aby ten, zanim przystąpi do fazy projektowej, objechał Górny Śląsk i obejrzał tradycyjne, górnośląskie chaty. Zillmannowie, artyści-architekci, poszukując wzorca, oparli się na dokonaniach brytyjskiego pisarza Ebenezera Howarda, który w 1899 r. założył Stowarzyszenie Miast Ogrodów, a 1902 r. wydał książkę pt. „Miasta ogrody jutra".[6] Podstawowym celem było stworzenie osiedla łączącego w sobie formę zabudowy miejskiej z tradycyjnymi wartościami zabudowy wiejskiej (ang. styl cottage).

Giszowiecka gospoda na archiwalnej fotografii. Źródło: www.delcampe.net

Osiedle zostało zamieszkane przez Ślązaków. Zaprojektowano je na 300 domów i 600 rodzin. Wytyczono obszar w kształcie prostokąta o wymiarach 750×1000 metrów. Wykarczowano las, choć pewne drzewa pozostawiono. W ten sposób uzyskano enklawy bujnej zieleni otaczającej najważniejsze budynki osiedla. Centralnym punktem Giszowca stał się duży, kwadratowy plac z koncentrycznie przebiegającymi ulicami (obecnie Plac pod Lipami), które zostały połączone drogami, wychodzącymi promieniście od głównego placu. Na osiedlu zaplanowano również więzienie, wytwórnię lodu, kilka piekarń z piecami chlebowymi, rzeźnię, barak dla zakaźnie chorych, pralnię (32 stanowiska z kamiennymi nieckami do prania, elektrycznymi kotłami do gotowania bielizny, wirówkami i maglem), łaźnię dla kobiet i komorę celną (w pobliskich Mysłowicach przebiegała granicami z Austro-Węgrami i Rosją). Do osiedla doprowadzono światło elektryczne i wodę, ale tylko do studni. Jedynie w domach urzędniczych zaplanowano centralne ogrzewanie i łazienki.

Osiedlowe drogi były szerokie i bite tak samo jak wiejskie. Każde mieszkanie robotnicze składało się z sieni, kuchni i dwóch pokoi (ok. 52-71 m kw.), miało własny strych, piwnicę, wygódkę, obórkę i spory ogród. Sielsko i wiejsko. Mury budynków zostały wzniesione na grubość półtorej cegły i otynkowane, a dachy przykryte dachówką. Na rogach ulic zaplanowano budynki urzędników, jak gdyby pilnujące porządku. Mieszkania w nich były większe (pokoje miały nawet po 25 m kw.), a w suterenach umieszczono pralnię. Kierując się służbową hierarchią, większe były jedynie domy nauczycieli i sztygarów, a największe: domy nadsztygara, doktora (wraz z gabinetem medycznym) i nadleśniczego. Budowa osiedla kosztowała 5 mln marek. Uthemann zażyczył sobie, aby w narożniku domu urzędowego na Giszowcu, Zillmannowie umieścili rzeźbę Bismarcka-Rolanda.

Plac pod Lipami – dawniej i dziś

Centralną częścią zaprojektowanego przez Zillmannów osiedla jest wewnętrzny plac, który obecnie nosi nazwę Placu pod Lipami. Sąsiaduje z paskudnym, wielkopłytowym osiedlem, które zjadło pozostałą część dawnego Giszowca. Po prostu nie patrzcie w tamtą stronę, bo naprawdę nie warto. Plac pod Lipami jest o niebo ciekawszy. W początkowym okresie znajdował się tu plac targowy, czyli serce całego osiedla. Jego nazwa wzięła się od lip, które porastają go dookoła, a każda z nich ma ponad 100 lat. Na samym środku placu znajduje się okazały, 100-letni buk, którego obwód wynosi 345 cm (jest pomnikiem przyrody). W czasach nazistowskich Plac pod Lipami nosił mniej wdzięczną nazwę Hermann Göring Platz. To właśnie na tym placu ulokowano najbardziej okazałe budynki będące ozdobą całego osiedla. Jednym z nich jest budynek dawnej KarczmyŚlą-

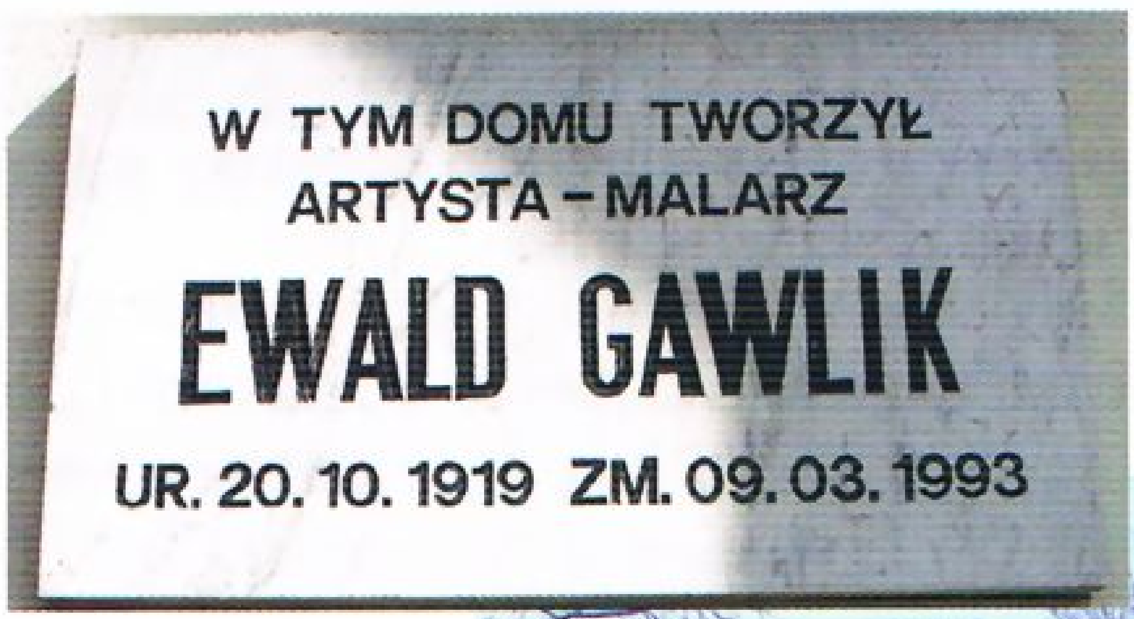

Odrestaurowana Karczma Śląska, na której widnieje pamiątkowa tablica poświęcona malarzowi Ewaldowi Gawlikowi.

skiej, w której obecnie znajduje się siedziba Miejskiego Domu Kultury Szopienice-Giszowiec (wschodnia część placu). W dawnych czasach mieszkańcy osiedla mieli do dyspozycji w Karczmie Śląskiej dwie sale klubowe, wykorzystywane do różnych uroczystości, a nawet salę teatralną. Koło Karczmy znajdowała się również ogrodowa kawiarnia. Do budynku przylegały zabudowania gospodarcze, a w nich: stajnia i powozownia, pralnia i magiel, a także chlewik. Dla wszystkich mieszkańców Karczma była idealnym miejscem spotkań i centrum życia towarzyskiego. Niestety, nieremontowany obiekt popadał w ruinę i w latach 80. groziło mu wyburzenie. Na szczęście został uratowany i wyremontowany, a do 2001 r. funkcjonowała w nim restauracja, sala bankietowa, piwiarnia oraz kręgielnia.[7] Później budynek przeszedł na własność miasta Katowice i w 2006 r. przeprowadzono jego gruntowny remont, który przywrócił mu dawną świetność.

Nieopodal Karczmy Śląskiej, na Placu pod Lipami, znajduje się Izba Śląska, w której prezentowane są obrazy nieżyjącego już artysty, pochodzącego z Nikiszowca, Ewalda Gawlika (1919-1993), emerytowanego górnika, pracownika kopalni „Wieczorek", a podczas wojny robotnika przymusowego w Dreźnie, żołnierza Wehrmachtu (służył w Laponii i na froncie wschodnim) i PSZ, po wojnie represjonowanego przez UB. Dopiero w 1974 r. w Katowicach po raz pierwszy udostępniono prace Gawlika szerokiej publiczności. Aby mógł pracować nad kolejnymi dziełami, oddano mu do dyspozycji część pomieszczeń obecnej Izby Śląskiej (nazywanej „Gawlikówką"). Tam powstało ponad sto prac tego wybitnego, śląskiego artysty – zabudowania Giszowca pełne codziennego gwaru, pędzący po szynach „Balkan", dymiące kominy kopalni „Wieczorek" i sielskie śląskie krajobrazy. Obrazy Ewalda Gawlika eksponowane w Izbie Śląskiej, są świadectwem świata, którego właściwie już dzisiaj nie ma – starego Giszowca. Izby Śląskiej też miało nie być. Kiedyś była stajnią. W latach 70. stan techniczny obiektu był tak zły, że zamierzano go wyburzyć. Na szczęście nie doszło do tego. Zawdzięczamy to ówczesnej dyrekcji kopalni „Staszic". W 1987 r. budynek gruntownie wyremontowano, a część przekazano do dyspozycji Gawlikowi. No i pozostał w nim na zawsze. Nie tylko on, ale także inni malarze z tzw. Grupy Janowskiej, o których opowiada film Lecha Majewskiego „Angelus".

Kolejną budowlą wartą uwagi jest obecny budynek przedszkola (północna strona placu), niegdyś siedziba nadleśniczego, zarządcy osiedla. To największy budynek starego Giszowca. Jego okazałą formę podkreśla wieżyczka z zegarem, który od pokoleń dyktuje rytm życia mieszkańcom Giszowca. Później mieszkał tam dyrektor kopalni „Giesche". W 1960 r. budynek przekształcono w przedszkole i tak jest do dzisiaj. Co prawda czeka na swoją renowację, ale jest. Nie rozebrano go. A to najważniejsze.

Po zachodniej stronie Placu pod Lipami znajduje się wielki, liczący ok. 100 m długości budynek. Od początku istnienia osiedla ulokowano tu centrum handlowe, zaopatrujące mieszkańców we wszystkie niezbędne artykuły. Co ciekawe, zadaniem zarządu kopalni „Giesche" było utrzymywanie cen tych towarów na jak najniższym poziomie, aby każdego mieszkańca Giszowca było na nie stać... Niezwykłe świadczenia socjalne. Sklep mięsny sąsiadował z nowoczesną chłodnią, a rurociąg pompujący do niej zimne powietrze, połączony był podziemnym kanałem z fabryką lodu. Obecnie w budynku znajduje się m.in. piekarnia, sklep mięsny i sklep z artykułami gospodarstwa domowego. Prawie wszystko na miejscu.

Dawny budynek nadleśnictwa, w którym niegdyś mieszkał nadleśniczy Otto Lehnhoff zarządzający osiedlem. Dzisiaj znajduje się w nim przedszkole.

Po południowej stronie Placu pod Lipami znajdują się trzy stare budynki szkolne, które pierwotnie były ogrodzone wspólnym płotem. Wewnątrz tego kompleksu znajdowały się również domy dla nauczycieli. Pierwsza szkoła na Giszowcu zaczęła funkcjonować już w 1908 roku. Oczywiście wówczas uczono w niej w j. niemieckim. Gdy Giszowiec znalazł się w granicach państwa polskiego, uczniowie pobierali nauki w dwóch językach: polskim – głównie dzieci z rodzin robotniczych oraz niemieckim – dzieci z rodzin urzędników kopalnianych. Podczas II wojny szkoła uzyskała patrona w osobie H. Göringa. Po wojnie nosiła imię Marii Konopnickiej, a później Fryderyka Chopina. W 1978 r. została zamknięta, a dzieci przeniesiono do nowego budynku. Wkrótce jednak powróciły, gdyż nowa siedziba okazała się za ciasna. W 1993 r. szkołę ponownie zamknięto, a obecnie dzieci uczą się w przepięknej nowej szkole (SP 51 im. F. Chopina), którą miejscowi nazywają „szkołą marzeń". Nie dziwię się, bo budynek poraża swoim rozmachem. Nadano mu cechy typowe dla architektury Zillmannów. Starą szkołę wyremontowano i przeznaczono na siedziby Agencji Rynku Rolnego oraz prywatnych firm.

Zwykłe dni zwykłych ludzi...

Kiedy zagłębimy się w ocalałe uliczki Giszowca, zauważymy charakterystyczne domki mieszkalne, zaprojektowane w stylu tradycyjnych chat górnośląskich. Część z nich jest parterowa, część jednopiętrowa, ale wszystkie dwurodzinne (te przeznaczone dla robotników). Posiadają strzeliste dachy. Pierwotnie były otoczone drewnianymi płotami i sporymi ogrodami, co czyniło je jeszcze piękniejszymi. Bardzo typowy dla osiedla jest dwurodzinny domek robotniczy. Zauważycie takie spacerując ulicami Przyjemną, Przyjazną, Kwiatową, Działkową, Barbórki i Ewy. Natomiast na rogach ulic spotkacie większe, przeznaczone dla kopalnianych urzędników. Tu również obowiązywała pracownicza hierarchia. Jednakże domy robotnicze, jak i urzędnicze, łączyły dwie rzeczy. Styl górnośląski, oraz dość komfortowe, jak na tamte czasy, wyposażenie. Na uwagę zasługuje również budynek starej poczty. Kiedyś pracowało w niej dwóch listonoszy. Budynki publiczne posiadały aparaty telefoniczne, połączone z centralą na szybie „Carmer". Na osiedlu zaprojektowano również małe więzienie składają-

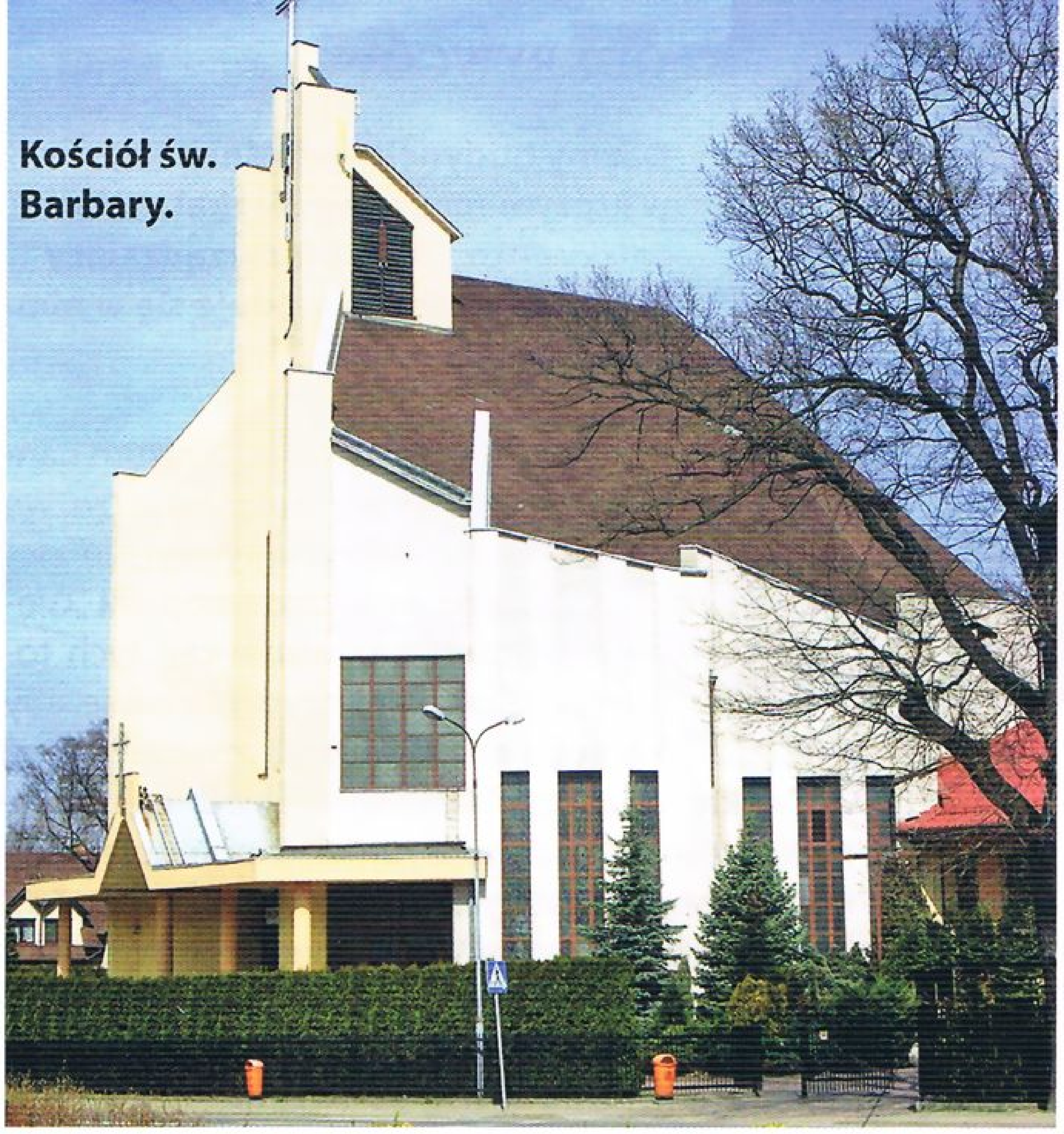

Kościół św. Barbary.

ce się z trzech cel oraz dom noclegowy dla robotników przyjezdnych. Co ciekawe, w chwili budowy Giszowca nie zaplanowano tam kościoła. Mieszkańcy osiedla należeli do parafii na Nikiszowcu. W latach 1946-1948 wybudowano kościół św. Stanisława Kostki, który bardziej przypomina prowizoryczną świątynię, choć istnieje do dzisiaj. Dopiero w latach 1986-1994 powstał kościół św. Barbary. W 1983 r. papież Jan Paweł II podczas swojego pobytu w Katowicach poświęcił kamień węgielny pod jego budowę.

W czasach powstania osiedla, spółka „Giesches Erben" została zobowiązana do zapewnienia mieszkańcom opieki zdrowotnej i budowy tzw. baraku dla chorych. Obowiązki lekarza pełnił dr Carl Möschler ze Spółki Brackiej, z którą podpisano odpowiednią umowę. Möschler dostał do swojej dyspozycji piękny dom wraz z ogrodem na Giszowcu, za który nie płacił czynszu. W późniejszym czasie leczył również mieszkańców Nikiszowca.[8] Jego następcą w okresie międzywojennym był dr Karol Sęczyk (późniejszy organizator Śląskiej Izby Lekarskiej w Katowicach), a od ok. 1930 r. dr Wojciech Szeliga-Żuławski.

Trudne lata

Jeszcze przed wybuchem I wojny światowej osiedle stało się ośrodkiem, gdzie dość mocno krzewiono polskość. Przejawiało się to w działalności różnych organizacji politycznych i kulturalnych. W 1913 r. na osiedle przywieziono kilkudziesięciu niemieckich górników z Wałbrzycha (wraz z rodzinami), którzy dość szybko zasymilowali się z miejscową ludnością. Podczas I wojny światowej w całych Niemczech pojawiły się spore problemy z zaopatrzeniem, co stało się powodem wprowadzenia reglamentacji. Kopalnia „Giesche" kupowała coraz większe ilości artykułów (kartofli, ubrań i mydła), które sprzedawano robotnikom po cenie zakupu, a czasami nawet poniżej. W ten sposób starano się zapewnić górnikom i ich rodzinom minimum potrzebne do utrzymania. Wielu mężczyzn z Giszowca trafiło na wojnę (wielu z niej nie wróciło), więc w kopalni pracowali jeńcy rosyjscy (w 1917 r. stanowili 33 proc. załogi kopalni „Giesche"). Pogłębiający się kryzys doprowadził do strajków na kopalni „Giesche" w 1916 i 1918 roku.[9]

Po zakończeniu wojny na osiedlu trwały przygotowania do przyłączenia się do państwa polskiego. W Giszowcu działała POW Górnego Śląska. Gromadzono broń i szykowano się do walki. Mieszkańcy osiedla brali czynny udział we wszystkich trzech powstaniach śląskich, za co 12 z nich zapłaciło życiem. Po plebiscycie okazało się, że Giszowiec będzie należał do Polski, więc ich poświęcenie nie poszło na marne. Jednakże w latach 30., gdy Górnoślązakom żyło się coraz gorzej, na osiedlowych uliczkach zaczęły się szerzyć idee komunistyczne i rewolucyjne. Ruchem tym kierował pochodzący z Giszowca Józef Wieczorek. W 1936 r. na Giszowcu mieszkały 5463 osoby. Coraz trudniej było się utrzymać. W latach 1931-1935 wydobycie na kopalni „Giesche" spadło o 39 proc. W 1937 r. wybuchł wielki strajk, na kanwie którego Kazimierz Kutz oparł scenariusz swojego filmu „Perła w koronie".

Wybuch II wojny światowej zmienił wszystko. Na krótko przed wybuchem wojny 390 mężczyzn z załogi kopalni „Giesche" zostało powołanych do Wojska Polskiego (240 uciekło, aby przeczekać sytuację). 4 IX 1939 r. do Giszowca wkroczyli niemieccy żołnierze. Niektórzy mieszkańcy witali ich kwiatami.[10] Nowym burmistrzem został, pochodzący ze Strzelec Opolskich, Gabor, który co prawda był prominentnym członkiem NSDAP, ale chyba nie za bardzo gorliwym. Miejscową placówką NSDAP kierował Robert Portmann, nowy dyrektor giszowieckiej szkoły. Wkrótce na osiedlu powstała filia posterunku SchuPo, w której służyli także mieszkańcy Giszowca. Gdy jesienią 1939 r. Niemcy zarządzili spis, nazywany „palcówką", większość rodzin z Giszowca, pewnie dla świętego spokoju, podała się za Niemców. Podobnie było z Volkslistą. Naziści rozpanoszyli się w Katowicach. W willi na Giszowcu (wcześniej będącej własnością Antona Uthemanna) w 1941 r. zamieszkał sam gauleiter Fritz Bracht. O czym opowiem Wam innym razem.

Mieszkańcy osiedla próbowali przystosować się do nowej sytuacji, ale idee komunistyczne nie umarły. Wręcz przeciwnie – rozwijały się dość mocno. W drukowanych w podziemiu ulotkach krytykowano wojnę Niemiec z ZSRR, a ojczyznę komunizmu i Stalina uważano za swojego wielkiego sprzymierzeńca. Śląscy komuniści jeszcze nie podejrzewali, jak w 1945 r. wielki Stalin odpłaci im się za owo uwielbienie. Na osiedlu działali również ludzie związani z PPS-em i ZWZ-AK. Katowickie Gestapo starało się zwalczyć podziemie z Giszowca. Wiele osób zostało aresztowanych i straciło życie. Giszowiec zastraszano i terroryzowano (pod koniec 1942 r. odbyła się tam publiczna egzekucja kilku mężczyzn). Niemieckie władze pozmieniały nazwy ulic na osiedlu. Patrząc na plan Giszowca z 1943 r. zauważycie m.in. Freikorps Str., Schlageter Str., Schiller Str., Horst Wessel Str. (która pełniła rolę osiedlowej obwodnicy), Herbert Norkus Str., Wilhelm Gustloff Str., Viktoria Str., Goethe Str., Finkenweg, Eichendorffweg, Wolfgangs Platz czy też Gerlach Str. Nie zabrakło też Adolf Hitler Str., która łączyła Giszowiec z Nikiszowcem (obecnie ul. Szopienicka). Wiadomo, co chciano w ten sposób osiągnąć. Jednakże owe nazwy pasowały tu jak pięść do nosa. Co ciekawe, jedną z ulic nazwano Zillmann Str., chcąc zapewne nie tyle uhonorować architektów, ale podkreślić w ten sposób niemieckie korzenie tego miejsca. Wielu mieszkańców Giszowca trafiło w szeregi Wehrmachtu. Część od razu zdezerterowała.

W 1942 r. na kopalni „Giesche" pojawili się pierwsi jeńcy (głównie Rosjanie). Ulokowano ich w okolicach szybu „Zbysz-

ko", w niewielkim obozie otoczonym drutem kolczastym. Jeńcy dostawali głodowe racje żywnościowe, więc niektórzy z mieszkańców Giszowca próbowali ich dożywiać. Oprócz Sowietów pojawili się również jeńcy francuscy. W okolicznych lasach podczas wojny doszło do prawdziwej tragedii. Zresztą pewnie nie jednej. W 1944 r. Niemcy wymordowali tam cały oddział AK, który miał zamiar odbić z mysłowickiego więzienia Wacława Stacherskiego (ps. „Nowina"), komendanta inspektoratu AK w Katowicach, aresztowanego przez Gestapo w marcu 1944 r. (pochodzący z Sosnowca Stacherski w IX 1944 r. zginął w KL „Auschwitz"). Akcja się nie udała, za co AK-owcy zapłacili życiem (w giszowieckim kościele św. Barbary znajduje się tablica pamiątkowa poświęcona temu wydarzeniu).

Niemieckie władze opuściły Giszowiec 25 I 1945 r., pozostawiając na miejscu tylko nieliczny i niezbyt chętny do walki Volkssturm. Rosjanie zajęli osiedle 27 stycznia. Ofiary powstań i II wojny światowej obecnie upamiętnia pomnik w formie obelisku, znajdujący się na Placu pod Lipami (są na nim 32 nazwiska mieszkańców osiedla).

Wielka trwoga

Po wojnie część mieszkańców Giszowca trafiła do obozów w Świętochłowicach-Zgodzie czy w Mysłowicach. Straszne miejsca, straszny czas. Część wywieziono do ZSRR. Był obóz sowieckich jeńców przy szybie „Zbyszko" wykorzystano dla blisko tysiąca jeńców wojennych: Niemców, Austriaków i Ślązaków. Gerhard Junger z Giszowca służył w załodze statku „Cap Arcona". Zwolniono go z niej na krótko przed wielką tragedią, jaka spotkała przetrzymywanych na nim więźniów obozów koncentracyjnych. Franciszek Rolka, w 1939 r. członek Freikorpsu, a później SS, znany z brutalnych akcji policyjnych, dostał się do alianckiej niewoli i tając swoją przeszłość stał się żołnierzem PSZ. Podczas powrotu do Polski został przez kogoś rozpoznany i osadzony w więzieniu w Janowie, gdzie popełnił samobójstwo. Ale to już inne historie…

Zabytkowe wagoniki „Balkana" przy szybie „Pułaski" (dawniej szyb „Carmer").

Śląski „Balkan Express"

W 1914 r. spółka „Giesches Erben" uzyskała zgodę na budowę linii kolejki wąskotorowej[11], która połączyła Giszowiec z szybem „Carmer" (od 1935 r. szyb „Pułaski"). W 1920 r., na krótko przed przyznaniem tej części Śląska Polakom, linię kolejki wydłużono do Szopienic, do osiedla Wilhelmine, gdzie znajdował się szyb „Albert" (późniejszy szyb „Wojciech"). W 1921 r. przedłużono ją do cegielni Giszowiec i Szybu Wschodniego. Jej końcowy odcinek znajdował się w odległości 1 km od dworca kolejowego i centrum Szopienic. W dni robocze kursowała 28 razy, a w niedzielę i święta – 19 razy. Pierwszy kurs odbywał się o godz. 5:00 rano, a ostatni o 2:00 w nocy. W dzień wypłaty uwzględniono dodatkowy kurs o godz. 8:00, by kobiety mogły dotrzeć pod szyby kopalniane i nie dopuścić, aby ich mężowie przepili zarobione pieniądze. Kolejka jechała z szybkością ok. 15 km na godz. Kursowała tak dokładnie, że wg niej można było regulować zegarki. Podróż „Balkanem" trwała 18-20 min., gdy pokonywano dystans blisko 4 km. Za każdym razem parowa lokomotywa ciągnęła za sobą 8-12 wagonów (były to kryte wagony towarowe przystosowane do przewozu osób – tzw. towosy) i każdego dnia przewoziła 8-8,5 tys. osób.

Po II wojnie światowej liczba wagonów została zredukowana do 2-3. W latach 30. lokomotywę parową zastąpiono elektrowozem. Za jej funkcjonowanie odpowiedzialny był Zarząd kopalni „Giesche". Przejazdy były bezpłatne, więc korzystało z nich mnóstwo ludzi. Jechali nią umorusani węglowym pyłem górnicy i osoby, które chciały albo skrócić sobie drogę do znajomych, albo wybrać się na zakupy, albo na niedzielny spacer. Mieszkańcy nazwali ją żartobliwie „Balkan Ekspress" lub po prostu „Bałkan". Kursowała do grudnia 1977 roku. Dwa oryginalne wagoniki „Bałkanu" można do dzisiaj podziwiać, odwiedzając szyb „Pułaski" przy ul. Szopienickiej, obok którego stoją obydwa pięknie odrestaurowane.

Decyzja „Cysorza"…

Po wojnie kopalnia „Giesche" została przejęta przez Skarb Państwa. W latach 1945-1946 nosiła nazwę „Janów", a następnie „Wieczorek" – na cześć Józefa Wieczorka, działacza komunistycznego i członka Grupy Inicjatywnej PPR-u, który pracował na kopalni „Giesche", a którego Niemcy zamordowali w KL „Auschwitz". Na kopalni pracowali również więźniowie z Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie. Kolejna śląska tragedia.

Począwszy do 1924 do 1951 r. Giszowiec i Nikiszowiec wchodziły w skład gminy Janów, nie były więc częścią Katowic. W latach 1951-1960 Janów stał się częścią miasta Szopienice. W 1960 r. Szopienice włączono do Katowic, więc ten sam los spotkał Giszowiec. Tak jest do dzisiaj. W 1964 r. w pobliżu uruchomiono nowoczesną kopalnię „Staszic", co stało się pewnego rodzaju wyrokiem dla Giszowca.

„Balkan Express" na archiwalnym zdjęciu. Źródło: www.giszowiec.info

Osiedle spokojnie przetrwało wojenną zawieruchę. Decyzji o jego likwidacji, wydanej w 1969 r., nie warto komentować. Już w drugiej połowie lat 60. rozpoczęto budowę osiedla z wielkiej płyty, któremu nadano nazwę S. Staszica (dla 23 tys. osób). Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach, Zdzisław Grudzień, (nazywany na Śląsku „Cysorz" lub „December") chciał znieść Giszowiec z mapy Górnego Śląska jako przeżytek kapitalizmu. To, że część Giszowca uratowano, zawdzięczamy wojewódzkiemu konserwatorowi zabytków mgr. Adamowi Kudle, który działał w porozumieniu z prof. Wiktorem Zinem i prof. Janem Pazdurem. Budowa nowego osiedla trwała aż do 1990 roku. Ocalała tylko 1/3 zabudowań dawnego osiedla. Władze PRL-u w 1979 r. doprowadziły również do zmiany nazwy z Giszowiec na Osiedle Staszica. Dlaczego? Bo nazwa Giszowiec miała zbytnio niemieckie korzenie. Nie udało się. Kopalnia „Wieczorek" istnieje do dzisiaj, będąc częścią Katowickiego Holdingu Węglowego SA. Nadal zatrudnia ok. 3 tys. pracowników. W jej zabytkowym szybie „Wilson" urządzono galerię, która prezentuje różne odmiany śląskiej sztuki. Obecnie jest największą w Polsce prywatną galerią (właściciel Johann Bros). Jej pięknie odrestaurowane wnętrza mieszczą w sobie ogromne przestrzenie wystawiennicze. W 1999 r. kopalnia „Wieczorek" przekazała zabytkowe budynki Giszowca miastu Katowice, a większość najemców nabyła je na własność.

A o „amerykańskim osiedlu", niesamowitej wieży ciśnień i okazałej, neobarokowej willi przyszłym razem…

Śródtytuły pochodzą od redakcji.

ZDJĘCIA WSPÓŁCZESNE: DARIUSZ PIETRUCHA.

Przypisy:

[1] Spółka została zarejestrowana w 1860 r. we Wrocławiu; jej założyciel Georga von Giesche zaczynał tam swoją działalność handlując suknem. Dzięki znajomości z polskim szlachcicem Kacprem Pielgrzymowskim (vel Kaspar von Pelchrzim – syn właściciela majątku na Bobrku) zainwestował w wydobycie galmanu na Górnym Śląsku. Od 1704 r. posiadał wyłączność na jego wydobycie (do 1744 r.); w 1712 r. otrzymał od Habsburgów tytuł szlachecki (jego protektorem był książę Adam Lubomirski). Georg na wydobyciu galmanu dorobił się olbrzymiego majątku; był m.in. właścicielem hut cynku w Szopienicach i na Roździeniu (obecnie dzielnice Katowic); po jego śmierci firmę prowadziła żona (Anna Maria Schmiedlin z Wrocławia), a następnie ich syn Friedrich Wilhelm, który umarł bezpotomnie. Cały majątek zapisał swojej siostrze i dwóm siostrzenicom. „Georg von Gieschës Erben" była jedną z największych firm w Europie Środkowej; w okresie 20-lecia międzywojennego. Spora część jej nieruchomości znalazła się po stronie polskiej, gdzie firma funkcjonowała jako „Giesche SA".

[2] Pole górnicze „Reserve" zostało odkupione w 1899 r. od hrabiego von Tiele-Winckler wraz ze znajdującym się nad nim gruntem o pow. 1900 ha, w większości porośniętego lasem; wraz z nabytkiem spółka „Giesches Erben" uzyskała zwolnienie z regale górniczego, co kosztowało ich 30 mln marek. „Reserve" najpierw należało do obszaru dworskiego Mysłowice-Zamek, ale na podstawie królewskiego zezwolenia z dnia 13.05.1907 r. spółka uzyskała prawo do utworzenia samodzielnego obszaru dworskiego o nazwie Gieschewald, który w 1909 r. stał się odrębnym okręgiem urzędowym.

[3] W 1904 r. w Cesarstwie Niemieckim została wydana ustawa budowlana i osiedleńcza, która określała standard budowanych mieszkań; mówiła ona, że każde mieszkanie musi posiadać odpowiednie oświetlenie, kanalizację i niezbędne urządzenia socjalne.

[4] Elektrownia była usytuowana przy wyjeździe z Giszowca; jej rezerwuar wodny stanowił naturalny staw „Małgorzata".

[5] W III 1920 r. ze względu na powstanie śląskie poprosił o zwolnienie go z tej funkcji; zastąpił go dyr. kopalni „Giesche" Johannes Fischer.

[6] Wielkim zwolennikiem idei Howarda był Riemerschmidt, który w 1909 r. stworzył osiedle w Hellerau koło Drezna, pierwsze w Niemczech miasto-ogród; kolejnym był Hermann Muthiesius; w 1908 r. na polecenie cesarza Wilhelma II idee miast-ogrodów były służbowo rozpowszechniane wśród niemieckich architektów i przedsiębiorców budowlanych.

[7] W 1994 r. Zbigniew Manecki, zadłużony właściciel giszowieckiej Karczmy Śląskiej, zamordował dyrektora kopalni „Staszic" Mirosława Majora. Powodem było złożenie skargi do sądu przez Majora, przez co Manecki zbankrutował.

[8] Podczas I wojny św. Möschler został powołany do armii, co pozbawiło mieszkańców Giszowca i Nikiszowca opieki medycznej; w IV1918 r. dyr. kopalni „Giesche" Carl Besser zwrócił się z pisemną prośbą o zwolnienie Möschlera z armii.

[9] Strajk w VII 1918 r. zakończył się represjami – część górników karnie wysłano na front, a część osadzono z 3-miesięcznym wyrokiem w twierdzy w Nysie (ok. 250 osób); jednakże od tego momentu na kopalni „Giesche" czas pracy skrócono do 8 godz.

[10] Dowodem na pogmatwaną sytuację narodowościową na Górnym Śląsku może być przypadek Witzmanna Istela, Niemca, który na krótko przed wybuchem wojny zamieszkał na Giszowcu. Całkowicie się spolszczył. Wstąpił do Wojska Polskiego i poległ w polskim mundurze w pierwszych dniach wojny. Jego syn został członkiem Hitlerjugend, a później SS. W 1945 r. jego rodzina pospiesznie opuściła Giszowiec.

[11] 25.05.1909 r. spółka uzyskała koncesję na prowadzenie prywatnego ruchu kolei wąskotorowej; 6.01.1914 r. zezwolenie od Dyrekcji Okręgowej Kolei w Katowicach na prowadzenie ruchu osobowego na trasie pomiędzy szybem „Carmer" a Giszowcem.

Literatura:

1. „Giszowiec, Nikiszowiec, Szopienice. Przewodnik po dzielnicach Katowic", red. L. Jabłoński, Katowice 2008
2. „Historia Górnego Śląska. Polityka, gospodarka i kultura europejskiego regionu", red. J. Bahlcke, D. Gawrecki i R. Kaczmarek, Gliwice 2011
3. „Sztuka Górnego Śląska", red. E. Chojecka, Katowice 2004
4. J. Popanda, M. Więcki, „W okupowanym mieście. Topografia Katowic w latach 1939-1945", Katowice 2013
5. M. Szejnert, „Czarny ogród", Kraków 2007
6. J. Tofilska, „Katowice Nikiszowiec. Miejsce, ludzie, historia", Katowice 2007

Dariusz Pietrucha

Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium".

zdarzyło się…

6 I 1924 r.

91 lat temu powstała Niemiecka Nadwołżańska Autonomiczna Socjalistyczna Republika Radziecka. Gdy w XVIII w. wielu Europejczyków szukało szczęścia w zamorskich koloniach, spora ilość Niemców, zachęcona przywilejami carycy Katarzyny Wielkiej, osiedliła się na obszarze rosyjskiego Powołża. Na przestrzeni kolejnych stuleci udało im się zasymilować z miejscową ludnością wykształcając jednak odrębną kulturę i uzyskać na zamieszkiwanym terenie sporą autonomię. Została ona jednak sformalizowana dopiero po zwycięstwie rewolucji bolszewickiej, lecz status ten przetrwał zaledwie 18 lat. Po ataku III Rzeszy na ZSRR w 1941 r., wydane zostały dekrety, na mocy których Niemcy nadwołżańscy zostali deportowani na Syberię i do Kazachstanu, zaś tereny przez nich zajmowane wchłonięte do Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

Do tej pory prezentowaliśmy Międzyrzecki Rejon Umocniony (Ufortyfikowany Front Łuku Odry i Warty) głównie pod kątem historii i rozwiązań technicznych poszczególnych założeń tworzącego go systemu fortyfikacji. Sporo również miejsca poświęciliśmy problematyce jego ochrony, konserwacji i udostępnienia do ruchu turystycznego. Bez wątpienia są to najistotniejsze zagadnienia związane z tymi unikatowymi, często na skalę światową, obiektami i jednocześnie niezwykle cennymi pod kątem historycznym zabytkami o charakterze militarnym.
W poniższym artykule prezentujemy, w naszym odczuciu, dość kontrowersyjne poglądy Autora, który odnajduje na MRU wartości, do tej pory uznawane powszechnie za akty wandalizmu. Wandalizmu, który na przestrzeni minionych dekad bezpowrotnie zacierał pierwotny kontekst tamtejszych podziemi. Liczne współczesne napisy, malowidła wątpliwej wartości artystycznej, czasem murale, niezależnie w jakich okolicznościach powstawały i jakie treści za sobą niosą – przede wszystkim szpecą. A może jednak wcale tak nie jest? Oceńcie Państwo sami... Zapraszamy do dyskusji.

Pomalować MRU na biało?

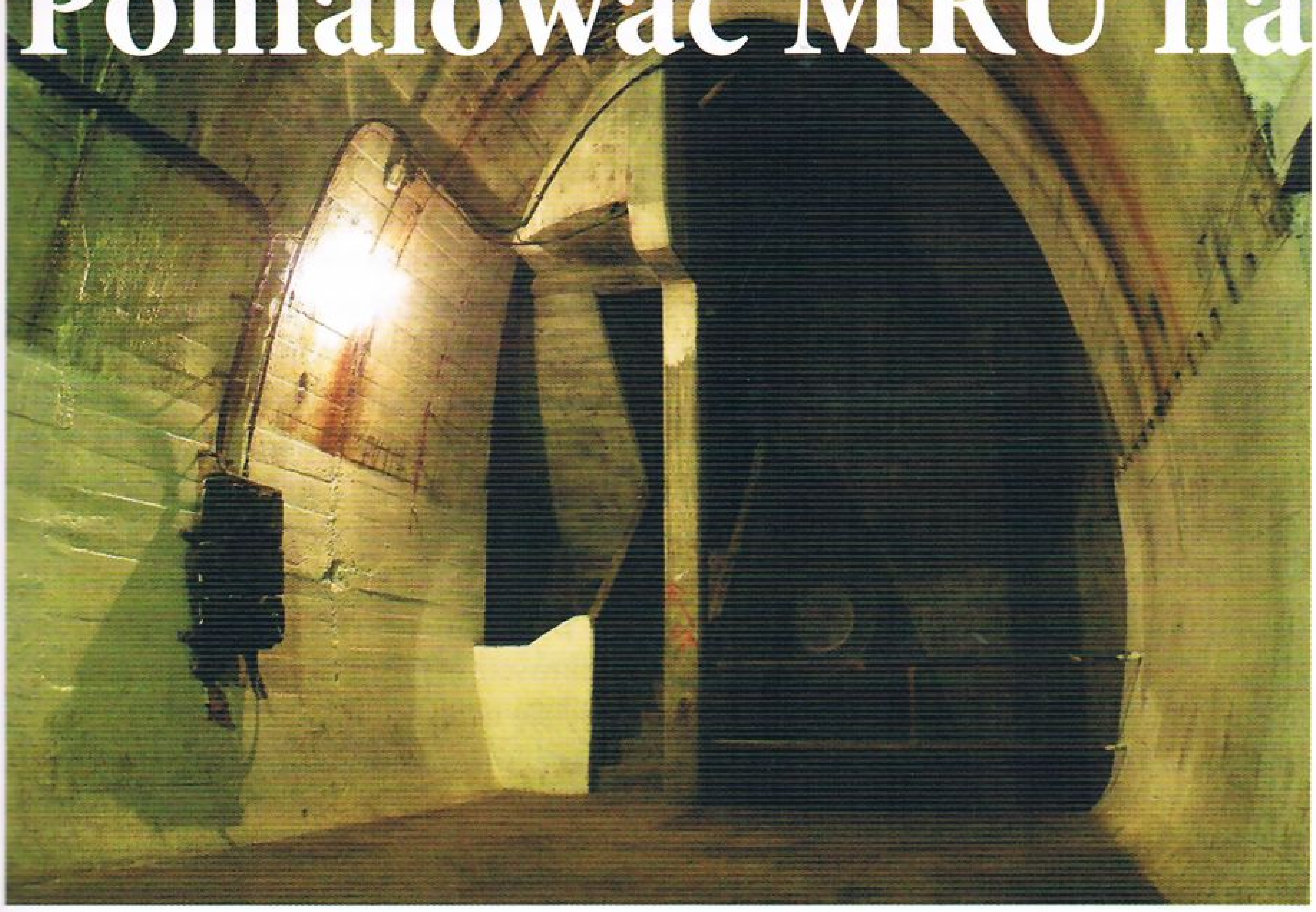

TOMASZ RZECZYCKI

Charakterystycznym elementem Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego stały się rozmaite napisy, jakimi przez lata „zdobiono" panzerwerki, ściany ciągów komunikacyjnych, a nawet sufity w podziemnych pomieszczeniach koszarowych. Czy stanowią one nieodłączną część wystroju podziemi, czy też zbędną naleciałość, z którą można się bez żalu pożegnać? Pytanie nie jest błahe. Od odpowiedzi na nie zależy bowiem sposób prezentacji tamtejszych podziemnych tras turystycznych zwiedzającym.

W dziejach MRU było już wielu organizatorów zwiedzania. Parały się tym zarówno prywatne firmy, znani pasjonaci tych obiektów, oddział PTTK, jak i podmioty podlegające władzom gminnym. W większości przypadków MRU przedstawiane było turystom niemal wyłącznie jako były niemiecki obiekt fortyfikacyjny. A przecież okres, kiedy MRU leżało na terenie III Rzeszy, z perspektywy dziesięcioleci jest krótkim, ledwie kilkuletnim epizodem. Największą jak dotąd część historii MRU stanowią lata PRL oraz III RP. A więc okres demontażu, a potem rozkradania wyposażenia, lata protestów przeciwko koncepcji atomowego śmietnika, czasy subkultury „bunkrowców", czy wreszcie, nie mniej ciekawe, batalie dzierżawców trasy w Pniewie z władzami Międzyrzecza. Równie dobrze można by opowiadać turystom jedynie o tych wydarzeniach, pomijając kompletnie to, co działo się z MRU przed 1946 rokiem.

Zaskakująca teza?

Może i tak, ale moim zdaniem skupianie się tylko i wyłącznie na militarnym aspekcie MRU z krótkiego okresu jego budowy oraz funkcjonowania w trakcie II wojny światowej, jest przykładem wybiórczego traktowania dziejów tego niezwykłego obiektu. A ofiarą owej selektywnej percepcji historii stała się niemała część napisów, autografów, hasełek, odezw czy rymowanek, po jakich nie ma już śladu w części obiektów podziemnych w Pniewie i Boryszynie.

Wojna na pędzle

A przecież nie tak miało być. Bogdan Kucharski i Włodzimierz Łęcki, autorzy datowanego na grudzień 1985 r. opracowania pt. „Wstępna koncepcja zagospodarowania fragmentu fortyfikacji Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego dla celów turystycznych", w ogóle nie zakładali usunięcia napisów, malowideł i haseł ze ścian podziemi MRU w Pniewie. Ich zdaniem przygotowanie obiektów do zwiedzania miało objąć oczyszczenie ze śmieci, oświetlenie podziemi, drobne remonty uzupełniające, np. zasypanie zapadni, jak również uzupełnienie brakujących płytek. Ani słowa o malowaniu ścian na biało. Czyżby dlatego, że znaczna część napisów powstała po 1985 roku? Przecież wartość historyczną posiadają zarówno niemieckie napisy i symbole, jak i powojenne, polskie treści umieszczane na ścianach podziemnych korytarzy, komór i szybów. Te drugie, to treści ręcznie wypisywane farbą, późniejsza „twórczość sprajerów", a także „urzędowe" i nieco bardziej oficjalne napisy, m.in. o zakazie wstępu na teren rezerwatu nietoperzy, ostrzeżenia przed niebezpieczeństwami, czy informacje o godzinach otwarcia trasy podziemnej. Większość z nich zasługu-

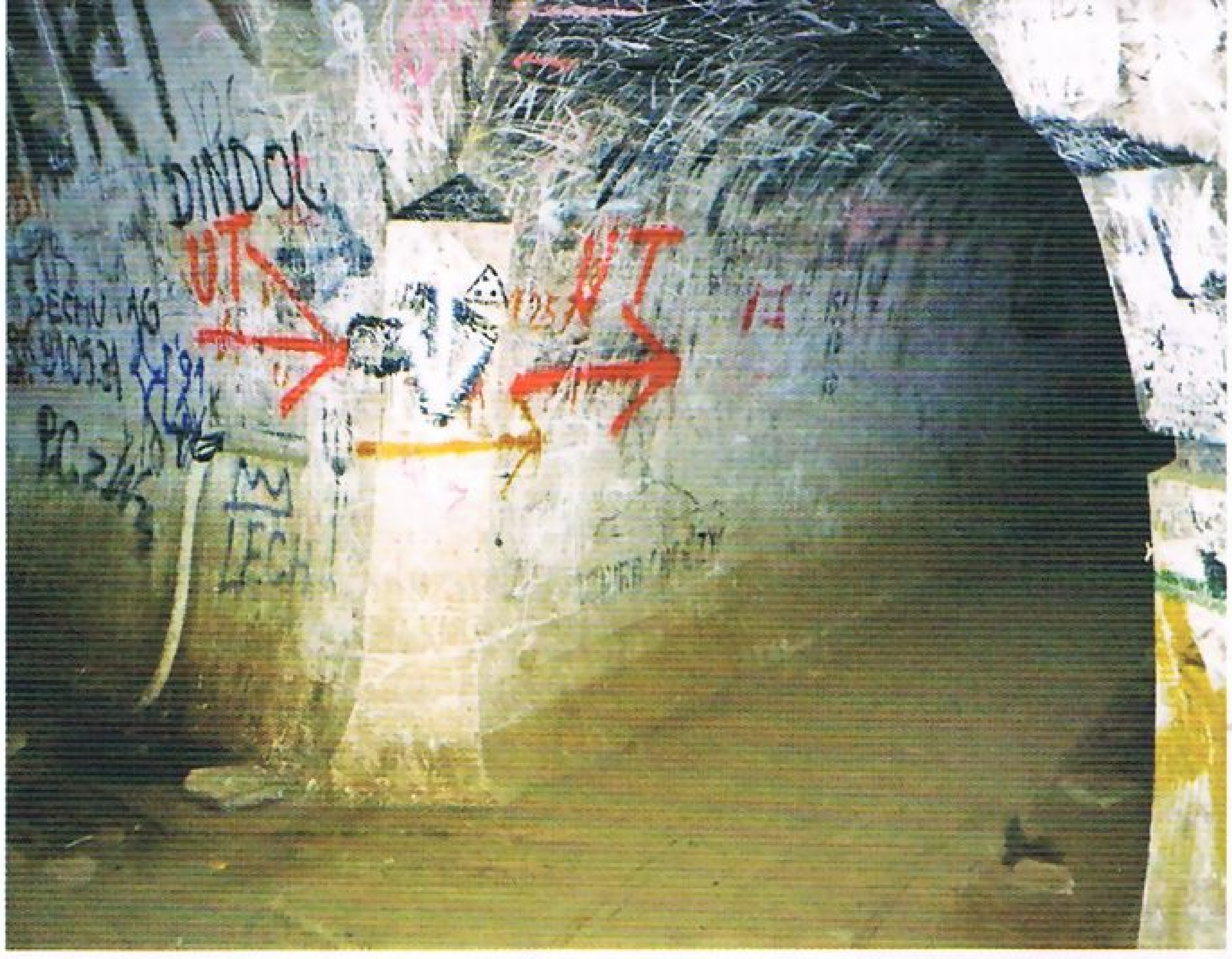

„Zabazgrane" wejście na Główną Drogę Ruchu od strony Pzw. 717. Stan z lata 1998 roku.

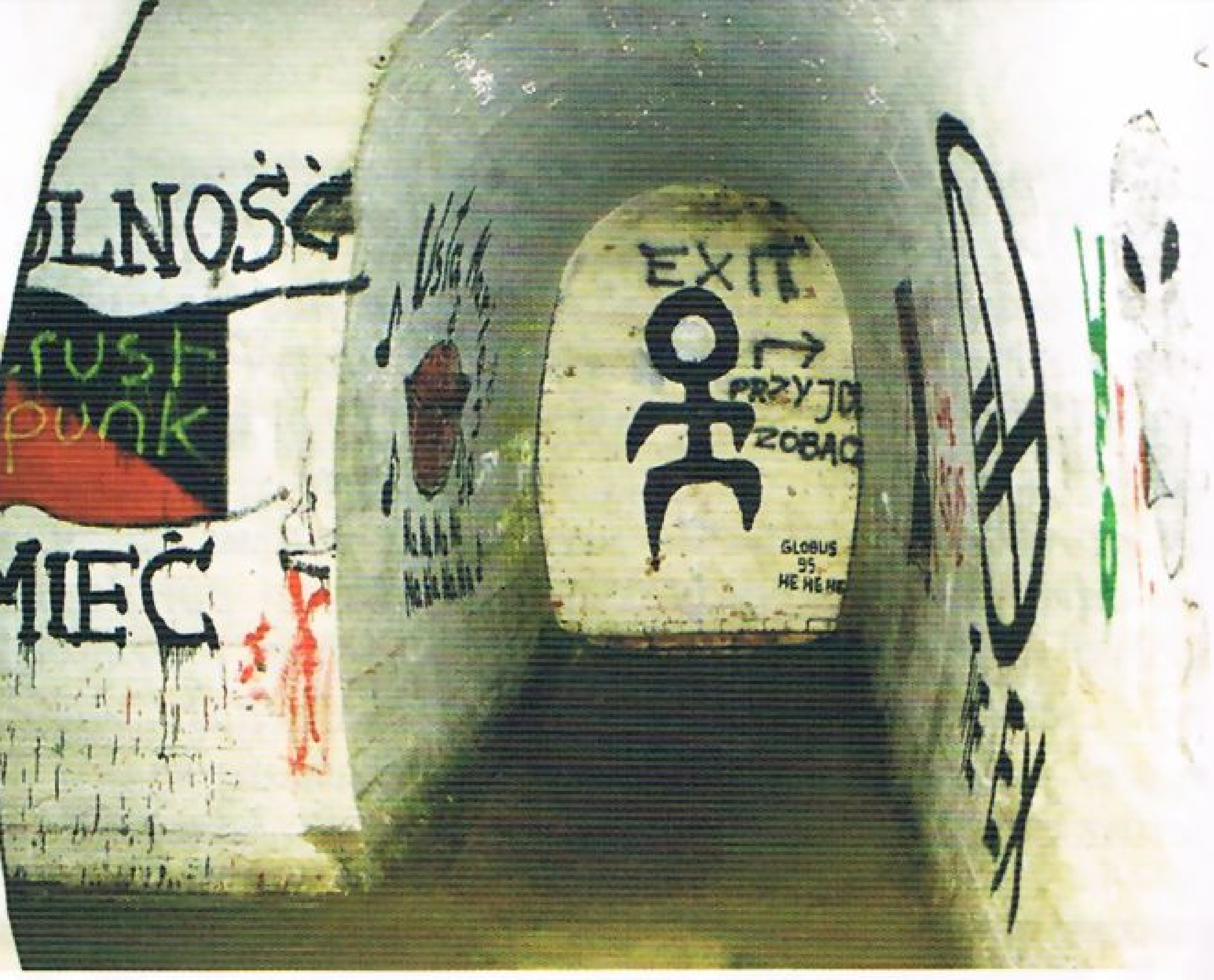

Tych napisów i rysunków w Pętli Boryszyńskiej już nie zobaczymy. 2002 rok.

je na uszanowanie. A jednak zdarzały się w przeszłości przypadki, że np. oficjalny napis informujący o rezerwacie przyrody umieszczano zamalowując starsze niemieckie oznaczenie. Budziło to uzasadniony sprzeciw miłośników fortyfikacji.

Ściany podziemi MRU wiele razy zmieniły swój wygląd. Próba przywrócenia ich do stanu z czasów III Rzeszy rodzi pytanie: dlaczego nie zdecydować się na rekonstrukcję napisów i wyglądu z okresu po 1953 r., gdy Wojsko Polskie nadało własną numerację panzerwerkom i odmalowało ściany? A może warto by było pokusić się o delikatne, ostrożne zdjęcie nadkładu białej farby i odsłonięcie malowideł powstałych u schyłku PRL – pod koniec XX oraz na początku XXI wieku? To, co kiedyś uznawane było za akt wandalizmu, z biegiem czasu nabiera wartości historycznej. Jeden z najsłynniejszych tego typu przykładów znany jest z Gór Świętokrzyskich. Niegdyś na ścianie zabytkowej XVIII-wiecznej kapliczki młody uczeń wyrył swój podpis. Tym „wandalem" okazał się późniejszy, wielki pisarz Stefan Żeromski.

Od barbarzyństwa do dokumentu

Trudno obecnie ustalić kto, i kiedy, po raz pierwszy umieścił, wyrył, wymalował na ścianach podziemi MRU odpowiedni napis. Tego zapewne już się nie dowiemy. Pewne jest natomiast, że MRU nie jest pod tym względem ewenementem. Mury obiektów atrakcyjnych turystycznie, jak np. wieża widokowa na Śnieżniku, czy ruiny zamku Chojnik w Jeleniej Górze, już znacznie wcześniej upstrzone były rozmaitymi wpisami ograniczającymi się zazwyczaj do imienia, nazwiska, daty i nazwy miasta. Nad tego typu postępowaniem niejednokrotnie wyrażano ubolewanie i potępienie. To dobrze, czy źle? Z punktu widzenia m.in. konserwatora zabytków to barbarzyństwo, ale z perspektywy historyka i socjologa – moim zdaniem – takie wyryte napisy z biegiem dziesięcioleci nabierając wartości dokumentalnej, mogłyby stać się jednym ze źródeł do badania ówczesnej świadomości społecznej.

Podziemny świat MRU miał to do siebie, że umieszczony na ścianie napis pozostawał niewidoczny, spowity ciemnościami i tylko nieliczni penetratorzy mieli okazję podziwiać, lub potępiać, manualne popisy „artystów". U schyłku PRL daleko większe przykrości mogły spotkać buntownika, który swoje niezadowolenie wyraził nieprawomyślnym hasłem na murze szkoły lub fabryki. Narażał się bowiem na konsekwencje prawne, a samo hasło miało nikłą szansę na dłuższy żywot. Natomiast w podziemiach MRU można sobie było pozwolić na bezkarność. Tam zarówno prymitywny wulgaryzm, jak i absurdalne hasło czy też płomienny apel polityczny pozostawały niewidoczne dla większości społeczeństwa, w tym i dla organów władzy. Był to więc swoisty przejaw wewnętrznej emigracji.

Precz z panzerwerku!

Prawdziwą erupcję popularności zawdzięcza MRU chybionemu projektowi umieszczenia w nim składowiska nisko- i średnioaktywnych odpadów promieniotwórczych z pierwszych, polskich elektrowni jądrowych w Kartoszynie koło Żarnowca i w Klępiczu koło Wronek. Dodajmy, że elektrownie te, jak dotąd, nie zostały wybudowane. Fala protestów społecznych jaka przetoczyła się przez Międzyrzecz, głównie w latach 1985-1987, zaskoczyła ówczesne władze. Ale o zapomnianych podziemiach MRU dowiedziała się cała Polska. Zaczęli tu ściągać różnego rodzaju poszukiwacze przygód, wagarowicze, członkowie różnych subkultur antysystemowych, a także zwyczajni miłośnicy podziemi i pasjonaci fortyfikacji. Jedni podchodzili do podziemi z szacunkiem, inni traktowali je jako pole do wykrzyczenia swoich postulatów i dania upustu swoim zdolnościom lingwistycznym. Ściany pokryły się licznymi napisami.

Dla mieszkańców ówczesnego woj. gorzowskiego najbardziej widoczne były hasła wymalowane na metalowej ścianie frontowej panzerwerka nr 717 w Pniewie. Możliwe, że w pierwszym etapie konfliktu międzyrzeckiego, w latach1985-1987, umieszczano tam różne hasła, które potem były zamalowywane białą, kryjącą farbą. Potwierdza to fotografia zamieszczona w styczniu 1986 r. w „Sztandarze Młodych", na której widać fasadę panzerwerka 717 pomazaną w różnych miejscach na biało. Przeglądając artykuły prasowe z tamtych lat, można uzyskać nieco szczątkowy obraz stanu „pobazgrania" obiektów MRU.

W 1987 r. we wrześniowym numerze miesięcznika „Reporter" ciekawy artykuł zamieściła Regina Dachówna, która miała okazję zwiedzić podziemia Pętli Boryszyńskiej. Pisała m.in.: *„Z głównego korytarza wchodzimy do pierwszych pomieszczeń, na jednej ścianie napis »SPANKO« i strzałka do dużej, suchej komory, gdzie odważni, lecz zabłąkani turyści mogą przenocować"*. Ilustracją do tekstu była fotografia przedstawiająca trzy stalowe kopuły, zapewne panzerwer-

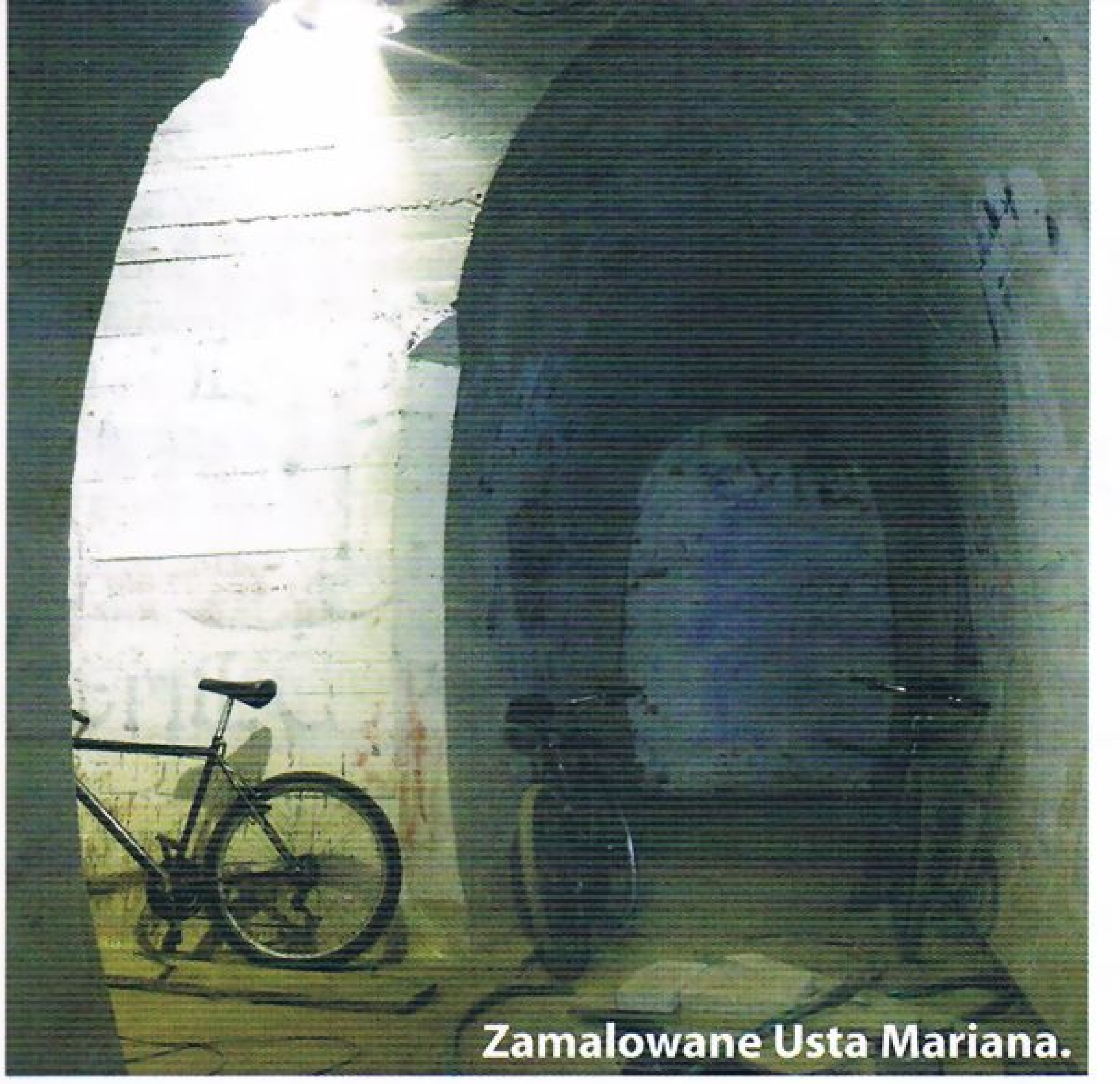
Zamalowane Usta Mariana.

ka 717 w Pniewie, pokryte jasnymi napisami wykonanymi farbą. Na zdjęciu rozpoznać można urywki słów: „Kuba", „Michu". Po napisach tych nie ma już śladu, a kopuły zyskały estetyczny wygląd, chociaż zapewne radykalni zwolennicy zachowania wszystkich napisów byli niepocieszeni. Jeszcze pod koniec XX w. kopuły w Pniewie zostały pozbawione wszelakich naniesionych nań „złotych myśli" i odmalowane. Niestety zamalowano wszystko co było, w tym także treści historyczne i społecznie ważne.

Przez pewien czas fasadę panzerwerka 717 zdobiło dobitne hasło namalowane farbą o treści: „PRECZ Z ODPADAMI RADIOAKTYWNYMI". Jest ono czytelne np. na fotografii zamieszczonej w jednym z październikowych wydań tygodnika „Ziemia Gorzowska" z 1987 roku. To samo widać na zdjęciu, jakie zamieścił „Świat Młodych" (1988), ilustrującym tekst o MRU autorstwa Michała Malickiego. Na ww. fotografii w „Ziemi Gorzowskiej" rozpoznać można jeszcze, pod cytowanym napisem, długi fragment innej „mądrości", uwiecznionej ciemną farbą nieco mniejszymi literami: „JEDYNĄ RZECZĄ KTÓREJ POWINNIŚMY SIĘ BAĆ"... Dalsza część jest na zdjęciu mało czytelna. Pod koniec grudnia 1988 r. o podziemiach MRU pisała „Gazeta Poznańska". Dziennikarz zauważył, że na ścianach jest coraz więcej autografów i wymienił przykłady wypisanych haseł i postulatów, np. ktoś żądał udostępnienia całego rejonu turystom. Nawiasem mówiąc, w podziemiach MRU można spotkać równocześnie napisy wrogie turystom.

Biała cenzura?

Najkrótszy był żywot napisów wymalowanych na fasadach panzerwerków. Ludzie oraz czynniki atmosferyczne zrobili swoje. Twórczość panzerwerkowa kwitła w najlepsze w latach 90. Dlatego nieco zaskakujące jest, iż właściwie kompletnie nie zauważyli tego zjawiska ówcześni autorzy publikacji książkowych opisujących MRU. W wydanej w 1988 r. książce Andrzeja Toczewskiego o Międzyrzeckim Rejonie Umocnionym próżno szukać fotografii ukazującej ciekawe, dowcipne, czasami absurdalne napisy na ścianach korytarzy MRU. Może dlatego, iż 95 proc. treści tej publikacji ogranicza się tylko do czasów budowy oraz zdobycia podziemi MRU przez Armię Czerwoną. Również Janusz Miniewicz i Bogusław Perzyk skoncentrowali się głównie na przedwojennej i wojennej historii MRU.

Uczulam na ten aspekt, bo uważam, iż MRU nie można postrzegać jednowymiarowo, tylko i wyłącznie przez pryzmat fortyfikacyjnego epizodu tych podziemi z czasów ich niedokończonej budowy. Owszem, są turyści-laicy, dla których jest obojętne, co zwiedzają, byle było fajnie i emocjonalnie, więc można dla nich przygotować homogeniczną w treści opowieść wojenną o przełamaniu MRU. Dla innych MRU to przede wszystkim podziemna trasa turystyczna, a rzeczą drugorzędną jest to, czy kiedyś były to koszary wojskowe, czy też podziemna fabryka części do samolotów. Nie interesują ich szczegóły fortyfikacyjne czy militarne, i ziewają, gdy przewodnik o nich opowiada. I odwrotnie – dla miłośników fortyfikacji MRU jest w głównej mierze wielkim obiektem pomilitarnym, a od podziemnych korytarzy nie mniej ważne są dla nich kopuły panzerwerków, zęby smoka, rowy strzelnicze, mosty obrotowe itp. Jeden sposób percepcji nie jest ani gorszy, ani lepszy od drugiego. Jest inny. To kwestia gustów i zainteresowań.

Niestety, część napisów w MRU już padła ofiarą estetycznego podejścia do wyglądu podziemi, podyktowanego chęcią przywrócenia im oryginalnego oblicza. Gdy w lipcu 2001 r. Biuro Turystyczne „Małgorzata" otworzyło podziemną trasę turystyczną w Pniewie – z wejściem w panzerwerku nr 719 – to pierwszym krokiem, przed wpuszczeniem zwiedzających, było, oprócz zabezpieczenia studzienek, niestety, pomalowanie korytarza na biało. Trasa ta czynna była tylko w latach 2001-2002.

Innym przykładem może być ślepy zaułek w Pętli Boryszyńskiej znajdujący się w podziemiach pod nieukończonym obiektem A2, tuż obok miejsca, gdzie znajduje się wyjście z klatki schodowej. Na ceglanej ściance oporowej zaślepiającej krótki, kilkumetrowy korytarzyk znajdował się czarny napis „EXIT" oraz strzałka. Pod nią – „PRZYJDŹ ZOBACZ". Obok na ścianie bocznej namalowane były wielkie, czerwone usta, a wokół nich ćwierćnuty i napis „USTA MARIANA". Jest to tytuł piosenki Andrzeja Rosiewicza, z płyty „Ufo-żniwo". Nawet jeśli było to czyjeś ciche wyznanie, to nawiązanie do twórczości Rosiewicza jest ewidentne... Na przeciwnej ścianie wymalowany został zieloną farbą napis „UFO" i wizerunek głowy ufoludka.

W odchodzącym w bok od tego miejsca ślepym korytarzyku znajdowały się czarne napisy: „WOLNOŚĆ" oraz „ŚMIEĆ". Taki stan uwieczniłem aparatem fotograficznym w sierpniu 2002 roku. Kilka lat później ściany w tej części Pętli Boryszyńskiej zostały zamalowane na biało. Mimo tego cytowane napisy są słabo widoczne spod warstwy farby. Trochę mi ich żal. Moim zdaniem powinny tam pozostać, gdyż są nieodłączną częścią historii tego obiektu. Pętla Boryszyńska nie odegrała znaczenia militarnego, natomiast jej ranga w sporze o umiejscowienie atomowego śmietnika oraz w protestach przeciwko niemu, była pierwszoplanowa.

Z większym pietyzmem odmalowano ściany w podziemnych koszarach pod panzerwerkiem 717 w Pniewie. Pod koniec XX w. były one pokryte napisami niczym Mur Berliński. Kilka lat temu zamalowano je elegancko na biało. Zastanawiam się po co? Przy okazji zamalowano fragment współczesnej historii tego miejsca. A przecież w Pniewie, właśnie w latach 1983-2002, miały miejsce istotne dla przyszłości MRU społeczne inicjatywy, m.in. protesty przeciwko decyzji umiejscowienia tam „śmiercionośnego składowiska", czy wydarzenia związane z konfliktem władz gminy Międzyrzecz z kolejnymi dzierżawcami podziemnej trasy turystycznej. I właśnie pniewskie podziemia stały się swoistym miejscem dla swobodnego wypowiadania wszelkich na te tematy poglądów, czy wręcz „platformą dyskusyjną".

Podziemia MRU „wyszły z podziemi" i w konsekwencji zostały profesjonalnie udostępnione zwiedzającym m.in. dlatego, że pod koniec PRL nastąpił oddolny protest lokalnej społeczności międzyrzeckiej w ich obronie. Jedną z jego form stały się hasła bezimiennych „bunkrowców" malowane na ścianach. O antyatomowym proteście stało się głośno w kraju, dzięki czemu zyskał on wsparcie przedstawicieli różnych środowisk, w tym subkultur. Szkoda, że lekkim ruchem pędzla zamalowano czasy atomowej grozy wiszącej nad Międzyrzeczem i okolicą.

Sale poezji, czy nowojorskie metro...

Obok haseł zaangażowanych politycznie czy ideologicznie, w podziemiach MRU trafiały się podpisy zabawne i dowcipne, nawet jeśli był to absurdalny czy nawet czarny humor. Były też i takie, które wzbudzały konsternację, a nawet wręcz zażenowanie. Spośród licznych przypadków chciałbym wymienić jeden przykład, odzwierciedlający problem, który do dzisiaj dzieli. W rejonie Pętli Nietoperskiej widnieje odręczny napis: „KONIEC ŚWIATA NIETOPERZE ZAWRACAĆ". Chyba można go odczytywać jako wyraz ironicznej bezsilności „bunkrowców" wobec chiropterologów, niemogących się pogodzić z faktem „uprzywilejowania" nietoperzy, a postponowania miłośników fortyfikacji przez nakładanie na tych ostatnich szeregu rygorów i ograniczeń dostępności właśnie przez wzgląd na „gacki". Nie od dziś wiadomo, że w podziemiach MRU toczy się „walka" pomiędzy badaczami nietoperzy, a pasjonatami podziemi o swobodny do nich dostęp (do podziemi, nie do nietoperzy). Nie miejsce tu, by cytować więcej przykładów „twórczości" panzerwerkowej, na ten temat powstała swego czasu m.in. praca magisterska.

Zupełnie odmiennie zostały ocenione malowidła ścienne, jakie rzadziej można spotkać w podziemiach MRU. Najsłynniejsze są te w byłych komorach amunicyjnych Pętli Boryszyńskiej. W Gorzowie Wlkp., w delegaturze zielonogórskiego WUOZ przechowywana jest koncepcja zagospodarowania fragmentu umocnień MRU we wsi Kaława dla celów turystycznych. Opracowali ją w grudniu 1992 r. architekci Jarosław Maszewski i Janusz Stankowski, a dotyczy ona panzerwerków nr 716 i 717 w Pniewie – wówczas jeszcze będącym przysiółkiem Kaławy. Jej autorzy napisali: *„Warto też kontynuować w wydzielonej części obiektów galerie malarstwa ściennego i sal poezji, np. na Pętli Boryszyńskiej"*. Proponowali, by prezentować w formie diaporam graffiti z podziemi nowojorskiego metra czy z Muru Berlińskiego, a także zdjęcia malarstwa jaskiniowego. Do realizacji nie doszło...

Gdy z początkiem sierpnia 1995 r. trasę podziemną w Pętli Boryszyńskiej obejmowało Przedsiębiorstwo Turystyczno-Handlowe Donjon z Boryszyna, jednym z założeń programowych dzierżawcy trasy, było przeznaczenie którejś z komór na galerię malarstwa ściennego. Najciekawsze rysunki miały pozostać, a inne, pokryłaby znowu warstwa białej farby – jako podkładu dla kolejnych rysowników. Tak też się działo.

Jesienią 1996 r. w lokalnym miesięczniku międzyrzeckim opublikowany został tekst, ilustrowany trzema fotografiami malowideł z Pętli Boryszyńskiej. Pierwsze przedstawiało uszy i oko, drugie – tancerzy, a trzecie – podziemnego Atlasa. Autor tekstu zwracał uwagę na wartość artystyczną części dzieł twórców pancerwerkowych. Przyznawał, że niektóre malunki wyróżniają się na tle popisów o niskiej wartości malarskiej i artystycznej, jakie spotkać można było w MRU. Moim zdaniem niska wartość artystyczna nie stanowi żadnego usprawiedliwienia dla usuwania napisów czy rysunków. Znamienne jest, że już w 1992 r. autorzy ww. koncepcji zagospodarowania fragmentu MRU pod względem turystycznym uznali napisy – istniejące przecież w dużej mierze zaledwie od kilu lat – za istotny element podziemi, który warto zestawić z inną tego rodzaju twórczością plastyczną.

Niektóre obrazki wykonane w podziemiach MRU poddawane były modyfikacjom. Dwa tryptyki namalowane w komorze nr 5 w Pętli Boryszyńskiej przez ucznia Liceum Plastycznego z Poznania pierwotnie były czarno-białe, dopiero potem zostały pokolorowane. Inny los spotkał dwa czarno-białe rysunki widniejące na ściankach ceglanych zaślepiających nieistniejące tunele w korytarzu za PzT3 (rejon Pętli Boryszyńskiej). Jeden przedstawia górnika w czapce bez pióropusza, drugi, wojskowego w berecie. Otóż na ściance z wojskowym naniesiono kilkadziesiąt pięcioramiennych gwiazdek, a na ściance z górnikiem – kilkadziesiąt skrzyżowanych par młotków górniczych. Oprócz tego, na murze w rozwidleniu pomiędzy tymi dwoma niedokończonymi tunelami, ktoś namalował ponad 20 hakenkrojców...

I co teraz? Należałoby zmazać hakenkrojce, gwiazdki i młotki, a zostawić sylwetki górnika i wojskowego? Czy może wszystko zamazać, żeby ścianom przywrócić ascetyczną biel? Uważam, że należy pozostawić nie tylko malowidła, lecz również wszelkie napisy znajdujące się w MRU, jako świadectwo minionych epok tego podziemnego ciągu komunikacyjnego w byłych fortyfikacjach.

Kasy biletowe na powierzchni, poczekalnie dla turystów czy wiaty-deszczochrony jak najbardziej mogą zachęcać świeżą bielą ścian i zadbanym wyglądem. Ale próby przywrócenia podziemiom oryginalnej estetyki przypominają zawracanie kijem biegu historii.

ZDJĘCIA: TOMASZ RZECZYCKI

Wybrane źródła:
1. B. Kucharski, Wł. Łęcki, „Wstępna koncepcja zagospodarowania fragmentu fortyfikacji Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego dla celów turystycznych", Poznań, grudzień 1985, str. 26
2. A. Toczewski, „Międzyrzecki Rejon Umocniony", Międzyrzecz Wlkp. (!) 1988
3. „Sztandar Młodych" nr 17 (10 736), 24.01.1986, s. 6.
4. „Reporter" nr 9, wrzesień 1987, s. 16
5. „Ziemia Gorzowska" nr 40 (395), 2.10.1987, s. 1, 6-7.
6. „Gazeta Poznańska" nr 300, 28.12.1988, s. 7
7. „Gorzowska Gazeta Nowa" nr 146 (202), 30.07.1991, s. 1
8. „Kurier Międzyrzecki" nr 11 (69), listopad 1996, s. 17

Tomasz Rzeczycki
Długoletni współpracownik „Odkrywcy". Wnikliwy badacz dziejów zagospodarowania polskich Sudetów oraz historii podziemnych tras turystycznych istniejących na terenie naszego kraju.

Punkty oporu pozycji obronnej a 2 Stellung na odcinku Rawka–Bzura

JAKUB JAKUBOWSKI

21 lipca 1944 roku Adolf Hitler mianował generała-pułkownika Heinza Guderiana na szefa sztabu naczelnego dowództwa sił lądowych (Oberkommando des Heeres, w skrócie OKH). Z uwagi na katastrofalną sytuację na froncie wschodnim spowodowaną przez sukces radzieckiej operacji „Bagration", nowo powołany szef zarządził przygotowania do prac obronnych. Wspólnie z gen. Alfredem Jacobem, szefem wojsk inżynieryjnych przy OKH, nakreślił plan budowy nowych umocnień na froncie wschodnim, następnie przywrócił zlikwidowany oddział fortyfikacyjny Sztabu Generalnego i powołał na jego szefa ppłk. Thilo, oraz określona została współpraca wojsk inżynieryjnych z innymi rodzajami wojsk oraz władzami cywilnymi.

Koncepcja prac fortyfikacyjnych zakładała rozdzielenie głównej linii obrony (Hauptkampflinie, w skrócie HKL) od głównej linii oporu (Grosskampflinie) pasem mniej więcej 20 km niebronionego terenu. Podczas ewentualnego ataku wojska obsadzające HKL miały się przenieść bez większych strat na główną linię oporu. Jak wspomina Guderian – Hitler nie chciał się zgodzić na taki plan, który w efekcie byłby oddaniem wojsk nieprzyjaciela 20 kilometrów terenu, i rozkazał budowę głównej linii oporu w odległości 2-4 km za główną linią obrony.

Nowe pozycje obronne – nazywane OKH-Stellungen – przebiegały, w formie południkowej, na przestrzeni między Wisłą a Odrą, od Bałtyku po Karpaty i dalej na południe. Oznaczono je, zgodnie z niemiecką zasadą, kolejnymi literami alfabetu od „a" do „e", wyróżniając następne cyframi, np. b 1, b 2, b 3. Do tego wykonywano również inne pozycje uzupełniające, ryglowe, przyfrontowe, budowane na różnych szczeblach. W skład pozycji wchodziły również miasta – przekształcone m.in. w improwizowane twierdze (Festung), oraz miejscowości stanowiące punkty oporu (Ortstützpunkt).

Pozycja „a" rozpoczynała swój bieg w okolicach miejscowości Varazdin (Chorwacja), następnie przebiegała zachodnim brzegiem Jeziora Balatońskiego, rzeką Dunaj przez Budapeszt, a dalej do dzisiejszej granicy Polski w okolicach miejscowości Piwniczna-Zdrój (pozycja ta miała wewnętrzną nazwę Margarete-Stellung). Następnie rozdzielała się na pozycje a 1 i a 2. Pierwsza z nich przebiegała od Krynicy-Zdroju poprzez Tarnów, Pińczów, okolice Jędrzejowa do okolic miejscowości Skotniki (łącząc się z pozycją a 2).

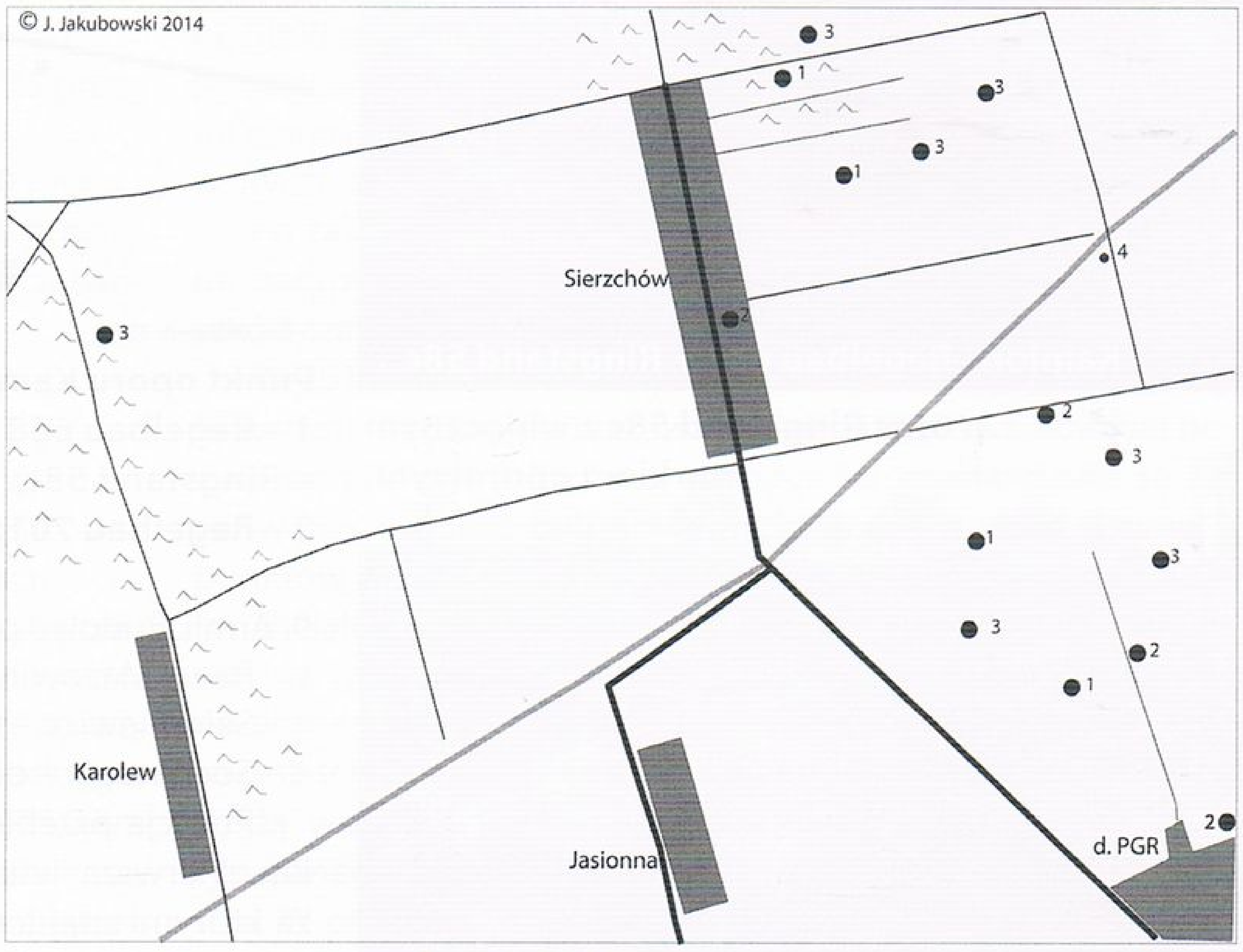

Pozycja obronna Sierzchów–Jasionna:
1 – Regelbau 668 + Ringstand 58c; 2 – Regelbau 701; 3 – Ringstand 58c.

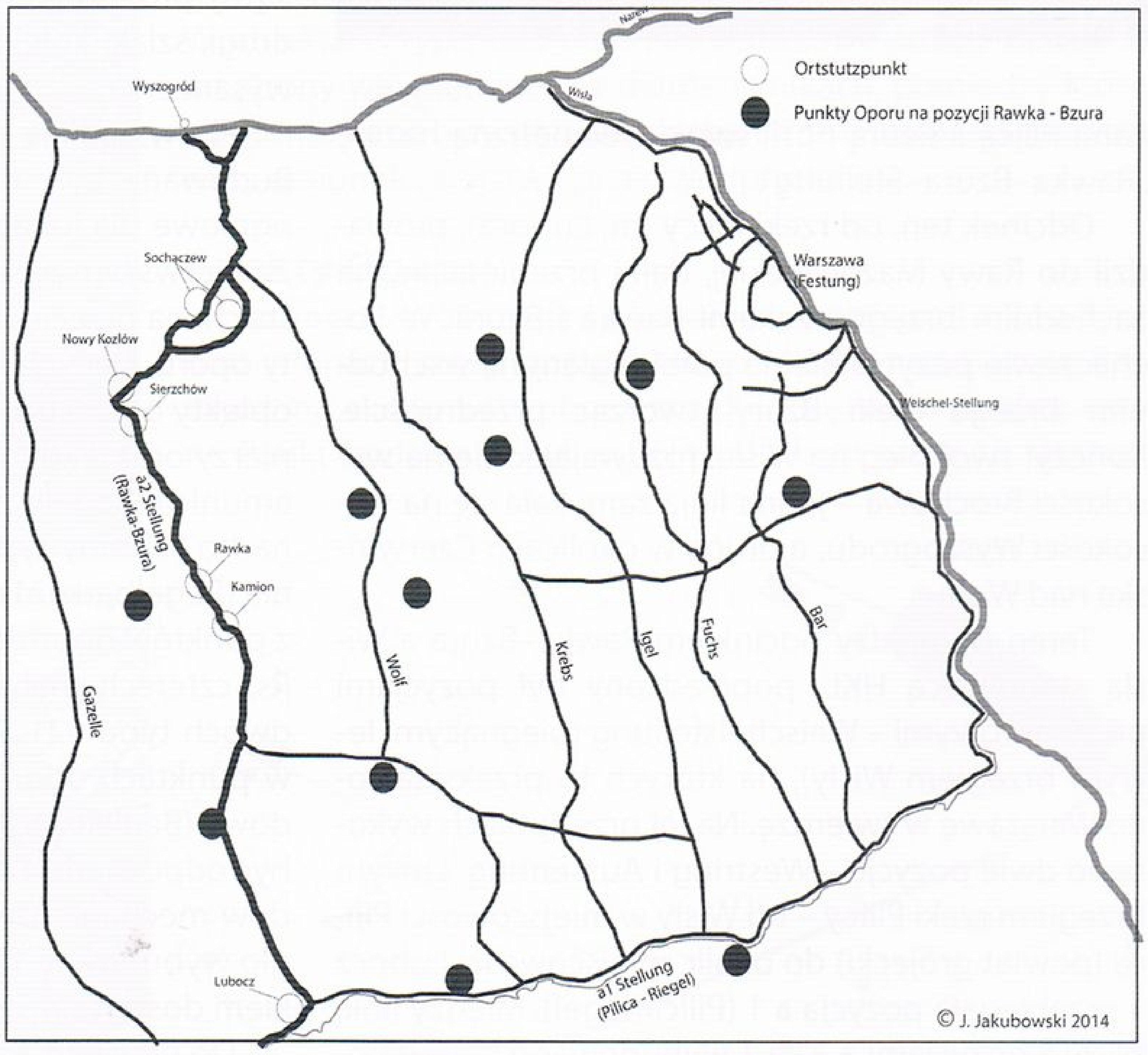

Przebieg pozycji Rawka–Bzura w skali 1: 500 000.

Druga z nich, tj. a 2, od Piwnicznej-Zdroju, rzeką Poprad do Nowego Sącza, następnie przez Czchów, Bochnię, rzeką Pilicą poprzez Szczekociny, Koniecpol, Przedbórz, Sulejów, Tomaszów Mazowiecki do okolic miejscowości Rzeczyca. W tym miejscu rozpoczyna się „tytułowy" odcinek, który między rze-

Kamion– Regelbau 668 + Ringstand 58c…

… oraz Ringstand 58c z widocznym murkiem oporowym.

kami Pilicą a Bzurą nosił swoją wewnętrzną nazwę „Rawka–Bzura–Stellung".

Odcinek ten, od rzeki Pilicy (m. Lubocz), prowadził do Rawy Mazowieckiej, dalej przebiegając, na zachodnim brzegu, rzekami Rawka i Bzura. W Sochaczewie pozycja biegła półokręgiem na wschodnim brzegu rzeki Bzury, tworząc przedmoście. Kończył swój bieg na Wiśle, rozdwajając się na wysokości Brochowa – jedna linia zamykała się na wysokości Wyszogrodu, a druga w okolicach Czerwińska nad Wisłą.

Teren pomiędzy odcinkiem Rawka–Bzura a Wisłą stanowiącą HKL, poprzedzony był pozycjami przyfrontowymi – Weischelstellung (biegnącymi lewym brzegiem Wisły), na których to przekształcono Warszawę w twierdzę. Na jej przedpolach wykonano dwie pozycje – Westring i Aussenring. Lewym brzegiem rzeki Pilicy – od Wisły w miejscowości Pilica (powiat grójecki) do okolic miejscowości Lubocz – przebiegała pozycja a 1 (Pilicariegel). Między linią Wisły a pozycjami a 2 i a 1 wybudowano szereg pozycji określanych nazwami zwierząt, stąd ich miano – „pozycje zwierzęce". Były to m.in. Krebs-, Igel-, Fuchs-, Bär-, Wolf-Stellung oraz Wolf-Riegel. Dodatkowo też teren wzmocniono szeregiem punktów oporu wykorzystując miejscowości m.in. Błonie, Żyrardów, Grójec, Pruszków, które zasadniczo leżały na rzeczonych „pozycjach zwierzęcych".

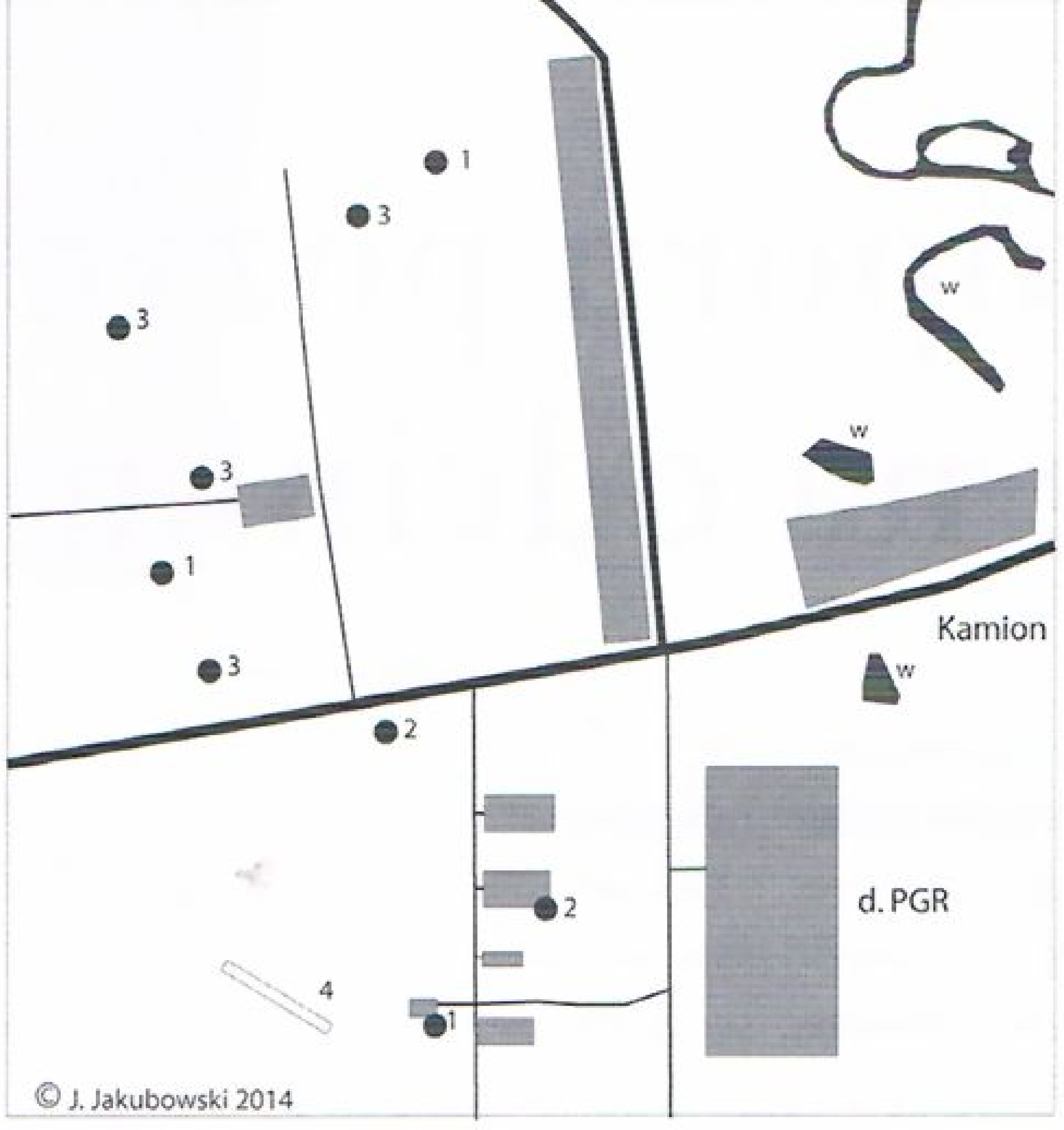

Punkt oporu Kamion:
1 – Regelbau 668 + Ringstand 58c; 2 – Regelbau 701; 3 – Ringstand 58c; 4 – fragment rowu ppanc.

Pozycja a 2 poprzedzona szeregiem pozycji przyfrontowych w odcinku Tomaszów Mazowiecki–Wyszogród, stanowiła, według dostępnych dokumentów, główną linię oporu głównej linii obrony.

Prace na pozycji a 2, jak również na innych pozycjach obronnych, rozpoczęto na początku sierpnia 1944 roku. Za budowę odcinka Rawka–Bzura odpowiedzialny był 18. Wyższy Dowódca Saperów (Höher Pionier Führer 18.) przy 9. Armii. Budowa podzielona została na trzy odcinki:

- Rawa Mazowiecka – od rzeki Pilicy do Trzcianna,
- Skierniewice – od Trzcianny do Bzury,
- Sochaczew – od rzeki Bzury do Wisły.

Pozycja przebiegała od brzegu rzek w głąb terenu na obszarze 3-6 km. Pierwsza linia poprzedzona była zaporami przeciwpiechotnymi, za którymi znajdowały się 2-3 linie rowów strzeleckich. Dalej biegł rów przeciwpancerny, za nim kolejna linia rowów strzeleckich, a następnie drugi rów przeciwpancerny. Rowy przeciwpancerne miały głównie trójkątny profil o głębokości 3 metrów. W miejscach, w których przecinały drogi, szlaki kolejowe, budowano drewniane kładki przystosowane do wysadzenia.

Pierwszą linię okopów z drugą linią łączono rowami dobiegowymi. Budowane były także drewniano-ziemne schrony bierne, stanowiska ogniowe dla karabinów maszynowych oraz artylerii przeciwpancernej. Za pierwszym pasem rowów strzeleckich, w strategicznie ważnych miejscach, na przecięciu szlaków kolejowych i drogowych budowano punkty oporu. Decyzją OKH na pozycji Rawka–Bzura budowano następujące obiekty o konstrukcji żelbetowej: mały schron bierny w wersji: dla 9 żołnierzy oraz jako małe stanowisko dowodzenia (typu Regelbau 668), dla amunicji (Regelbau 674), dla zaopatrzenia w wodę (Regelbau 675), ponadto schrony typu Regelbau 701 (garaż dla armat), schron dowodzenia (Regelbau 621) oraz stanowiska bojowe Ringstand 58c i d. W każdym z punktów oporu planowano wybudowanie ośmiu stanowisk bojowych Rs, czterech małych schronów biernych, sześciu schronów typu 701, dwóch typu 621. Za zaopatrzenie oraz budowę betonowych obiektów w punktach oporu odpowiadała Organizacja Todt – Kierownictwo Budowy (Bauleitung) „Aller", natomiast 18. Wyższy Dowódca Saperów miał być odpowiedzialny za dostarczenie cywilnych sił roboczych oraz pojazdów mechanicznych. Według założeń 10 brygad budowlanych OT mogło wybudować 10 punktów oporu w przeciągu 2 miesięcy, pod warunkiem dostarczenia dodatkowych samochodów oraz 30 betoniarek.

Do prac nad budową tych pozycji obronnych przymusowo ściągnięto okoliczną ludność, dodatkowo działały również obozy pracy przymusowej m.in. w Kamionie, Suliszewie, Starej Rawie, w których od lipca 1944 do stycznia 1945 r. przebywało około 600 osób. Ludność cywilną wykorzystywano do budowy rowów strzeleckich, przeciwpancernych, prac ziemnych pod budowę obiektów betonowych, oraz do rozładunku materiałów budowlanych. Dla zaopatrywania miejsca budów punktów oporu modernizowano stare drogi oraz budowano, bądź modernizowa-

no, bocznice kolejowe. W oparciu o niedatowane sprawozdanie (najprawdopodobniej z 12 grudnia 1944 roku) na pozycji wykonano:

» stanowiska armat ppanc. – z planowanych 500 zrealizowano 203,
» 1. rów przeciwpancerny – gotowy w 95 proc.,
» 2. rów przeciwpancerny – gotowy w 15 proc.,
» pole ogniowe przygotowane w 80 proc.,
» przeszkody przeciwpiechotne gotowe, z drutem – 25 proc., bez drutu – 2 proc.,
» 1. rów strzelecki gotowy w całości, urządzony w 90 proc.,
» 2. rów strzelecki w całości gotowy, urządzony w 70 proc.,
» artyleryjska pozycja obronna gotowa w całości, urządzona w proc.,
» stanowiska MG w całości gotowe,
» ukrycia gotowe w 50 proc.,
» schrony bierne przygotowane w 30 proc.,
» stanowiska obserwacyjne – 20 proc.,
» stanowiska obserwacyjne artylerii gotowe w całości.

Z drugiego sprawozdania, datowanego na 5 stycznia 1945 roku, wynika, iż na odcinku Rawka–Bzura wybudowano: 202,5 km przeszkody przeciwpancernej; 63,2 km przeszkody przeciwpiechotnej; 373,6 km pierwszego rowu strzeleckiego; 5275,5 km drugiego i trzeciego rowu strzeleckiego; 2875,5 km rowów dobiegowych; 4309 szt. stanowisk ogniowych karabinów maszynowych; 348 szt. stanowisk ogniowych artylerii przeciwpancernej; 1450 szt. schronów (ukryć); 423 szt. schronów biernych (drewniano-ziemnych); 117,6 km pola ogniowego; 50 stanowisk typu Ringstand 58c; 24 małe schrony bierne (typu 668, 674, 675); 26 schronów dla armat (typu 701). Na terenie odcinka pracowało: 484 żołnierzy RAD; 690 osób z Organizacji Todt; 5365 robotników cywilnych. Warto zwrócić uwagę, iż na odcinku Rawka–Bzura nie wybudowano żadnego schronu typu 621, wg notatki z 22 XII 1944 r. niewykorzystane 5800 m sześc. betonu, przeznaczyć miano na budowę 200 schronów typu Ringstand 58c – w przestrzeni między punktami oporów. Jednak do początku ofensywy Armii Czerwonej, w styczniu 1945 r., nie zostało to wykonane.

Po zakończeniu działań wojennych rozpoczęło się powolne zasypywanie umocnień ziemnych i likwidowanie przeszkód oraz rozbieranie drewnianych schronów.

W 2015 r. mija 70 lat od zakończenia II wojny światowej. Głównymi śladami po budowanej jesienią 1944 r. polowej pozycji obronnej a 2 Stellung na odcinku Rawka–Bzura są zachowane budowle betonowe, wchodzące w skład dawnych punktów oporu. Przed szczegółowym opisem punktów oporu, chciałbym zwrócić uwagę na użyte w nim uproszczenie. Jak już wspomniałem, w punktach oporu wybudować miano liczne obiekty typu „mały schron bierny" (Kleinuterstand), to jest schrony typu: 668 lub 674 czy 675. Z powodu zalania wodą większości tych obiektów, trudno określić dokładnie typ danego schronu, gdyż różnią się jedynie detalami wnętrza. W poniższej charakterystyce przyjąłem więc uproszczone nazewnictwo, używając tylko określenia „Regelbau 668" (jako protoplasty całej linii modelowej). W części z tych obiektów zachowane są pancerne drzwi wejściowe typu 434P01. W obiektach typu 668 oraz 701 żelbetowe stropy oparte są od strony wewnętrznej na dwuteownikach, pomiędzy którymi montowane były stalowe blachy, bądź tylko deski (jako tracony szalunek i warstwa przeciwodpryskowa).

Punkty Oporu

Lubocz – w obszarze styku między pozycjami a 2 i a 1, po obu stronach szosy łączącej Nowe Miasto nad Pilicą z Rzeczycą, na skraju wsi Lubocz znajduje się teren punktu oporu. Punkt budowany był wspólnymi siłami przez 18. Wyższe-

Lubocz – Ringstand 58c w wersji wzmocnionej, widoczny wyryty niemiecki numer obiektu...

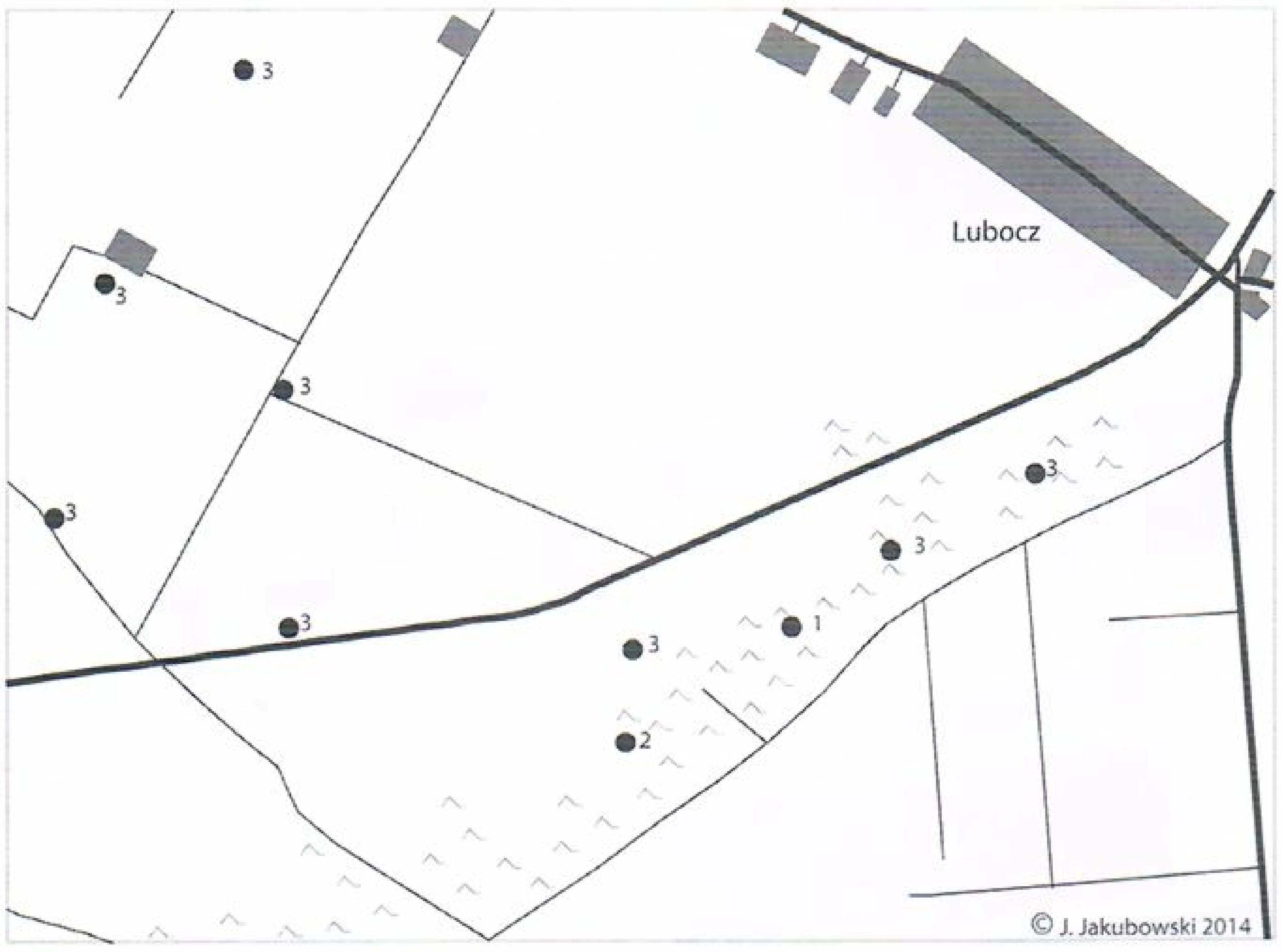

Punkt oporu Lubocz:
1 – Regelbau 668; 2 – Regelbau 701; 3 – Ringstand 58c

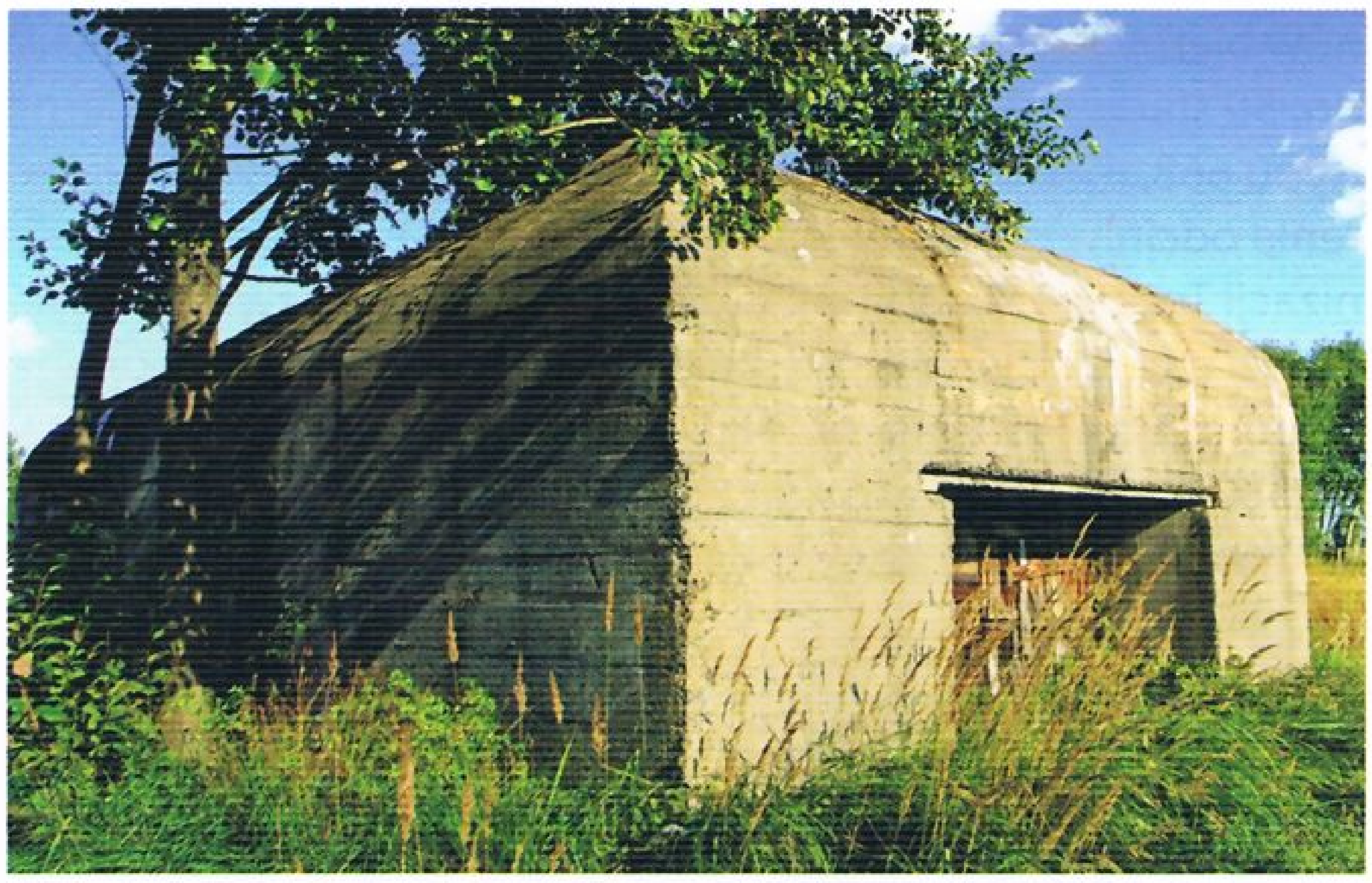

Sochaczew – Regelbau 701 przy ulicy Kątowej.

go Dowódcę Saperów, który odpowiadał za budowę odcinka Rawka–Bzura, oraz 102. Wyższego Dowódcę Saperów do zadań specjalnych, odpowiedzialnego za budowę odcinka Pilica. Na punkt oporu składa się po jednym schronie 668 i 701 oraz ośmiu schronów Ringstand 58c (jeden ze schronów jest wysadzony), które wykonano w wersji wzmocnionej (ściany o grubości 60 cm), ze względu na to, iż punkt oporu umiejscowiony został na spodziewanym kierunku ataku z Przyczółka Warecko-Magnuszewskiego.

Schron typu 668 nie ma wybudowanej studni wyjścia awaryjnego. Tracony szalunek obiektu 701 wykonany jest w technologii mieszanej (pół na pół) – płyty stalowe i deski. Ciekawostką jest to, że obiekt, projektowany jako schron dla armaty i amunicji, posiada w stropie otwór kominowy. Warto w tym miejscu zaznaczyć, iż część stanowisk typu Ringstand 58c uzyskało niemiecką numerację (wymalowane w środku numery, np. 3161A, wyryte są również w gładzi cementowej od strony zewnętrznej). Na tym terenie znajduje się również kilka wykopów pod następne obiekty, których do stycznia 1945 r. nie wybudowano.

Kamion – po dwóch stronach drogi Mszczonów–Skierniewice zachowały się 3 obiekty typu 668 ze stanowiskiem bojowym

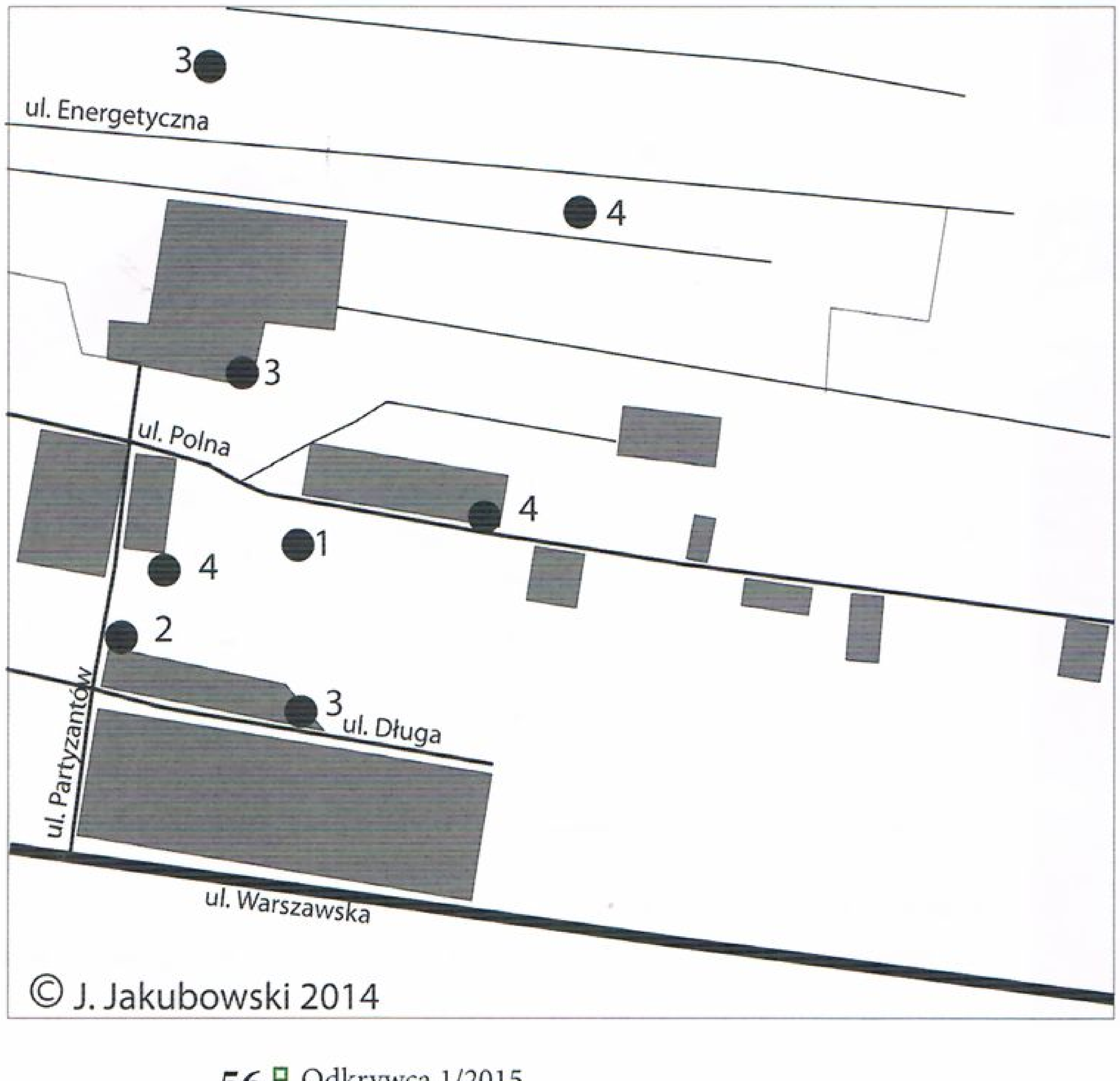

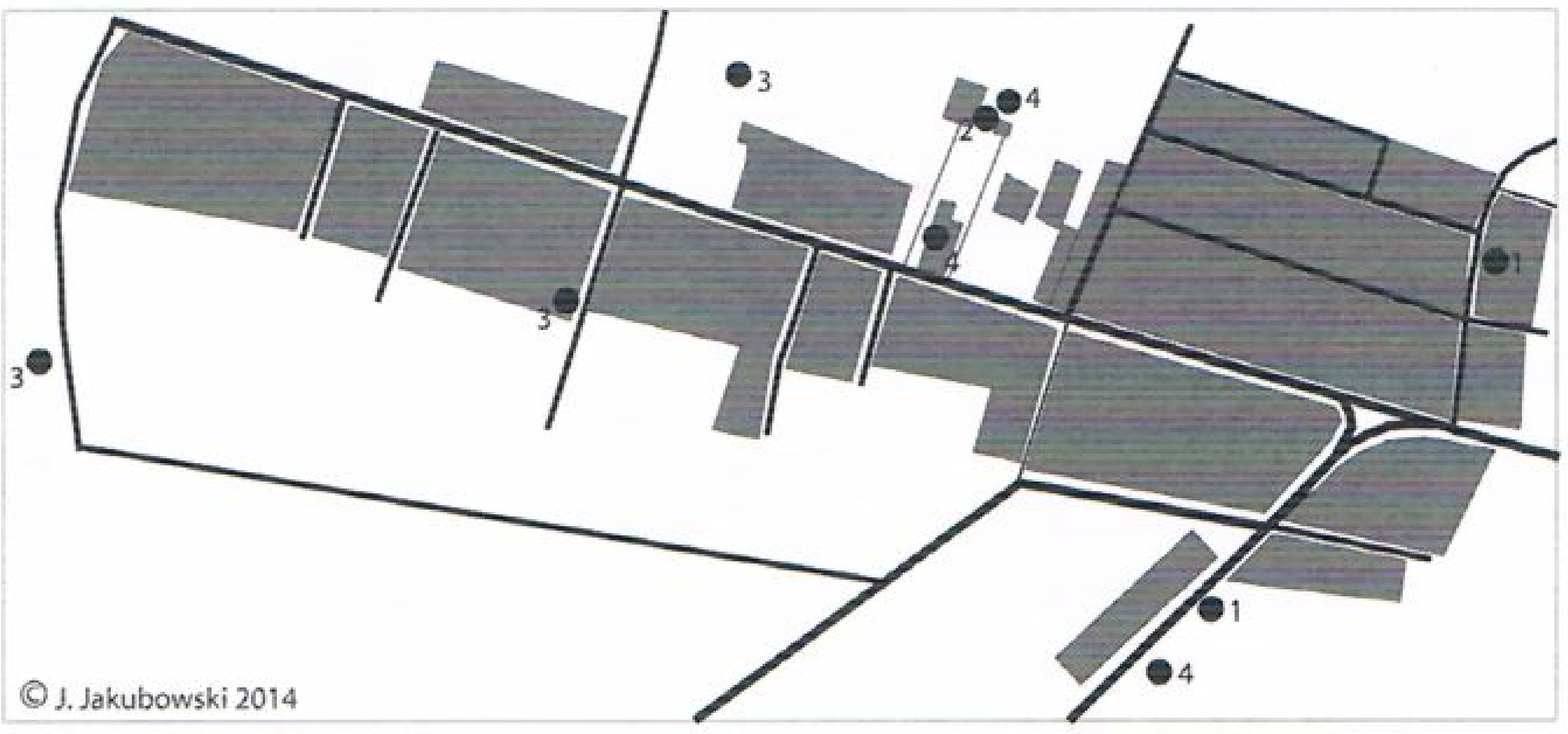

Punkt oporu Sochaczew B:
1 – Regelbau 668 + Ringstand. 58c;
2 – Regelbau 668;
3 – Regelbau 701;
4 – Ringstand 58 c

Ringstand 58c (dwa mają numery nadane po II wojnie światowej przez wojsko – 3547, 3550) dwa schrony 701 oraz cztery stanowiska Ringstand 58 c, w tym jeden z zachowanym fragmentem muru oporowego (Ringstandy również mają numery nadane przez wojsko w trakcie powojennej inwentaryzacji).

Schrony typu 668 są zalane wodą, w jednym z nich widoczne są stalowe drzwi wejściowe. Obiekty 701 były zamienione na mogilniki przeterminowanych środków ochrony roślin, które oczyszczono w 2010 roku – jednak nadal są zamurowane. Na terenie zachowały się też, w dobrym stanie, fragmenty rowu przeciwpancernego.

Rawka (Skierniewice) – ten punkt oporu miał za zadanie zabezpieczanie linii kolejowej Warszawa–Łódź. Obiekty znajdują się po obu stronach owej linii. Teren jest dość mocno zurbanizowany – powstało tu osiedle Skierniewice–Rawka. Udało się odnaleźć jeden schron 668 ze stanowiskiem bojowym Ringstand 58c, siedem schronów typu 701, pięć schronów typu Ringstand 58c.

Obiekty 701 są w większości niedostępne, oprócz dwóch stojących w lesie (mocno zaśmieconych) z zachowanymi ziemnymi rampami wyjazdowymi. Jeden z obiektów „służy" za fundament kaplicy cmentarnej. Schron 668 jest zasypany śmieciami, taka sama sytuacja ma miejsce z Ringstandami. Jeden z nich, znajdujący się w okolicy cmentarza, jest częściowo wysadzony (?). Warto wspomnieć, iż jeden z Ringstadów (w lesie) ma zachowany przy wejściu betonowy mur oporowy. W lesie znajdują się również pozostałości rowu przeciwpancernego oraz rowów strzeleckich.

Sierzchów–Jasionna – punkt oporu znajduje się po obu stronach linii kolejowej Warszawa–Poznań, jest jednym z najlepiej zachowanych na terenie odcinka Rawka–Bzura. Znajduje się na wschodnim skraju wsi Sierzchów i Jasionna, na polach uprawnych. Stoją tam cztery schrony typu 701, cztery typu 668 ze stanowiskiem bojowym Ringstand 58c oraz osiem schronów Ringstand 58c. Dwa schrony Regelbau 668 są zalane przez wody gruntowe, prawdopodobnie zachowane są tam drzwi wejściowe.

W dalszych dwóch obiektach typu 668 po wojnie urządzono mogilniki, które zostały opróżnione w czerwcu 2010 r., a następnie zamurowane. Obiekty

Punkt oporu Sochaczew A:
1 – Regelbau 668 + Ringstand 58c;
2 – Regelbau 668;
3 – Regelbau 701;
4 – Ringstand 58c

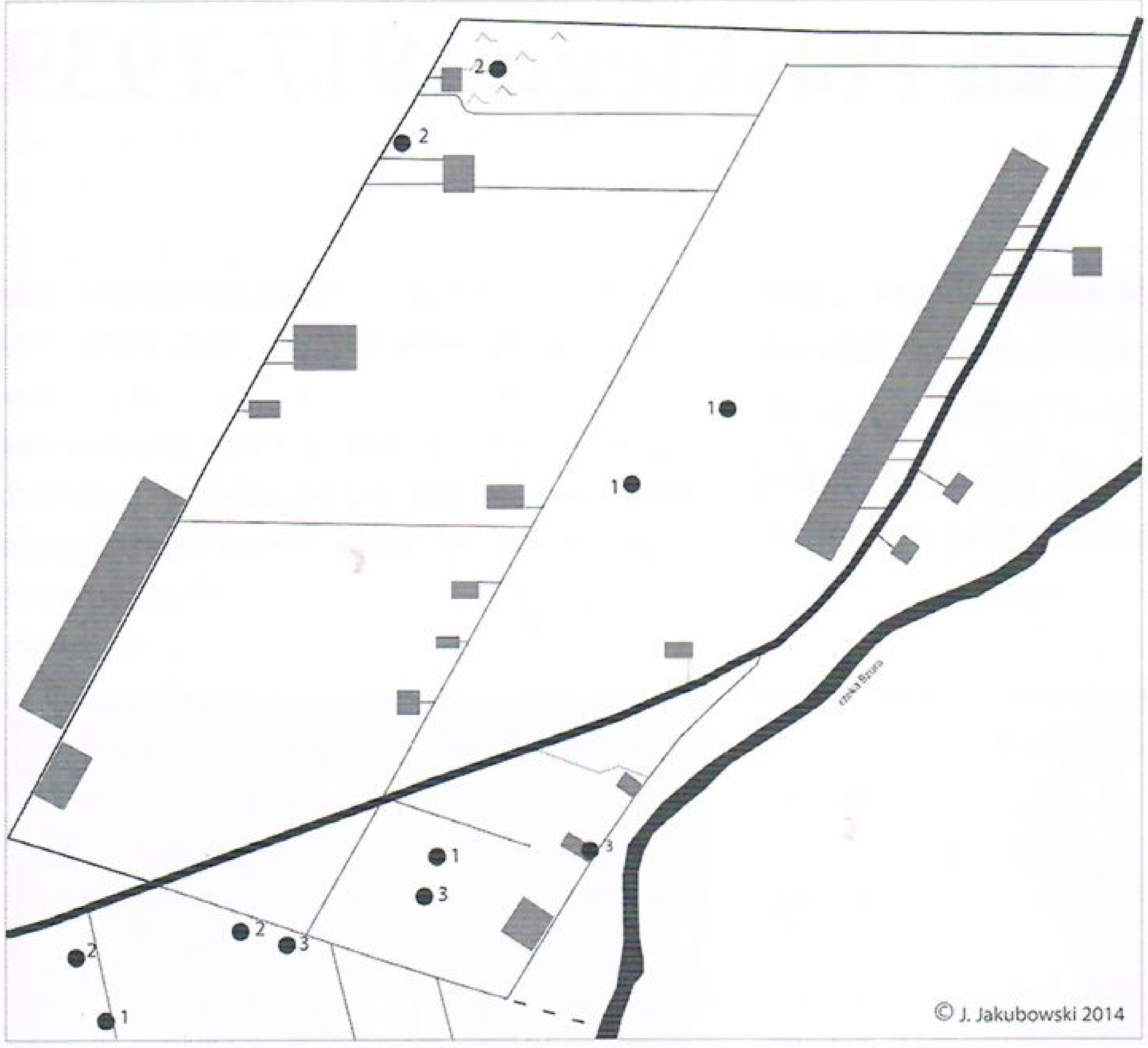

Punkt oporu Nowy Kozłów Pierwszy:
1 – Regelbau 668+ Ringstand 58c;
2 – Regelbau 701;
3 – Ringstand 58c

701 są również zalane i zasypane, prócz jednego – na terenie sadu w Sierzchowie. W zachodniej części punktu oporu, na zalesionym po wojnie terenie, znajduje się wykop, prawdopodobnie pod schron typu 621 (obok tego wykopu zachowany jest Ringstand 58c).

Nowy Kozłów Pierwszy – zadaniem tego punktu oporu było ryglowanie szosy Warszawa–Poznań. Po obu stronach szosy spotkać można cztery schrony typu 701, cztery schrony 668 z dobudowanym stanowiskiem bojowym Ringstand 58c oraz trzy Ringstandy 58c. Na terenie znajduje się też jeden wykop pod planowany obiekt. Ponieważ schrony typu 668 wykonano jako zagłębione, zostały zalane wodami gruntowymi. W jedynym niezalanym obiekcie zachował się komplet drzwi – są to gazoszczelne 19P7 oraz pancerne 434P01.

Kolejny ze schronów Regelbau 701 jest zasypany ziemią, ale zachował się w dość dobrym stanie charakterystyczny rów ziemny stanowiący „rampę", będący wjazdem–wyjazdem dla dział. Inny Regelbau 701 jest sezonowo zalany przez wodę. Następne dwa znajdują się w północnej części punktu oporu – na terenie zalesionym. Warto dodać, iż przed jednym z nich znajduje się częściowo zasypana studnia odwadniająca.

Sochaczew – po dwóch stronach rzeki Bzury znajdują się dwa punkty oporu. W związku z tym, iż tereny te są mocno zurbanizowane, część obiektów nie zachowała się. Pierwszy z punktów „A", na wschodnim brzegu, miał za zadanie ryglowanie drogi Warszawa–Poznań. Zachowały się tam trzy schrony typu 701, dwa schrony typu 668 (jeden z dobudowanym stanowiskiem bojowym Ringstand 58 c) oraz trzy schrony typu Ringstand 58c. Wiadomo, iż podczas budowy magazynów na tzw. Polach Czerwonkowskich wyburzono przynajmniej trzy obiekty. Schron Regelbau 668 jest zalany wodą, a drugi zasypany. Dwa schrony Regelbau 701 również są zasypane, a kolejny pełnił funkcję pieczarkarni.

Po drugiej stronie Bzury, między ulicami Płocką, Łowicką i Gawłowską, zachowany jest częściowo drugi punkt oporu „B". Stoją tam trzy schrony Regelbau 668 (jeden na prywatnej posesji, dwa z dobudowanym stanowiskiem bojowym Ringstand 58 c), trzy schrony Regelbau 701 oraz trzy Ringstandy 58c.

Schrony typu 668 są zalane wodą, w jednym z nich zachowane są stalowe drzwi wejściowe. W tym samym obiekcie ceglana studnia wyjścia awaryjnego została po wojnie rozebrana. Obiekty typu 701 są niedostępne – dwa są zamknięte, następny przerobiony na piwnicę, jedynie ostatni w okolicach ul. Bolechowskiej jest dostępny, lecz mocno zaśmiecony.

Wyszogród – na terenie miasta Wyszogród znajdują się dwa zidentyfikowane punkty oporu, zasadniczo nienależące do odcinka Rawka–Bzura, lecz ze względu na bliskość do pozycji a 2, warte opisania. Punkty oporu znajdują się na wschodnim i zachodnim skraju miasta. Pierwszy – na szczycie Góry Zamkowej – składa się obecnie z dwóch schronów typu Ringstand 58c, drugi – na ulicy Klasztornej, naprzeciw stadionu miejskiego – obejmuje jeden Ringstand 58c stojący na polu uprawnym. Na tym terenie znajdował się też drugi Ringstand 58c, obecnie (wg informacji przekazanej przez ludność miejscową) stanowi fundament domu.

Punkt oporu Skierniewice–Rawka:
1 – Regelbau 668+ Ringstand 58c;
2 – Regelbau 701;
3 – Ringstand 58c;
4 – Fragmenty rowu ppanc.

ARCHIWALIA: ARCHIWUM PAŃSTWOWE W WARSZAWIE ODDZIAŁ W GRODZISKU MAZOWIECKIM: STAROSTWO POWIATOWE W SKIERNIEWICACH - SYGNATURA 148.

Literatura:
1. H. Guderian, „Wspomnienia żołnierza", Warszawa 1991
2. J. Miniewicz, „Obiekty żelbetowe niemieckiej fortyfikacji polowej w latach 1938-1945", [w:] „Konserwatorska Teka Zamojska", część 2, Warszawa–Zamość 1988
3. T. Rawski, „Niemieckie umocnienia na ziemiach polskich w latach 1919-1945", [w:] „Studia i Materiały do Historii Wojskowości" tom XII, 1966

Jakub Jakubowski
Varsavianista, miłośnik fortyfikacji.

Sznury mundurowe Wojska Polskiego 1917-1939

PAWEŁ JANICKI

Wojsko Polskie okresu II Rzeczypospolitej, podobnie jak inne armie w tym czasie, jako element umundurowania zaadaptowało różnego rodzaju specjalne odznaki mundurowe, w tym sznury naramienne. Spełniały one rolę praktyczną, ale mogły też być formą wyróżnienia żołnierza lub określeniem jego funkcji. Niniejszy artykuł ma na celu zebranie podstawowej i aktualnej wiedzy na temat sznurów naramiennych Wojska Polskiego.

Etyszkiety, czyli ostatnie akordy XIX wieku

Pierwszym rodzajem sznura naramiennego były sznury ozdobne, zwane potocznie „etyszkietami". Zanim etyszkiety przerodziły się w ozdobny element umundurowania, miały charakter praktyczny. Wraz z pojawieniem się wysokich czapek ułańskich, jeszcze w czasie Królestwa Polskiego, stosowano do nich charakterystyczne białe sznury, które, owijane wokół szyi, miały uchronić ułana przed zgubieniem nakrycia głowy podczas walki i jazdy konnej. Ten rodzaj sznura nie był wyłącznie polskim pomysłem. W XIX i na początku XX wieku używała ich także kawaleria austro-węgierska, niemiecka, a nawet brytyjska. Z czasem etyszkiety przestały pełnić rolę zabezpieczającą czapkę, a stały się sznurami ozdobnymi, które fantazyjnie wiązano na ramionach i wokół szyi.

Wraz z powstawaniem jednostek polskich w czasie I wojny światowej odradzał się polski mundur wojskowy. Po podpisaniu Aktu 5 Listopada w 1916 r., przez władze niemieckie i austriackie, nastąpiły ważkie zmiany w kwestiach polskich. Jedną z nich było utworzenie w roku 1917 Polskiej Siły Zbrojnej, czyli formacji znanej jako „Polnische Wehrmacht". Równocześnie, w kwietniu 1917 r., wydano „Przepisy i instrukcje. Umundurowanie polowe wojsk polskich". Etyszkiety, które się tam pojawiły, zostały zapożyczone z jednostek niemieckich ułanów. Jak przewidywały nowe regulacje – elementem umundurowania „paradnego" dla szeregowych i oficerów kawalerii były białe, metalowe etyszkiety, zwane w przepisie „sznurem do czaka". Dla szeregowych wykonywano je z wełny w kolorze polowo-szarym. Oficerom pozwolono je nosić do munduru polowego (poza frontem, w kraju). Czako ułańskie ze sznurem nosić mogli szeregowi i oficerowie tylko podczas parad. Poza frontem, w kraju, szeregowi zakładać je mieli na specjalny rozkaz, a oficerowie wyłącznie, gdy wymagały tego reguły towarzyskie.

Etyszkiety szybko stały się wyróżnikiem oddziałów ułanów, a później także artylerii konnej. Należy zaznaczyć, iż przepis z 1917 r. nie określał sposobu noszenia sznurów ozdobnych. W praktyce zakładano je rozdzielnie, wokół kołnierza kurtki, pod lewym naramiennikiem. Tam wisiały dwa otwarte, ozdobne chwasty. Czasami przepuszczano je pod zapięciem kurtki, tak, że chwasty zwisały poniżej ostatniego zapięcia guzika. Drugi koniec sznura przekładano pod prawy naramiennik i zaczepiano o górny, prawy guzik ułanki. Przepis z 1917 r. nie mógł być w praktyce w pełni wprowadzony w życie, ze względu na istotne braki mundurowe w Polskiej Sile Zbrojnej.

Tymczasem podczas zjazdu Związków Wojskowych Polaków w Petersburgu w dniach 7-22 lipca 1917 r., powołano Naczelny Polski Komitet Wojskowy, który podjął decyzję o utworzeniu w Rosji trzech polskich korpusów. Na dowódcę I Polskiego Korpusu wyznaczono gen. por. Józefa Dowbor-Muśnickiego. W początkowym okresie umundurowanie I Polskiego Korpusu nie różniło się od rosyjskiego. Dopiero w dniach 19 kwietnia i 9 maja 1918 r. wydano rozkazy normujące całość spraw mundurowych. Jako dodatek do munduru przewidziano sznury ozdobne, jednak nie były one wyłącznie przeznaczone dla kawalerii. Sznury I Korpusu zostały zapożyczone bezpośrednio z kawalerii rosyjskiej. Nosiła je artyleria piesza (białe, przy czym często bez chwastów), ułani, artyleria konna i ogólna jazda (biały z amarantową wypustką na chwastach).

Po odzyskaniu niepodległości nastąpił gwałtowny rozwój oddziałów kawalerii, trwający do końca 1919 roku. Do Wojska Polskiego zaczęli przybywać oficerowie i szeregowi różnych armii, przynosząc ze sobą wszelkie tradycje kawalerii obcej. Z braku innych możliwości oficjalnie wciąż obowiązywały mundurowe przepisy z kwietnia 1917 roku. Braki mundurowe i ciągłe problemy z wyposażeniem wojska powodowały, iż na terenie byłej Kongresówki i Małopolski kawaleria nosiła wszystko, co było pod ręką. Warto wspomnieć, iż – jak wynika z materiałów zdjęciowych – od listopada 1918 r. używano kilku rodzajów etyszkietów, plecionych zarówno z regulaminowych materiałów, jak i ze zwykłych skórzanych rzemieni. Najpopularniejsze były jednak sznury plecione na wzór niemieckich sznurów ułańskich.

Opracowanie i wydanie nowych regulaminów wymagało czasu, dlatego posługiwano się doraźnymi rozkazami mundurowymi. Przepisy z 1917 r. zostały doprecyzowane w Dzienniku Rozkazów Wojskowych z dnia 18 stycznia 1919 r., w których czasowo, aż do momentu wprowadzenia nowych przepisów mundurowych dla wszystkich oddziałów Wojska Polskiego, zatwierdzono zestawy mundurowe, wcześniej nieprzewidziane. Etyszkiety ułańskie wprowadzono dla oficerów i szeregowców artylerii konnej oraz oficerów ułanów niezaliczonych do poszczególnych pułków, bez względu na przydział. Był to ważny rozkaz, wywalczony przez oficerów artylerii konnej, którzy uważali, iż zgodnie z tradycją powinni nosić umundurowanie kawaleryjskie. Tymczasem w świetle przepisów z kwietnia 1917 r. formalnie obowiązywał ich mundur piechoty z czarną wypustką, którego w zasadzie nigdy nie używano.

16 kwietnia 1919 r. Minister Spraw Wojskowych wydał rozkaz, który zakazywał noszenia do munduru polowego jakichkolwiek etyszkietów, wyraźnie podkreślając, iż są elementem „ubioru paradnego", i mogą być noszone tylko na rozkaz lub w okolicznościach regulaminowych.

Tymczasem w Wielkopolsce narodziło się całkowicie odmienne mundurowo wojsko. Różnice dotyczyły także sznurów naramiennych. 8 lutego 1919 r. wydano przepisy ustalające umundurowanie pułków jazdy, tj. kurtki (tzw. „ułanki") dwurzędowe z sukna barwy polowo-szarej, a rozkaz dzienny Dowództwa Głównego nr 61 z dnia 6 marca 1919 r. zezwalał na noszenie w pułkach jazdy etyszkietów, wzorowanych na etyszkietach niemieckich. Dla Dywizjonu Artylerii Konnej Wielkopolskiej wprowadzono etyszkiety koloru czarnego. Prawo do noszenia sznurów ozdobnych przysługiwało tylko żołnierzom liniowym. Konni gońcy nie nosili ułanek, a co za tym idzie, nie przysługiwał im sznur ozdobny. Zgodnie z rozkazem z 19 marca 1919 r. sznury nie przysługiwały także żołnierzom z sekcji remontu koni i oficerom ogólnej kawalerii.

W listopadzie 1919 r. Ministerstwo Spraw Wojskowych wydało „Przepisy ubioru polowego Wojsk Polskich", zatwierdzone Dekretem Wodza Naczelnego. Dotychczasowe kurtki „ułanki" zastąpiono kurtkami sukiennymi nowego wzoru. Wraz z ułanką miały zniknąć także etyszkiety – oczywiście tylko na papierze, gdyż ze względu na trudności mundurowe, jeszcze w latach 1922-23 sporadycznie pojawiają się na zdjęciach z epoki.

Fotografia z atelier fotograficznego 1. Pułku Szwoleżerów z lat 30. Żołnierz w mundurze tradycyjnym tzw. „ułance" z białym etyszkietem. Choć mundur ten nie był już od ponad 10 lat używany w służbie, to nadal znajdowali się amatorzy na pamiątkowe fotografie dla rodziny.

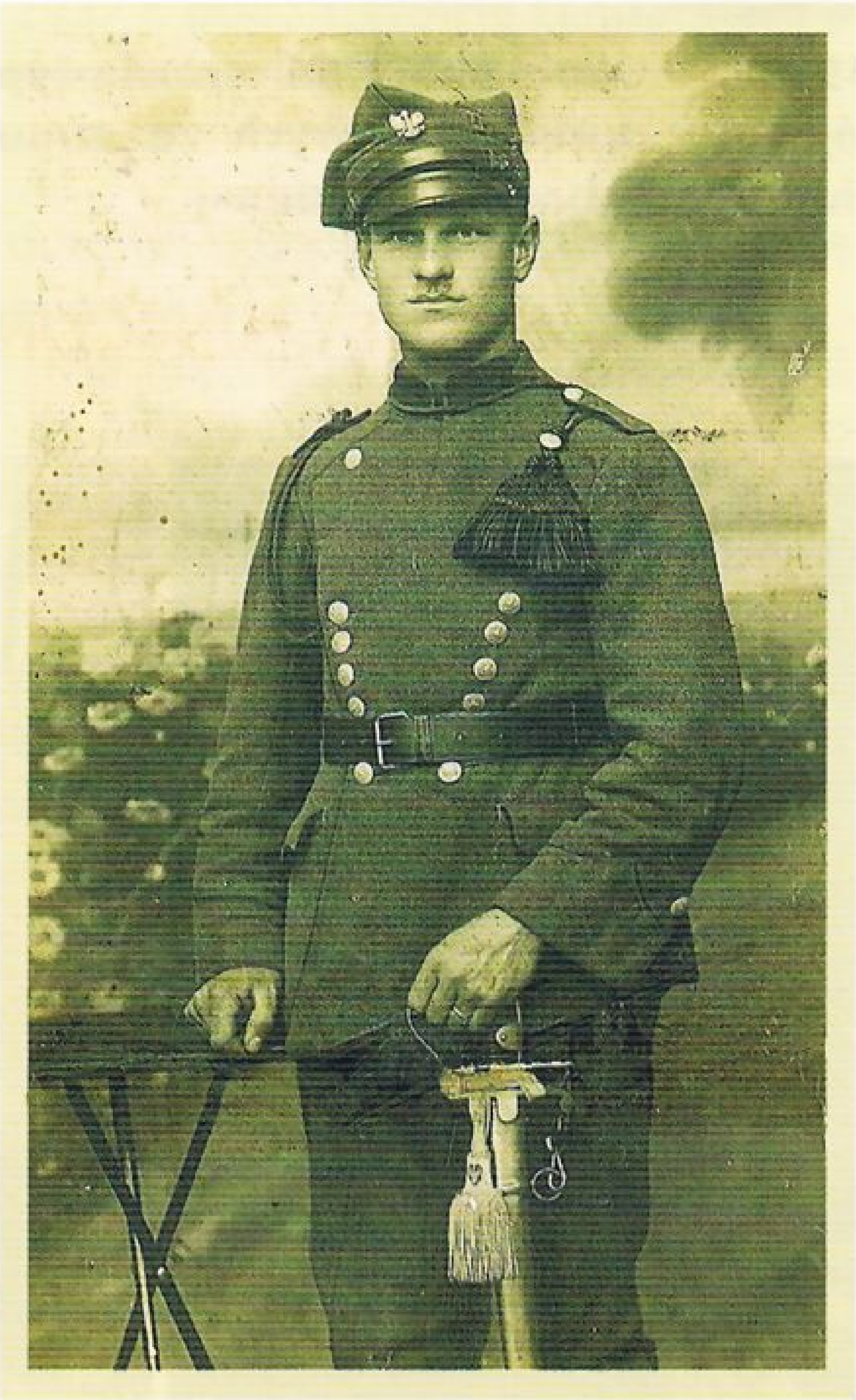

Fotografia z 1919 r. Kanonier Dywizjonu Artylerii Konnej Wielkopolskiej Władysław Karalus z czarnym etyszkietem.

SZNURY OZDOBNE

Sznury ozdobne nie zostały w pełni wycofane z Wojska Polskiego. Pozostały w plutonach trębaczy większości pułków kawalerii i dywizjonów artylerii konnej, aż do roku 1939 – przy czym artylerzyści konni tradycyjnie nosili etyszkiety w barwie czarnej, a kawaleria białe – dla szeregowych i srebrne – dla oficerów. Sznurów ozdobnych używano także podczas wystąpień paradnych w Szwadronie Przybocznym Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza. Podporządkowany ewidencyjnie 1. Pułkowi Szwoleżerów wraz z Kompanią Przyboczną tworzył Oddział Przyboczny – 19 grudnia 1922 r. przemianowano go na Szwadron Przyboczny Prezydenta RP. W lipcu 1926 r. został wcielony jako 2. Szwadron do 1. Pułku Szwoleżerów, a sznury ozdobne wycofano.

Nadmienić należy, iż jeszcze do połowy lat 30. wśród szeregowych popularne było fotografowanie się, w zakładach fotograficznych, w starych ułankach z etyszkietami (szczególnie 1. Pułk Szwoleżerów), lub zakładanie sznurów ozdobnych do kurtek sukiennych jako pamiątki z wojska. Nie należy interpretować tych zdjęć jako reguły, a co najwyżej, jako przejaw elegancji i fasonu, z którą sznury ozdobne były kojarzone.

Oficerskie sznury funkcyjne

Kolejnym rodzajem sznura mundurowego były oficerskie sznury funkcyjne, potocznie zwane „akselbantami". Nazwa pochodzi z j. niemieckiego (Achsel – ramię, Band – taśma). Najwcześniej pojawiły się we Francji, bo już w XVII wieku. Z czasem używała ich większość armii europejskich – generałowie, adiutanci, czy oficerowie sztabu. Akselbanty noszono w Polsce już od XVIII wieku – sto-

Orkiestra 7. Pułku Strzelców Konnych podczas uroczystości na Zaolziu w 1938 r. Wszyscy orkiestranci z ozdobnymi etyszkietami w barwie białej.

Wręczenie sztandaru 3. DAK w Wilnie w 1938 r. Marszałek Edward Rydz-Śmigły z potrójnym sznurem generalskim. Obok kapitan-adiutant 3. DAK ze sznurem pojedynczym.

Około 1938 r. Oficerowie dyplomowani w mundurach polowych ze sznurami funkcyjnymi w barwie ochronnej.

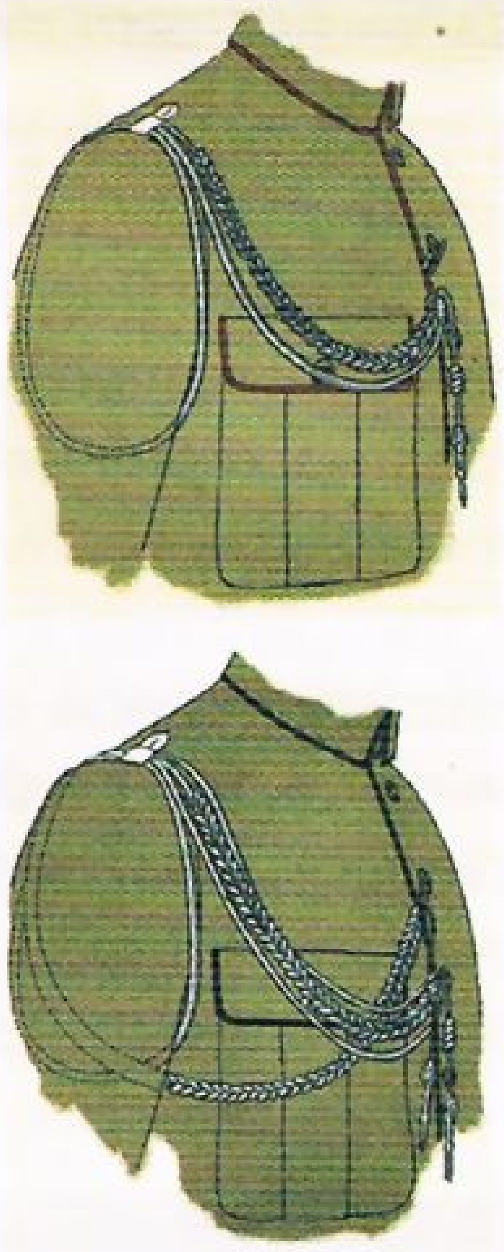

Sznury funkcyjne adiutanta pułkowego oraz adiutanta wyższych dowództw wg przepisu z 1917 roku.

SZNURY FUNKCYJNE

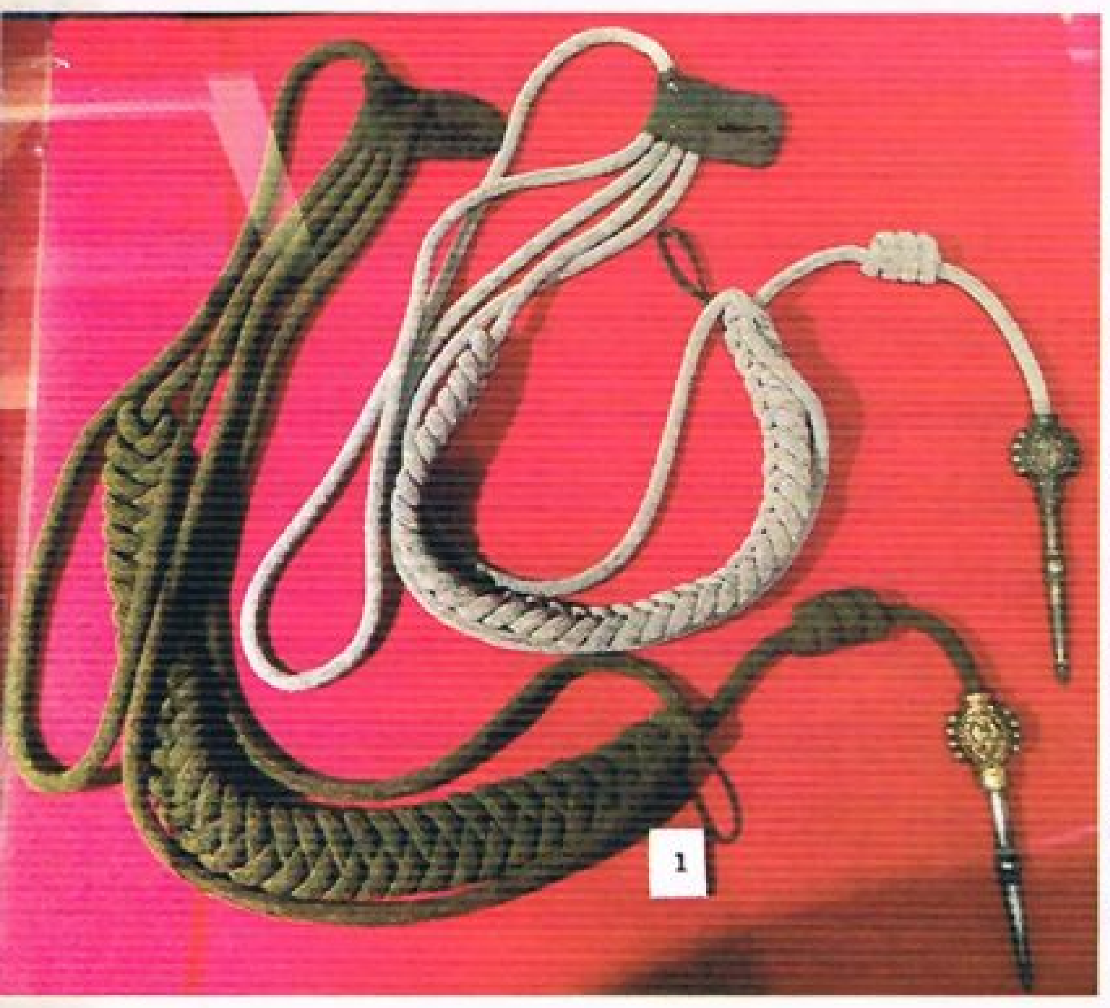

Sznury adiutanckie por. Lucjana Woźniaka z 17. Pułku Ułanów. U góry sznur adiutancki srebrny, poniżej sznur polowy.

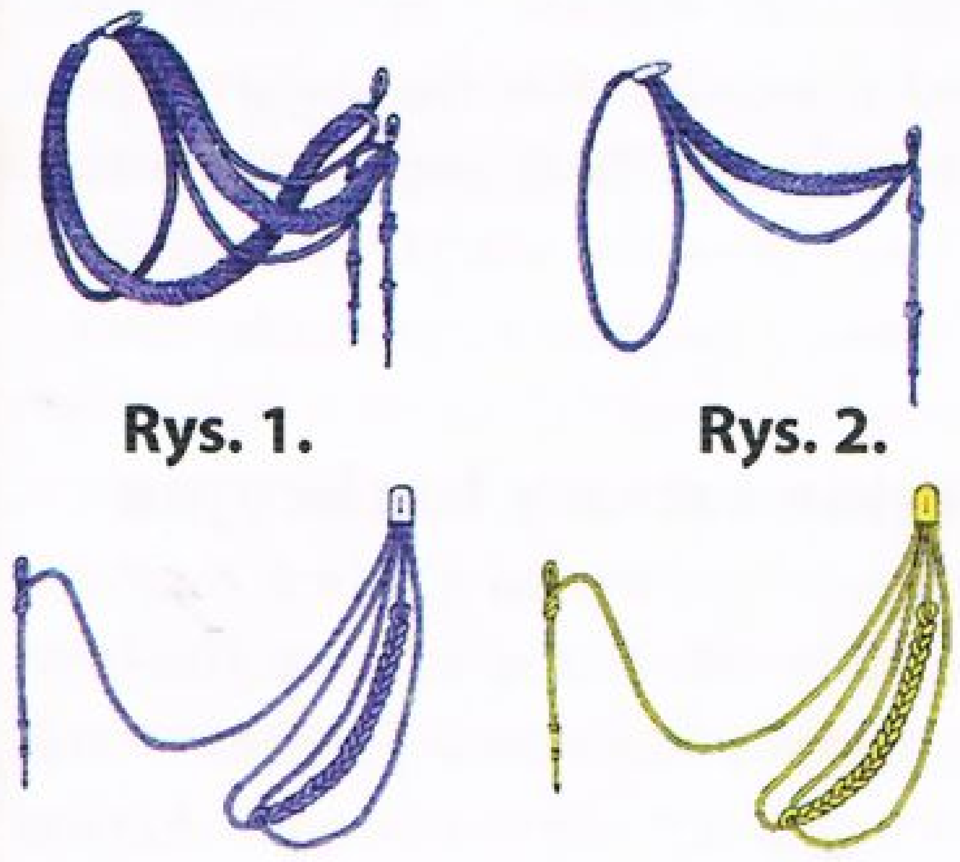

Rys. 1. Rys. 2.

Rys. 3. Rys. 4.

Sznury wg przepisu z 1919 roku:
Rys. 1. Sznury naramienne generałów, oficerów Sztabu Generalnego i adiutantów sztabowych.
Rys. 2. Sznury naramienne adiutantów wszelkich dowództw.
Rys. 3. Sznur naramienny oficerów żandarmerii.
Rys. 4. Sznur naramienny szeregowych żandarmerii.

Podpułkownik dyplomowany artylerii, Andrzej Czerwiński, ze sznurem oficera dyplomowanego.

Zdjęcie z 1938 r. Po lewej porucznik adiutant jednego z pułków artylerii.

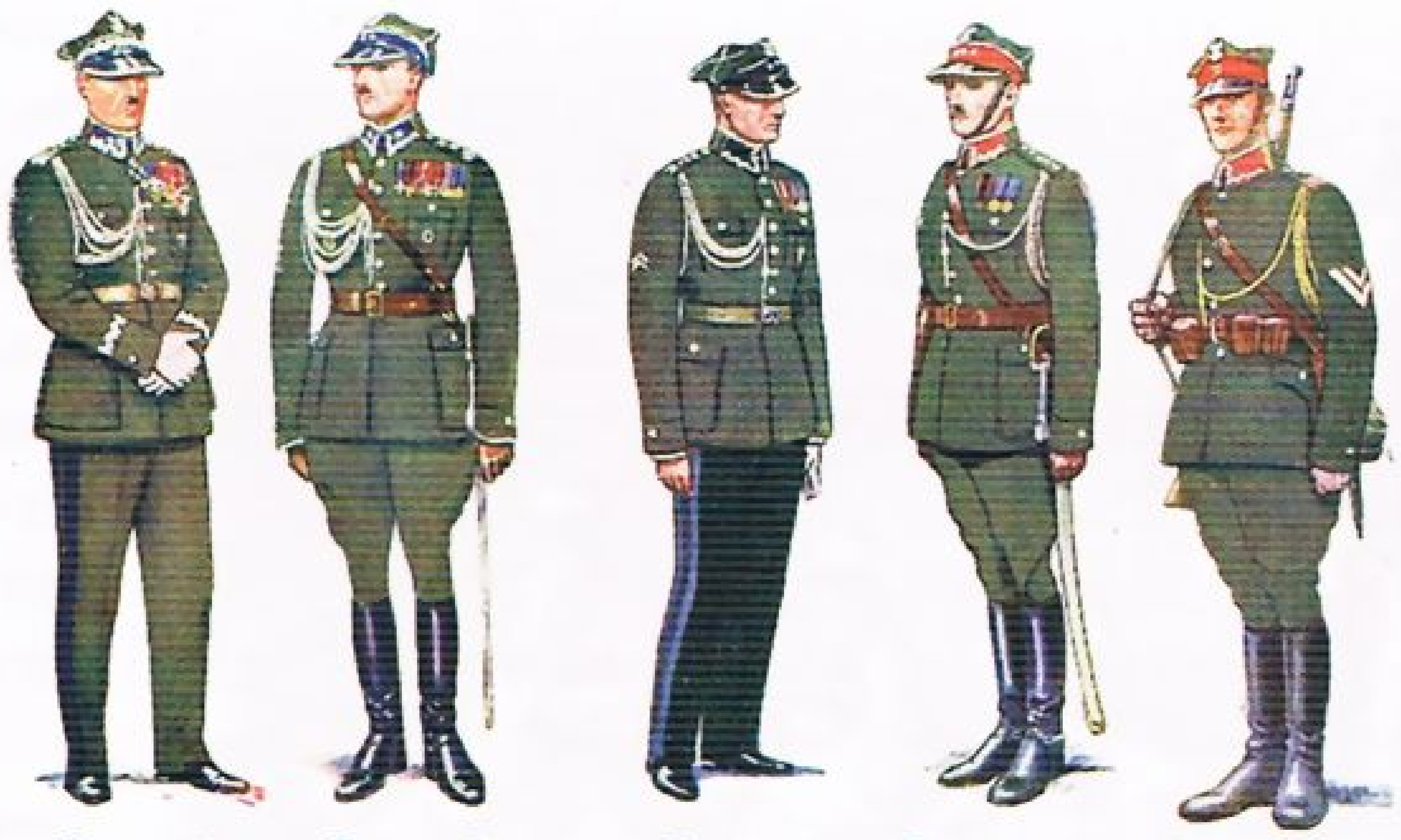

Rys. 1. Rys. 2. Rys. 3. Rys. 4. Rys. 5.

Sylwetki mundurowe wg podręcznika „Umundurowanie Wojska, Marynarki Wojennej i P.W. w Polsce" z 1935 r.

Rys. 1. Gen. dyw. – ubiór wieczorowy ze sznurem generalskim.
Rys. 2. Podpułkownik dyplomowany piechoty – mundur służbowy.
Rys. 3. Kapitan łączności, adiutant pułku w mundurze wieczorowym.
Rys. 4. Kapitan Żandarmerii – mundur służbowy ze sznurem srebrnym.
Rys. 5. Plutonowy żandarmerii w mundurze służbowym ze sznurem żółtym.

Około 1937 r. podoficerowie żandarmerii podczas święta, z naramiennymi sznurami żandarmerii.

Sierżant żandarmerii ze sznurem barwy żółtej w II połowie lat 20.

sowały je regimenty dragonów, potem pułki gwardii. W okresie II RP nie posługiwano się już nazwą „akselbanty", uznając ją za nazwę historyczną. Poprawna nazwa, to sznury oficerskie lub sznury funkcyjne.

Jak już ww., w roku 1917 wydano „Przepisy i instrukcje…" dotyczące umundurowania dla Polskiej Siły Zbrojnej. Wprowadzały one sznury naramienne dla:

» adiutantów pułkowych (dywizjonowych w artylerii konnej) – sznur pojedynczy;
» adiutantów wyższych sztabów (od brygady w górę) – sznur podwójny;
» oficerów Sztabu Generalnego i przydzielonych oficerów – sznur podwójny;
» generałów – sznury specjalnego kroju.

„Akselbanty" wykonywane były z plecionego, metalowego, biało-matowego sznura. Noszono je pod prawym treflem, gdzie były przypięte, przez ramię, do 2. lub 3. guzika bluzy. Kiedy w kwietniu i maju 1918 r. wydano rozkazy dotyczące umundurowania I Korpusu Polskiego w Rosji, uwzględniono w nich także sznury funkcyjne na wzór carski. Podwójne sznury białe nosili oficerowie Sztabu Generalnego, a oficerowie straży polowej – podwójne sznury żółte. W 1919 r. w oparciu o „Przepisy ubioru polowego Wojsk Polskich" przyjęto sznury naramienne na wzór PSZ z 1917 r. z drobnymi zmianami, jako *„odznakę gotowości oficera do wypełnienia rozkazu dowódcy"*. Dla generałów i oficerów Sztabu Generalnego zatwierdzono podwójne sznury, noszone na prawym ramieniu. Dla adiutantów wszelkich dowództw – sznury pojedyncze. Sznury funkcyjne noszono do munduru garnizonowego, służbowego i salonowego. W przypadku munduru polowego i codziennego dopuszczano ich noszenie, ale tego nie wymagano.

Sznury składały się z dwóch warkoczy splecionych z nici metalowych. Przy warkoczach przyszywano pętelki, służące do mocowania sznurów na guzikach munduru. Warkocze zakończone były pojedynczym sznurem, który z kolei zakończony był, z jednej strony, spiczasto metalową skuwką, z drugiej – skuwką okrągłą z orłem w wieńcu z dębowych liści. Sznury przymocowane były do dwóch guzików kurtki mundurowej i podpięte pod prawy naramiennik.

W roku 1928 mocno rozszerzono listę funkcji oficerskich, którym zezwolono na noszenie sznurów. Sznury podwójne (generalskie) pojawiły się na mundurach: oficerów dyplomowanych pełniących służbę w sztabach (od pułku wzwyż), adiutantów Prezydenta RP i Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych oraz oficerów do zleceń i oficerów ordynansowych ministra spraw wojskowych. Sznury pojedyncze (adiutanckie) noszone były także przez: oficerów ordynansowych inspektorów armii, adiutantów i oficerów ordynansowych wiceministrów spraw wojskowych, oficerów ordynansowych dowódców okręgów, adiutantów dowódców (od dowódców samodzielnych batalionów lub równorzędnych) i adiutantów komendantów garnizonu.

Rozkazem ze stycznia 1937 r. ponownie uregulowano zasady noszenia sznurów naramiennych. Kategorycznie zakazano noszenia sznurów i orzełków kołnierzowych oficerom dyplomowanym, pełniącym funkcje dowódcze od pułku (lub równorzędnego) w dół, a w szkolnictwie wojskowym – od dowódcy batalionu, kompanii (równorzędnych) w dół. Co ciekawe, dopuszczono noszenie sznurów przez uprawnionych do munduru polowego, pod warunkiem, że sznury będą w barwie ochronnej, a ich używanie uzależniono od woli samego oficera. Przy mundurze garnizonowym służbowym sznury miały być barwy ochronnej, z tym że do pracy biurowej nie były w ogóle wymagane. Przy wystąpieniach uroczystych obowiązywały sznury metalowe z nici oksydowanych na stare srebro. Takie same sznury obowiązywały przy mundurze wieczorowym i pozasłużbowym.

Należy także wspomnieć, iż w roku 1927 zmienił się wzór skuwki. Na nowej widniał orzeł wz.27. Natomiast od roku 1937 sznury oficerskie wykonywano z nici metalowych oksydowanych na stare srebro. Warto także nadmienić, iż pojedyncze sznury z metalową skuwką na prawym ramieniu nosili także dowódcy Kolejowego Przysposobienia Wojskowego.

SZNURY ŻANDARMERII

Patrol żandarmerii ze sznurami. Fotografia wykonana około 1939 roku.

Sznury żandarmerii

Sznur żandarmerii jest chyba jednym z najbardziej rozpoznawalnych dziś sznurów okresu II RP. Jego żółto-kanarkowa barwa była wielokrotnie przywo-

ływana we wspomnieniach podchorążych i szeregowych na przepustkach. W przepisach sznury żandarmerii klasyfikowano jako sznury funkcyjne, w tej samej kategorii co sznury oficerskie.

Pierwsze oddziały żandarmerii powstały w ramach Legionów Polskich. W sierpniu 1914 r. w Krakowie, dla Legionu Zachodniego, utworzono konną Żandarmerię Polową, której komendantem został rotmistrz Robert Kunicki. W Wojskach Wielkopolskich sformowane oddziały żandarmerii posługiwały się sznurami barwy kanarkowej, jednak trudno dokładnie określić jeden prawidłowy wzór – można za to znaleźć od trzech do pięciu wersji. Sznur jako wyróżnik żandarmerii pojawił się wraz z wprowadzeniem „Przepisu ubioru polowego" w 1919 roku. Sznury naramienne dla oficerów żandarmerii wykonane były z oksydowanego sznura metalowego, a dla szeregowych – z wełnianego, w jasno-żółtym kolorze. Ze względu na tę barwę żandarmów nazywano potocznie „kanarkami". Sznury w kolorze żółtym wykonane były z bawełny merceryzowanej. Posiadały jeden warkocz zakończony pojedynczym sznurem, przechodzącym pod ramieniem, oraz pętlę zakończoną metalową skuwką w kolorze żółtym. Na skuwce widniał wizerunek orła w wieńcu z liści. Zgodnie z regulaminem żandarmi pełniący służbę nosili sznury na lewym ramieniu, przypinając je do guzika na lewym naramienniku za pomocą sukiennej łapki. Drugi koniec sznura mocowano do trzeciego guzika kurtki mundurowej.

Przepisy te obowiązywały aż do roku 1926. Ponieważ sznury noszone były także przez szeregowych próbnych i niezawodowych żandarmerii, a ich mundur niewiele się różnił od podoficerów zawodowych żandarmerii, zbyt często powoływani byli do służby egzekutywnej – w nagłych wypadkach. Wywoływało to liczne protesty, szczególnie, gdy czynności podejmowano wobec oficera lub starszego podoficera. W związku z tym, w celu odróżnienia żandarmów, sznury naramienne od 1926 r. przysługiwały wyłącznie oficerom i podoficerom zawodowym żandarmerii. Szeregowym próbnym i niezawodowym sznur przysługiwał dopiero w ostatnim, czyli III okresie szkolenia i tylko w czasie służby egzekutywnej. Sznury przysługiwały także żandarmom Korpusu Ochrony Pogranicza.

W 1931 r. wydano „Warunki Techniczne na sznury żandarmskie wz.31". Wykonane były z nici bawełnianych barwy jasno-żółtej (kanarkowej). Oficerowie żandarmerii nosili sznury wykonane z białego metalu, z tą różnicą, iż mocowano je na lewym ramieniu.

Zgodnie z rozkazem ze stycznia 1937 r. sznury żandarmerii noszono do każdego rodzaju munduru, za wyjątkiem munduru polowego (bojowego) i ćwiczebnego. W przypadku munduru polowego żandarmeria miała docelowo nie nosić sznura, który zastąpić miano znakiem żandarmerii w formie gorejącej bomby. Przez lata uważano, iż znak ten nie wszedł nigdy do użycia. Jak jednak wskazują najnowsze ustalenia, do września 1939 r. znak ten najprawdopodobniej został wprowadzony, jednak w bardzo ograniczonym zakresie. Zgodnie ze wspomnieniami z września 1939 r. powszechny w użyciu w jednostkach żandarmerii był mundur garnizonowy z barwnymi patkami na kołnierzu, barwną rogatywką wz.35 i sznurami „kanarkowymi", i w takiej postaci większość oddziałów żandarmerii zapadła w zbiorowej pamięci uczestników walk.

Sznury strzeleckie

Kolejną odmianą sznura mundurowego były wszelkiego rodzaju naramienne sznury strzeleckie szeregowych.

Rys. 1.

Rys. 2.

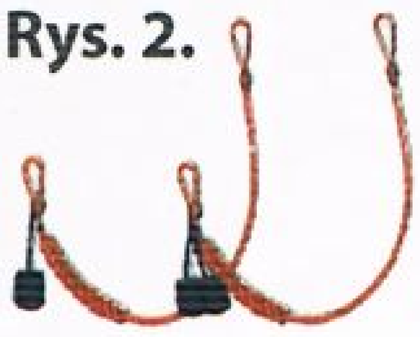

Rys. 3.

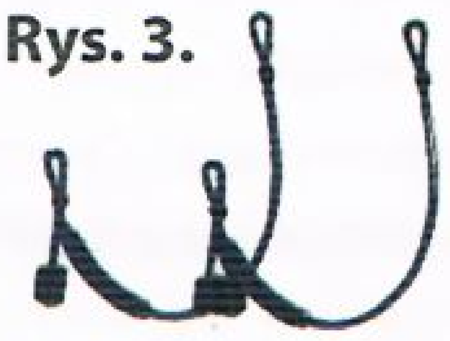

Sznury strzeleckie wg podręcznika „Umundurowanie Wojska, Marynarki Wojennej i P.W. w Polsce" z 1935 r.
Rys. 1. Sznury za strzelanie z karabinu dla strzelca dobrego, bardzo dobrego i wyborowego.
Rys. 2. Sznury za strzelanie z ręcznego karabinu maszynowego.
Rys. 3. Sznury granatowe przeplatane nicią żółtą dla pododdziałów dla mistrzowskiego szwadronu/kompanii/baterii oraz sznur z dwoma chwastami dla mistrzowskiego szwadronu dywizji/brygady kawalerii.

Zostały one wprowadzone rozkazem M.S.Wojsk. z dnia 30 lipca 1925 r. (opublikowane dopiero 7 września 1926 r.), jako wyróżniająca odznaka strzelecka. Należy podkreślić, iż przysługiwały one wyłącznie szeregowym każdego rodzaju broni, więc z ich noszenia wyłączeni byli podoficerowie i oficerowie. Początkowo sznury strzeleckie stanowiły nagrodę dla strzelców celnych i wyborowych, i nadawano je w okresie szkolenia strzeleckiego. Pamiętajmy jednak, iż żołnierz wyróżniony sznurem strzeleckim, nie jest strzelcem wyborowym w rozumieniu funkcji w plutonie. Tych dwóch okoliczności nie należy mylić.

Sznury strzeleckie miały formę czerwonego (karmazynowego) sznura wełnianego, częściowo plecionego, o długości 45 cm (część pleciona 10 cm) i grubości 4 mm, z jednym chwaścikiem dla strzelca celnego i dwoma chwaścikami dla strzelca wyborowego. Sznur po obu stronach zakończony był pętlą. Zawieszano je na lewym naramienniku kurtki lub płaszcza, do drugiego od góry guzika kurtki. Co ciekawe, sznur przypinano do guzika pod naramiennikiem, w miejscu wszycia naramiennika do rękawa. Ponieważ żadne warunki techniczne na kurtki sukienne nie prze-

Początek lat 30. Starszy strzelec 16. Pułku Piechoty ze sznurem strzeleckim dla strzelca dobrego. Widać dokładnie wszyty pod naramiennikiem guzik do mocowania sznura.

widują takiego guzika, żołnierz musiał go samodzielnie wszyć przed przypięciem sznura. Sznury strzeleckie noszono czasami odwrotnie, tj. chwaścikami przy naramienniku. Zdarza się napotkać zdjęcie żołnierza ze sznurem założonym dookoła naramiennika – pod pachą. Należy jednak podkreślić – sznury strzeleckie noszono wyłącznie do munduru garnizonowego.

W roku 1931 zmieniono koncepcję nagradzania szeregowych za wyniki w strzelaniu. Zmieniła się także budowa sznura, który składał się:

» ze sznura właściwego tworzącego na końcu pętlę, a w środku warkocz,
» z jednego, dwóch lub trzech chwastów,
» jednej nieruchomej przesuwki,
» baryłki.

Zmienił się także kształt chwastów. Całość z pętlami miała długość 46 cm. Sznur barwy czerwonej z jednym chwastem przysługiwał dobremu strzelcowi, z dwoma – bardzo dobremu, a z trzema – wyborowemu. Ponadto wprowadzono sznury czerwone z granatowymi chwastami (tak samo jeden, dwa lub trzy chwasty), które były przyznawane za strzelanie z ręcznego karabinu maszynowego. Zwróćmy uwagę, że granatowe były tylko chwasty, a nie sznurki, na których wisiały, jak chcą niektóre publikacje.

Istniały także sznury granatowe, przeplatane żółtymi nićmi, z jednym chwaścikiem. Nadawano je strzelcom mistrzowskiego szwadronu w pułku (kompanii w piechocie i baterii w artylerii). Sznury z dwoma chwastami nosili szeregowi mistrzowskiego szwadronu dywizji (brygady kawalerii). W przypadku przyznania prawa do noszenia sznura dla mistrzowskiego szwadronu, zawieszano czasowo prawo do noszenia sznura czerwonego.

Ciekawostką jest to, iż bardzo rzadko spotyka się zdjęcia żołnierzy ze sznurami strzeleckimi, wykonanymi poza atelier fotograficznym. Było to spowodowane dość krótkim czasem, w którym żołnierz uprawniony był do noszenia sznura.

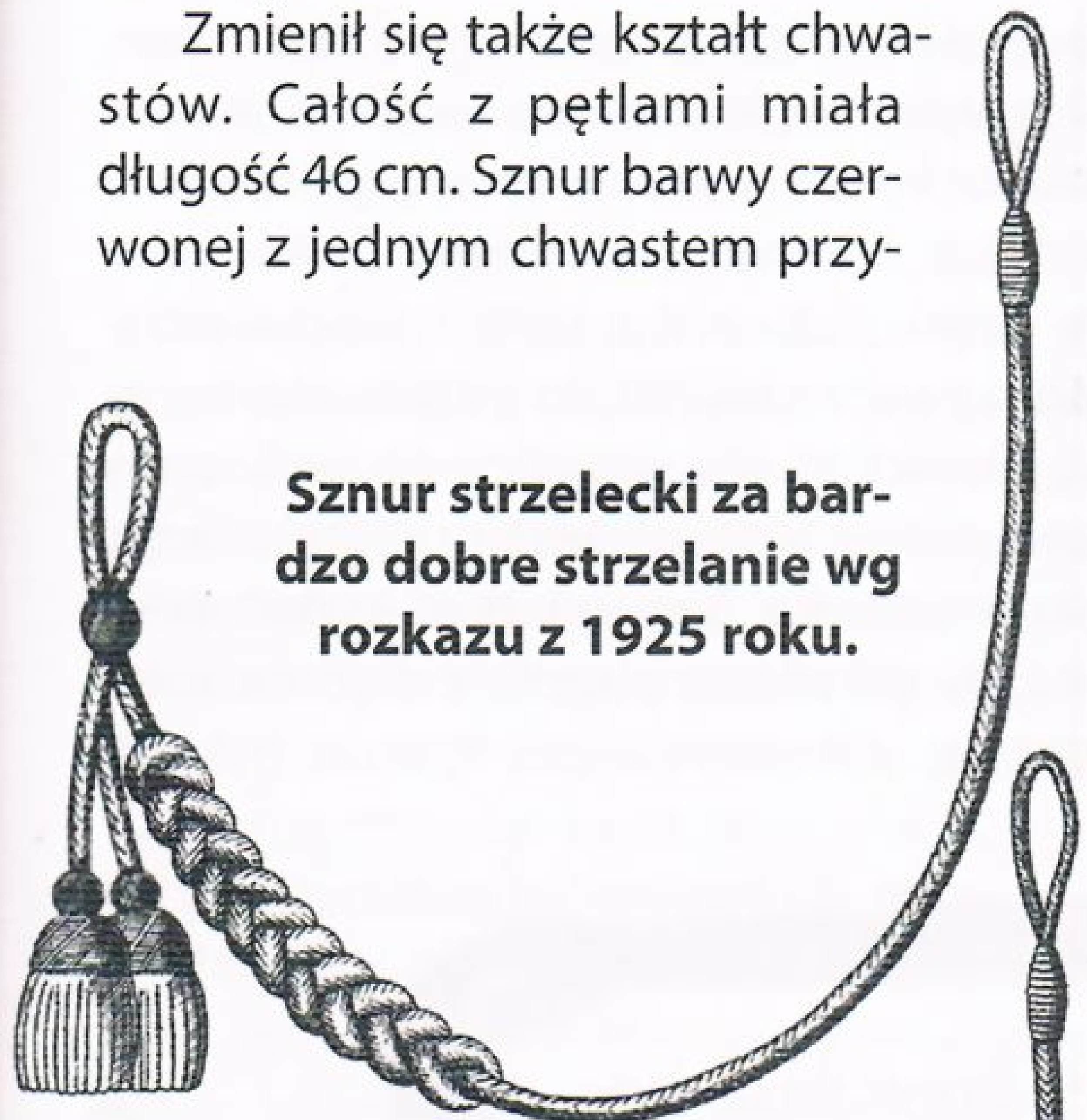

Sznur strzelecki za bardzo dobre strzelanie wg rozkazu z 1925 roku.

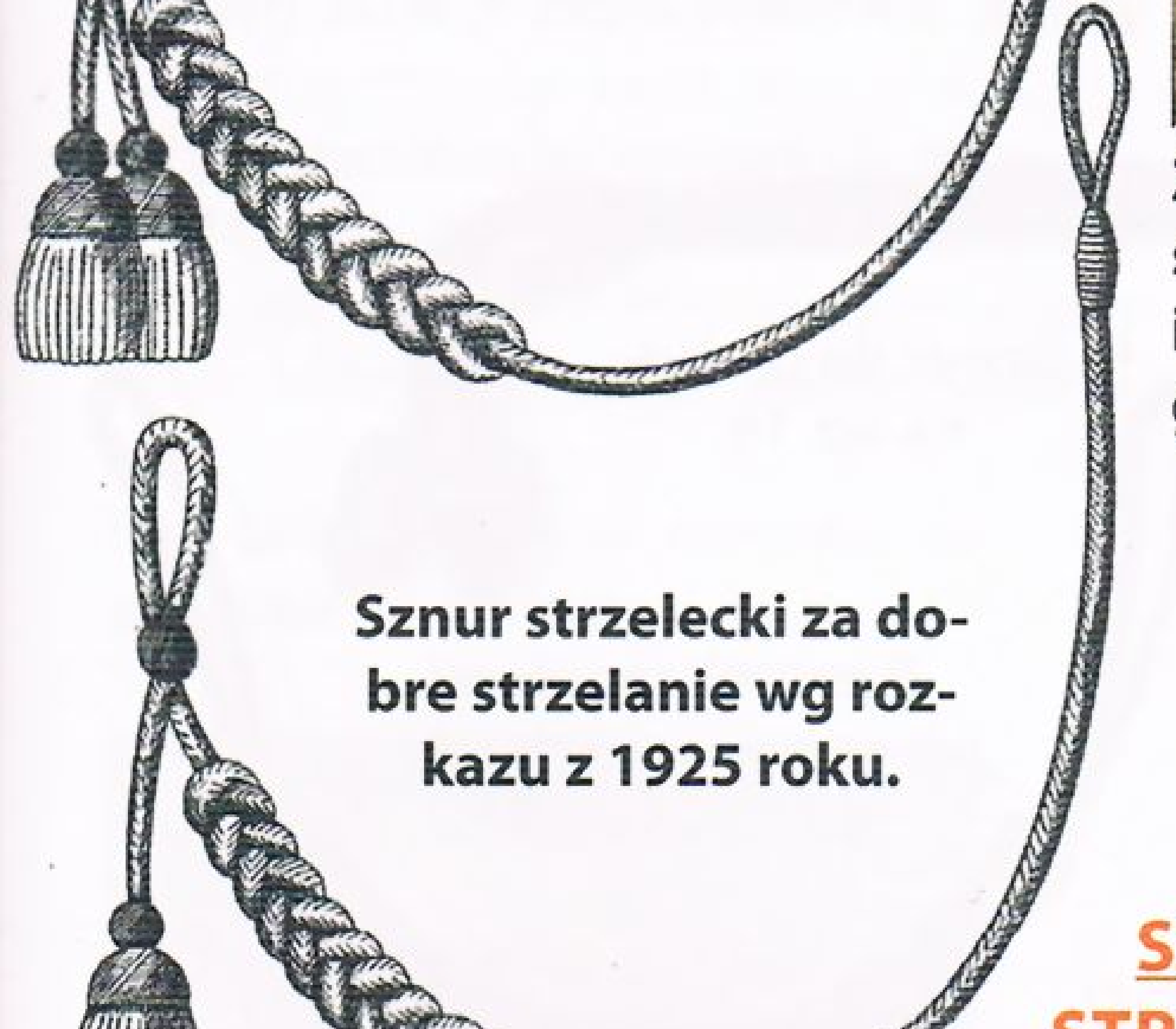

Sznur strzelecki za dobre strzelanie wg rozkazu z 1925 roku.

SZNURY STRZELECKIE

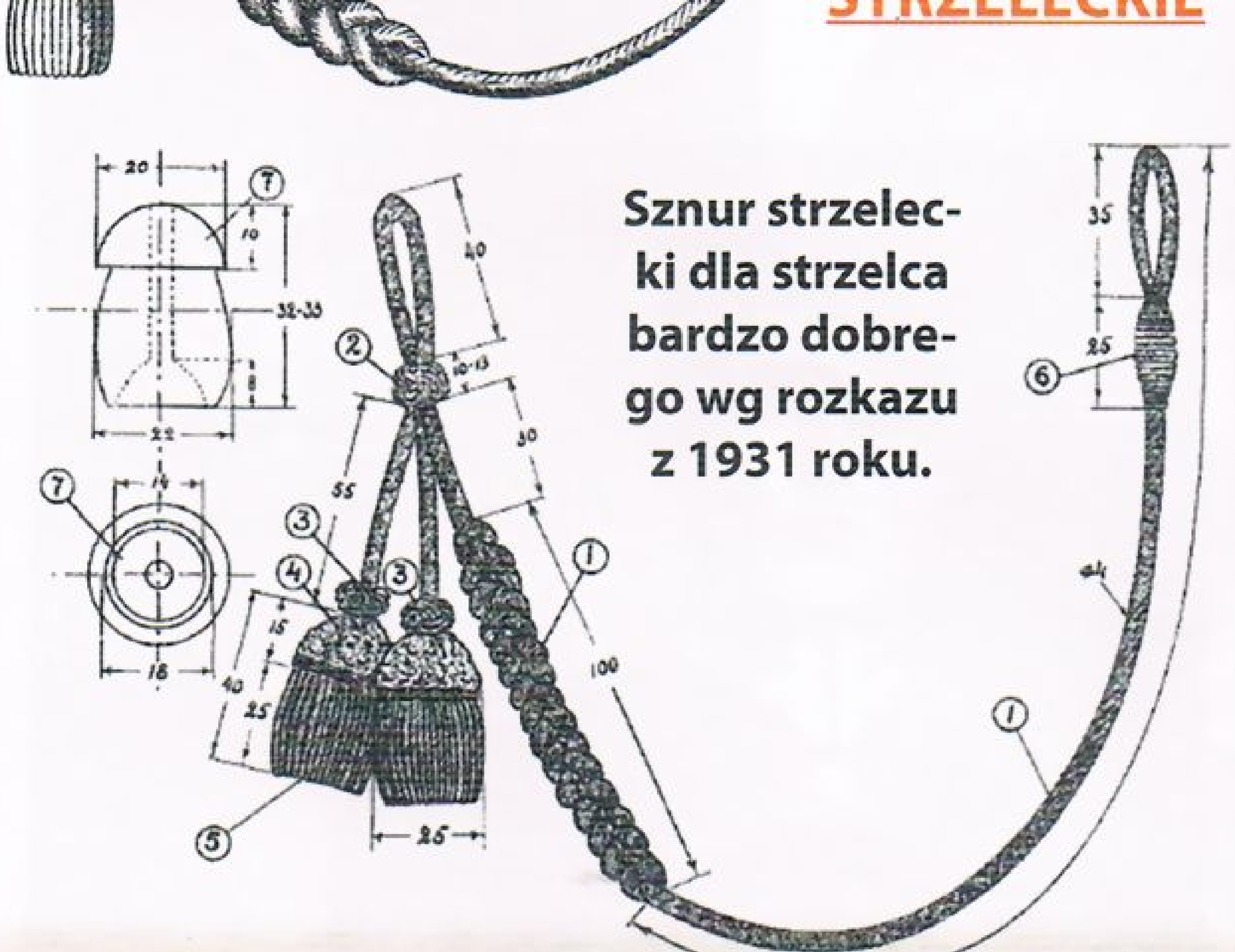

Sznur strzelecki dla strzelca bardzo dobrego wg rozkazu z 1931 roku.

Żołnierz 58. Pułku Piechoty ze sznurem strzeleckim. Sznur założony odwrotnie i prawdopodobnie żołnierz otrzymał go do zdjęcia od fotografia z atelier.

Sznur „Michała Walecznego"

Kolejnym rodzajem sznura mundurowego o charakterze ozdobnym, był sznur „Michała Walecznego" noszony w 57. Pułku Piechoty z Poznania. Pułk ten otrzymał to wyróżnienie dekretem z 8 grudnia 1937 r. wydanym przez Karola II, króla Rumunii, z okazji jego pobytu w Polsce. Dekret został opublikowany w Dzienniku Rozkazów z dnia 31 maja 1938 r. nr 7 pod pozycją 72.

Wszyscy oficerowie i szeregowi 57. Pułku Piechoty Wielkopolskiej, w latach 1938-39, nosili na lewym ramieniu sznury w barwie rumuńskiego orderu wojennego Michała Walecznego (ciemnoniebieski). Prawo do noszenia sznura mieli żołnierze pułku pełniący faktycznie czynną służbę, przy wszystkich rodzajach mundurów – z wyjątkiem munduru polowego tj. bojowego i ćwiczebnego. Jak wspomniano, sznur noszono na lewym ramieniu, przy czym tylko adiutant dowódcy nosił sznur na prawym, łącznie ze sznurem naramiennym adiutanckim.

Sznur miał postać pojedynczej pętli, zakładanej pod ramieniem z luźno zwisającym sznurkiem z ozdobną skuwką. W skład rdzenia sznura wchodziło 20 nici barwy wiśniowej. Oplot sznura wykonywano w sposób krzyżowy, w barwie wiśniowej – jedwabne dla oficerów, bawełniane dla podoficerów i szeregowców. Oplecie przetykane pozłacanym szychem, krzyżującym się ze sobą w odległości co 1 cm. Ogólna

Rok 1937. Szeregowy wojsk pancernych ze sznurem strzeleckim dla strzelca dobrego.

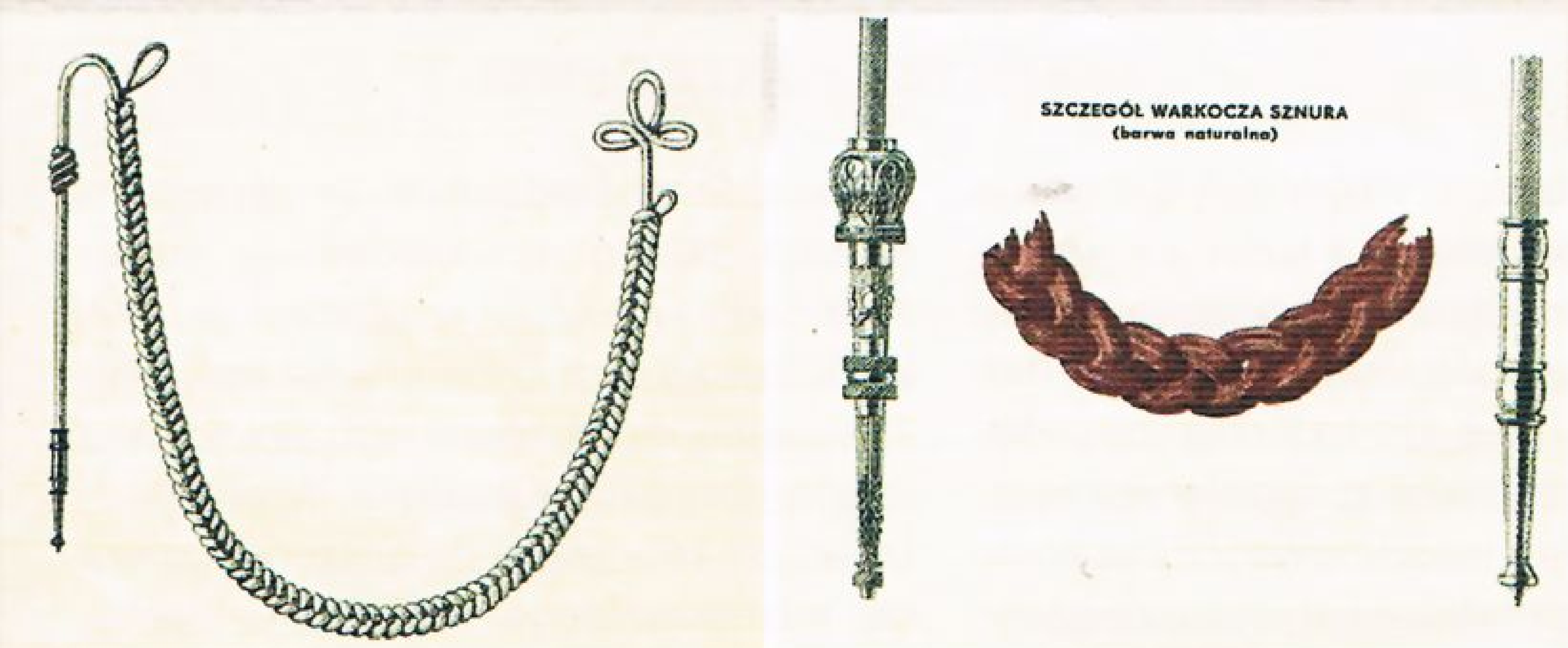

Sznury naramienne „Michała Walecznego" noszone w 57. Pułku Piechoty Wielkopolskiej.

Strzelec 57. Pułku Piechoty Wielkopolskiej z regulaminowo noszonym sznurem „Michała Walecznego".

SZNUR 57 PP.

długość sznura wynosiła ok. 100 cm, a grubość pojedynczego sznura – 0,4 cm. Stożek wraz z wieńczącym go pierścionkiem wykonywano z brązu, przy czym oficerski był ozdobiony ornamentami stylizowanymi i pozłacany, a dla szeregowców i podoficerów toczony na gładko.

Sznurki do gwizdka

Sznur do gwizdka był szczególnym rodzajem sznura, który jako jedyny miał funkcję użytkową i nie jest zaliczany do składników umundurowania, a do wyposażenia żołnierskiego. Początkowo oddziały polskie stosowały wszelkiego typu sznurki, rzemyki i łańcuszki do gwizdków pochodzących z obcych armii, w tym sznurków niemieckich, austro-węgierskich, rosyjskich (gdzie barwa sznura wskazywała na jednostkę), a po odzyskaniu niepodległości i rozpoczęciu zakupów zagranicznych, także sznurów brytyjskich, czy nawet amerykańskich łańcuszków. Carski zestaw oficerski, na szelkach, miał wszytą tłoczoną, skórzaną kieszonkę na gwizdek, który był mocowany za pomocą rzemyka skórzanego.

Pierwsze sznurki do gwizdków, zwanych wówczas „świstałkami", trafiły do Legionów. W oddziałach I Brygady Legionów w 1914 r. nie używano tradycyjnych nazw stopni, zastępując je określeniami funkcyjnymi. Austro-węgierski sznurek do gwizdka stał się więc wyróżnikiem i oznaką stopnia. Oficerowie nosili sznurek czerwony, a podoficerowie zielony. Wraz z rozkazem z dnia 2 października 1914 r. wprowadzającym oznaczenia stopni w formie gwiazdek na kołnierzach mundurów, barwy sznurów straciły swoje formalne znaczenie, jednak w praktyce podział kolorów sznurków utrzymano.

Powoływane już „Przepisy i instrukcje. Umundurowanie polowe wojsk polskich" z 1917 r. wprowadzały pierwszy polski wzór sznurka do gwizdawki, oznaczany później jako wz.17. Dla podoficerów wykonany z polowo-szarej wełny, a dla oficerów z metalowego, biało-matowego sznurka. Sznurek miał kształt pletni, z jednej strony zakończony pętlą z dwoma żołędziami, a z drugiej wyłącznie pętlą. Przepis był jed-

Starszy ułan 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich, Kazimierz Pazdan w atelier ze sznurem do gwizdka wz.19 użytym w celach ozdobnych.

Rok 1938. Oficerowie 4. DAK ze sznurami do gwizdka wykonanymi ze smyczy rewolweru Nagant i przypiętymi do prawego naramiennika.

Sznur do gwizdka wz.19.

Rysunek regulaminowego sznurka do gwizdka wz.31.

SZNURY DO GWIZDKA

Ułan z 3. Pułku Ułanów Śląskich ze sznurem do gwizdka wz.31.

nak bardzo nieprecyzyjny i nie podawał większości wymiarów wprowadzanego wyposażenia, w tym także sznurka.

Po odzyskaniu niepodległości, w „Przepisach ubioru polowego Wojsk Polskich" wśród dodatków do ubioru znalazł się sznurek do gwizdawki dla oficerów i szeregowych, taki sam, jak obowiązujący w formacjach polskich od 1917 r., tyle że pleciony wyłącznie z szarych nici zarówno dla oficerów, jak i podoficerów. Z zachowanych egzemplarzy wynika, iż poszczególne sznurki różniły się od siebie długością. Sznur przypinano do drugiego guzika kurtki – wyraźnie zakazano przypinania go do naramiennika. Gwizdek powinien był spoczywać w lewej kieszeni. Do dziś sznurek określany jest jako wz.19, choć można go określić także jako wz.17/19. Jak to jednak zwykle bywało, przepisy mówiły jedno, a wojsko robiło drugie, szczególnie, jeśli posiadany wzór kurtki uniemożliwiał przypinanie sznurka w sposób przewidziany przepisami. Jak wskazują zdjęcia z lat 1919-21, sznury mocowano często do lewego naramiennika, zapinano pętlą o trzeci guzik – zarówno w mundurach polowych, jak i garnizonowych. Sporadycznie zdarza się obserwować, szczególnie w I połowie lat 20., noszenie sznurka wz.19 jako sznura wyłącznie ozdobnego. Wydaje się, iż sznury wz.19 stały się powszechnym ozdobnikiem munduru oferowanym żołnierzom przez fotografów w ich atelier. Sznurka do gwizdka wz.19 używano także czasami do noszenia odznak, na wzór austro-węgierski, czyli przypiętych do samego sznura. Odznaki przypinano do pętli i zawiązywano wokół guzika lewej kieszeni. Trudno jednak przesądzać o powszechności tego zjawiska.

Sznurki wz.19 używane były aż do września 1939. Noszono je na różne sposoby, ale już wyłącznie do munduru polowego – zwykle przypięte pod prawy naramiennik i za 3., 4. albo 5. guzik kurtki. Autor natrafił także na zdjęcie kadeta, który podczas wizyty Marszałka Piłsudskiego we Lwowie, w latach 20., ma sznurek zawieszony na prawym naramienniku i pod drugi guzik kurtki wz.19, prawdopodobnie jedynie dla ozdoby.

Jako ciekawostkę należy przypomnieć, iż na podstawie rozporządzenia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z 3 listopada 1927 r. wprowadzono sznurek do gwizdawki dla Policji Państwowej, który był kopią sznurka wz.17, jedynie wykonany z niebieskiej włóczki, a dla przodowników i starszych przodowników z niebieskiego jedwabiu. Miał długość 17 cm. Pętlę z żołędziami zakładano na pierwszy guzik kurtki lub płaszcza, a pętlę z gwizdawką zasuwano pomiędzy drugi a trzeci guzik. Należy też wspomnieć, iż na wzór sznurka wz.17 inspektorzy Przysposobienia Wojskowego nosili granatowe sznurki funkcyjne z dwoma chwastami.

W roku 1931 r. wprowadzono nowy, uproszczony wzór sznurka do gwizdka sygnałowego, oznaczany jako wz.31 – o długości 25 cm. Wykonany był z nici bawełnianych barwy ochronnej, pleciony, zakończony pojedynczymi pętlami. Sznury wz.31 użytkowano aż do września 1939 roku. W gwizdek wyposażeni byli oficerowie oraz starsi podoficerowie. Sznurek do gwizdka wieszało się na guziku pod lewym naramiennikiem i wkładało do lewej, górnej kieszeni kurtki. Przy występowaniu w płaszczach sukiennych sznurek mocowano do górnego guzika płaszcza i wsuwano pod płaszcz między 2. a 3. guzik od góry. Regulamin opisuje jedynie umundurowanie wz.36, nie uwzględniając możliwości wyposażenia żołnierza w kurtkę wz.19, co wcale nie było rzadkie wśród starszych podoficerów rezerwy. W takim przypadku sznurek do gwizdka wieszano zwykle tak jak w płaszczu, lub wieszając sznurek pod prawym naramiennikiem, wsuwano za klapę pomiędzy 2. a 3. guzik.

Warto także wspomnieć, iż w niektórych jednostkach panowała dość duża dowolność w tej materii. Jak wskazuje obszerny materiał zdjęciowy pochodzący z 4. Dywizjonu Artylerii Konnej z lat 1936-39, powszechnym wśród oficerów było używanie skróconych smyczy od rewolwerów Nagant do wieszania gwizdka. Przypinano je do prawego naramiennika. Na niektórych zdjęciach widać także smycze plecione ze skórzanych rzemieni.

Historia sznurów mundurowych w Wojsku Polskim nie skończyła się wraz z wrześniem 1939 roku. Sznury używane były zarówno w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, Wojsku Polskim na Wschodzie, oraz w Ludowym Wojsku, aż do dzisiaj. We współczesnej armii nadal w użyciu pozostają tzw. sznury galowe, noszone przez żołnierzy w wersji generalskiej, oficerskiej, podoficerskiej i szeregowego. Ponadto w użyciu pozostają sznury orderowe Orderu Krzyża Wojskowego, czy też sznury „Przodującego Oddziału Wojska Polskiego oraz sznur „Przodującej Instytucji Wojskowej".

Rok 1920. Oficer ze sznurem do gwizdka wz.17 lub wz.19.

Wachmistrz kawalerii ze sznurkiem do gwizdka wz.31.

Oficer kawalerii ze sznurkiem do gwizdka wz.19.

ZDJĘCIA: ZBIORY P. JANICKIEGO

Paweł Janicki
Absolwent UAM w Poznaniu, radca prawny, członek GRH Szwadron Łączności nr 7, Autor szeregu publikacji z zakresu wojskowości II RP.

Cudzoziemscy obrońcy Gdyni

LESZEK MOLENDOWSKI

Gdynia, przez nazistów nazwana miastem Gotów (Gotenhafen), jak i sąsiedni Gdańsk stały się zimą i wczesną wiosną 1945 roku areną zaciętych walk między Wehrmachtem a Armią Czerwoną. W obronie Gdyni – po części też Gdańska – wzięli udział, oprócz jednostek niemieckich, również żołnierze włoscy z wiernej sojuszowi Mussoliniego z Hitlerem armii Republiki Socjalnej Włoch, oraz, trochę przez przypadek, Francuzi z ochotniczej dywizji Waffen SS „Karol Wielki".

Jak Włosi trafili do Gdyni?

We wrześniu 1939 r. podwodnicy Kriegsmarine ćwiczyli na wodach Morza Północnego (w okolicach Helgolandu) oraz na zachodnim Bałtyku (w Zatoce Kilońskiej). Po rozpoczęciu działań wojennych przeciwko Wielkiej Brytanii niemożliwością było dalsze wykorzystanie tych akwenów do potrzeb szkoleniowych. Ze względu na ciągłe zagrożenie ze strony brytyjskiego lotnictwa, dowództwo Kriegsmarine postanowiło przenieść szkolne flotylle U-bootów na wschód od Cieśnin Duńskich.

Do praktycznych szkoleń niemieccy planiści, za namową kontradmirała Karla Dönitza, dowódcy broni podwodnej III Rzeszy (1935-1943, naczelny dowódca Kriegsmarine 1943-1945), wybrali Zatokę Gdańską. Za tym wyborem stało kilka ważnych powodów, m.in.: brak zagrożenia ze strony alianckiego lotnictwa i okrętów, stosunkowo niewielka głębokość morza (przy jednoczesnej bliskości akwenów pozwalających na zanurzenie poniżej 100 m) oraz podobne do atlantyckich warunki pogodowe. Atutem były też trzy dobrze przygotowane porty: w Gdyni, Gdańsku i Piławie oraz bliskość rozwiniętych ośrodków stoczniowych w Gdańsku i Elblągu. Propozycja wspólnych szkoleń włoskich i niemieckich załóg okrętów podwodnych w Gotenhafen wyszła od kadm. Dönitza, który przedstawił ją admirałowi Angelo Paronie, dowódcy Betasom (włoska baza okrętów podwodnych w Bordeaux; skrót od: Beta – grecka litera od Bordeaux, Som – od sommergibili – wł. okręt podwodny). Miało to miejsce w drugiej połowie 1940 roku.

Młodzi francuscy ochotnicy do nowo tworzonej francuskiej jednostki w ramach Waffen SS.

Niedługo po zajęciu Gdyni, w listopadzie 1939 r., w budynku, który jeszcze niedawno zajmowała Państwowa Szkoła Morska na Grabówku, utworzono Szkołę Nawigacji (Navigationsschule Gotenhafen).[1] W styczniu 1940 r. utworzono w Gdyni 27. Flotyllę Okrętów Podwodnych (Unterseebootsflotille), której zadaniem było szkolenie taktyczne załóg nowych jednostek. Mniej więcej co dwa tygodnie do flotylli przyłączano 8-10 nowo zbudowanych U-bootów, na których przeprowadzano pozorowane ataki, w różnych warunkach, na konwoje krążące między Bornholmem a Zatoką Gdańską. W trakcie szkolenia starsi oficerowie przekazywali młodszym kandydatom do objęcia samodzielnego dowództwa swoje doświadczenia z walk przeciwko alianckiej żegludze. To szkolenie taktyczne było ostatnim etapem przed odesłaniem oficera jako dowódcy okrętu liniowego. Po ukończeniu kursu U-boot był wysyłany na pierwszy patrol, a wyszkoleni oficerowie, wyposażeni w wiedzę, obejmowali dowodzenie okrętem liniowym.

W listopadzie 1940 roku powołano w Gdyni 2. Szkolny Dywizjon Okrętów Podwodnych (2. Unterseeboots-Lehr-Division), którego głównym zadaniem było przygotowanie teoretyczne podwodników oczekujących na przydział nowego okrętu. Jej podlegała 27. i 22. Flotylla (utworzona w styczniu 1941 r.). Co ciekawe, siedziba 27. Flotylli i 2. Szkolnego Dywizjonu znajdowała się na dawnym statku pasażerskim „Wilhelm Gustloff".

Marynarz włoski, już w mundurze marynarki wojennej RSI. Większość marynarzy stacjonujących w Gdańsku i Gdyni przywdziała je pod koniec września 1943 roku.

Włoski sojusznik

Włochy, rządzone przez faszystów i dyktatora Benito Mussoliniego, przystąpiły do wojny po stronie III Rzeszy 10 VI 1940 roku. Włoska Marynarka Wojenna (Regia Marina) miała doświadczenie w walce na Morzu Śródziemnym, ale nie na Atlantyku, na którym od drugiej połowy 1940 r., wspólnie z Niemcami, walczyli przeciwko marynarce brytyjskiej. W związku z tym 6 IV 1941 r. utworzono w Gdyni, przy 2. Szkolnym Dywizjonie, a tym samym przy 27. Flotylli, sekcję dla załóg sojuszniczej Marynarki Wojennej Włoch, tzw. Marigammasom (od skrótów: Mari – marina, wł. marynarka; Gamma – gr. litera od Gotenhafen; Som – sommergibili). Zadaniem sekcji było szkolenie oficerów włoskich okrętów podwodnych działających wspólnie z Niemcami na Atlantyku. Zgodnie z pro-

Zakamuflowane stanowisko karabinu maszynowego piechoty armii regularnej RSI. Włoscy specjaliści od stawiania zasłony dymnej i ochrony portów w Gdyni i Gdańsku we wrześniu 1943 r. stali się jednostką nowej faszystowskiej armii Mussoliniego. W 1945 r. – jednostką frontową, która musiała stawić czoło nacierającej Armii Czerwonej.

pozycją Dönitza włoskie dowództwo Betasom wytypowało dwie jednostki Regia Marina, które miały uczestniczyć w zaawansowanym szkoleniu załóg okrętów podwodnych. Do Gdyni Włosi skierowali dwa okręty podwodne – „Reginald Giuliani" oraz „Bagnolini". Niemcy przydzielili Włochom okręt-bazę – „Isar" oraz inne jednostki pomocnicze podległe 27. Flotylli. Niedługo później okazało się, że obecność „Bagnolini" w tej operacji jest zbyteczna, i do Gotenhafen został wysłany jedynie „Reginald Giuliani" (d-ca kmdr. Vittore Raccanelli). Okręt wypłynął z Bordeaux 16 marca, a do celu dotarł 6 kwietnia 1941 roku. Rozpoczął się intensywny okres szkolenia Włochów. Jak pisze Mirosław Skwiot, autor poczytnych publikacji książkowych na temat historii okrętów wojennych i ich uzbrojenia w czasie II wojny światowej, cykl szkoleniowy obejmował okres od 2 do 5 tygodni. Na morzu okręt przebywał od 10 do 20 dni. Na pokładzie „Reginaldo Giuliani" wykonano siedem kompletnych tur, ósma została anulowana z powodu panujących złych warunków atmosferycznych.[2]

Pierwszymi trzema przeszkolonymi w Gdyni oficerami byli: Mario Paolo Pollina, Emilio Olivieri i Walter Aucone. Kolejnymi dowódcami, którzy przeszli szkolenie wg niemieckich wzorców, byli: Enzo Grossi, Luigi Longanesi Cattani, Ugo Giudice i Mario Tei. Działalność jednostki czasowo zawieszono po rozpoczęciu operacji „Barbarossa" (22 VI 1941 r. – atak III Rzeszy na ZSRR). Zajęcia wznowiono w październiku i listopadzie 1941 roku. Przerwę w kursach załoga „Reginald Giuliani" wykorzystała na drobne remonty i prace konserwacyjne.

Młody włoski żołnierz na ciężarówce, w typowym mundurze polowym jednostki frontowej X. Flotylli MAS.

W maju 1942 roku zdecydowano o ostatecznym rozwiązaniu „Marigammasom". Główną przyczyną była zmniejszona aktywność włoskiej marynarki wojennej na Atlantyku, która z kolei związana była z nasileniem walk na Morzu Śródziemnym. W ciągu czterech miesięcy aktywnej działalności jednostki szkolenie odbyło siedmiu oficerów i pięć załóg pokładowych (12 oficerów i 48 podoficerów).

Według Mirosława Skwiota *„po raz drugi Włosi zjawili się w Zatoce Gdańskiej w połowie 1943 roku. Kulisy tej operacji powiązane były z propozycją wysuniętą w dniu 8 II 1943 r. przez Dönitza. Zaproponował on Włochom przeznaczenie kilku okrętów podwodnych do służby transportowej na trasie z okupowanej Francji do Japonii i vice versa. Wymiana ta dotyczyła 10 jednostek typu VII C budowanych dla Kriegsmarine w stoczni Danziger Werft AG oraz Schichaua w Danzigu, a przekazanych włoskiej marynarce w zamian za ich okręty stacjonujące w bazie Bordeaux położonej na francuskim wybrzeżu. Wymiana ta zobligowała przeszkolenie włoskich załóg w niemieckich ośrodkach szkoleniowych na terenie bazy Gotenhafen i Pillau położonych na wodach Ostsee"*.[3] Dowódcą operacji odebrania okrętów został kmdr. ppor. Alberto Galezzi. Włoscy marynarze, którzy mieli obsadzić okręty podwodne, przebywali na pokładzie okrętu-bazy „Deutschland", który pełnił rolę pływających koszar wojskowych. W trakcie nieobecności kmdr. ppor. Galezziego, spowodowanej wykonywaniem misji w Berlinie, dowodzenie nad bazą marynarzy włoskich przejął kpt. mar. Ario Arillo (miał objąć dowództwo okrętu podwodnego „S 5"). Według M. Skwiota: *„decyzja o przekazaniu Włochom U-bootów zapadła w kwietniu 1943 roku. W sumie do programu wytypowano 10 okrętów podwodnych, z których udało się wprowadzić w stan realizacji tylko 9. Dziesiąty okręt »S 10« miał być oddany do służby w dniu 15 września 1943 roku. Jednak zanim do tego doszło, Włochy wcześniej podpisały z aliantami tajne porozumienie, w myśl którego ich wojska miały zaprzestać jakichkolwiek działań wojennych, przekazać bazy i linie komunikacyjne do dyspozycji państw sojuszniczych oraz przekazać jednostki floty pod ich kontrolę"*.

Po podpisaniu przez Włochy kapitulacji 8 września 1943 r. włoskie załogi zostały przez niedawnych sojuszników internowane. Gdyńskie obozy, gdzie trafili internowani Włosi, znajdowały się m.in. w: Orłowie, Chyloni, Radłowie, Babich Dołach, Oksywiu.

W obronie przeciwlotniczej portu i miasta

Wzrastające zagrożenie Gdyni alianckimi nalotami spowodowało, iż Niemcy postanowili wzmocnić środki obrony przeciwlotniczej. Z tego powodu we wrześniu 1942 r. rozmieszczono na terenie miasta i portu 9. Morski Pułk Artylerii Przeciwlotniczej (9. Marine-Flak-Regiment), którym dowodził kmdr. ppor. Paul Fenna. Początkowo jednostka ta składała się z czterech (219., 229., 249. i 259.) batalionów, w październiku

1943 r. wzmocniono ją piątym, 818. Batalionem. Owe jednostki obsadzały stanowiska umiejscowione m.in. wokół miasta. Ich zadaniem, w razie bezpośredniego zagrożenia nalotem, było postawienie zasłony dymnej nad obiektami portowymi, wojskowymi i miastem, w celu dezorientacji lotnictwa aliantów.

Organizacją tzw. sztucznego, chemicznego zadymiania zajmowali się właśnie Włosi. W tym celu, w listopadzie 1942 r., do Gotenhafen sprowadzono 2. Batalion Zadymiania (II. Battaglione Nebbiogeno Italiano), przemianowany przez Niemców na 2. Italienische Nebelbattailon. 600 żołnierzy batalionu zakwaterowano w barakach przy Schleswiger Weg na Grabówku (obecnie ul. Grabowo) – na zapleczu obiektów Szkoły Morskiej. Jednostka składała się z dwóch kompanii (32. i 33.), podzielonych na 5 plutonów i 21 drużyn, z czego każda drużyna obsadzała pojedyncze stanowisko. Batalionem dowodził mjr Giuseppe Calafiori.

Sztuczne, chemiczne zadymianie przeprowadzano przy użyciu specjalnych agregatów dymotwórczych, ustawionych w wybranych punktach miasta i portu – na nabrzeżach i ostrogach. Poza tym, jako wspomaganie, agregaty umieszczano na kursujących po porcie małych kutrach lub holownikach. Każdorazowo po ogłoszeniu alarmu lotniczego, lub zapowiedzi o nalocie, żołnierze włoscy ubrani w ochronne, jednoczęściowe gumowe obuwie i kombinezony, zabezpieczeni w maski przeciwgazowe, rozbiegali się, względnie byli rozwożeni do miejsc, gdzie znajdowały się beczki wypełnione kwasem chlorosulfonowym (sporządzonym specjalnie do wyznaczonych celów na bazie kwasu solnego, chloru i tlenu). Była to substancja żrąca i niebezpieczna dla środowiska. Otwierali zawory i biegli do następnej pary beczek, oddalonych od siebie o około 100 do 150 m, umieszczonych najczęściej na skraju ulic. Czynności powtarzane były przy każdym nalocie, lub niekiedy także po zapowiedzi o nalocie. Tak zwani zadymiarze byli w stanie w ciągu kilkunastu minut postawić sztuczną mgłę, uniemożliwiającą celne bombardowanie chronionego obszaru.

W mundurach armii Republiki Socjalnej Włoch – ostatni wierni faszyści

Jak już wspomniano, po kapitulacji Włoch żołnierze włoscy, którzy opowiedzieli się po stronie nowego rządu marszałka Pietro Badoglio i króla Wiktora Emanuela III i podjęli współpracę z aliantami zachodnimi, zostali internowani. Jednak nie wszyscy chcieli na tym etapie zakończyć wojnę. Część internowanych w niedługim czasie powróciła do walki u boku Niemców, jako żołnierze nowego, marionetkowego państwa włoskiego – Włoskiej Republiki Socjalnej (RSI). Powstało 18 IX 1943 r. na terenach Włoch znajdujących się pod kontrolą wojsk niemieckich. Na jego czele stanął wierny sojusznik – Benito Mussolini.

Jeszcze przed oficjalnym powstaniem naczelnego dowództwa armii RSI, a tym samym i regularnej armii, Niemcy z żołnierzy, którzy pozostali wierni sojuszowi z III Rzeszą stworzyli jednostki przy Wehrmachcie, Luftwaffe i Waffen SS. Po 8 września w armii lądowej służyło około 90 tys. byłych żołnierzy włoskich; w jednostkach lotnictwa, głównie w obronie przeciwlotniczej i personelu naziemnym – około 50 tys.; natomiast w strukturach SS i Waffen SS – około 20 tysięcy. Ochotnicy służyli głównie w jednostkach przyfrontowych i tyłowych. Według szacunków niemieckich i włoskich historyków 120 tys. Włochów służyło w jednostkach obrony przeciwlotniczej, obsłudze naziemnej lotnisk, w bata-

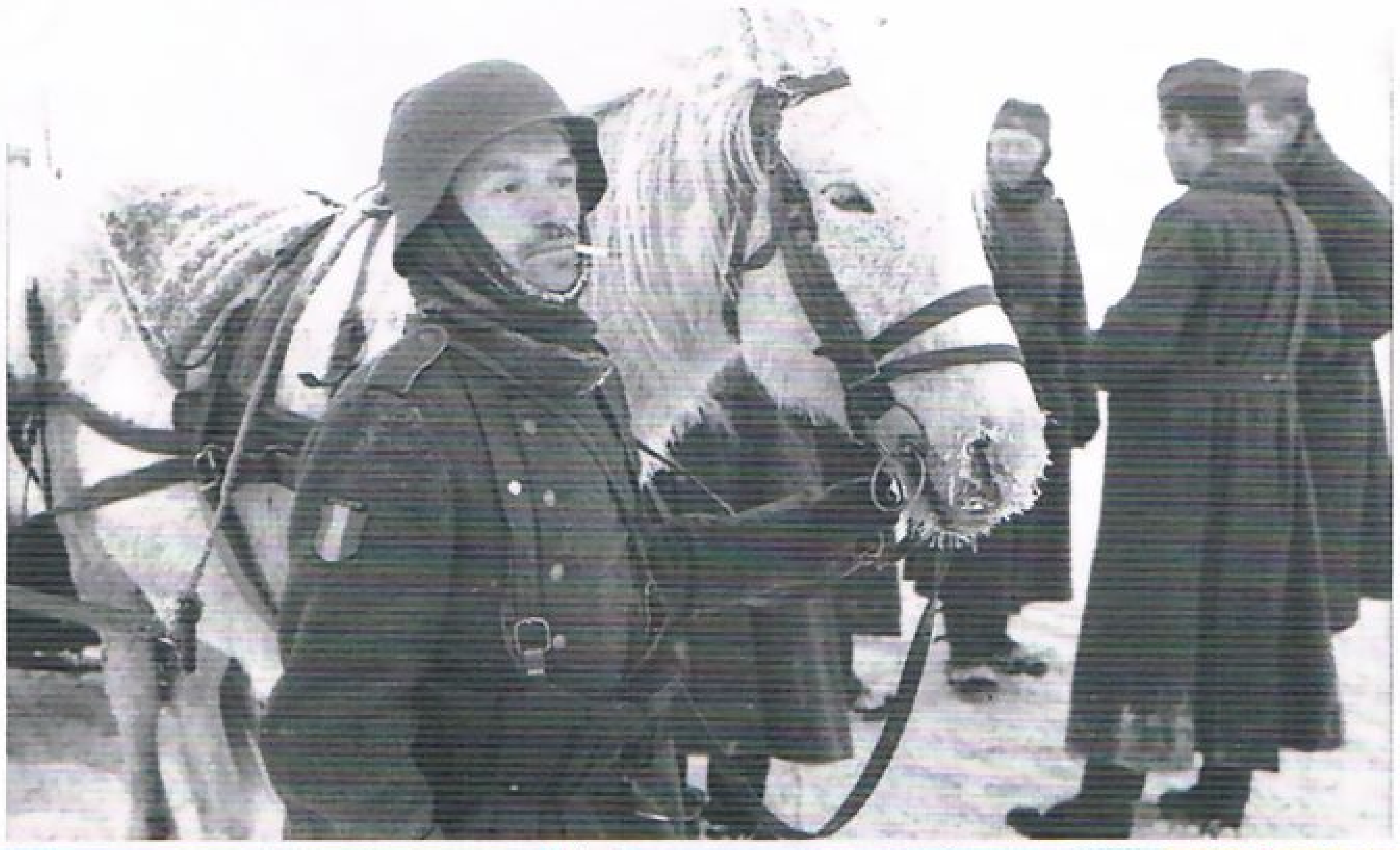

Francuzi na froncie wschodnim wczesną zimą 1941 roku. Francuska epopeja w Rosji zaczęła się od Legionu Ochotników Francuskich przeciw Bolszewizmowi walczącego pod Moskwą i na Białorusi, a zakończyła zaciętymi walkami na Pomorzu Zachodnim i w czasie obrony Berlina.

Plakat werbunkowy do francuskiej jednostki w ramach Waffen SS. Powstała w drugiej poł. 1944 r. 8. Francuska Brygada Szturmowa SS jesienią tegoż roku wchłonęła Legion Ochotników Francuskich i rzeszę ochotników francuskich – powstała dywizja francuska imienia „Karol Wielkiego".

Żołnierze LVF, 1942 rok. Od niemieckich żołnierzy odróżniała ich tarcza naramienna we francuskich barwach narodowych.

lionach budowlanych i innych jednostkach tyłowych. Kiedy front zbliżał się do granic III Rzeszy, wielu żołnierzy trafiało do naprędce tworzonych jednostek bojowych włączanych do niemieckich dywizji frontowych. Brali udział w walkach na całym odcinku frontu wschodniego. W tym i w obronie Pomorza.

W bazie i ośrodku szkoleniowym w Gotenhafen niemieckie dowództwo sformowało zbiorczą jednostkę w sile batalionu. Był to II. Batalion, który składał się z plutonu dowodzenia oraz czterech kompanii piechoty (29., 32., 33. i 41.) – łącznie 30 oficerów, 67 podoficerów i 629 żołnierzy. Major Giuseppe Calafiori został mianowany dowódcą szkoły i centrum przeszkolenia praktycznego dla włoskich ochotników wojsk RSI w Szczecinie.[4] Włoscy ochotnicy obsadzili również kilka baterii 9. Pułku Artylerii Przeciwlotniczej.

Na przełomie lutego i marca 1945 r. Armia Czerwona rozpoczęła operację pomorską. Jej celem, wykonywanej siłami 1. i 2. Frontu Białoruskiego, było rozbicie wojsk niemieckich na terenie Pomorza, które zagrażały siłom sowieckim, na głównym, berlińskim kierunku operacyjnym. Wojskami 1. i 2. Frontu Białoruskiego dowodził marszałek Konstanty Rokossowski. On też wyznaczył dzień 19 marca, jako datę zdobycia Gdyni. Przeliczył się jednak, nie doceniając determinacji jej obrońców. Rejon Gdyni i Gdańska został w 1944 i 1945 r. umocniony, poprzez budowę schronów, linii okopów oraz rowów przeciwczołgowych. W połowie marca w rejonie trójmiejskim znajdowało się około 200 tys. żołnierzy niemieckich wyposażonych w 1800 dział i moździerzy, blisko 600 czołgów i dział pancernych wspieranych przez okręty wojenne, w tym 3 pancerniki, 2 ciężkie krążowniki, 1 krążownik i liczne mniejsze jednostki. Zamiarem niemieckim było wiązanie jak największej ilości wojsk radzieckich i osłona ewakuacji ludności cywilnej (około 1 mln uchodźców z Prus Wschodnich i Pomorza Gdańskiego).

Dopiero po czterech dniach krwawych i ciężkich walk Rosjanie dotarli do Kolibek, a następnie do Orłowa, odrzucając Niemców do wewnętrznej linii obrony, która rozciągała się od Redłowa przez Mały Kack i Chylonię po Rewę. W skład sił broniących miast i portu wchodził również II. Batalion, który został odcięty w Gdyni. Tylko cześci żołnierzy włoskich udało się dostać na statki ewakuujące cywili – uciekinierów z Prus Wschodnich i Pomorza. Jednym z nich był dowódca włoskiego batalionu mjr Calafiori, który następnie został dowódcą jednostek włoskich biorących udział w walkach o Szczecin i wyspę Wolin. Gdynia padła 28 marca 1945 roku.

Włosi nie byli jedynymi żołnierzami broniącymi tego tak ważnego miasta i portu.

Francuscy obrońcy Gdyni… z przypadku

W 1945 r. w czasie ofensywy Armii Czerwonej w walkach na Pomorzu wzięła udział 33. Dywizja Grenadierów SS (1. francuska) „Charlemagne" („Karol Wielki"). Była jedną z wielu jednostek złożonych z ochotników-cudzoziemców, którzy wzięli udział w nazistowskiej „antybolszewickiej krucjacie".

Dywizja powstała dosyć późno, bowiem dopiero we wrześniu 1944 roku w Wildflecken, jednak Francuzi służyli w Waffen-SS już wcześniej. Około 300 ochotników walczyło w dywizjach SS („Totenkopf" i „Wiking"), a we wrześniu 1943 roku do Waffen-SS dołączono Legion Ochotników Francuskich przeciw Bolszewizmowi (LVF), który służył na froncie wschodnim od lipca 1941 roku. Latem 1944 sformowano z najlepszych francuskich ochotników Francuską Ochotniczą Brygadę Szturmową SS (niecałe 1 200 żołnierzy), którą wysłano na Ukrainę. Cofając się pod naporem Armii Czerwonej, brygada walczyła w okolicach Sanoka, na linii Wisłoka i Pielnicy oraz Przemyśla i Rzeszowa. Jej resztki wycofano do Gdańska, gdzie w sierpniu rozbudowano ją do ponad 7 500 żołnierzy (niektóre źródło mówią o 11 tys. żołnierzy) i przekształcono w Brygadę Grenadierów SS (1. francuską) „Charlemagne", a w lutym 1945 w dywizję, która walczyła następnie pod Stargardem Szczecińskim.

Dywizja rozwinęła swe pododdziały na Pomorzu przed 25 II 1945 r., kiedy to została zaatakowana przez czołgi 1. Frontu Białoruskiego. Ironią losu jest to, że Francuzi mieli zostać ewakuowani koleją na zachód, na poligon w Hammerstein (Czarne). W czasie najcięższych walk o Bińcze (niem. Bärenwalde) i Damasławek (niem. Elsenau) 26 II 1945 r., jednostki francuskiej 33. Dywizji Grenadierów Waffen SS „Charlemagne" uległy rozproszeniu i zostały odłączone od głównej struktury swojej dywizji. Większość oddziałów uniknęła jednak kompletnego zniszczenia, przez co ich dowódcom udało się sformować trzy zaimprowizowane grupy bojowe. Jedna z nich, nad którą dowództwo objął SS-Brigadeführer Gustav Krukenberg została odcięta od głównych sił i nie była już w stanie dołączyć do swoich i wy-

REKLAMA

Plakat werbunkowy (1941 rok) do Legionu Ochotników Francuskich przeciw Bolszewizmowi.

konywać rozkazów, jakie obowiązywały ich dywizję. Z tego względu przegrupowały się w Gryficach (niem. Greifenberg), po czym francuscy SS-mani skierowali się wraz z innymi jednostkami niemieckimi na północny-wschód – do Gdańska.

Pozostałe dwie grupy spotkał podobny los. Na grupę bojową, którą dowodził SS-Oberführer Edgard Puaud spadło główne uderzenie czołgów Armii Czerwonej. Grupa bojowa została całkowicie zniszczona, a jej dowódca zginął w czasie walk 28 lutego. Jedynie trzecia grupa bojowa, która również poniosła dotkliwe straty, przebiła się na zachód ku niemieckim pozycjom.

W pierwszych dniach odizolowane oddziały Dywizji „Charlemagne" zaczęły zbierać się niedaleko Sławna (niem. Schlawe). Były to siły 11. Batalionu 57. Pułku Grenadierów Waffen SS pod dowództwem SS-Hauptsturmführera René André Obitza oraz 1. kompania z 58. Pułku Grenadierów Waffen SS pod dowództwem Obersturmführera Jeana Fantina. Niedługo potem pociągiem dołączył do nich SS-Hauptsturmführer Martin – dowódca jednego z oddziałów artylerii dywizyjnej, wraz z setką żołnierzy z uzupełnień. Młodzi żołnierze właśnie ukończyli kurs w szkole artylerii w Josephstadt w Protektoracie Czech i Moraw.

4 marca przez Schlawe przejeżdżał pociąg, w którym jechała część jednostek 4. Policyjnej Dywizji Grenadierów SS. Francuzi postanowili się z nimi zabrać. Było jasne, że nie mają żadnych szans dołączyć do zgrupowania w Gryficach, więc to rozwiązanie wydawało się jedynym rozsądnym. Około północy, z 4 na 5 marca, dotarli do Słupska (niem. Stolp), gdzie pociąg został zaatakowany przez radzieckie bombowce. W jego wyniku śmierć poniosło ok. 50 Francuzów. 60 żołnierzy zostało rannych, w tym SS- Hauptsturmführer Obitz. Rannych postanowiono odesłać drogą morską na zachód do Niemiec. Nie udało się im jednak dopłynąć do celu, bowiem ich statek został storpedowany. Wszyscy pasażerowie zginęli.

Następnego dnia reszta oddziałów odłączonych od Dywizji „Charlemagne", które teraz stworzyły Grupę Bojową „Obitz" (Kampfgruppe „Obitz"), dotarła do Wejherowa (niem. Neustadt). Zostali zgrupowani w jednostkę pod dowództwem Martina – Batalion SS „Martin". Nowo sformowana jednostka składała się z trzech kompanii po ok. 100 ludzi kierowanych przez podoficerów. Na krótko zajęli pozycję na północ od Wejherowa. Jednak gdy Martin i jego adiutant Fantin pojechali do Gdańska, by odebrać rozkazy od dowódcy garnizonu Waffen SS, któremu nominalnie podlegali, oddziały Armii Czerwonej rozpoczęły szturm na Wejherowo. Francuski batalion został zmuszony wycofać się ze swych pozycji i udać się w kierunku Gdańska. Nie obyło się bez walk, w czasie których Francuzi ponieśli znaczne straty w ludziach.

Pod koniec marca Batalion SS „Martin" liczący ok. 200-300 żołnierzy został przeformowany w Batalion Zapasowy SS i podporządkowany 4. Dywizji Policyjnej SS. Batalion zajmował pozycje za liniami niemieckimi i łotewskimi na północny-wschód od Gdyni. Wkrótce po obsadzeniu pozycji przez Francuzów, rozpoczął się potężny atak Rosjan, który przełamał dwie pierwsze linie defensywne i dosięgnął ich stanowisk. W trakcie zaciętych walk francuski Batalion SS „Martin" utrzymał swe pozycje, jednak za cenę ogromnych strat.

1 kwietnia 1945 roku Batalion, a raczej jego resztki, wycofano z pierwszej linii i wysłano na Półwysep Hel, skąd został przetransportowany niewielkimi pływającymi jednostkami przybrzeżnymi do Kopenhagi. Z nieco ponad 500 żołnierzy, którzy w trakcie walk w lutym odłączyli się od reszty Dywizji „Charlemagne" i zebrali w Sławnie, tylko 100 przeżyło. Po krótkim odpoczynku zostali wysłani jako uzupełnienie 33. Dywizji Waffen SS w Neusterlitz, gdzie ta uzupełniała swe siły i przechodziła przegrupowanie. Jedyny oficer jaki przeżył, Fantin, został odznaczony Żelaznym Krzyżem I klasy i otrzymał przydział na dowódcę innej kompanii.

ŹRÓDŁA ZDJĘĆ: KOLEKCJA STEFANO DI GUSTO, BUNDESARCHIV FREIBURG, US NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION (NARA), NATIONAL MUSEUM CONTEMPORARY HISTORY (LUBLANA).

Przypisy:
[1] We wrześniu 1943 r. przekształcono ją w Wyższe Dowództwo Szkół Nawigacyjnych z siedzibą w Gdyni. Objęła 5 szkół nawigacyjnych: w Gdyni, Gdyni–Grabówku, Gdyni–Orłowie, w Chełmży i w Lipawie; zob. szerzej: O. Myszor, „Gdyński port w okresie okupacji niemieckiej (wrzesień 1939-marzec 1945)", [w:] „Z dziejów kultury Pomorza w XVIII-XX wieku", pod red. J. Borzyszkowskiego i L. Molendowskiego, Gdańsk 2010, s. 231-232
[2] M. Skwiot, „Z ziemi włoskiej do Polski – marynarze włoscy w Stalagu XXA Thorn", [w:] www.muzeumhw.pl (dostęp z 15.10.2014).
[3] U-booty typu VII C o oznaczeniach „S 1–S 9" [wg. Oskara Myszora]. M. Skwiot podaje, iż dziesiąty okręt „S 10" miał być oddany Włochom 15 IX 1943 roku.
[4] C. Cucut, „Le Forze Armata della RSI, 1943-1945, forze di terra", Trento 2005, s. 131

Literatura i źródła:
1. N. Arena, „R.S.I. Forze Armata della Repubblica Sociale. La guerra in Italia 1944", vol. II, Parma 2000
2. R. Landwehr, „French Volunteers of the Waffen SS", Bennington 2006
3. K. Małkowski, „Żołnierze włoscy w Gdyni podczas II wojny światowej", [w:] „Rocznik Gdyński", t. 21, 2009
4. L. Molendowski, „Włoska Misja Wojskowa w Berlinie. Oddziały Włoskiej Republiki Socjalnej w walce na froncie wschodnim (1943-45)", [w:] „Odkrywca" nr 6 /2013
5. O. Myszor, „Gdyński port w okresie okupacji niemieckiej (wrzesień 1939-marzec 1945)", [w:] „Z dziejów kultury Pomorza XVIII-XX wieku", pod red. J. Borzyszkowskiego i L. Molendowskiego, Gdańsk 2010
6. W. H. Neulen, „An deutcher Seite. Internationale Freiwillige von Wehrmacht und Waffen SS", Monachium 1985

Leszek Molendowski
Historyk, zajmuje się dziejami Pomorza Nadwiślańskiego w XIX i XX w. oraz historią wojskowości – szczególnie armii włoskiej oraz innych armii państw Osi. Opublikował dwie książki (z historii Pomorza).

Odkryj z nami historię na now

odk księgarnia odkrywcy

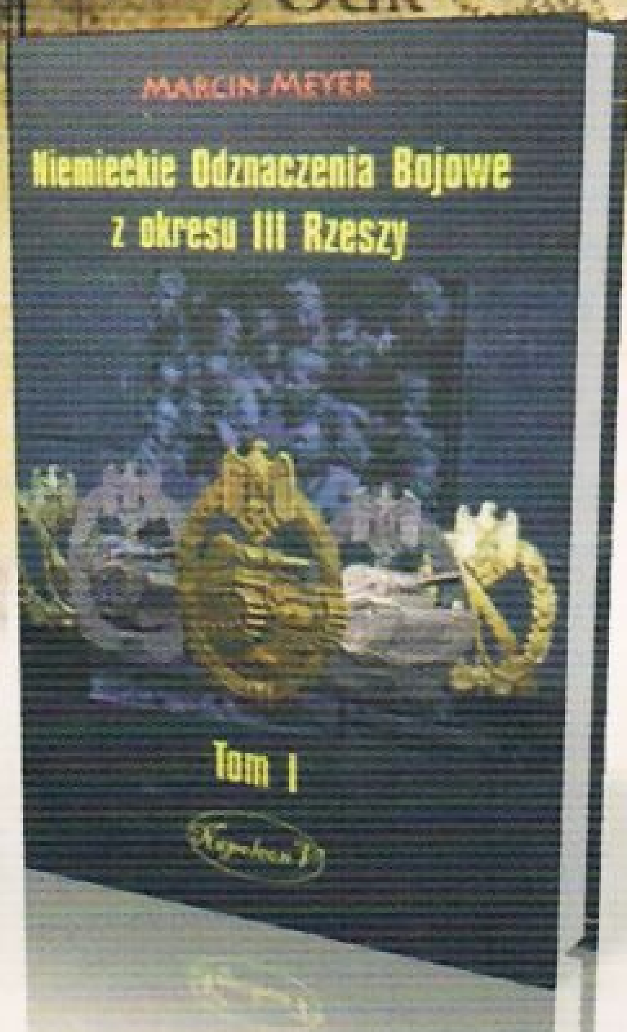

Marcin Meyer „Niemieckie Odznaczenia Bojowe z okresu III Rzeszy", tom I, opr. twarda, str. 222, wyd. Napoleon V. Cena: 140 zł
Publikacja ta skierowana jest do kolekcjonerów i miłośników militariów, szczególnie tych z okresu III Rzeszy. Autor opisał (zamieszczając również wysokiej jakości zdjęcia tych przedmiotów) niemieckie odznaczenia bojowe właśnie z czasów rządów Hitlera. Praca składa się z trzech rozdziałów. Pierwszy przedstawia odznaczenia szturmowe piechoty, drugi, pancerne odznaczenia bojowe, a trzeci, pancerne odznaczenia bojowe II, III i IV stopnia. Każdy z rozdziałów opisuje historię tych odznaczeń, kryteria ich nadawania, przepisy regulujące ich noszenie, sposób wykonania odznaczeń, ich opakowania, miniatury, świadectwa posiadania, kopie i tzw. wzór 57 – zaktualizowaną w 1957 r. wersję odznaczeń pozbawionych swastyki.

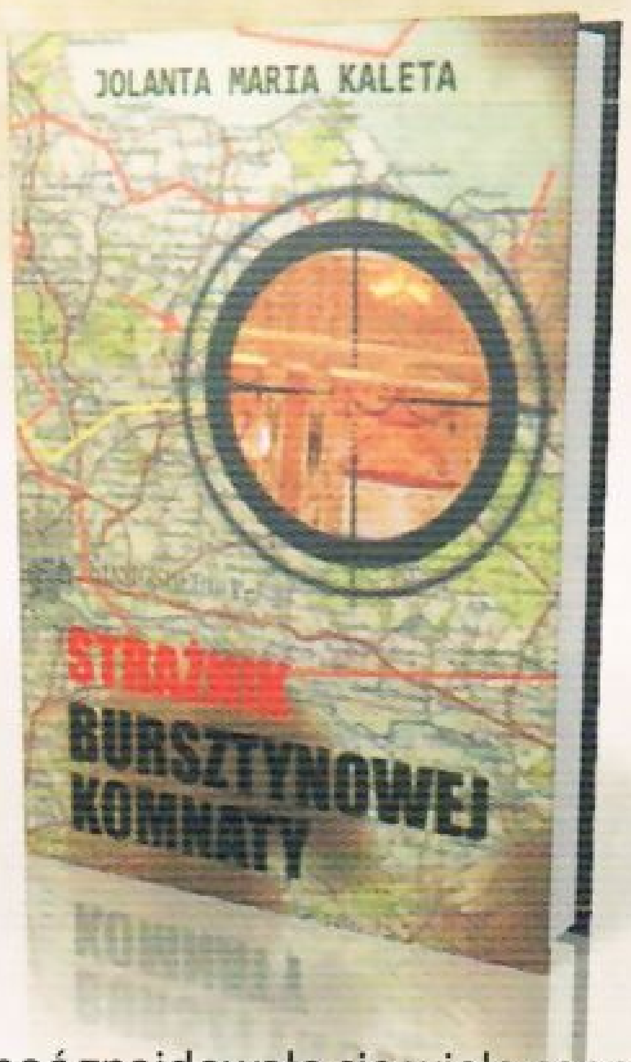

Jolanta Maria Kaleta „Strażnik Bursztynowej Komnaty", opr. miękka, str. 477, wyd. Psychoskok. Cena: 28 zł
Kolejna powieść Jolanty Marii Kalety. Już sam tytuł wskazuje, że tym razem autorka sięgnęła po największą zagadkę II wojny światowej, a mianowicie Bursztynową Komnatę. Jak twierdzi wielu eksploratorów, ukryto ją właśnie na Dolnym Śląsku, z którego bogactwa tajemnic autorka czerpie pełnymi garściami. Akcja powieści zaczyna się jesienią 1991 roku. W Polsce zachodzą przemiany ustrojowe. Nad brzegiem Odry znaleziono zwłoki inżyniera Pawła Rylskiego. Z prowadzonego śledztwa niewiele wynika, a na dodatek ginie dokumentacja zmarłego, w której pono znajdowało się wiele cennych informacji. Dlaczego ktoś miałby zamordować poszukiwacza skarbów, jakich setki w Polsce? Może ktoś nie chce, by tajemnica Bursztynowej Komnaty wyszła na jaw?

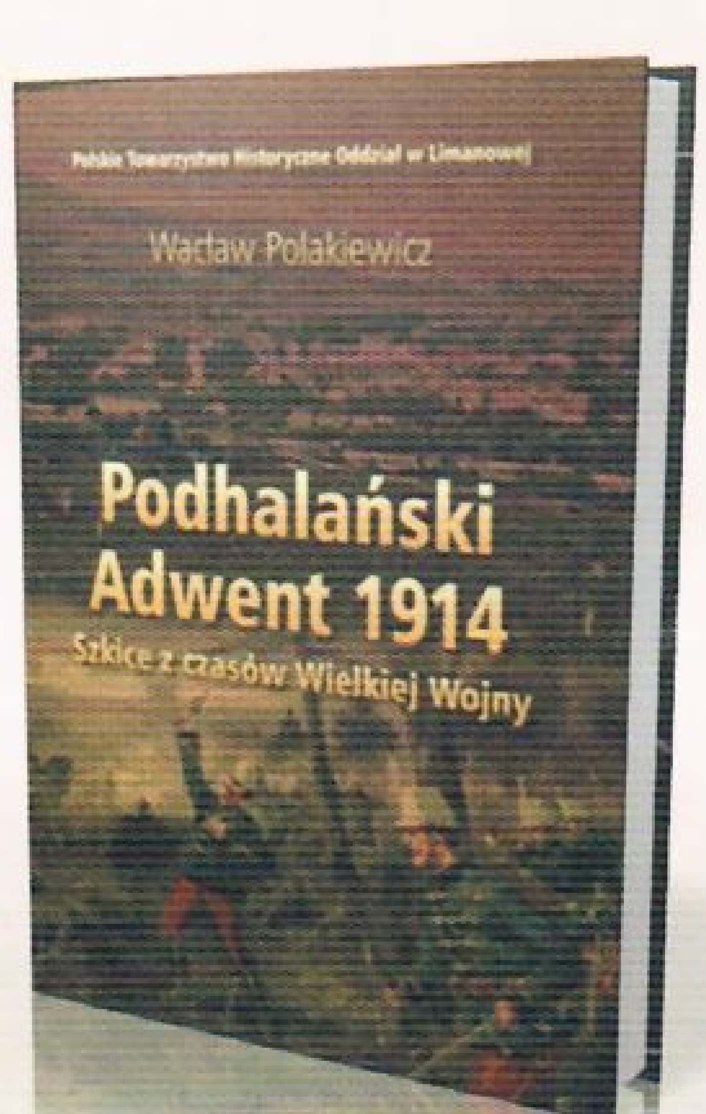

Wacław Polakiewicz „Podhalański Adwent 1914", opr. twarda, str. 232, wyd. PTH Oddział w Limanowej. Cena: 56 zł
Książka ukazuje się w roku stulecia bitwy pod Limanową. Właśnie to starcie, a także okoliczności mu towarzyszące są głównym tematem publikacji. Książka ma charakter wielotematyczny, trochę interdyscyplinarny i nieco regionalny. Boje pod Limanową przedstawione są tu raczej jako dramat ludzki rozegrany i przeżyty w określonym czasie i przestrzeni. Autor nieco mniej miejsca poświęcił natomiast zagadnieniom militarno-wojskowym, które opisał w innej swojej publikacji „Limanowa 1914" (Bellona, 2014).

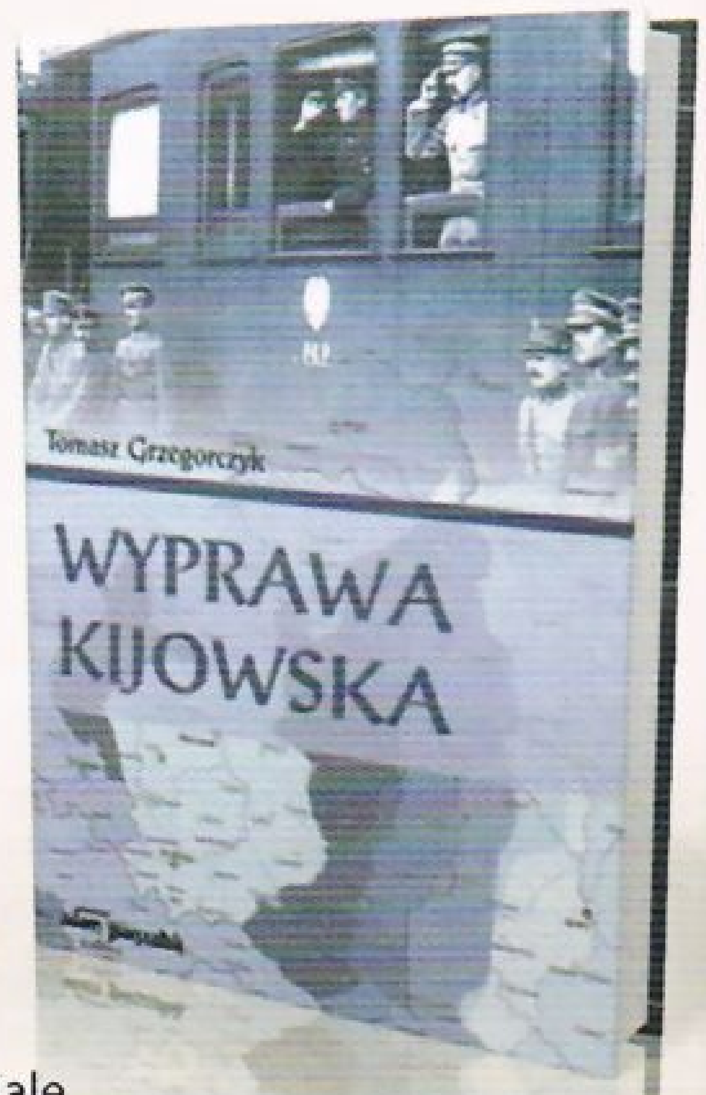

Tomasz Grzegorczyk „Wyprawa kijowska", opr. miękka, str. 256, wyd. Adam Marszałek. Cena: 35,20 zł
Praca traktuje o uwarunkowaniach militarnych i politycznych polskich działań na Ukrainie wiosną roku 1920. Zawiera ustalenia dotyczące zasobów materialnych Wojska Polskiego, dane odnośnie strat osobowych i rozbudowy liczebnej armii w przededniu oraz w trakcie wiosennej ofensywy na Ukrainie. Książka składa się z trzech rozdziałów. Pierwszy podejmuje temat uwarunkowań politycznych, szczególnie o charakterze międzynarodowym, ale także omawia sytuację na terytoriach należących do Rzeczpospolitej przed 1772 r. W rozdziale drugim autor opisał przygotowania organizacyjne i militarne do wyprawy na Ukrainę. Ostatni rozdział poświęcony jest próbie uporządkowania wyzwolonych obszarów Ukrainy przez polską administrację wojskową oraz usiłowaniom Ukraińców stworzenia funkcjonalnego zrębu państwa oraz armii ukraińskiej.

„Śląskie epizody wojenne", praca zbiorowa, opr. miękka, str. 218, wyd. Archiwum-System. Cena: 26,50 zł
„Śląskie epizody wojenne. Druga wojna światowa" to pierwsza z serii książek przedstawiająca bitwy, potyczki, oblężenia oraz postacie związane z wydarzeniami militarnymi na Śląsku. W publikacji wykorzystano bogatą literaturę wspomnieniową, która zapoznaje czytelnika nie tylko z ogólną sytuacją na poszczególnych odcinkach frontu – obrazuje także trudy frontowego życia. Niniejszy tom zawiera rozdziały poświęcone m.in. działaniom estońskiej dywizji SS na Opolszczyźnie oraz w okolicach Jeleniej Góry, opowiada także o kulisach niezwykłego rajdu na fabrykę chemiczną w Brzegu Dolnym. Autorzy będą także próbowali odpowiedzieć na pytanie: czy II wojna rozpoczęła się na Śląsku.

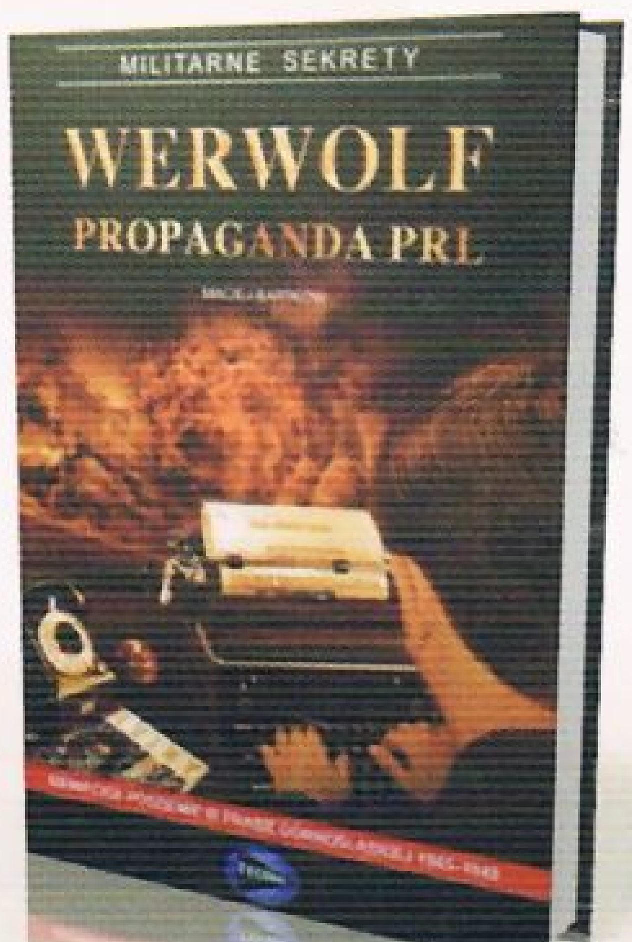

Maciej Bartków „Werwolf - propaganda PRL", opr. miękka, str. 341, wyd. Technol. Cena: 38,80 zł
Autor proponuje czytelnikom fascynującą wędrówkę śladami pierwszych w Polsce informacji o Werwolfie – hitlerowskim planie dywersji i walki partyzanckiej na ziemiach utraconych przez Wehrmacht po 1943 r. Na ile utrwalony w prasie obraz jest zgodny z prawdą historyczną? Jakich paraleli używali pracownicy śląskich mediów? Jak wyglądały metody ówczesnej propagandy, kto za nią stał i czemu miała służyć? O tym właśnie jest najnowsza publikacja Macieja Bartkowa, autora książek: „Tajemnica Szybu Południowego" oraz „Werwolf na Górnym Śląsku".

Znajdź nas na

www.odk.pl

Przyjdź

na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

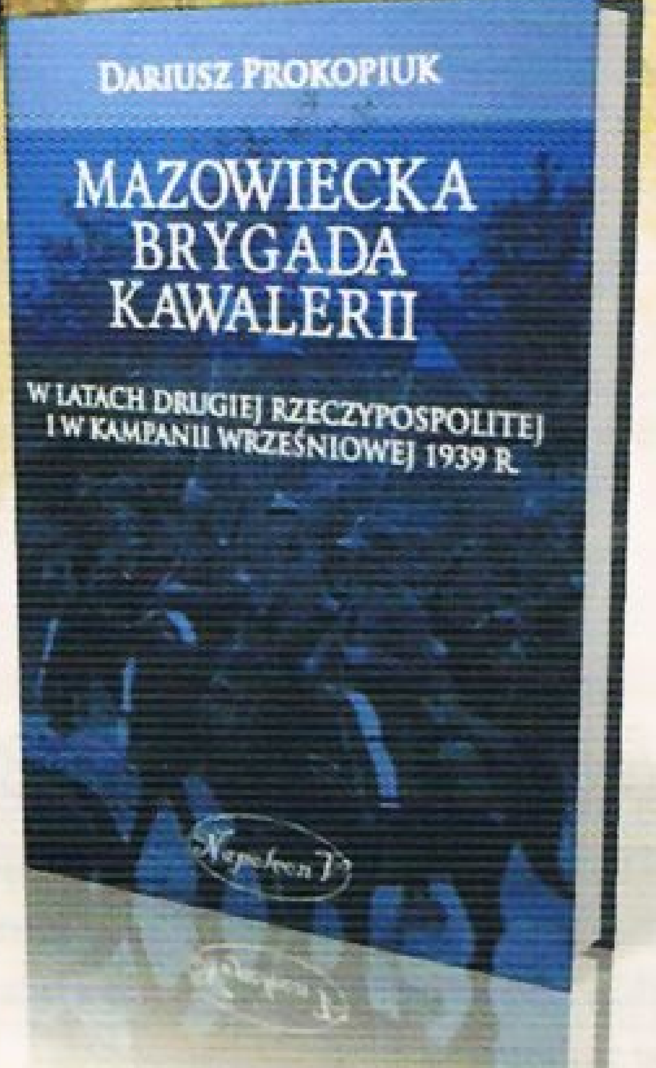

Dariusz Prokopiuk „Mazowiecka Brygada Kawalerii", opr. twarda, str. 432, wyd. Napoleon V. Cena: 80 zł

Monografia Mazowieckiej Brygady Kawalerii obejmująca okres od utworzenia jej pierwszych oddziałów w 1914 r., do rozwiązania jednostek odtwarzanych w ramach PSZ na Zachodzie. Celem publikacji jest przybliżenie historii organizacji, funkcjonowania oraz prowadzenia działań bojowych Mazowieckiej Brygady Kawalerii oraz tworzących ją oddziałów. Autor postanowił obiektywnie przedstawić rolę brygady w Kampanii Wrześniowej, podjął się wskazania przyczyn i motywów decyzji podejmowanych przez dowódców oraz wskazał czynniki wpływające na stopniową utratę zdolności bojowej brygady w wyniku prowadzonych walk. Publikacja została wzbogacona tabelami i zestawieniami liczbowymi, występującymi głownie podczas opisu potencjału bojowego jednostek.

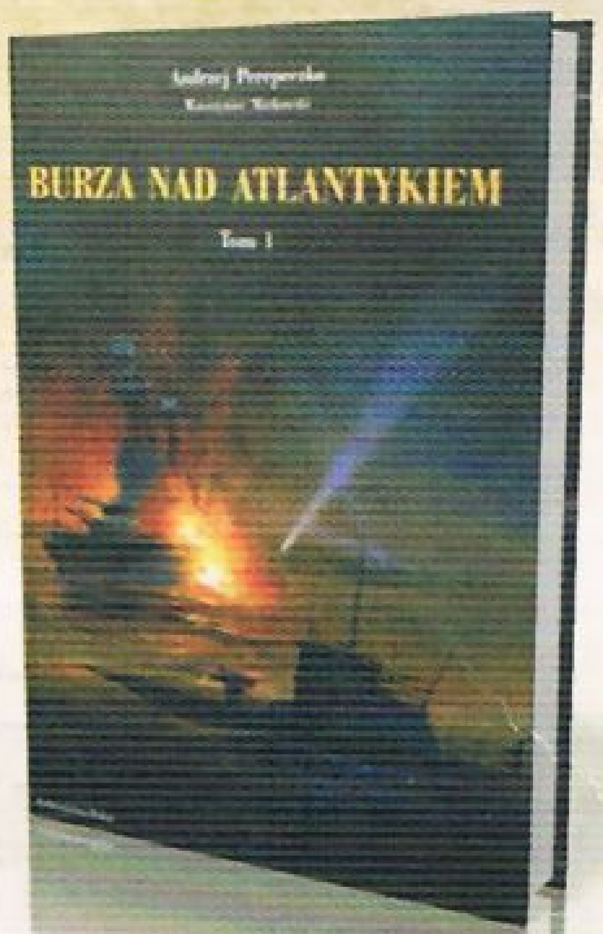

Andrzej Perepeczko, Wawrzyniec Markowski „Burza nad Atlantykiem", tom I, opr. twarda, str. 502, wyd. Oskar. Cena: 56,20 zł

Książka ta prezentuje całokształt zmagań morskich w czasie II wojny światowej na Atlantyku. Konflikt toczony na wodzie zaangażował znaczne siły aliantów i państw osi. Była to najdłuższa kampania toczona przy udziale okrętów podwodnych, trałowców, lotniskowców i samolotów. Przez niemal 6 lat na morzach i oceanach trwała zażarta batalia o panowanie nad morskimi szlakami handlowymi i komunikacyjnymi. Z czasem górę nad przewagą liczebną zaczęła brać przewaga technologiczna, która była po stronie koalicji antyhitlerowskiej. Niestety, ofiarą działań wojennych prócz okrętów marynarki padały także jednostki handlowe, pasażerskie i statki szpitalne. Pierwszy tom opisuje działania toczone na wodzie w 1939 roku. Autorzy oprócz zmagań na Oceanie Atlantyckim przedstawili przebieg walk na przyległych morzach, jak Bałtyk, Morze Północne czy Śródziemne.

Tomasz Bonek „Miasto skarbów", opr. miękka, str. 192, wyd. Technol. Cena: 27,50 zł

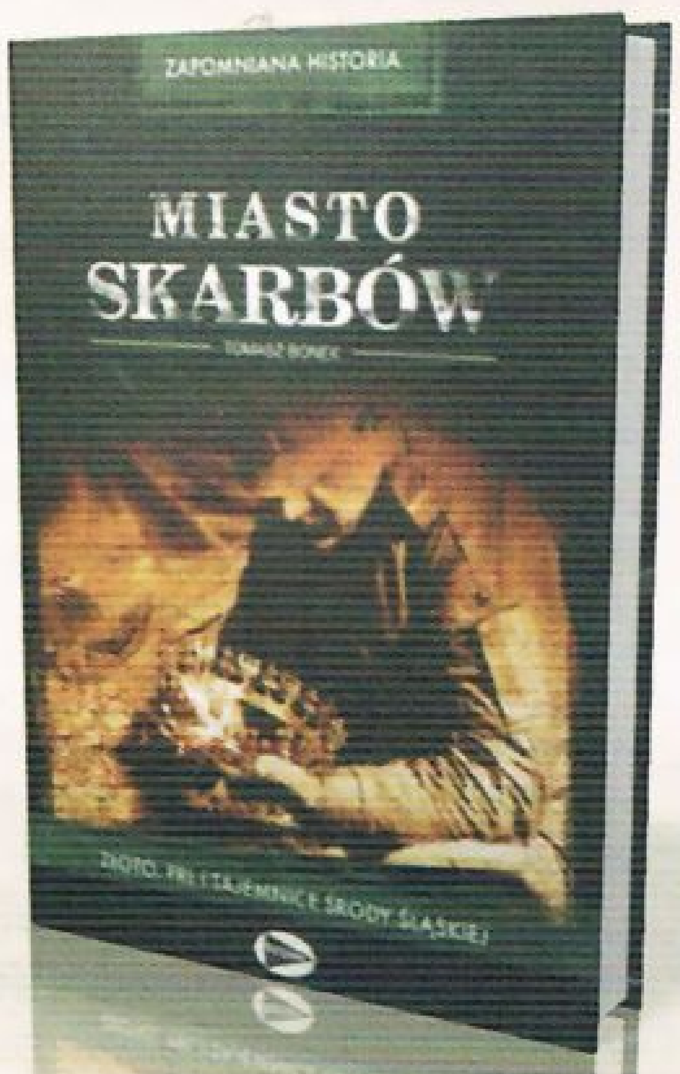

Czy klejnoty warte 100 milionów dolarów można wyrzucić na śmietnik? Tak stało się w 1988 r. w podwrocławskiej Środzie Śląskiej. W tym mieście znaleziono słynny skarb średzki, nazywany przez niektórych przeklętym skarbem. Przez tę biżuterię zginął w średniowieczu bogaty Żyd. 650 lat później w niewyjaśnionych okolicznościach życie stracił dolnośląski cinkciarz, w którego ręce wpadł fragment średzkiej korony. Skąd w Środzie Śląskiej wzięła się tak cenna średniowieczna biżuteria? Dlaczego ginęli przez nią ludzie, a inni mieli kłopoty z prawem? Jak to się stało, że skarb trafił na wysypisko? O tym opowiada reportaż Tomasza Bonka „Miasto skarbów".

„Broszury konspiracyjne Obozu Narodowego z lat 1939-1945", red. M. Orłowicz, opr. twarda, str. 360, wyd. UNI-DRUK. Cena: 43 zł

Niniejsza publikacja przedstawia programy polityczne, gospodarcze i społeczne najbardziej radykalnego odłamu podziemnej sceny politycznej w okupowanym kraju – Narodowców – spod znaku Grupy Szańca, NSZ i tej części Stronnictwa Narodowego pod nazwą Wielka Polska. W omawianej pracy zostało zaprezentowanych 12 dokumentów wybranych z bogatego wachlarza czasopiśmiennictwa tych narodowych organizacji. Większość z nich została opublikowana po raz pierwszy.

Robert Witak „Tajne wojny służb specjalnych II RP", opr. miękka, str. 384, wyd. Księży Młyn. Cena: 37,50 zł

Książka podejmuje zagadnienia dotyczące historii i zadań realizowanych przez Ekspozyturę nr 2 (1929-1939). W publikacji szeroko omówiono m.in. przygotowanie sieci dywersyjnej na obszarze Niemiec, ZSRR i na polskim pograniczu. Opisano także akcje na Zaolziu i Rusi Podkarpackiej, wynikające z potrzeby zmiany przynależności państwowej tych ziem w obliczu spodziewanego upadku Czechosłowacji i zajęcia jej przez III Rzeszę. Autor przedstawia również działania Ekspozytury mające na celu wspieranie polskości i Polonii rozproszonej po świecie, a także zachowanie tradycji i kultury polskiej.

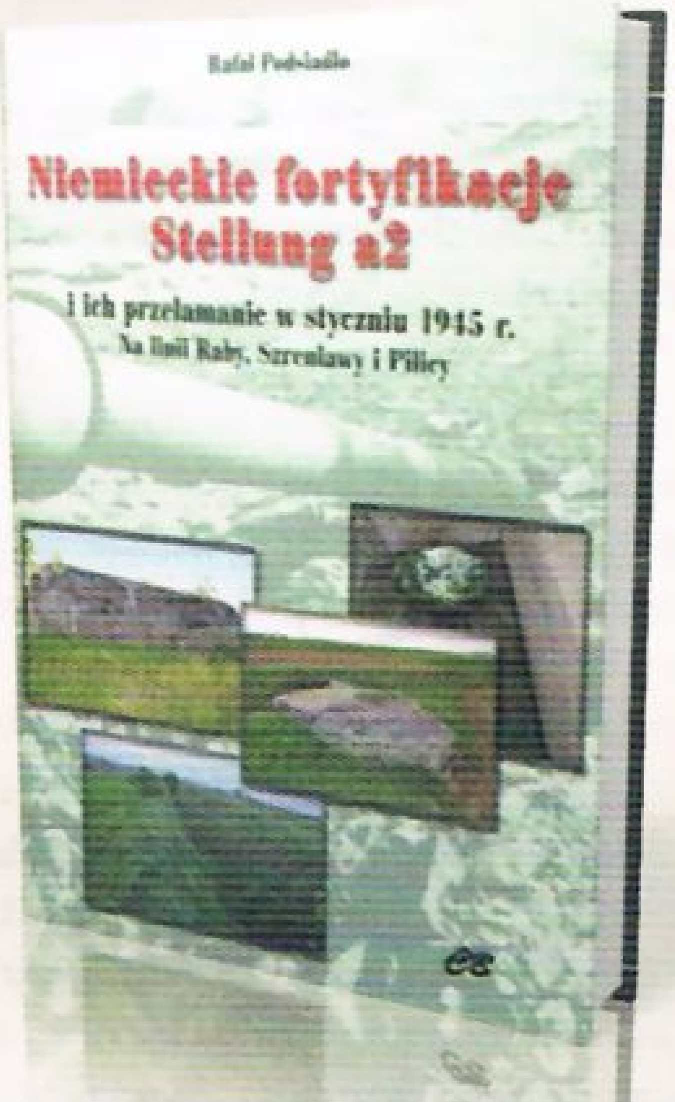

Rafał Podsiadło „Niemieckie fortyfikacje Stellung a 2 i ich przełamanie w styczniu 1945 r.", opr. miękka, str. 358, wyd. Agencja Wydawnicza CB. Cena: 42 zł

Linia Stellung a2 była jedną z kilku linii umocnień wybudowanych przez Niemców na terenie okupowanej Polski. Autor podjął próbę pokazania tego, co wydarzyło się w czasie budowy fortyfikacji, w trakcie przejścia frontu, ukazał skutki działań wojennych i losy pozostawionego na placu boju uzbrojenia. Obraz tamtych dni odtworzono na podstawie wspomnień osób zamieszkujących w obrębie linii a2 w czasie wojny, wykorzystano także dokumenty archiwalne, pamiętniki, kroniki szkolne i parafialne oraz czasopisma wychodzące w latach okupacji. Osobny rozdział poświęcony jest miejscom pochówku żołnierzy niemieckich i żołnierzy Armii Czerwonej. Cennym uzupełnieniem tekstu jest 180 zdjęć dokumentalnych, 10 rysunków i 23 mapy. Na dołączonej do książki płycie CD umieszczono ponad 220 kolorowych zdjęć obiektów fortyfikacyjnych.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

ODK

kolekcja ODKRYWCY

WOJCIECH STOJAK „OSTATNI »KLUB POSZUKIWACZY SKARBÓW« I INNE OPOWIEŚCI". To lektura obowiązkowa dla każdego miłośnika historii. Nie wystarczy jej polecić – bo rekomendować można dobry artykuł lub film. Ją należy przeczytać. Do książki dołączona jest płyta z nagraniem jednego z odcinków „Klubu Poszukiwaczy Skarbów".

26,-

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY" Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

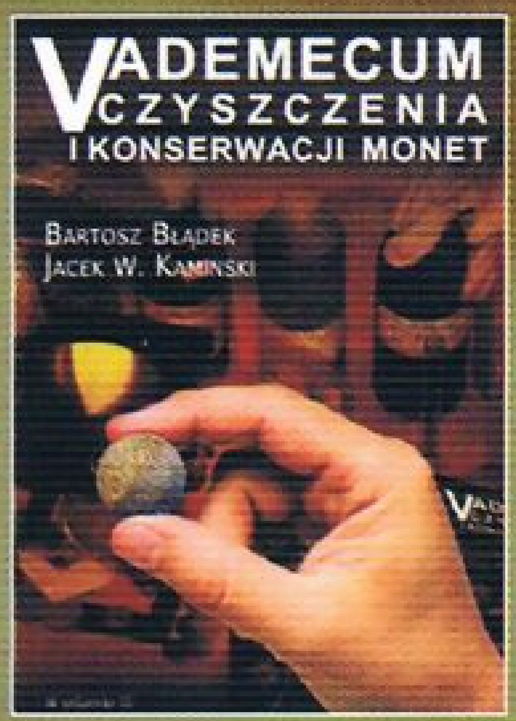

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET" Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

35,50

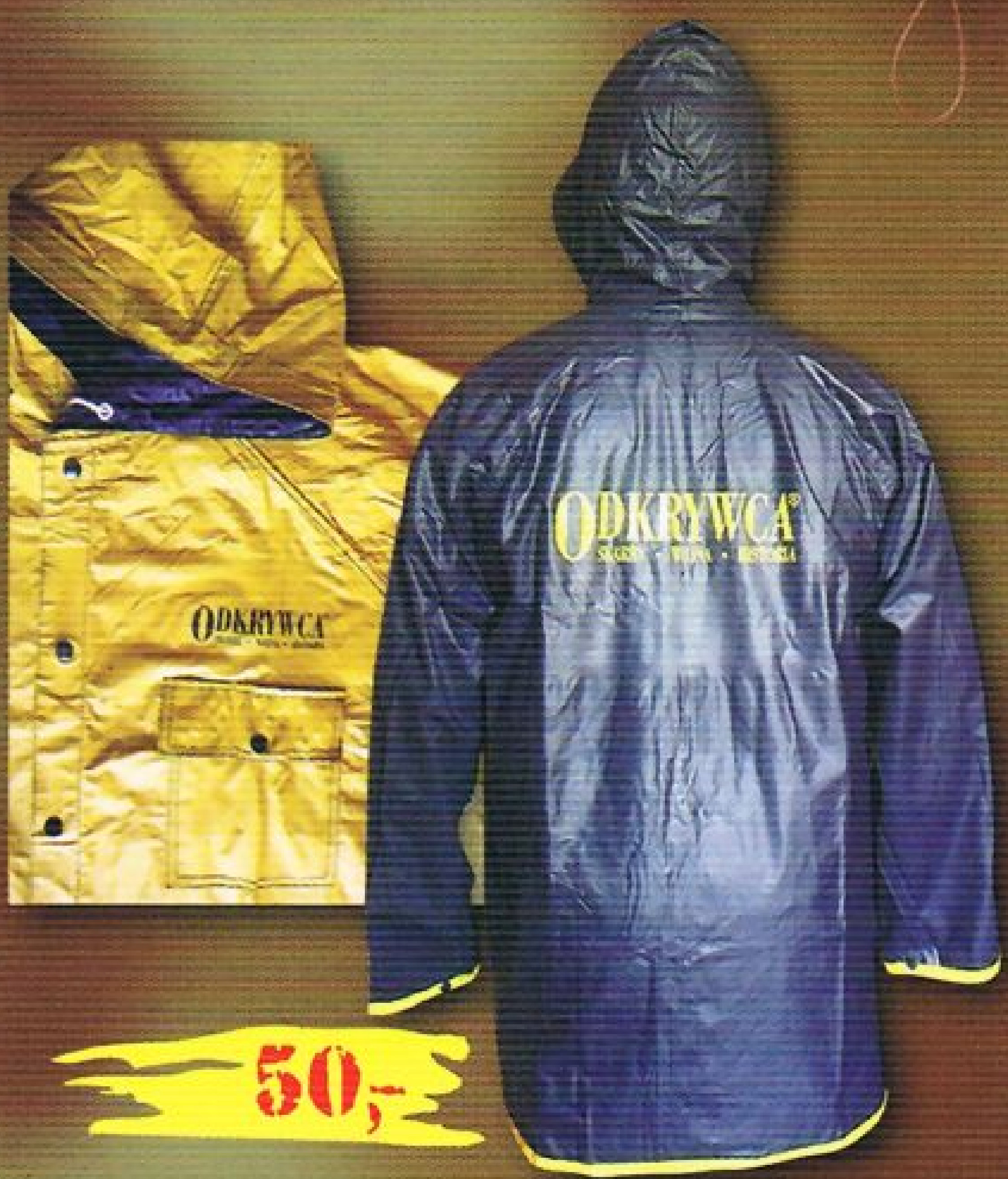

PŁASZCZ PRZECIWDZESZCZOWY Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

50,-

35,-

20,-

METALOWY KUBEK termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

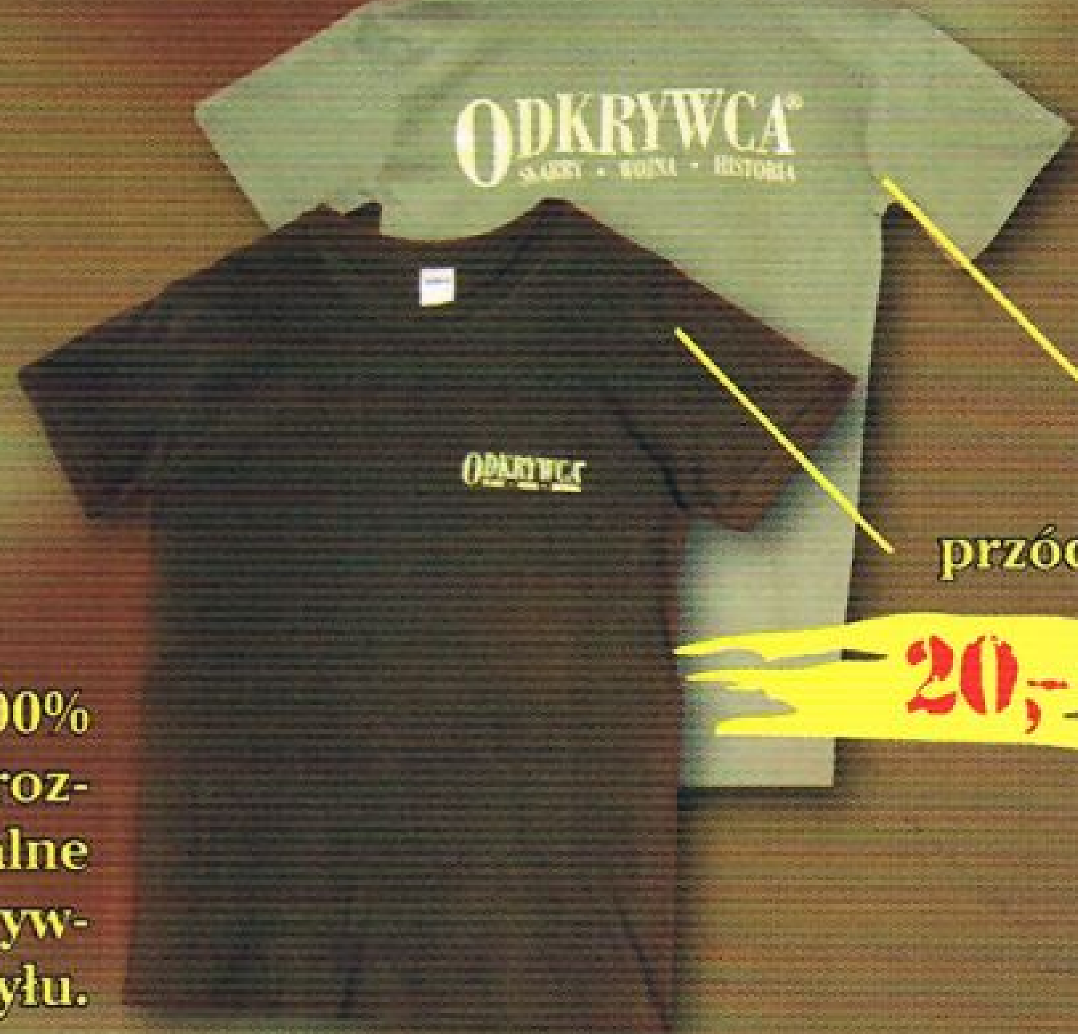

20,-

WSPOMNIENIA WYTRAWNEGO POSZUKIWACZA SKARBÓW I TAJEMNIC. Książka opowiada o niezwykle ciekawych wątkach historii, o skrywanych przez wiele lat opowieściach i tajemnicach, a także o mitycznych skarbach.

Koszulki „Odkrywcy" z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny i oliwkowy w rozmiarach: S, M, L, XL, XXL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca" z przodu i z tyłu.

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 1/192

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko

kod pocztowy — miejscowość

ulica — nr domu

telefon

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy" zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

podpis zamawiającego

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

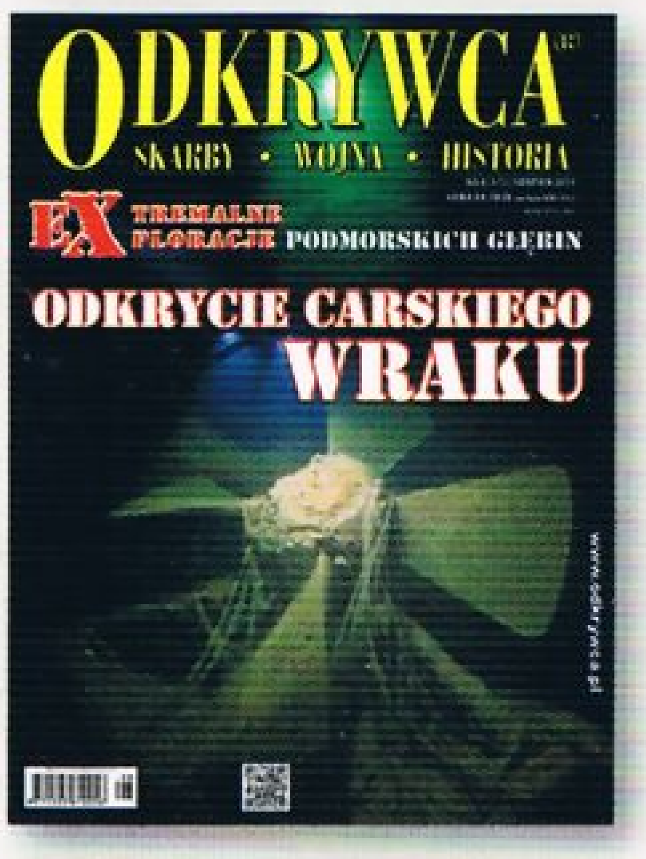

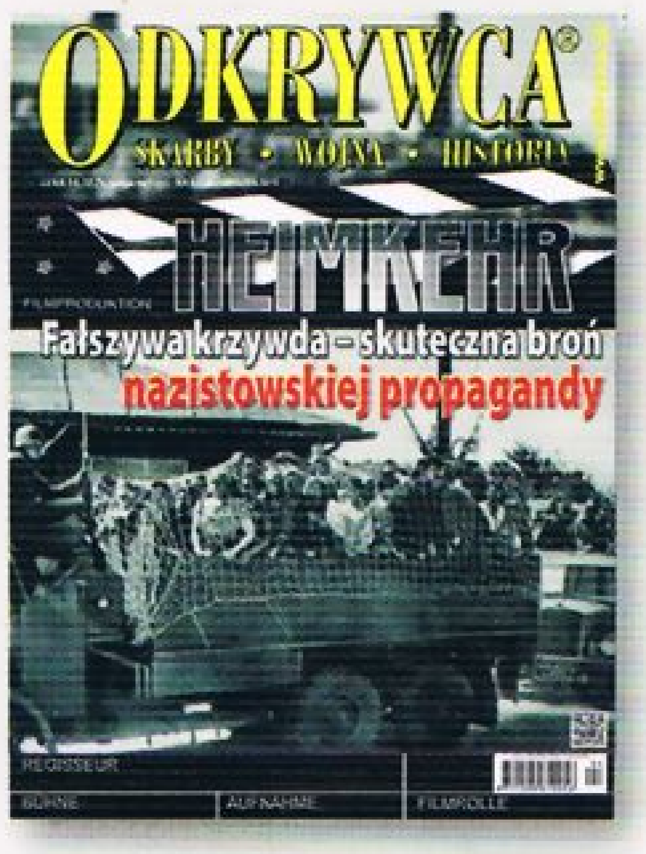

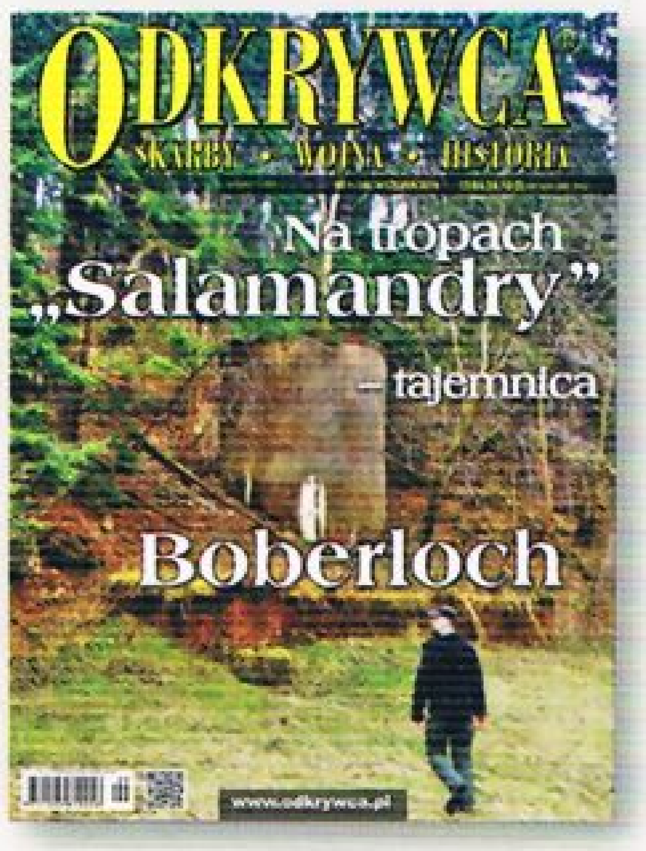

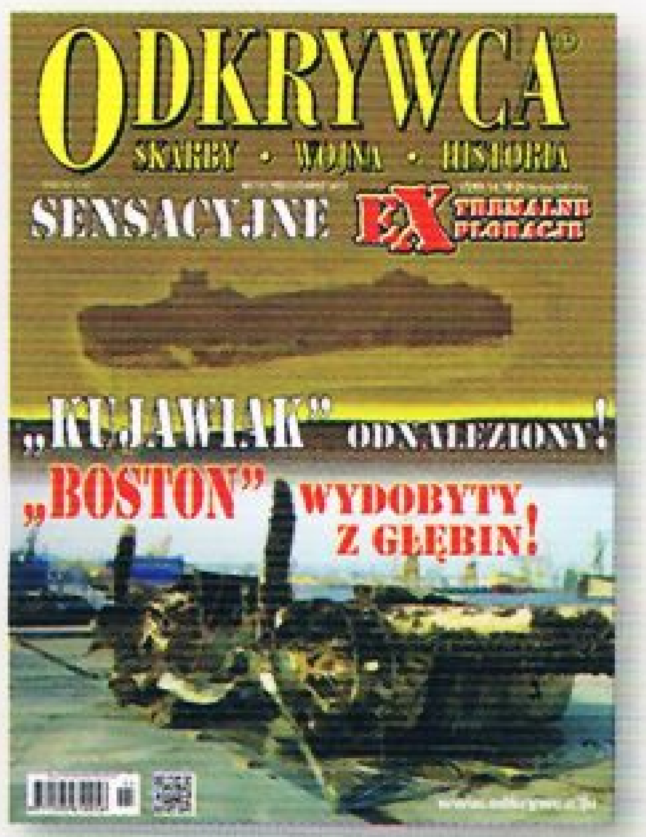

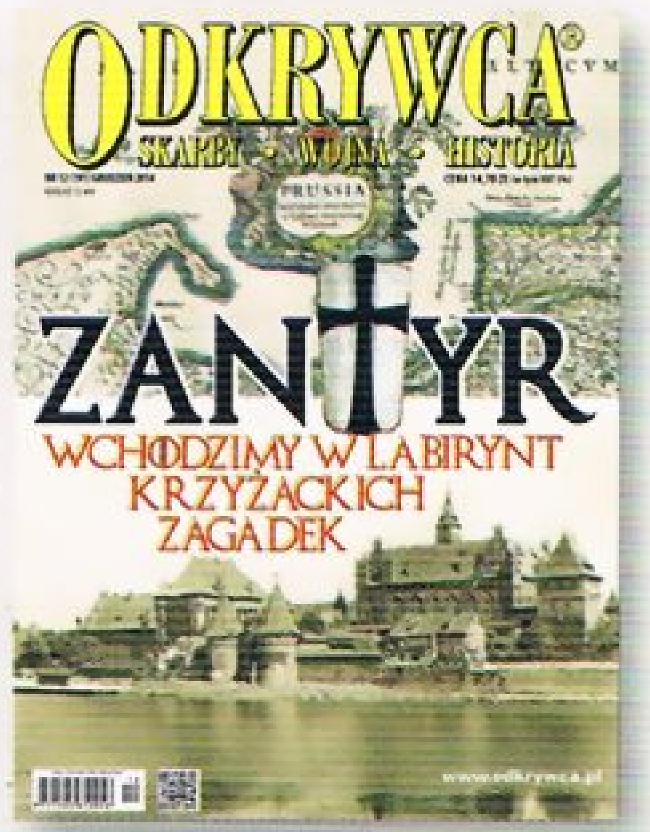

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancja: ► stałej, niższej ceny ► szybkiej dostawy pod wskazany adres ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem: http://instytut.odkrywca.pl

lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:

Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.

ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin

Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:

BIC / SWIFT – ALBPPLPW

PL98 2490 0005 0000 4520 6153 2533

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane adresowe oraz informację, od którego numeru ma się ona rozpocząć. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:

UWAGA: TANIE ARCHIWUM
– SZCZEGÓŁY NA STRONIE 41

Dział prenumeraty wydawnictwa IBHiK:
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław
tel. 71 329 71 71
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga! Do nabycia numery archiwalne:

- rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
- rok 2001 nr od 1/25 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
- roczniki 2002 do 2005 – cena 60 zł za jeden rocznik
- roczniki 2006 i 2007 – cena 84 zł za jeden rocznik
- roczniki 2008 i 2009 – cena 96 zł za jeden rocznik
- roczniki 2010 do 2013 – cena 108 zł za jeden rocznik

Cena razem z kosztami wysyłki w Polsce.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71